

# COURTNEY WALSH

*Gdyby mnie zabrakło*



# COURTNEY WALSH

*Gdyby mnie zabrakło*



Tłumaczenie: *Beata Hrycak*

*Mojej córce Sophii –  
jednej z najsilniejszych osób, które znam*



## Prolog

*Kochana Emily,*

*kiedy piszę te słowa, jesteś na tym świecie od sześciu dni, trzech godzin i trzydziestu dwóch minut. Wróciłyśmy ze szpitala cztery dni temu, a ja przez cały ten czas nie mogę oderwać od Ciebie oczu. Śpisz w dziecięcym łóżeczku obok mnie, ja zaś czuwam i nasłuchuję Twojego oddechu.*

*Szczerze mówiąc, poza wsłuchiwaniami się w Twój oddech nie robię nic. Czuję, że ponoszę wyłączną odpowiedzialność za to, by trwał. Prawdę powiedziawszy, trochę mnie to przeraża. A ja zawsze mówię prawdę. Widzisz, Twoje istnienie jest dla mnie pewną niespodzianką i zapewne dlatego tak się denerwowałam w dniach poprzedzających Twoje narodziny. Ponieważ nie chcę niczego zawalić.*

*Nie chcę wyrządzić Ci żadnej krzywdy.*

*Ludzie zawsze opowiadają, jak cudownie jest mieć dziecko, ale nikt nigdy nawet się nie zajknie, jakie to zarazem przerażające. Widzisz, jestem odrobinę przerażona i nie bardzo wiem, komu innemu o tym powiedzieć. Jestem niemal pewna, że moja matka wykorzystalaby mój lęk przeciwko mnie, więc podzielię się nim tylko z Tobą, moja mała córeczko.*

*Podzielię się nim, ponieważ chcę, abyś wiedziała, że czasem musimy robić rzeczy, których się boimy, by wyniknęło z nich dobro. Czasami najtrudniejsze, z czym przychodzi się nam mierzyć, przynosi najlepsze rezultaty. Dziwne, że tak to działa, ale taka jest prawda.*

*Pewnie zastanawiasz się, dlaczego piszę do Ciebie list, skoro mogłabym po prostu wziąć Cię na rękę i powiedzieć Ci to wszystko osobiście.*

*Cóż, zawsze zastanawiałam się nad moim własnym dzieciństwem. Pamiętam, jak siedziałam kiedyś na podłodze w pokoju mojej przyjaciółki Samantha, oglądając jej dziecięcy album. Jej mama od samego początku zapisywała rozmaite zabawne historyjki o Samancie i wklejała je obok zdjęć przedstawiających każdy etap jej życia. Moja mama nie należy do osób sentymentalnych, dlatego ja nigdy nie miałam takiego albumu. Nie wiem, co myślała, i bardzo tego żałuję. Może gdybym wiedziała, nie czułabym się taka samotna.*

*Brak mi sprytu, uznałam więc, że listy będą najbardziej odpowiednie. Listy o tym, czego się w życiu nauczyłam i co chciałabym Tobie przekazać. Listy miłosne do mojej małej córeczki. Zbiorę je razem w książeczkę i dla Ciebie przechowam. I gdybym z jakiegoś powodu nie mogła przekazać Ci tych ważnych lekcji osobiście, pozostaną spisane przeze mnie słowa, tak więc nigdy nie będziesz musiała zachodzić w głowę, co bym w jakiejś sytuacji powiedziała.*

*Nie zamierzam marnować czasu na głupie i błahe sprawy, będę pisała tylko o tym, co dla mnie najważniejsze, jeśli więc ta książeczka wpadnie w Twoje ręce, mam nadzieję, że poświęcisz jej uwagę, na jaką zasługuje.*

*Nie jestem mądrą kobietą. Większość ludzi nawet nie nazwałaby mnie kobietą, przynajmniej jeszcze nie teraz... Jednak tak wiele uczę się o samej sobie, a sprowadzenie na świat drugiej istoty sprawia, że szybko dorastam. Emily, chcę być dla Ciebie najlepszą mamą. Ty i ja kontra cały świat.*

*I wiesz co? Boję się. Mimo to mam zamiar spisać się najlepiej, jak potrafię. Wiem, że będę popełniać błędy, mam jednak nadzieję, że mi wybaczysz. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele mogę dać miłości, póki nie wzięłam Cię w ramiona.*

*P.S. Zrobię, co w mojej mocy, żeby Alan i Eliza zostawili Cię w spokoju... Przypuszczam, że przede wszystkim będą chcieli czepiać się mnie!*

*Tak bardzo Cię kocham!*

*Mama (ale dziwnie to brzmi!)*

## Rozdział 1

Emily Ackerman nuciła, kiedy była zdenerwowana. Nie jakąś konkretną piosenkę, po prostu pierwszą lepszą melodię, jaka wpadła jej do głowy. Tym razem była to *It Had to Be You* w interpretacji Harry'ego Connicka Juniora ze starego filmu *Kiedy Harry poznał Sally*. Ulubione go filmu mamy.

Skoczna melodia tańczyła w jej myślach, gdy Emily zamknęła oczy i udawała, że jest gdziekolwiek, byle nie na promie z Hyannis do Nantucket. Udawała przez całe życie, a od dziesięciu lat podróżowała po świecie – dlaczego to takie trudne?

Odchyliła w tył głowę, myśląc tylko o tej piosence – o aksamitnym, zmysłowym głosie Harry'ego – lecz zamiast się wyciszyć, jej umysł skupił się wokół pewnego wspomnienia. Matka tańcząca na „ich” plaży, śpiewająca na całe gardło *It Had to Be You*, podczas gdy Emily zanurzała stopy w chłodnym piasku i śmiała się z tych wygłupów.

Emily otworzyła oczy i ujrzała przed sobą wpatzonego w nią ciemnowłosego chłopca o wielkich brązowych oczach.

– Hałasujesz – oznajmił.

– Andrew, to niegrzeczne. – Matka otoczyła chłopca ramieniem i przyciągnęła go do siebie. – Najmocniej przepraszam. Pracujemy nad manierami.

Emily uśmiechnęła się do dziecka.

– Przepraszam. Czasem pogrążam się we własnym świecie.

– Ja też – zawtórował Andrew. – Mam zmyślonego przyjaciela, na imię ma Kenton.

Emily wytrzeszczyła oczy.

– Ja też miałam w dzieciństwie zmyśloną przyjaciółkę! – Starła się sprawiać wrażenie bardziej podekscytowanej, niż była w rzeczywistości. Jest aktorką. To nie takie trudne.

A jednak z jakiegoś powodu poczuła wewnętrzną pustkę.

– Mama mówi, że ludzie pomyślą, że brak mi piątej klepki, jeśli nie przestanę do siebie gadać.

Matka chłopca ścisnęła go za ramię.

– Andrew, zostawmy tę miłą panią w spokoju.

Panią? Emily wiedziała, że po przekroczeniu trzydziestki zaczyna się równia pochyła, ale gdy ludzie zaczynają zwracać się do ciebie per pani, możesz równie dobrze zapisać się do klubu emeryta.

– Jestem Andrew – ciągnął chłopiec. Spojrzał na matkę i mrugnął. – Widzisz? Znam maniery. – Po czym zwrócił się ponownie do Emily. – A teraz ty powiedz, jak się nazywasz.

– Emily.

– Mama mówi, że nie powinienem zwracać się do dorosłych po imieniu.

– Aha. – Emily zerknęła na matkę chłopca, której mina wyrażała mieszaninę rozbawienia i skruchy. – W takim razie możesz mówić mi pani Ackerman.

– Pani Ackerman – rzekł Andrew. – Miło mi panią poznać.

Emily uznała, że lubi tego chłopca. Miała nadzieję, że wraz z wiekiem nie straci on swojego wdzięku, a jeszcze bardziej liczyła na to, że zachowa naturalność i szczerłość. Tylu znanych jej mężczyzn było zaprzeczeniem tych cech. Nie spotkała ani jednego, przy którym warto byłoby zostać na dłużej.

Zwłaszcza nie przy Maxie, który – i była o tym głęboko przekonana – przez cały czas trwania ich związku nie powiedział ani jednej szczerzej rzeczy. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Przestrzegane przez Emily zasady zostały ustanowione po to, żeby chronić ją przed nadmiernym zaangażowaniem. Nigdy nie tkwiła w związku na tyle długo, by dowiedzieć się, czy motywy mężczyzny były nieczyste – po trzech miesiącach brała nogi za pas. Max przeżył ich rozstanie bardziej, niż się spodziewała. Nawet płakał.

Eh... Na samo wspomnienie czuła się jak kawał drania.

Westchnęła. A już szło jej tak dobrze. Dlaczego musiała zacząć myśleć o Maxie?

Żal powrócił, czuła, jak na wspomnienie o nim rumienia się jej policzki. Może naprawdę ją kochał? Może powinna była dać mu szansę?

Nie. Wzięła sobie do serca radę mamy, jak to robiła we wszystkich sprawach, ale zwłaszcza w sercowych. W końcu mama wiedziała co nieco o miłosnych zawodach.

*Angażuj się z pasją na różnych polach, ale w sprawach serca pamiętaj o rozwadze. Twoje serce to nie przedmiot, którym szafuje się swobodnie i bez namysłu. Należy chronić je za wszelką cenę, by mieć pewność, że nie zawali Ci się nagle cały świat. Posłuchaj mnie, Emily. Wiem, co mówię.*

Emily bezwiednie wsunęła rękę do swojej torebki i dotknęła miękkiej, sfatygowanej okładki książeczki z listami. Była jedyną rzeczą, z którą nigdy nie rozstawała się podczas podróży.

Choć nie znała szczegółów, wiedziała, że Isabelle Ackerman zaznała w życiu wielkiego miłosnego zawodu. Żałowała, że mama nie zdołała pogodzić się z tym przed śmiercią.

W wielu kwestiach listy ograniczały się do ogólników, ale nie w tej. Tu nie musiała zachodzić w głowę, co powiedziałyby matka – Isabelle znalazła sposób na przekazanie swojej jedynej córce tego przesłania, zaś Emily skwapliwie z niego skorzystała.

Jej serce było bezpieczne. Gdy ktoś za bardzo się zbliżał – a czasem tak bywało – wiedziała, że pora wiać. Należało uciekać także wtedy, gdy czuła, że zaczyna za bardzo kogoś lubić, a tak właśnie stało się z Maxem. Był czarujący, przystojny, zamożny i Emily zdawała sobie sprawę, że gdyby nie zachowała ostrożności, przekonałaby samą siebie, że warto złamać dla niego zasady.

Na szczęście zmańdrzała, nim jej serce doznało trwałego uszczerbku.

W jej życiu było dość zniszczeń, z którymi musiała się zmagać, i niestety za żadne z nich nie ponosił winy ani Max, ani ktokolwiek inny. Znalazła się w takiej, a nie innej sytuacji przez własne głupie błędy – bez grosza przy duszy i w rozsypce. Nienawidziła tego uczucia.

Kompletna porażka. Oto, czym jest jej życie.

Kiedy skończyła pisać sztukę, wierzyła w jej powodzenie. Dostrzegała w niej ogromny potencjał i nic nie mogło odwieść jej od tego zamiaru – nawet odrzucenie scenariusza przez kilku znanych reżyserów, którzy nie chcieli mieć z tym projektem nic wspólnego. Nie pozostawili jej innego wyboru, jak tylko wyprodukować i wyreżyserować spektakl własnymi siłami.

Powinna była posłuchać. Nie powinna była się porywać na tak duże przedsięwzięcie. Ale nie posłuchała. Utopiła w tym spektaklu wszystko, co miała.

Włożyła weń krew, pot i łzy – a także, i owszem, większość pieniędzy, które pozostały jej z funduszu powierniczego. Kiedy więc po premierze dostała koszmarnie recenzje („Chaotyczna katastrofa, w której nie wiadomo, o co chodzi”) i sztuka zesła z afisza po dwóch tygodniach, nie zostało jej nic prócz niezapłaconych honorariów oraz upokarzającej zawodowej porażki.

Postawiła, można by rzec, na niewłaściwego konia. Spektakl zapowiadał się znakomicie – była absolutnie pewna, że okaże się wielkim sukcesem. Jakże się myliła.

Co gorsza, cały teatralny świat wiedział o jej klęsce. W magazynie *Backstage* ukazał się długi artykuł. Coś w rodzaju opowieści ku przestrodze.

*Reżyserski debiut dawnej dziecięcej gwiazdy najgorszym debiutem roku.*

Mogła jedynie pocieszać się faktem, że jej dziadkowie nie czytali *Backstage*.

Pomyślała sobie, że śmierć dziadka pod jednym względem okazała się błogosławieństwem: nigdy się nie dowiedział, że straciła wszystko przez kiepskie decyzje zawodowe czy też twórcze przedsięwzięcia o krótkim żywocie. Nigdy się nie dowiedział, jak niekompetentna jest jego wnuczka, choć przecież przez długie lata obserwowała, jak dzięki smykałce do interesów zarabia się miliony.

Ale to już przeszłość.

Siedząc na promie obok Andrew, swojego nowego przyjaciela, zacisnęła powieki i próbowała nie myśleć o Maxie, porażkach, dziadkach oraz pustym koncie bankowym.

Nie wiedziała, o której z tych rzeczy najtrudniej będzie jej zapomnieć. Wszystkie nieustannie absorbowały jej uwagę o każdej porze dnia. Przypuszczała, że tak się dzieje, kiedy człowiek sięgnie dna. Zmarnowała mnóstwo czasu na ponowne przeżywanie własnych błędów, na próby ustalenia, czy można było jakoś je odkręcić, by wrócić na właściwy kurs.

Jak dotąd nie trafiła na żadne wskazówki, jakoby takie rozwiązanie istniało. Wiedziała jedynie,

że kiedy znajdziesz się na dnie, byłoby miło, gdyby ktoś podał ci rękę i wyciągnął cię na powierzchnię.

Nikt nie zaoferował jej pomocnej dłoni i może właśnie to było najgorsze.

– Znów pani nuci – odezwał się Andrew. Szczery Andrew o wielkich brązowych oczach.

– Andrew, tylko nie wyrośnij na palanta, dobrze? – rzuciła w roztargnieniu Emily.

Matka chłopca zmarszczyła czoło.

– Przepraszam – powiedziała Emily. – Czasem mówię niestosowne rzeczy.

– Kenton też tak robi. Kiedyś przez cały dzień opowiadał o kupie. – Chłopiec miał śmiertelnie poważną minę, tak że Emily nie mogła się nie roześmiać. – Jak ma na imię pani wymyślona przyjaciółka?

– zapytał z uśmiechem.

– Prawie jej już nie widuję. Ale miała na imię Kellen.

– Kellen – powtórzył Andrew. – Kellen i Kenton. Założę się, że się przyjaźnią.

– Zapytaj go o to przy najbliższej okazji, dobrze? – poprosiła, odwzajemniając uśmiech.

Tak cudownie gawędziło się jej z Andrew, że nawet nie zauważyła, jak prom zwalnia i przybija do portu.

Gdyby wystarczająco mocno zamknęła oczy, mogłaby sobie niemal wyobrazić, że przyjechała na Nantucket jako turystka. Gdyby powstrzymała błądzące myśli, mogłaby niemal uwierzyć, że to jej pierwsza wizyta w tym miejscu, że po raz pierwszy widzi na własne oczy to, co dotychczas widywała tylko na zdjęciach: brukowane uliczki, szare domy w stylu shaker, przed którymi rosną bujne krzewy fioletowoniebieskich hortensji, rzędy kolorowych vesp do wynajęcia, latarnie morskie wabiące znużonych podróżnych, by odpoczęli na wyspie.

Wyspa obiecywała wiele, lecz nie dotrzymywała obietnic.

Ileż Emily by dała, żeby była to jej pierwsza wizyta.

Ale tak nie jest, prawda?

Zajrzała do dużej torby, w której upychała wszystkie potrzebne rzeczy, łącznie z książeczką listów zebranych na chybił trafił, sfatygowaną po latach wertowania. Czasem wystarczyło jej dotknąć, by poczuć bliskość matki.

Jednak gdy położyła dłoń na podniszczonej, ręcznie zdobionej okładce, nawet mama wydawała się daleko. Jak gdyby wyrwano ją z książeczki w chwili, gdy na horyzoncie ukazała się wyspa. Jak gdyby nawet matka chciała zapomnieć.

Wszędzie wokół pasażerowie promu zbierali swoje bagaże, nie mogąc się doczekać rozpoczęcia sezonu na wyspie. Emily nie ruszyła się z miejsca, oszołomiona i jakby lekko chora po morskiej podróży. A może nudności nie miały nic wspólnego z kołysaniem statku.

Gdyby była sprytna, potraktowałaby przyjazd na wyspę Nantucket jak oderwanie plastra z rany. Jedno błyskawiczne szarpnięcie i po płaczu.

Gdyby...

– Wysiada pani, co nie? – Andrew wyrósł tuż przed nią, z czerwono-żółtym dziecięcym plecaczkiem na ramionach i w czerwonej czapce z daszkiem, która miała ujarzmić niesforne włosy w kolorze czekolady.

– Właśnie się zastanawiam – odparła Emily z uśmiechem.

– Lubi pani to miejsce, co nie?

Oj. Podchwytliwe pytanie. Cóż ma odpowiedzieć dzieciakowi? Że wyspa okradła ją ze wszystkiego i że wróciła tu wyłącznie z braku innego wyboru? Matka chłopca prawdopodobnie wezwałaby policję.

– Tak, jest cudowne – przyznała wreszcie. Nie skłamała, ani trochę. Nantucket naprawdę było cudowne. Przynajmniej dla innych.

– Uwielbiam tu przyjeżdżać – oznajmił Andrew. – Proszę. – Wyciągnął piąstkę i nią potrząsał.

Podstawiła dłoń, na którą wypadł gładki biały kamyk.

– Znalazłem go latem na plaży. – Andrew wyszczerzył zęby. Zauważyła wtedy, że lada chwila wypadnie mu jeden przedni. – Niech go pani weźmie.

Nim zdążyła zaprotestować, mama pociągnęła chłopca za rękę. Obejrzał się i pomachał jej na pożegnanie. Przez ułamek sekundy Emily poczuła ból w sercu. Mama Andrew była prawdopodobnie

młodsza od niej. Miała ślicznego synka i zapewne oddanego męża, który gdzieś tam na nią czeka. Takie życie nigdy nie pociągało Emily, w tej jednak chwili – przelotnej – ścisnęła się jej żołądek.

Ale nie ma czasu na smutki, trzeba wysiadać z promu. Chwyciła walizkę, torebkę oraz dużą torbę wypchaną kosmetykami, zdrowymi batonami (żeby nie jeść byle czego), jagodami oblanymi gorzką czekoladą (ponieważ od czasu do czasu można zjeść coś niezdrowego), dwiema książkami i całą resztą, która nie zmieściła się do walizki.

Ruszyła do wyjścia i głęboko zaczerpnęła powietrza.

*Dam radę.*

Powtarzała sobie tę mantrę przez tyle miesięcy, że słowa utraciły już znaczenie. W zasadzie utraciły je już dawno, ponieważ kiedy zwrot się przyjmuje i zdobywa popularność, traci na wartości. Pewnie każdy trener fitnessu w Ameryce wykrzykiwał te słowa przy czternastym powtórzeniu szczególnie wymagającego ćwiczenia.

Ale ona naprawdę dawała radę. Od jedenastego roku życia.

Emily stała na nabrzeżu i ponownie wciągnęła w nozdrza słonawe powietrze, a lekki zapach ryb przypomniał jej, że nie wszystko nad oceanem jest cudowne. Z pewnością nie.

Uszczypnęła się w nos i zmusiła do ruszenia naprzód. Nie po to przejechała taki szmat drogi, by teraz stchórzyć, a poza tym jaki miała wybór?

Czasem żałowała, że Nantucket było dla niej stracone. Kolejna skarga, którą mogłaby dołożyć do sterty innych. Gdyby się nie pilnowała, zbierałaby ich tak wiele, że zamieniłaby się w jedną z tych zrzedliwych, wiecznie skrzywionych starych kobiet, jak kreskówkowa Maxine z kartek Hallmarku.

Albo jak jej własna babcia.

Nie, ona się taka nie stanie. Nie Emily Ackerman. Nie dziewczyna, która szukała wszędzie rozrywki (i zwykle ją znajdowała). Nie ona, ten wolny duch, wędrowiec, który występował w teatrach całego świata, który ma więcej znajomych, niż jest w stanie zliczyć, i doskonale wie, jak obrócić każdą podróż w przygodę.

Bo to przecież tylko kolejna podróż, zgadza się? Mniejsza o to, że tym razem celem nie jest rozrywka. Ta podróż to dla niej druga szansa – i nie może jej zaprzepaścić. Postawienie sprawy w ten sposób z pewnością psuje wszelkie plany zabawy.

Ciągnęła za sobą walizkę, świadoma, jakie to żałosne, że w wieku trzydziestu jeden lat może zmieścić niemal wszystko, co dla niej ważne, do jednej walizki – i to wcale nie tej największej z kompletu, który przysłała jej babcia dziewięć lat temu, kiedy Emily kończyła college.

Westchnęła i popłynęła dalej ze strumieniem pieszych turystów wylewających się z promu na ulicę. Kiedy była mała, czekała na tę chwilę przez cały rok – na ten moment, gdy jej klapki dotkną bruku, na moment, gdy wysiądą z mamą w Nantucket.

Tak wiele się zmieniło.

Obserwując, jak czerwono-żółty plecak Andrew znika w tłumie, szybko pomodliła się w duchu, by dni na wyspie upływały mu na samych przyjemnościach – pałaszowaniu homarów i smażonych ryb oraz gigantycznych lodów w rożkach z Juice Baru, na pławieniu się w słońcu na plaży Jetties.

Życzyła mu tych wszystkich przyjemności, których oddawałaby się sama, gdyby wiele lat temu Nantucket nie zostało dla niej stracone.

I nagle nie była już taka pewna, czy rzeczywiście da radę.

W każdym razie miała zamiar się przekonać.



## Rozdział 2

Dlaczego tak się denerwuje?

Nie mogąc uspokoić pulsu, Hollis McGuire patrzył, jak tłum letników wysiada z promu i wylewa się na ulicę.

Nie minęło aż tak wiele czasu, od kiedy widział ostatnio Jolie, ale co będzie, jeśli jej nie rozpozna? Obarczy ją kompleksem, skaże na wieloletnią terapię. Ale czy to taka rzadkość wśród rodziców?

Wczoraj wieczorem wytłumaczył Janie przez telefon, gdzie dokładnie będzie czekał. A jeżeli nie przekazała tej wiadomości ich dwunastoletniej córce? A jeśli Jolie zgubiła się w tłumie? Lustrował opuszczających prom ludzi i przez chwilę poczuł się tak, jakby znów miał trzynaście lat, jak dzieciak, który nie pasuje do tego towarzystwa, który nadaje się jedynie do czyszczenia ich basenów, pielenia ich chwastów czy noszenia ich kijów golfowych.

Przyglądał się, jak starsza para, Rich i Helen Delanceyowie, schodzą gęsiego z promu. Od dekad spędzali w Nantucket każde lato. To przedstawiciele starych fortun, a Rich jest przyzwoitym człowiekiem – to on uczył ojca Hollisa reguł gry na giełdzie. Bez tego tato pewnie do dziś pracowałby jako instruktor żeglarstwa w miejscowym klubie jachtowym, co zresztą wiele lat temu skłoniło go do przyjazdu na wyspę.

Jeffrey McGuire był kimś w rodzaju żeglarskiej legendy, ale nie pochodził z zamożnej rodziny i choć radzili sobie nie najgorzej, wedle standardów Nantucket byli biedni, co zawsze drażyło głęboką przepaść między Hollisem a resztą tutejszych dzieciaków.

Wydawało się, że to miejsce idealnie nadaje się na kilkutygodniowe wakacje dla Jolie – bądź co bądź spędzili razem co najwyżej kilka wieczorów od... no cóż, właściwie od zawsze. Nie było to dla Hollisa powodem do dumy, niemniej tak miały się sprawy.

Ale teraz? Cóż innego miał do roboty? Jego kalendarz nie był wypełniony.

Obserwował, jak tłum maleje, a tu nadal ani śladu Jolie. Zaczynał się denerwować. Wyjął z kieszeni telefon, by sprawdzić, czy nie dzwoniła albo nie wysłała SMS-a z informacją, że dotarła na miejsce, ale ekran był pusty z wyjątkiem tapety – fotografii córki.

Zmienił ją rano, przerażony, że najświeższe zdjęcie, którym dysponował, pochodziło sprzed dwóch lat. Obszłoby się bez tego przypomnienia – i tak było mu wstyd.

Jego spojrzenie padło na kobietę, która pojawiła się na rampie. Nie rozpoznał jej, ale wydawała się mgliście znajoma. Patrzył, jak zakłada okulary przeciwsłoneczne i odrzuca długie, falujące blond włosy. Miała na sobie cienki biały T-shirt z dekoltem w szpic, który ściągnął jego wzrok tam, gdzie sięgać nie powinien. Była dość wysoka, wyższa niż przeciętnie, o wąskich biodrach i długich, smukłych nogach. Nawet gdyby nie dostrzegł w niej nic znajomego i tak by ją zauważył. Miała w sobie naturalne piękno, które nie potrzebowało ciężkiego makijażu ani sztucznych paznokci.

Po kilku sekundach kobieta zeszła z promu, lecz szybko się zatrzymała. Uszczypnęła się w grzbiet nosa, zaciskając na nim palce.

W mgnieniu oka przeniósł się do dzieciństwa: stał na plaży obok Emily Ackerman – dziewczyny, która skradła jego prawie już nastoletnie serce – trzymając bukiet świeżo zerwanych polnych kwiatów i podziwiając jej urodę.

– Emily? – Hollis się wyprostował i zmrużył oczy, by lepiej przyjrzeć się kobiecie.

– Tato, jestem.

Hollis drgnął na dźwięk dziewczęcego głosu. Odwrócił się i ujrzał przed sobą córkę.

– JoJo, dotarłaś!

– No. – Mina dziewczyny wskazywała, że raczej nie jest tym faktem zachwycona.

Jolie miała dwanaście lat, a wyglądała na dwadzieścia pięć, prawdopodobnie wskutek swobodnych metod wychowawczych Jany. Była dobrą mamą, ale często traktowała Jolie jak jedną ze swoich koleżanek. Nie żeby Hollis miał jakiegokolwiek prawo do wydawania opinii w tej kwestii. W końcu nie uczestniczył w sprawowaniu nad nią rodzicielskiej pieczy.

Żal ponownie ścisnął go w dołku.

Podniósł wzrok, lecz podobnej do Emily kobiety już nie było. Od ich ostatniego spotkania upłynęły długie lata, był głupi, jeśli się łudził, że by ją rozpoznał, nawet gdyby stanęła mu tuż przed nosem.

Ale ten gest szczypania się w nos... Emily zawsze tak robiła, zwykle wtedy, gdy była głęboko zatopiona w myślach albo czymś się martwiła.

Emily Ackerman. Ile to już lat? I dlaczego na myśl o niej szybciej zabiło mu serce? Kiedy widział ją po raz ostatni, był jeszcze dzieciakiem, zbyt młodym, by nazywać tamto zauroczenie „pierwszą miłością”.

Mimo wszystko Emily zapadła mu w pamięć. Ileż to razy się zastanawiał, co się z nią stało po tamtej tragicznej nocy?

A kiedy przestał się zastanawiać...?

– Ziemia do taty. – Jolie upuściła plecak na ziemię.

Hollis podniósł bagaż córki. Nie może się tak rozpraszać. Tego lata ma się zrehabilitować. Stracił tak wiele czasu – wiedział, że ma go coraz mniej. Przecież jego jedyna córka nie stanie się na powrót małym dzieckiem.

– Przepraszam. Czy mama i Rick wyjechali po ślubie bez przeszkód?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak.

– Mama mówiła, że masz zdjęcia z tego wielkiego dnia.

– Serio chcesz je zobaczyć?

– Oczywiście.

Po chwili wyciągnęła telefon z tylnej kieszeni.

Hollis błysnął uśmiechem.

– Pokaż mi tylko te, na których jesteś ty.

Przewijała zdjęcia, aż wreszcie odwróciła ekran w jego stronę. Ujrzał córkę w żółtej sukience drehny, z bukietem róż w dłoni.

Wyjął jej z ręki komórkę.

– Niemożliwe, że to jesteś ty.

Miała zaczesane do góry włosy, a kilka loków zwisało luźno wokół twarzy. Wyglądała jak licealistka wybierająca się na szkolny bal. Jak ten czas leci!

Jak mógł dopuścić do tego, by tak wiele go ominęło?

Próbowała ukryć uśmiech, lecz najwyraźniej zareagował tak, jak oczekiwała. Wiedziała, że na fotografii wygląda olśniewająco – musiała czuć się jak księżniczka. Żałował, że nie widział jej tam na żywo. Nie dostał zaproszenia. Zresztą i tak by nie pojechał.

– Żółty to nie mój kolor. – Przerzuciła przez ramię rudozłoty pukiel.

– Wcale nieprawda – zaprotestował Hollis. Przesunął palcem po ekranie w nadziei obejrzenia innych zdjęć Jolie, ale wyskoczyła fotografia Jany z jej mężem Rickiem. Obejmowali jego córkę i wyglądali jak rodzina z prawdziwego zdarzenia. Hollis i Jana nigdy tak nie wyglądali.

Musiał zmienić mu się wyraz twarzy, bo córka szybko wyrwała mu z ręki telefon i go wyłączyła. Obraz szczęśliwej trójki zniknął.

– To musiał być wspaniały dzień.

– Było w porządku – odparła Jolie. – Oni wyjechali na Hawaje, a ja wylądowałam tutaj. – Uniosła brwi i cicho westchnęła.

– Cieszę się, że tu jesteś – powiedział. I tak myślał.

– A ja się cieszę, że ty tu jesteś. Mam coraz cięższe bagaże.

Uśmiechnęła się półgębkiem, on zaś zrozumiał, że choć nie jest jej ulubieńcem, nie do końca wypadł z jej łask – na razie. Pomimo jego rozlicznych prób zepsucia wszystkiego Jolie wyrosła na naprawdę kapitalną dziewczynę. Przynajmniej on tak to widział. W najbliższych tygodniach przekona się o tym na własnej skórze.

– Mama wygląda na szczęśliwą. – Wziął bagaże córki i poprowadził ją do samochodu.

– Bo tak jest. Dobrze trafiła. Rick pomógł jej się pozbierać. Przy nim czuje się ładna. No wiesz,

daje jej wszystko, czego jej potrzeba.

Przyglądał się Jolie i nie mógł się nadziwić, że jest taka mądra, spędziwszy na tym świecie dwanaście długich lat.

– Denerwuje cię to? – zapytała.

Pomyślał przez chwilę, że może ona ma nadzieję, że tak jest – ostatecznie jako ich córka pewnie wyobrażała sobie, że pewnego dnia staną się wreszcie rodziną, bez względu na to, jak wiele razy powtarzali jej z Janą, że jest im przykro, ale to nie nastąpi.

– Nie, cieszę się, że mama jest szczęśliwa.

Hollis pragnął szczęścia Jany. Chciał, by zakochała się w kimś, kto będzie dobrze ją traktował i kto się o nią zatroszczy (oraz sprawi, że poczuje się ładna), nie chciał natomiast, by ten ktoś zajął jego miejsce jako tata Jolie.

Aczkolwiek w ciągu minionych dwunastu lat zrobił niewiele, by sobie to miejsce zapewnić.

– Jesteś głodna? – zapytał, wrzucając bagaże Jolie na tylne siedzenie jeepa.

– Umieram z głodu, ale nie mogę jeść niczego, co zawiera gluten.

Hollis starał się nie przewrócić oczami. Chciał wspierać córkę, no ale... serio?

– Ani nabrała.

– O nie, tutaj stawiam granice. Jedziemy do Juice Baru – tak jak codziennie latem.

Wbiła w niego wzrok.

– Tato, żaden inny gatunek nie spożywa mleka w dorosłości. Wiesz, jak trudno je strawić?

– Nie, za to wiem, jak dobrze smakuje.

Wsiedli do samochodu i zapuścili się w wąskie, zatłoczone uliczki. Jazda po Nantucket zwykle nie była warta zachodu, ale wyjeżdżając rano z domu, Hollis nie miał pojęcia, jak duży może być bagaż nastolatki.

Jolie siedziała w milczeniu, wyglądając przez okno wranglera. Grupka chłopców mniej więcej w jej wieku wypadła ze śmiechem z Black Doga. Hollis uważał, że coś kombinują. Jego córka zdawała się mieć odmienne zdanie. Wykręcała szyję, patrząc, jak idą ulicą. Jeden z chłopców podniósł rękę i do niej pomachał. Zachichotała i się odwróciła.

– Chłopcy z Nantucket są zakazani.

– No proszę cię, tato... Sam byłeś chłopcem z Nantucket.

Nie, nie był. Nie za bardzo. Jego rodzina spędzała tu letnie miesiące, ponieważ dawny kumpel z college'u załatwił tacie pracę w klubie jachtowym. Pieniądze okazały się na tyle dobre, że warto było wracać tu rok w rok, zabierać mamę Hollisa, a później także rodzinę. Umowa obejmowała wynajęcie domu, więc jak Jeffrey mógłby odmówić? Spadło im to jak manna z nieba, ta sezonowa praca, która zapewniała dzieciom wakacje. Inaczej nigdy by ich nie mieli.

Spędzanie lata w Nantucket stało się rodzinną tradycją, a dzięki kilku mądrym inwestycjom Jeffrey McGuire został właścicielem wynajmowanego wcześniej domku.

Więc owszem, Hollis spędzał tu lato, ale nie, nie był „chłopakiem z Nantucket”. Dorastając, nie wiedział, co to znaczy mieć dochód rozporządzalny. Nikt po nim nie sprzątał, nikt nie przecierał mu szlaków, by mogły spełniać się wszystkie jego marzenia. McGuire'owie zarabiali na swoje utrzymanie. On sam też wyszedł na ludzi.

Pieniądze były obecnie jego najmniejszym zmartwieniem. Teraz pasował do tego świata. A z drugiej strony nadal nie pasował. Zawsze lepiej czuł się w sportowych spodenkach niż w garniturze i krawacie. W głębi duszy wiedział, że wciąż jest tym samym dzieciakiem, siedzącym z boku i patrzącym na model życia, na którym tak naprawdę wcale mu nie zależało.

Może dlatego czuł się outsiderem.

Może dlatego minął już rok, od kiedy pogrzebał swoje marzenia, a nadal nie wiedział, co dalej.

– Znowu to robisz – odezwała się Jolie, machając ręką przed jego twarzą. – Aż tak się złościsz, że mama wyszła za męża?

– Nie, ani trochę.

Delikatnie przyspieszył, dostrzegłszy tamtą kobietę, którą obserwował, jak wysiadała z promu. Ciągnęła walizkę po zatłoczonym chodniku i choć z jednej strony wyglądała jak turystka, z drugiej

zdawała się dobrze znać drogę.

– Kto to? – zapytała Jolie, podążając za jego wzrokiem.

– Pewnie nikt. Najprawdopodobniej.

– A może ktoś? – Jolie uniosła brwi.

*Tak. Może ktoś.*

Hollis rzucił na kobietę ostatnie spojrzenie, dodał gazu i odjechał.

## Rozdział 3

Emily uznała, że powinna być zadowolona, że Nantucket praktycznie się nie zmieniło. Pozostała tą samą urokliwą wyspą. Nic dziwnego, że ludzie wybierali to miejsce na wakacje lub – w wielu wypadkach – spędzali tu całe lato.

W innych okolicznościach być może poszłaby w ich ślady.

A skoro okoliczności były, jakie były, trudno było poczuć przyływ słodkiej nostalgii. Nawet przechadzając się brukowanymi uliczkami. Nawet oglądając wystawy butików. Nawet przypominając sobie, jak razem z matką śmigały przez miasto swoim ulubionym środkiem transportu – starymi rowerami, które chowały w szopie za domem.

Nieomal słyszała dźwięk dzwonka niebieskiego jak jajko drozda roweru matki, kiedy pedałowały tam i z powrotem wąskimi, tłoczonymi uliczkami.

Emily uwielbiała jeździć z mamą po całej wyspie. Szukały muszli, wykopywały małże, zbierały kamyki na plaży. Kierując się namiętnościami zamiast zdrowym rozsądkiem, Isabelle Ackerman była najbardziej beztroską znaną Emily osobą, przez co jej przedwczesna śmierć wydawała się jeszcze większą tragedią. Cała ta pasja życia zgasła w jednej chwili, pozostawiając jedynie wspomnienia, które córka Isabelle w kółko sobie odtwarzała.

Śmierć matki coś w niej obudziła. Boleśnie uzmysłowiła upływ czasu, to, jak okrutnie się kończy, bez ostrzeżenia.

Mniej więcej w drugiej klasie liceum Emily zrezygnowała w życiu z rozwagi. Zaczęła sprzeciwiać się babcinym zasadom i wytyczać własną ścieżkę. Od tamtej pory wytycza ją nieustannie. Wiodąc takie życie, o jakim marzyła jej matka.

Nie, nostalgia wcale nie jest taka słodka – nie wtedy, gdy dotyczy Nantucket.

Emily zatrzymała się tuż przed skrzyżowaniem, a kiedy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że stoi na rogu Water Street, gdzie między jedną a drugą przecznicą mieści się ośrodek kultury.

Niespiesznym krokiem ruszyła w tamtą stronę, ciągnąc za sobą walizkę.

Ileż to dni spędziła w tym budynku? To tu po raz pierwszy odkryła miłość do teatru, tutaj po raz pierwszy poczuła w sobie pasję. Przekonała się, jakie to uczucie wzbudzić dumę w matce.

Podeszła do tylnego wejścia, którym wchodziło się do wszystkich sal prób. Wciąż potrafiła wyobrazić sobie każdą z nich, przeznaczoną do innego celu. Ściany korytarzy były zawieszane fotografiami z poprzednich przedstawień, dzieciaki nazywały to miejsce „galerią sławy”. Kiedyś wisiała tam także i jej podobizna.

Kiedy była dzieckiem, ośrodek kultury tętnił życiem. Próby odbywały się w tym samym czasie, co szycie kostiumów, przygotowywanie scenografii oraz rekwizytów. Zajęte były wszystkie sale, ponieważ muzyki, tańca i ustawiania scen uczono rotacyjnie.

Dziecięce spektakle wystawiane w ośrodku kultury należały do tych letnich wydarzeń, w które angażowała się cała wyspa. Spoglądając na to z perspektywy czasu, Emily nie wiedziała, czy działo się tak, ponieważ przedstawienia były rzeczywiście dobre, czy dlatego, że dorośli mieszkańcy Nantucket po prostu uwielbiali oglądać swoje pociechy na scenie.

Nie miało to znaczenia. Chodziło o coś znacznie więcej. O zawieranie przyjaźni i zabawę, to na pewno, ale przy okazji Emily dużo się tam nauczyła. Dowiedziała się, jak to jest gdzieś przynależeć, mieć swoje miejsce.

Gdy szła teraz korytarzem, zdumiała ją cisza. Ściany rozbrzmiewały echem śmiechów z przeszłości, ale ileż upłynęło czasu, odkąd ktoś wypełnił tę przestrzeń taką samą energią, jaką знаła z dzieciństwa? Budynek zdawał się jedynie pustą skorupą, doskonale utrzymaną, lecz pozbawioną życia. Pozostałością po dawnej świetności.

Mijała opustoszałe sale prób, wędrowała długim korytarzem biegnącym równolegle do sali teatralnej. Zawiódł ją prosto do kularów, gdzie przed dwójkiem drzwi prowadzących na widownię znajdowało się podium.

Emily wdychała utrzymujący się w kularach zapach popcornu, zadowolona, że przynajmniej to się nie zmieniło.

Powoli otworzyła drzwi po lewej stronie i weszła do środka. Scena była naga, widownia pusta, oświetlona jedynie punktowymi lampkami. Emily oparła się naglej pokusie wejścia na scenę i wyrecytowania ulubionego monologu – którejs kwestii Heleny ze *Snu nocy letniej* albo Mabel Chiltern z *Męża idealnego*.

Pusta scena zawsze tak na nią działała. Miała ochotę wskoczyć na deski, poczuć na twarzy ciepło reflektorów, wejść na pewien czas w cudzą skórę. Zrzucenie własnej, gdy zaczynała nadto ciężać, podnosiło ją na duchu. Dziś ciążyła bardzo mocno.

Wyszła z widowni do holu. Naprzeciwko kas znajdowała się duża tablica ogłoszeń z plakatami reklamującymi wszelkie możliwe wydarzenia odbywające się w ośrodku kultury oraz w innych miejscach w miasteczku – spotkanie z lokalnym autorem bestsellerów połączone z podpisywaniem książek, pokaz kulinarny szefa kuchni o światowej renomie, festiwal filmów francuskich, cykl koncertów. Ośrodek kultury żył i miewał się dobrze – ale gdzie podziały się dziecięce programy?

– Mogę w czymś pomóc? – Głos przerwał ciszę w pustym holu.

Emily odwróciła się i zobaczyła przyglądającą się jej starszą kobietę z obłoczkiem siwych włosów. Miała na nosie duże okulary w czarnej oprawie i pomarszczoną skórę, ale zachowała młeczną karnację.

Cera Emily nie będzie tak wyglądała w dojrzałym wieku – spędzała za dużo czasu na słońcu.

– Mam nadzieję – odparła Emily. – Chciałabym się dowiedzieć, gdzie znajdę informacje o programach dziecięcych.

Kobieta zdjęła okulary, które zawisły na łańcuszku.

– Niestety, w dzisiejszych czasach nie mamy zbyt wiele do zaoferowania dzieciom.

Emily obserwowała przez chwilę swoją rozmówczynię.

– Wydawało mi się, że ośrodek kultury każdego lata wystawia duży spektakl, w którym grają miejscowe dzieci.

– Od lat nie udało się nam przygotować takiego przedstawienia, ale dzieje się tu wiele innych wydarzeń. Może coś innego przypadłoby do gustu pani dzieciom? W co drugi sobotni poranek organizujemy pokaz kreskówek. Dam pani ulotkę. – Kobieta ruszyła w stronę tablicy ogłoszeń.

– Nie. – Wypowiedziane z mocą słowo zatrzymało kobietę, a na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji. – Przepraszam. – Emily się opanowała. – Zechce mi pani powiedzieć, kto kieruje ośrodkiem?

– Ja – odparła. – Jestem tu kierowniczką odpowiedzialną za działalność ośrodka kultury.

– A nazywa się pani...?

Rozmówczyni Emily się wyprostowała, jakby nie przywykła do takich indagacji.

– Gładys Middlebury.

– Pani Middlebury, nazywam się Emily Ackerman. – Mogła bardziej zaakcentować nazwisko. Chociaż odrobinę. Bądź co bądź widniało na szyldzie nad drzwiami wejściowymi.

Zaskoczona kobieta błyskawicznie uniosła brwi.

– Emily Ackerman? Córka Isabelle?

Emily opanowała się siłą woli, by nie zalać się łzami. Dlaczego ni z tego, ni z owego nie była w stanie rozmawiać o matce? Wysunęła podbródek.

– Tak.

Gładys nieco złagodniała.

– Było mi okropnie przykro, gdy dowiedziałam się o pani matce. Nie miałam nigdy okazji powiedzieć tego osobiście ani pani, ani pani dziadkom. Wiem, że ich relacja z Isabelle była zawsze dość burzliwa, przez co jej śmierć okazała się być może jeszcze bardziej dla nich druzgocąca.

Emily zmarszczyła czoło. O czym ta kobieta opowiada? Owszem, mama i dziadkowie miewali swoje lepsze i gorsze chwile, jednak nie określiłaby ich relacji mianem „burzliwych”.

– Co sprowadza panią z powrotem do Nantucket? – zapytała Gładys, nim Emily zdążyła poprosić ją o wyjaśnienie. – Nie było tu pani od czasu wypadku, prawda?

Emily uznała, że nie lubi tej kobiety. Zbyt wścibska. Zbyt bezceremonialna. Zbyt arogancka.

– Zmarł mój dziadek, a gdy porządkowaliśmy jego sprawy, dowiedziałam się, że ośrodek nadal rokrocznie otrzymuje w jego imieniu pokaźną dotację, a on zaznaczył, że większa część tej kwoty ma

być przeznaczana na programy dziecięce.

Kobieta otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, lecz szybko ponownie je zamknęła. Bo w zasadzie co mogła powiedzieć? Było rzeczą jasną, że dysponują pieniędzmi dziadka, jak im się podoba. Czy to w ogóle legalne?

– Pani Ackerman, w grę wchodzi tu wiele czynników. – Gladys przestąpiła z nogi na nogę. – Może zechce pani przyjść, gdy na miejscu będzie więcej osób z naszego personelu, i wtedy to pani wyjaśnimy? Albo ktoś z zarządu?

– Co tu jest do wyjaśniania?

Nie mogła znieść faktu, że nie spełniano życzenia dziadka, a jeszcze bardziej złościło ją, że prawdopodobnie od wielu lat dzieci spędzające lato na wyspie nie miały dostępu do teatru.

Od lat nie było im dane zaznać tego uczucia, jakie towarzyszy widokowi rodziny kibicującej z pierwszego rzędu.

– Zacznijmy od woli mojego dziadka. Oczekuję przedstawienia dokumentacji, na co są wydawane jego pieniądze. – Tak zachowuje się osoba, która ma sprawy pod kontrolą, prawda?

– To nie będzie łatwe, pani Ackerman.

Emily zmierzyła Gladys wzrokiem.

– Spodziewam się. – Zaczęła grzebać w torebce, zapisała swój numer telefonu na skrawku papieru, po czym wręczyła go kobiecie.

– Zobaczę, co da się zrobić.

– Czekam na telefon od pani. – Emily wyszła z teatru i głęboko odetchnęła, wypuszczając powietrze długim strumieniem. Asertywne zachowanie spowodowało wyrzut adrenaliny, która teraz krążyła w jej żyłach. To zupełnie nie w jej stylu. Lubiła płynąć z prądem, a nie spiętrzać fale. I choć zwykle była pewna siebie, unikała konfliktów w taki sam sposób, w jaki unikała długotrwałych



*Kiedy trafisz na coś, o co warto walczyć, walcz*

*Kochana Emily,*

*jakie to kuszące płynąć z prądem. Nawet teraz zdarzają się dni, kiedy nie mam ochoty o nic walczyć, ponieważ narażanie się bywa bardzo wyczerpujące. W dodatku człowiek wystawia się na pośmiewisko. Stroszy piórka. Przysparza sobie wrogów albo pakuje się w jakieś starcie.*

*Ale nic nie zmienimy, nic nigdy nie osiągniemy, jeśli nie będziemy walczyć o rzeczy, które naszym zdaniem są tego warte.*

*Nie chodzi mi o to, by stawać się kimś, kto walczy dla samej walki, ale od czasu do czasu coś rozpali w Tobie płomień – coś, czego świat potrzebuje, a czego nie dostaje, coś tak dla Ciebie istotnego, że warto będzie zaryzykować i dążyć do tego, by się ziszcilo.*

*Raz się uda, innym razem nie, a przynajmniej nie całkiem.*

*To bardzo przyjemne uczucie wiedzieć, że zrobiłaś wszystko, co w Twojej mocy, by osiągnąć coś, co naprawdę się w życiu liczy. Możesz położyć głowę na poduszce ze świadomością, że wniosłaś do świata błyszczącą bryłkę złota.*

*A świat potrzebuje więcej blasku.*

*Ściskam!*

*Mama*

## Rozdział 4

Po wyjściu z ośrodka kultury Emily złapała taksówkę. Wzięła się w garść, nie pozwalając sobie na dalsze rozpraszenie uwagi. Nie przyjechała tu po to, by ratować dziecięcy teatr. Przyjechała wyremontować dom, sprzedać go i rozpocząć życie od nowa.

Taksówka zatrzymała się przed starym domkiem przy plaży. Emily znalazła się tu po raz pierwszy od osiemnastu lat i jedyne, co czuła, to otępienie.

To nie był dobry pomysł.

Najpierw wlokła przez miasto walizkę, później wstąpiła do ośrodka kultury, a wszystko po to, by uniknąć właśnie tej chwili – chwili dotarcia do domu. Domu, który prześladował ją w snach.

Patrząc teraz na niego, starała się zatrzymać wspomnienia tam, gdzie bezpiecznie je przechowywała – w zakamarkach pamięci – jednak wszędzie wokół siebie dostrzegała ślady minionego życia. Ślady obecności matki. Beztrudnych dni. Dziadka... oznaki jego obecności znajdowały się wszędzie, gdziekolwiek spojrzeła.

Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Szczerze mówiąc, nie dała sobie czasu na przeżycie żałoby. Dziadkowie byli jej jedyną rodziną, a teraz jednego z nich zabrakło.

Dręczyła ją ta myśl. Ile jeszcze upłynie czasu, nim zostanie sama jak palec?

Trzymała się zdumiewająco dobrze, gdy babcia przekazała jej smutną wiadomość, w trakcie pogrzebu także, ale podskórnie czuła, jak tuż pod powierzchnią nie pozwala o sobie zapomnieć refleksja, że życie jest kruche, czasu niewiele, a jej dni są policzone. I jak mogła ją zanegować?

– Wysiada pani? – Taksówkarz spojrział na nią w lusterku wstecznym. Nie zdawała sobie sprawy, jak długo tam siedziała. Dobrze, że wyrwał ją z tych wspomnień. Bo to nie najlepsze miejsce do zatrzymania się na dłużej.

Zapłaciła kierowcy i wysiadła, poczłapała chodnikiem, słysząc chrzęst muszli pod stopami, i wreszcie postawiła walizkę na ganku. Postanowiła nie idealizować Nantucket ani życia, które tu wiodła. Postanowiła skupić się na zadaniu.

*Wyremontować. Sprzedać. Wyjechać.*

Ale jak tu nie wrócić myślami do tamtej nocy? Ogarnęła ją panika. W jednej chwili znów miała jedenaście lat, obudziły ją gniewne głosy docierające z dołu do jej pokoju na piętrze.

Mama kłóci się z rodzicami. Dziadek i babcia błagają, by ściszyła głos. Wspomnienie było mgliste, lecz i tak szybko zabiło jej serce. O co się sprzeczali? Nikt jej tego nie powiedział i być może już nigdy się nie dowie.

– Dam radę – mruknęła do siebie, choć w jej głosie pobrzmiwała nuta sarkazmu.

Dom wyglądał okropnie. Jak dziadkowie mogli dopuścić do tego stanu? Powinni byli sprzedać go od razu tamtego lata, ale coś ich powstrzymało. Wiadomo, co ich powstrzymało – to tam ostatni raz widzieli swoją córkę żywą. To tam ostatni raz byli rodziną.

Wedle wiedzy Emily nie wynajmowali tego domu letnikom, ale dlaczego nie skorzystali z usług zarządcy, który zaopiekowałby się nieruchomością? Z pewnością było zainteresowanie – stał w atrakcyjnej lokalizacji, zamiast podwórka miał ocean. Przecież to nieprawda, że dziadkowie nie przywiązywali wagi do pozorów – a wygląd ich letniego domu zdecydowanie uwłaczał ich standardom.

Szare deski na zewnętrznych ścianach były nadgryzione zębem czasu, kilku brakowało. Powiodła dłonią po łuszczącej się białej farbie na obramowaniu okien. Wykonała półobrót, stanęła twarzą do podwórza i pokręciła głową, ujrawszy zarosnięty ogródek i rozgardiasz, który pozostawiła po sobie sroga zima. Babcia by się przeraziła, gdyby widziała, co się z tym miejscem stało.

Zabolało ją serce na widok spustoszenia w ich ukochanym letnim domu. Czy powinna była pokonać lęk i zrobić coś więcej, by pomóc? Nigdy nie widziała dziadków oplakujących śmierć jej matki – ani razu – a może mimo wszystko ich cierpienie było głębsze, niż dawali po sobie poznać?

Emily wyłowiła z torby książeczkę z listami, ale nie pozwoliła oczom spocząć na piśmie matki. Otworzyła ją pośrodku, tam gdzie schowała klucz, wyjęła go i ze wszystkich sił starała się nie myśleć o chwili po pogrzebie dziadka, kiedy babcia zaskoczyła ją nowiną, że przekazują jej dom w Nantucket.

– Chciał ci go dać, Emily – powiedziała, wciskając klucz do spoczonej dłoni wnuczki.



– Nie – protestowała. – Wiesz, że nie mogę wrócić. – *Poza tym nie najlepiej gospodaruję pieniędzmi. Nie zasługuję na to.*

– Ten dom, ta wyspa były dla twojego dziadka całym światem. Wyraził się jasno: chciał, żebyś to ty zdecydowała, co zrobić z domem. Źle się spisaliśmy z jego utrzymaniem, więc z pewnością jest w wiejskim stanie, ale są pieniądze na remonty i naprawy. Pojeźdź tam, rzuć okiem, a potem podejmiesz decyzję. Proszę... Tak wiele by to dla niego znaczyło. – Nie wypuszczała dłoni Emily; takie chwile bliskości zdarzały się im bardzo rzadko. – I dla mnie.

I co Emily miała zrobić? Prawdę powiedziawszy, bilet do nowego życia nie mógłby pojawić się w lepszym momencie, skoro jej dawne życie rozsypało się w upokarzający sposób.

Babcia wiedziała, że sztuka Emily zrobiła wielką klapę. Nie wiedziała natomiast, że dziewczyna jest bez grosza. I ten stan niewiedzy należało podtrzymać.

Emily wsadziła klucz do kieszeni i odłożyła torebkę obok walizki. Przyjechała tu, a to już coś. Nie mogła wejść do środka... jeszcze nie teraz.

Poszła na tył domu, chłonąc krajobraz. Skręciwszy za róg, przystanęła na widok oceanu. Oglądała go z promu, ale inaczej patrzyło się nań z tego miejsca – choć to ta sama woda, to samo nabrzeże, ta sama plaża. Mijały sekundy, a ona nie mogła oderwać oczu.

Wciągnęła w nozdrza słone powietrze, zdjęła buty, obeszła pusty, brudny basen, patio, oszkloną werandę i udała się prosto do miejsca, które zawsze uważała za swój własny kąt.

Plażowej kabiny malowanej w biało-czerwone pasy nie było już od dawna, ale gdyby zamknęła oczy, mogłaby przypomnieć sobie każdy detal namiotu, który dziadek rozbijał dla niej na brzegu. Ileż to spędziła tam godzin, biegając do wody tam i z powrotem, budując zamki z piasku, szukając rozgwiazd i muszli?

Dotknęła stopami piasku i poczuła emanujące z niego ciepło. Wiatr się wzmógł, rozwiewając jej włosy przed twarzą. Odgarnęła je i zebrała z boku w luźny koński ogon, zabezpieczając pasma gumką, którą zawsze nosiła na nadgarstku.

Przez kilka sekund stała bez ruchu, wpatrując się w ocean i zastanawiając, co mama powiedziałaby o jej powrocie po latach. Trzymała się od tego miejsca z daleka, ponieważ przeżywanie na nowo wspomnień było zbyt bolesne, a także dlatego, że rodiło zbyt wiele pytań.

O co się wtedy kłócili, że aż mama postanowiła opuścić dom w środku nocy? Nikt nigdy nie odpowiedział na to pytanie i bynajmniej nie dlatego, że go nie zadała.

A do tego ta świadomość, że mama poznała jej ojca właśnie tutaj, na wyspie Nantucket, więc zawsze istniała szansa, że spotykając Boba ze spożywczego albo Sida, projektanta ogrodów, w rzeczywistości spotykała mężczyznę, z którym miała wspólne DNA.

*Hej, Bob, dzięki za zapakowanie zakupów, a tak przy okazji, wydaje mi się, że mam twoje oczy.*

Otrząsnęła się z tych myśli. Nieważne, kto jest jej ojcem. Nieważne, czy on nadal mieszka na tej wyspie. Po co marnować choćby jedną sekundę na myślenie o człowieku, który od początku jej nie chciał? Dokonał wyboru dawno temu, w jego życiu nie było miejsca na córkę. Emily nie będzie teraz niczego idealizować.

Szczekający w oddali pies ponownie ściągnął uwagę Emily na plażę, kilka metrów na prawo. Na brzegu pluskały fale, z zarośli wypadł jak torpeda czarny labrador i pędził w stronę oceanu, a za nim dziewczyna w ślicznym czerwonym tankini w białe grochy.

Mogła mieć jedenaście, może dwanaście lat, była mniej więcej w tym samym wieku, co Emily, gdy spędzała swoje ostatnie lato na wyspie. Pamiętała, jak to jest, kiedy człowiek znajduje się na progu kolejnego etapu życia. Jak ekscytowała ją myśl, że staje się nastolatką. Mama musiała o tym wiedzieć. W przeciwnym razie dlaczego pisałaby o tym w liście?

*W dniu, w którym wchodzisz w trzynasty rok życia*

*Kochana Emily,*

*choć na razie trudno mi w to uwierzyć, nadejdzie dzień, kiedy poczujesz się bardziej dorosła, niż jesteś. Nazywam ten czas wiekiem „pomiędzy”. Mam nadzieję, że nie przemkniesz przez niego zbyt szybko. Mając trzynaście lat, jesteś nastolatką pełną gębą, będziesz więc uważała, że powinnaś być traktowana jak osoba dorosła, ale jako dziewczyna, która musiała dorosnąć naprawdę szybko, modłę się, żebyś jak najdłużej cieszyła się dzieciństwem.*

*Nic w tym złego, jeśli wciąż lubisz tańczyć pod gwiazdami na brzegu oceanu. Nic w tym złego, jeśli nucisz sobie do poduszki albo opowiadasz bajki, żeby nie czuć się samotna. W rozmowach z wymyśloną przyjaciółką też nie ma nic złego. Bo chociaż w wieku trzynastu lat można czuć się dorosłe, nie jest się jeszcze za bardzo dorosłym i to jest absolutnie w porządku.*

Dziewczyna odwróciła się i na nią spojrzała, a wtedy Emily zdała sobie sprawę, że zwyczajnie się na nią gapi. Nie miała obecnie ochoty na zawieranie znajomości. Chciała pograć się w smutku, zmiennych nastrojach i trochę się nad sobą poużalać. Miała już nawet plan: odszuka w szopie rower, pojedzie do miasta na wielkie lody Häagen-Dazs i zje je zamiast obiadu. Umiała pławić się w smutku po mistrzowsku.

Ale była też dorosła, dziewczyna była jej sąsiadką, a do sąsiadów wypada odnosić się życzliwie i z sympatią. Powinna chociażby zapytać o imię psa.

Zaczęła iść w stronę nastolatki, która miała włosy w najpiękniejszym odcieniu miedzianego złota. Emily do niej pomachała. Bryza rozwiała kilka kosmyków luźno spiętych gumką.

– Cześć.

Dziewczyna rzuciła torbę plażową na piasek i odwzajemniła gest.

– Hej.

– Piękny pies – pochwaliła Emily. – Jak się wabi?

– Tilly. To suczka.

– Mieszkasz tu? – Emily wskazała budynek sąsiadujący z domem dziadków... a właściwie z jej domem. Zawsze była to nieruchomość na wynajem i niemal każdego lata, które Emily spędzała na wyspie, rezydowała tam ta sama rodzina.

Od lat nie wracała pamięcią do leniwych letnich dni spędzanych z Hollisem McGuire’em, teraz jednak siłą rzeczy wspomnienia powróciły. Owszem, była wtedy jeszcze dzieckiem, ale wiedziała, że ten chłopak z sąsiedztwa ma w sobie coś wyjątkowego.

– Mieszkam w Bostonie – wyjaśniła dziewczyna. – A tutaj zostaję na miesiąc.

– Szczęściara – skwitowała z uśmiechem Emily. Wyczuwała rozczarowanie dziewczyny jej obecnym położeniem. Biedni rodzice pewnie myśleli, że fundują jej wakacje życia – i prawdopodobnie tak było – lecz ta młoda piękność jeszcze o tym nie wiedziała. Odkrycie magii Nantucket jeszcze przed nią.

– Jakoś wcale się tak nie czuję – odparła dziewczyna.

– Ja też nie – dodała w zamyśleniu Emily.

Dziewczyna spojrzała na nią, zmrużyła oczy i osłoniła je dłonią przed słońcem.

– Serio?

Emily beznadziejnie wywiązywała się z zadania tchnięcia otuchy w młodziutką sąsiadkę. Powinna się wstydzić.

– Nie – sprostowała. – To fantastyczne miejsce na lato. Kiedy byłam w twoim wieku, uważałam, że nie ma lepszych na świecie.

– Mieszkasz w tym odrapanym domku obok?

Sposób, w jaki zadała to pytanie, uzmysłowił Emily, jak bardzo to lato będzie różnić się od tamtych z dzieciństwa. Byli zamożną rodziną. Dziadek cieszył się powszechnym szacunkiem. Sam jeden ocalił przed upadkiem ośrodek kultury, nie wspominając już o okazałym wsparciu finansowym dla szpitala i kto wie ilu organizacji dobroczynnych.

Pasowali do socjety Nantucket. Emily wiedziała o tym już jako dziecko.

Teraz była niezamężną kobietą mieszkającą w obskurnym domku, który zaczął żenująco kłuć w oczy swoją szpetotą. Zdumiewające, że nikt nie ukarał dziadków grzywną ani nie podjął żadnych kroków prawnych. A może tak się stało, tylko babcia pominęła to milczeniem.

– Jestem tu czasowo – rzekła wreszcie Emily. – Przyjechałam doprowadzić dom do porządku, żeby później go sprzedać.

– Dlaczego chcesz go sprzedać, skoro jest tu tak super?

Emily się roześmiała. Bystra dziewczyna. Emily poszłaby o zakład, że jej rodzicom nic nie uchodziło płazem – nie pod tak czujnym okiem córki.

– To długa historia. – I nie zamierzała zagłębiać się w nią przy dziecku.

– JoJo! – Męski głos przerwał krótką ciszę, a dziewczyna przewróciła oczami.

– Mam wrażenie, że przez cały miesiąc nie zostawi mnie w spokoju ani na sekundę.

*Wiele bym dała za takiego tatę...*

Z sąsiedniego ogródka wyłonił się mężczyzna w spodenkach khaki i spłowiałym czerwonym podkoszulku. Sfatygowaną czapkę z daszkiem naciągnął tuż nad oczy przesłonięte przeciwsłonecznymi okularami pilotkami.

Jeden rzut oka wystarczył, by Emily zauważyła dobrze zbudowaną klatkę piersiową. A drugi, by ją ocenić.

Pies przybiegł pędem od brzegu i obwąchał rękę mężczyzny.

– Tilly, bądź grzeczna.

Gdy zamaszystym krokiem ruszył w ich stronę, Emily poczuła, że samoistnie prostują się jej ramiona. Wszystko działa się jak w zwolnionym filmie, jak gdyby tuż przed jej oczami rozwijała się rolka z nagraniem z przeszłości. Szybciej zabiło jej serce. Tego się nie spodziewała... nie jego.

*Hollis.*

– Tato, to nasza sąsiadka. Mówi, że tu jest fajnie, ale chce sprzedać dom, no więc... – Wzruszyła ramionami.

Ale Hollis jakby jej nie słyszał i nie widział. Stał i patrzył. Na Emily.

Puls jeszcze bardziej jej przyspieszył. Ścisnęło ją w dołku. Zakręciło się w głowie. Co on tutaj robi? I dlaczego tak wygląda? Czy ją rozpoznał? Po tylu latach?

Musiała mieć głupkowaty wyraz twarzy, ponieważ dziewczyna sapnęła głośno i powiedziała:

– Tylko nie to, proszę... Jesteś jedną z jego fanek?

Hollis wciąż zdawał się nie słyszeć córki.

– Emily? – Wpatrywał się w nią w dużym skupieniu, zbyt dużym. – To ty.

Chciała oderwać od niego wzrok, ale jakby łączyła ich ze sobą jakaś niewidzialna nić, której nie mogła przeciąć.

– Hollis. – Jego imię niemal uwięzło jej w gardle, wybrzmiało tylko cichym szeptem, ale jakże brzemmiennym.

Wydawał się równie zdumiony jak ona. Podeszedł bliżej, rozpostarł ramiona i przyciągnął ją do siebie jak dawno niewidzianą przyjaciółkę, lecz w tym geście było coś więcej.

Poddała się uściskowi i przez ułamek chwili chłonęła poczucie bezpieczeństwa, jakie dawały jej jego objęcia. Mogłaby się w nich zatracić. Czas mógłby stanąć, a przeszłość się zatrzeć.

A jednak nie.

Odsunęła się nieznacznie, gardząc zdradą własnych uczuć.

– Wydawało mi się, że widziałem cię na promie. Ile to już... osiemnaście lat?

Emily nie wiedziała, czy zdoła wykrztusić słowo. Znalezienie się tutaj, na tej plaży, na tej wyspie, w tym domu, i w dodatku obok Hollisa... nie spodziewała się, że przyjdzie jej doświadczyć takich emocji. Nie chciała pamiętać żadnych dobrych chwil z Nantucket. Tamte wspomnienia zostały wymiecione w dniu śmierci matki.

Z Hollisem McGuire'em nie wiązały się żadne mroczne, smutne czy tragiczne historie. Zapamiętałaby go wyłącznie jako człowieka dobrego, serdecznego, cudownego... gdyby tylko sobie na to pozwoliła.

Tymczasem wrzuciła go do jednego worka z całą resztą wspomnień z Nantucket i cisnęła go do morza. Jak zatem pogodzić się z faktem, że oto teraz stoi z nim twarzą w twarz?

– Pamiętasz mnie? – zapytał.

Kiwnęła głową, z trudem powstrzymując łzy. Nie była płakną – co się tam w środku dzieje?

– Zaraz, to wy się znacie? – wtrąciła się dziewczyna.

– Zналиśmy się – odparła Emily, wciąż połączona z Hollisem jakąś niewidzialną nicią. – Dawno temu.

Zdjął okulary i spojrzał na nią tymi jasnymi piwnymi oczami. Czy były teraz bardziej zielone niż w dzieciństwie? Zawsze miał w sobie coś wyjątkowego, co przyciągało do niego ludzi, tak jak silny magnes przyciąga kawałki metalu. Mama nazywała to „tym czymś”.

– Na tego to uważaj, Emily Elizabeth – mówiła mama. – Dwie części wdzięku i jedna kłopotów.

Wtedy Emily nie rozumiała, teraz już tak. Przynajmniej tę uwagę o kłopotach. Nieomal słyszała ostrzegawcze syreny ryczące w tyle głowy, jak wycie ambulansu pędzącego po ulicach Londynu.

Być może w tamtych czasach ludzie dawali mu odczuć, że nie należy do świata Nantucket, teraz jednak nikt by się na to nie powazył.

– Nie chce mi się wierzyć, że mnie pamiętasz.

Emily poczuła nagłą – i całkowicie nietypową dla siebie – nieśmiałość.

– Żartujesz sobie? – Hollis szturchnął ją w ramię, tak zupełnie po kumpłowsku. Oczywiście, że żartował, bądź co bądź stał tu przed nią z własną córką. Co przyszło jej do głowy, żeby fantazjować na temat mężczyzny, który jest, jak widać, zajęty. Odsunęła od siebie te myśli i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości. – Po twoim wyjeździe lato już nigdy nie było takie samo – dodał.

Emily odwróciła wzrok. Jak przeżyje ten powrót na wyspę? Jak zmierzy się ze wszystkimi pozostawionymi bez odpowiedzi pytaniami, które pogrzebała na tak wiele lat?

– Super, że odrabiacie zaległości i w ogóle, ale tato, ja umieram z głodu. Mówiłeś coś o burgerach z grilla. Możemy przenieść ten pomysł do realu?

Zawołała Tilly i zniknęła w porastających wydmy trawach.

– To Jolie – wyjaśnił Hollis. – Moja córka.

– Tego akurat się domyśliłam, ponieważ nazwała cię tatą – powiedziała z uśmiechem Emily. – Jest śliczna.

– Ma charakterek. – Roześmiał się, a potem umknął spojrzeniem. – Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ja z nią tutaj robię.

Zapadła między nimi łagodna cisza.

Jak on to robi? Jak sprawił, że z miejsca się rozluźniła? Jak w ciągu kilku sekund zdołał wzbudzić w niej poczucie bezpieczeństwa? W dziewczynie, która nie ufała nikomu?

Napomniała samą siebie, że przecież Hollis nie jest już chłopcem, którego znała, zanim jej życie wywróciło się do góry nogami. Dorósł. Wszyscy uroczy chłopcy, kiedy dorastają, stają się mężczyznami. Ona zaś nie potrzebowała w swoim życiu mężczyzny, tak samo jak nie potrzebowała tego starego domku w Nantucket.

– Dzieci są przebiegłe – powiedziała, ponieważ słyszała to wielokrotnie, a nie dlatego, że było to prawdą.

– Masz własne?

– Nie. – Odwróciła wzrok. – Dzieci nie pasują do moich planów życiowych.

Uniósł brwi.

– Naprawdę?

– Dużo podróżuję. – Było to niedopowiedzenie. Podróżowała. Nie robiła niemal nic innego, a już na pewno nie przed tym, jak osiadła w miejscu, by wystawić sztukę, która najwyraźniej nie była gotowa na zaprezentowanie jej publiczności.

– Tak, wiem co nieco o życiu w drodze. To trudne, kiedy ma się dzieci. Na pewno.

Nie odpowiedziała. Gdy rozmowa zeszała na ten temat, Emily zaczęła tęsknić za rzeczami, których absolutnie nie chciała.

*Do miłości podchodź z rozwagą. Zawsze strzeż swojego serca.* Trwała przy tej mądrości

przekazanej jej przez matkę wiele lat temu. Jak dotąd służyła jej znakomicie.

– Ale jakoś dajesz sobie radę z dzieckiem pomimo wielkiej kariery. – Z całej siły starała się nie rozmarzać.

– Wiesz o mojej karierze? – Wyraźnie sprawiło mu to przyjemność.

Przywołała na twarz wyraz najwyższego niedowierzania i zwróciła ją ku niemu.

– Żarty sobie stroisz czy jak?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że interesujesz się baseballlem.

Bo się nie interesowała, ale Hollisem tak, przynajmniej odrobinę... ku swemu zakłopotaniu.

– Powinnaś zjeść z nami kolację – powiedział. – Nadrobimy zaległości.

Czy temu podoła? Jak usiąść przy jednym stole z Hollisem, jego żoną i córką, a może i większą gromadką dzieci? Fakt, że założył rodzinę, a ona o tym nie wiedziała, dowodził jedynie, w jaką odległą przeszłość zepchnęła przyjaciela z dzieciństwa. I najlepiej, by tam pozostał.

– Nie mogę się narzucać.

– Dopiero przyjechałaś. W domu raczej nie znajdziesz nic do jedzenia.

Miał rację. Nie znajdzie. Jeśli nie wybierze się do miasta, nie wypije nawet rano kawy.

– Nalegam.

– Twoja żona nie będzie się złościć, że przyprowadzasz do domu przybłędę? – Podniosła wzrok i uświadomiła sobie, że jest katastrofalnie przystojny. Jego żona była szczęściarą.

– Żona?

– Mama Jolie.

– Mama Jolie spędza miesiąc miodowy z pewnym lekarzem, imieniem Rick.

– Aha. – Emily się roześmiała. – I co ty na to?

– Nie byliśmy małżeństwem. – Spuścił oczy, a Emily pomyślała, że nawet gwiazdy baseballu mają swoje demony.

I nagle usłyszała, jak przyjmuje zaproszenie na kolację. Od Hollisa McGuire'a. Chłopaka z sąsiedztwa, który został fenomenem baseballu i chyba najpiękniejszym człowiekiem, jakiego widziała.

*Dwie części wdzięku i jedna kłopotu.*

Oj...

## Rozdział 5

Hollis nie wstydził się małego domku w Nantucket, dopóki Emily nie przekroczyła jego progu. Owszem, dom jej dziadków wyglądał obecnie jak na zdjęciach „sprzed metamorfozy”, pokazywanych w popularnych programach telewizyjnych o remontach, ona jednak pochodziła z zamożnej rodziny, podobnie jak wszyscy w Nantucket.

Kiedy ujrzał Emily w drzwiach własnego domu, przypomniał sobie, że jego korzenie są inne.

Nieważne, ile obecnie miał na koncie w banku. W pewnym sensie na zawsze pozostanie tamtym dzieciakiem, który odmawiał noszenia kraciastych szortów i przylizywania włosów, który nie pasował.

Choć musiał przyznać, że Emily także nie wyglądała na kogoś, kto należy do tego światka – nie miała w sobie żadnego nadęcia, zdawało się, że nie potrafiłaby się wywyższać, nawet gdyby podjęła taką próbę.

Może dlatego urzekła go już na promie.

– Więc twój tato kupił ten dom? – zapytała, rozglądając się dokoła. – Fantastycznie.

– Tak, radził sobie całkiem dobrze. – Hollis wskazał jej krzesło przy wyspie pośrodku kuchni. Obecność Emily tutaj go deprymowała. Postawiła jego zmysły w stan pogotowia. – Zawsze uwielbiali to miejsce, była to jego pierwsza poważna inwestycja.

– Serio?

Emily usiadła, a on sięgnął do lodówki po hamburgery, starając się rozmawiać z nią jak z człowiekiem, zamiast podziwiać jej postać w nabożnym milczeniu, jakby była marmurowym posągamiem w muzeum. Było to jednak trudne – zważywszy na jej porcelanową cerę i falujące jasne włosy. Był ciekaw, czy piegi, które kiedyś rozsypywały się od szczytu nosa na policzki, powrócą pod wpływem słońca. Chciałby się przekonać.

– Zjawia się tu później. – Hollis rozpakował hamburgery, ułożył je na półmisku, po czym odkręcił kran i umył ręce. – Myślę, że zdążą w sam raz na kolację.

– Tak?

– To rodzinne spotkanie.

Prawdę mówiąc, cieszył się, że ktoś pomoże mu trochę z Jolie. Nie wiedział, co robić przez cały dzień z młodszą nastolatką, zwłaszcza taką, która pomimo względnej serdeczności wcale go aż tak bardzo nie lubiła.

– Musicie się bardzo cieszyć na ten zjazd rodzinny.

Podniósł głowę znad zlewu i zakręcił wodę.

– Niech ci się nie wydaje, że się wymigasz.

Spojrzała mu w oczy.

– Że co?

Przyglądał się jej, a jego puls zwolnił na tyle, że mógł pozwolić sobie na żartobliwy ton.

– Myślisz, że zdołasz umknąć przed obłędem rodziny McGuire’ów, ale jesteś jej częścią tak samo jak ja.

Wydawała się zdezorientowana.

– Oberwałeś kijem baseballowym w głowę?

Roześmiał się, napięcie powoli rozchodziło się po kościach. Kiedy ostatnio czuł takie zdenerwowanie przy kobiecie? Jej duże, niebieskie i wykrojone jak migdały oczy mogłyby każdemu mężczyźnie odebrać mowę, lecz Hollis przede wszystkim starał się nie patrzeć na jej pełne usta i delikatny złoty łańcuszek z zawieszka spoczywającą między wyraźnie zarysowanymi obojczykami.

*Weź się w garść, McGuire. To tylko Emily.*

Emily, która budziła w nim skojarzenie z wrzuconą w morze butelką. Nawet gdyby ją widział, nie mógłby do niej dotrzeć, ponieważ po wypadku dziadkowie błyskawicznie zabrali ją z wyspy.

A później sami ulotnili się jak kamfora, zostawiając go w rozterce, liżącego rany, leczącego złamane serce.

Matka powiedziała, że pogodzenie się z utratą przyjaciółki zwyczajnie wymaga czasu, że trzeba dać Ackermanom święty spokój – gdy opadnie kurz, może się skontaktują.

Kurz najwyraźniej nigdy nie opadł, ponieważ żaden kontakt nie nastąpił.

Hollis miał to w nosie, obchodziła go jedynie dziewczyna, która pomijała to, kim nie był, a skupiała się na tym, kim mógł być. Ona coś w nim dostrzegła, podczas gdy wszyscy inni nie widzieli w nim nic prócz biednego dzieciaka, który nie pasował do otoczenia.

Odwrócił się do Emily, ciesząc się, że nie umie czytać mu w myślach.

– Rodzinne kolacje, pikniki na plaży, mecze baseballowe pod domem: oczekujemy twojej obecności. Nan McGuire pękłoby serce, gdybyś się nie pojawiła.

Emily odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

O ludzie, ależ była piękna.

Zawsze była klasą samą w sobie, a mimo to z jakiegoś powodu radośnie spędzała dni w Nantucket z Hollisem i jego młodszym bratem Hayesem. Ich siostra Harper była za mała, by uczestniczyć w tych szalonych przygodach, nie miał jednak wątpliwości, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, cała czwórka miałaby co wspominać.

Niestety, nic nie potoczyło się inaczej i dobrze by było o tym pamiętać. Wydawało mu się, że na wzmiankę o rodzinie wyczuł w Emily pewien smutek. A może po prostu chciała, żeby zostawił ją w spokoju? Przecież nie znał obecnej Emily. Nie da się tak zwyczajnie zacząć od miejsca, w którym się rozstali. Dzielił ich kawał życia.

– Nie chciałabym przeszkadzać. – Odchrząknęła. – Mogę prosić o szklankę wody?

– No jasne.

Wyjął z lodówki butelkę. Podał ją Emily, zanim jednak wypuścił ją z rąk, sprowokował ją do spojrzenia mu w oczy.

– Poza tym ty nigdy nie przeszkadzasz.

Spuściła wzrok, biorąc od niego wodę i uroczo się rumieniąc. Przypomniał sobie, że Emily nie jest taka jak dziewczyny, które jeździły wszędzie za drużyną, ani jak te, które poznawał w barach po meczu. Takimi kobietami znudził się dawno temu, ale zawsze potrafił je zdobywać. Jeśli nie będzie się pilnował, powieli tamten schemat, a wtedy Emily Ackerman utrze mu nosa szybciej niż najszybsza niespodziewana piłka.

Będą przyjaciółmi. To najmańdrzejsze wyjście dla wszystkich.

Zresztą fakt, że Emily nie ma dzieci, nie oznacza, że nie jest z kimś związana... a nawet zameżna.

Zerknął ukradkiem na jej pusty palec serdeczny.

A może jednak nie...

Gwałtownie otworzyły się frontowe drzwi, a Tilly zaczęła szczekać. Wszedł Hayes z dwiema torbami w rękach, które rzucił w progu, by przywitać się z psem.

– O rety – szepnęła Emily. – Czy to Hayes?

– W życiu nie uwierzy, że tu jesteś.

Hollis podszedł do brata, którego brano niegdyś za jego bliźniaka. Teraz nikt nie popełniłby tego błędu. Jasne w dzieciństwie włosy Hayesa pociemniały, był niższy od Hollisa o kilka ładnych centymetrów, za to nieco bardziej umięśniony. Hollis zanotował sobie w pamięci, że musi powrócić do ćwiczeń. Jego kariera sportowa co prawda się skończyła, ale to nie znaczy, że ma sobie odpuszczać.

– Bracie – powiedział Hayes, przyciągając Hollisa w męskim uścisku. – Jestem tu pierwszy?

– Jest jeszcze JoJo. No i Tilly.

Spojrzenie Hayesa powędrowało w głąb kuchni, gdzie siedziała Emily i przyglądała się braciom. Wydawało się, że lada chwila eksploduje.

– Kim jest ta piękność? – zapytał półszepsem Hayes.

Hollis zrobił kilka kroków w stronę kuchni.

– Hayes, pamiętasz Emily z sąsiedniego domu?

Hayes wybałuszyl oczy.

– Emily?

Wstała, gdy Hayes ruszył ku niej z otwartymi ramionami. Serdecznie ją wyściskał, a Hollisa naszła refleksja, jakie to dziwne, że Emily, z którą znali się kiedyś jak łyse konie, zupełnie nie wiedziała o zasługach Hayesa na polu filantropii. Nie wiedziała, że Harper należy do czołówki biegaczek. Nie

wiedziała nic o żadnym z nich, a oni nie wiedzieli nic o niej.

Wciąż pamiętał, jak biegł za samochodem na sam koniec podjazdu, gdy dziadkowie wywozili ją z wyspy. Kiedy dowiedział się o wypadku, pojechał do szpitala, ale go nie wpuszczono. Powiedziano mu, że jest za młody i nie należy do rodziny.

A przecież był jak rodzina, prawda? Przynajmniej tak się czuł. Zawsze uważał Emily za członka rodziny.

I zastanawiał się, czy to uczucie jeszcze kiedyś powróci.

– Hayes, nie wierzę, że to ty. – Emily uwolniła się z jego objęć i mu się przyglądała. – Dorosły mężczyzna.

– Lepiej w to uwierz, młoda damo. – Hayes nadal trzymał ją za ręce. Hollis był tego boleśnie świadomy. – Co ty tutaj robisz? Nie widziałem cię całe wieki.

– Za długo – przyznała.

Hayes wreszcie (wreszcie!) wypuścił jej dłonie i stanął po drugiej stronie kuchennej wyspy, by dosięgnąć miski z winogronami. Wrzucił owoc do ust i się uśmiechnął. – Nawiasem mówiąc, wyglądasz niezmiernie.

Hayes był okropnym flirciarzem. Hollis w zasadzie zazdrościł bratu łatwości w kontaktach z ludźmi. Ta cecha nie była im wspólna. Hollis urzekał ludzi w zupełnie inny sposób.

– Dzięki, Hayes – odparła z uśmiechem.

– Mieszkasz obok? – zapytał.

Skinęła głową.

– Dom wygląda na ciut zapuszczony. Możemy pomóc ci doprowadzić go do porządku.

Emily zerknęła na Hollisa.

– Myślę, że to grubsza robota. Muszę kogoś wynająć.

– W każdym razie oferujemy nasze usługi – rzekł Hayes. – Gdybyś zmieniła zdanie.

Hollis milcząco pokiwał głową, jakby nie potrafił znaleźć miłych słów.

– Dziękuję. – Powiedziała to cicho, a on momentalnie zauważył, że jej spojrzenie zawiera w sobie cały wachlarz emocji: ból, krzywdę, gniew i tak wiele innych odczuć, które pragnął poznać.

Jolie zeszła na dół w chwili, gdy drzwi otworzyły się ponownie i do środka weszli rodzice Hollisa. Mama, ubrana w lekkie spodnie z białego lnu i różową bluzkę koszulową, wyglądała jak rodowita mieszkanka Nantucket. Tato miał na sobie kraciate szorty i żółtą koszulkę polo. Na łysiejącą głowę wcisnął daszek przeciwsłoneczny.

– JoJo!

Jolie przywarła do babci tak mocno, jakby wpasowała się we wnękę w kształcie swojego ciała. Hollis miał nadzieję, że jego grymas przeszedł niezauważony. Czasem wciąż trudno było mu patrzeć, jak wszyscy z taką łatwością dogadują się z jego córką, podczas gdy on walczył o najdrobniejszy nawet kontakt.

Zerknął na Emily i zauważył, że jej spojrzenie powędrowało w jego stronę. Czyżby widziała ten wstyd w jego oczach?

– Cześć, babciu Nan – powiedziała Jolie z uśmiechem.

Tato Hollisa postawił walizki obok toreb Hayesa i rozpostarł ramiona przed jedyną wnuczką.

– Dobrze cię widzieć, dzieciaku. Mam nadzieję, że jesteś gotowa na lato w Nantucket.

Jolie się odsunęła.

– Nie ma tu Internetu.

Dziadek westchnął z udawanym oburzeniem.

– Hollis, jak mogłeś ją tu przywieźć w takich warunkach?

Oczy Jolie się rozjaśniły. Biedne dziecko nie wyłapało sarkazmu.

– Czy to znaczy, że będzie wi-fi?

Tato uszczypnął ją w nos.

– Nigdy w życiu.

Jolie się naburmuszyła, a wtedy mama Hollisa wkroczyła do akcji, chcąc pocieszyć wnuczkę.

– Będziesz taka zajęta, że nawet nie zauważysz braku Internetu. Będziemy urządzać pikniki na



plaży, piec ciastka, kąpać się w oceanie i...

– Łowić ryby i pływać łódką, i wiem, wiem, wiem. Tato już mi wszystko opowiedział. – Jolie prychnęła i klapnęła na sofę w pokoju. Tilly natychmiast wskoczyła obok niej.

– Tilly. – Głos taty brzmiał surowo. – Złaż z sofy!

Pies zastrzygł uszami, przekręcił głowę i patrzył tak, jakby nie rozumiał. Hollis doskonale wiedział, że Tilly rozumie.

– No dobrze, siedź tu sobie, ty wielki kundlu. – Tato potarł psa za uszy, a następnie odwrócił się w stronę kuchni. – A tu co się dzieje?

– Och, ale z nas gbury – bąknęła mama, spiesząc do pozostałych. – Nie wiedziałam, że masz gościa. Hayes, to twoja koleżanka?

– Mamo, to jest Emily – wyjaśnił Hollis, zauważając, że uszy dziewczyny upodobniają się barwą do jej jaskrawoczerwonych policzków. – Emily Ackerman.

Rodzice stali z oniemiałym wyrazem twarzy, który zupełnie do nich nie pasował.

– Emily... – Słowo to wyrwało się matce szeptem, jakby bez jej pozwolenia. Miała taką minę, jakby katapultowano ją w przeszłość. Hollis zareagował podobnie, gdy zobaczył przyjaciółkę na promie.

W zasadzie nadal nie był pewien, czy się z tego uczucia otrząsnął.

– Emily! – Tato podszedł do niej i zamknął ją w mocnym uścisku, tak mocnym, że Hollis się zaniepokoił, czy przypadkiem jej nie zmiażdży. Następnie cofnął się o krok i spojrzał jej prosto w oczy. – Wyglądasz absolutnie zjawiskowo, młoda damo, i jesteś podobna do swojej mamy jak dwie krople wody. – Choć Emily zrzędała mina, zdołała wykrztusić ciche „dziękuję”. Tato wziął tę odpowiedź za przejaw nieśmiałości i ciągnął: – Nie wiedzieliśmy, czy jeszcze kiedyś cię zobaczymy. Co sprowadza cię na wyspę?

Emily przestąpiła z nogi na nogę. Hollis miał ochotę wyprowadzić ją na świeże powietrze, by głęboko odetchnęła, a może także strzeliła sobie małą whisky, choć odnosił wrażenie, że nie jest miłośniczką tego trunku. Tak czy inaczej, widział, że potrzeba jej czegoś, co zdjęłoby z niej napięcie.

– Umarł mój dziadek – odparła.

Wszyscy ucichli. Hollis o tym nie wiedział. Pamiętał Alana i Elizę Ackermanów w roli królewskiej pary Nantucket. Po śmierci ich córki cała wyspa była w szoku. Nagle wszyscy wpadli w popłoch. Skoro coś tak strasznego przytrafiło się Ackermanom, mogło przytrafić się każdemu. Nawet najzamożniejsi i najbardziej znaczący członkowie społeczności nie mieli taryfy ulgowej.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł tato. – Porządny był z niego człowiek.

Hollis uważał, że generalnie to prawda, ale z drugiej strony uważał dziadka Emily za drania, ponieważ tak znienacka wywiózł ją z wyspy.

– Przyjechałaś na lato? – zapytała mama.

– Przekazał mi dom – wyjaśniła Emily.

– Ho, ho... – Hayes wrzucił sobie do ust kolejne winogrono. – Pierwszorządna lokalizacja. Można zbić na tym domu fortunę.

Emily napotkała wzrok Hollisa. Pomimo upływu tak wielu lat wiedział, że wcale jej nie zależy na zбиciu fortuny. Pragnęła czegoś, czego mieć nie mogła – powrotu do stanu rzeczy sprzed tamtej tragicznej nocy.

Znał to uczucie. Przez cały ostatni rok żałował, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Czas jest pod tym względem dziwny. Pędzi naprzód, czy tego chcemy, czy nie.

– Zamierzasz go sprzedać? – Hayes odziedziczył tę niesforność po ojcu. Zadawał każde pytanie, jakie przyszło mu do głowy, bez względu na to, czy była to jego sprawa, czy nie.

– Zdecydowanie – przyznała Emily. – Ale dom wymaga mnóstwa pracy.

Zdecydowanie? Dlaczego jest taka pragmatyczna? Czy brała w ogóle pod uwagę opcję zatrzymania domu? Przyjeżdżania tu na lato jak w dawnych czasach?

– A w jakim stanie jest wnętrze? – zapytał Hollis.

Odwróciła wzrok.

– Nie wiem.

– Nie byłaś w środku? – Hayes aż przestał rozgryzać winogrono.

– Jeszcze nie – rzekła z niepewnym uśmiechem. – Wpadłam na plaży na Jolie i Hollisa dosłownie kilka minut po przyjeździe, Hollis od razu mnie tu zaprosił, więc nie zdążyłam się rozejrzeć.

W pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza.

– Możemy już jeść? – zawołała z sofy Jolie.

Wzrok Hollisa zatrzymał się na twarzy Emily na kilka długich sekund. Choć nie był przekonany, że wszystko z nią w porządku, wiedział, że to nie jest temat, który mogliby poruszyć teraz, przy wszystkich. Zresztą i tak nie miał pomysłu, jak poprowadzić taką rozmowę, nawet gdyby znaleźli się tylko we dwoje.

– Już biorę się za burgery – odkrzyknął, przerywając kontakt wzrokowy z Emily.

– Racja. – Mama przeszła na drugą stronę wyspy i umyła ręce. – Zabieramy się do pracy. Emily, pomóż mi kroić warzywa, a przy okazji opowiesz wszystkie nowinki. Widzieliśmy cię w kilku serialach. No i oczywiście powtarzali w telewizji odcinki *Dottie's World*. Czy ludzie wciąż cię rozpoznają z tamtego serialu?

Hollis spojrzał ukradkiem na swojego gościa. Wyraz skrępowania na jej twarzy ustąpił miejsca takiemu samemu uroczemu uśmiechowi, jaki zapamiętał z dawnych lat, mimo że zaszła w niej jakaś zmiana.

Dziwne, jak bardzo można za czymś tęsknić i nawet o tym nie wiedzieć, dopóki to coś nie pojawi się w życiu ponownie.



*Kiedy czujesz się wyobcowana...*

*Kochana Emily,*

*nie będę kłamać – nigdy nie czułam, że pasuję do Alana i Elizy. Pewnego dnia się przekonasz, że mają bardzo specyficzne poglądy na życie. Nie wiem, jak to się stało, że ja mam zupełnie inne, ale jest jak jest. Nie uważam, że coś mi się należy. Nie uważam, że ludzie dzielą się na lepszych lub gorszych zależnie od tego, jakie noszą ubrania albo jakim jeżdżą samochodem. Dlatego nie czuję, że tu jest moje miejsce.*

*Przez długi czas naprawdę się tym przejmowałam. Próbowalam wpasować się w świat, którego byłam częścią, ale zwykle odstawałam od reszty. Pasowałam tam jak kwiatek do kożucha.*

*Co prawda zajęło mi to sporo czasu, ale wreszcie doszłam z tym do ładu. Zrozumiałam, kim jestem, pogodziłam się z tym, jaka jestem, i nieważne, czy spełniam czyjeś oczekiwania, czy nie.*

*Mam nadzieję, że jesteś na tyle pewna swoich racji, że kiedy poczujesz, że to nie Twoja bajka, uświadomisz sobie, że nie ma w tym nic złego, że nie musisz wszędzie pasować, że nie każdy, kogo spotkasz na swojej drodze, będzie natychmiast Cię rozumiał, szanował lub podziwiał.*

*Ten stan braku przynależności może dać Ci w kość. Możesz poczuć się samotna, lekko zagubiona. Mam nadzieję, że znajdziesz miejsce, gdzie będą Cię kochać i akceptować, ale nawet wtedy, kiedy nie będziesz czuła miłości i akceptacji, pamiętaj, że tak naprawdę masz jedno i drugie. Że kocham Cię i akceptuję nie tylko ja, bo Bóg też. Tak, mam zamiar o tym mówić, jako Twoja mama będę opowiadać Ci o Jezusie.*

*Możesz przewracać oczami, proszę bardzo.*

*Ale taka jest prawda. Przekonałam się na własnej skórze.*

*Twoi dziadkowie są ludźmi tradycyjnymi i o ile doceniam tradycję, w sumie uważam, że jest piękna, najlepiej czuję bliskość Boga wtedy, gdy nie ograniczają mnie cztery ściany i sufit. Na łące albo na plaży. I choć kocham Kościół i widzę wiele powodów, by chodzić na nabożeństwo co niedzielę, nie uważam, że trzeba zostawiać Boga w kościelnej ławce.*

*Osobiście widzę to tak: Bóg jest wszędzie, co oznacza, że znajdziesz Go, gdziekolwiek jesteś (mam zresztą taką szczerą nadzieję). To, co chciałabym powiedzieć Ci o Bogu, gdybym z jakiegoś powodu nie mogła zrobić tego osobiście, to to, że jest gotów na spotkanie z Tobą, kiedy tylko i Ty będziesz gotowa. Bez względu na wszystko.*

*Pamiętaj, że popełniłam w swoim życiu kilka poważnych błędów, a mimo to wciąż czuję obecność Boga u wybrzeża Nantucket albo choćby w uśmiechu na Twojej twarzy. Żeby Go znaleźć, nie trzeba rozwiązywać łamigłówek, zagadek ani szukać wyjścia z labiryntu. On jest tuż obok, wyciąga do Ciebie rękę, kiedy tylko jesteś na to gotowa.*

*I warto ją przyjąć, Em. Przysięgam. Na tym świecie zawiedzie Cię każdy, tylko nie On.*

*Zawsze, gdy dopadnie Cię samotność, On będzie przy Tobie. Bardzo Cię kocha. Bardziej niż ja, choć trudno mi w to uwierzyć, ponieważ kocham Cię nad życie. Ty zawsze będziesz moja, Emily Elizabeth, i zawsze będziesz należeć do Niego. Bez względu na wszystko.*

*Ściskam!*

*Mama*

## Rozdział 6

Weekend Dnia Pamięci 1989

Isabelle Ackerman minęła ganek i pobiegła prosto za dom. Po drodze rozebrała się do kostiumu kąpielowego, rzucając na piasek bluzkę i szorty obok sandałów i czapeczki.

Mozolnie brnąc przez trzecią klasę, marzyła o kąpeli w oceanie i już nie mogła się doczekać powrotu na wyspę. Tylko tam czuła się jak prawdziwa poszukiwaczka przygód. Przy skłonności rodziców do zasad i porządku Isabelle odnosiła czasem wrażenie, że krępuje ją kaftan bezpieczeństwa albo że walczy o porządny, głęboki oddech.

W Nantucket to wszystko zniknęło.

Delikatnie rozluźniali kontrolę, a Isabelle zaczynała czuć, że żyje.

W oddali majaczyły trudy kolejnego roku szkolnego, ona zaś odpychała od siebie myśl o dorastaniu i dalszej edukacji, by cieszyć się niebem nad Nantucket, wyprawami do latarni morskiej Brant Point, objeżdżaniem całej wyspy na rowerze, leniwymi dniami nad oceanem oraz wszelkimi innymi przygodami, które lato miało w zanadrzu.

Wskoczyła w fale, zapamiętując tę chwilę – jakże za nią tęskniła od wyjazdu stąd zeszłego lata.

Woda skrzyła się w słońcu powlekającym ocean diamentowym blaskiem. Isabelle odpływała coraz dalej od brzegu, wyobrażając sobie, że jest w Australii albo w Tajlandii, albo na jakiejś odległej wyspie idealnie nadającej się do eksploracji.

Sporządziła już w głowie mapę wszystkich plaż, które planowała odwiedzić po ukończeniu liceum, lecz była niemal pewna, że rodzice będą mieli coś do powiedzenia w kwestii jej rocznej przerwy w nauce. Mianowicie: nie pozwalamy na przerwanie nauki.

Jak błogo byłoby budzić się co rano na plaży. Zwiedzać różne kraje, chłonać odmienne kultury. Jadać lokalne potrawy i obserwować inny sposób życia. To marzenie zachowywała tylko dla siebie. Zwierzenie się z niego komukolwiek wydawało się zbyt ryzykowne, nie chciała zapeszać.

Siedziała w wodzie wystarczająco długo, by nasycić duszę, lecz nie na tyle, żeby dostać burę z powodu niestawienia się na lunchu. Płynęła już do brzegu, gdy z zarośli na wydmach wyłoniło się trzech chłopców. Mieli na sobie kąpielówki, a pod pachami deski surfingowe.

Im bliżej była plaży, tym wyraźniej ich widziała i właśnie wtedy dostrzegła, że jeden z nich trzyma w ręku jej ubrania.

Gdyby zjawiała się bez nich w domu, matka dostałaby napadu szału.

Dotarła do brzegu, świadoma wlepionych w nią trzech par oczu, gdy wynurzała się z wody. Żadnego z nich nigdy tu nie widziała, nie pochodzili stąd, co oznaczało, że prawdopodobnie przyjechali tu do wakacyjnej pracy w klubie golfowym albo którejś z restauracji. To z kolei znaczyło, że prawdopodobnie są studentami, co w mgnieniu oka sprawiło, że stali się bardziej atrakcyjni niż groźni.

– To twoje?

Ośloniła oczy od słońca, starając się nie wyglądać jak głupawa licealistka ani jak spanikowana siksa, która się boi, że chłopak zrobi jej kawał i zwędzi ubranie.

– Tak – odparła. – Chyba za bardzo się spieszyłam do kąpeli w oceanie.

– Chodź, JD – rzucił inny chłopak. – Mamy tylko godzinę.

Pędem pobiegli do wody, wskakując na deski surfingowe, ale ten, który trzymał jej ubrania, JD, nie poszedł w ich ślady.

– Mieszkasz tu? – zapytał.

– Tylko latem. Tam jest nasz dom.

Obejrzał się przez ramię, lecz szybko przeniósł wzrok z powrotem na nią.

– Ja zatrzymałem się u babci, ale jej dom nie stoi przy plaży tak jak twój.

Kiwnęła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Pracuję w klubie. Bywasz tam?

– Ja nie. Mój tato.

– No to może go zobaczę.

*Ale on ciebie nie zobaczy.* Jej rodzice bywali czasem okropnie pretensjonalni, nie znosiła tego.

Odkąd zeszłego lata zauważyła to ich zachowanie po raz pierwszy, działało jej na nerwy. Drażniło ją, że uważają się za lepszych od innych tylko dlatego, że mają pieniądze. Było to powodem kilku ich kłótni w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy.

– Jestem JD – przedstawił się.

– Słyszałam.

Przyglądziła mokre włosy, zdając sobie sprawę, że podczas gdy na filmach wynurzające się z morza aktorki prezentowały się kusząco i ponętnie, ona zapewne wyglądała pokracznie, nie mówiąc już o kołtunie na głowie.

– Powiesz mi, jak masz na imię?

Wyszczrzyła zęby.

– Skoro tak ci zależy, będziesz musiał dowiedzieć się sam.

Roześmiał się.

– Mówisz?

Wyciągnęła rękę.

– Moje ubrania?

Zmrużył oczy, jak gdyby podejmował decyzję, czy je oddać, czy nie.

– Zaproponowałbym handel wymienny: ciuchy za imię, ale mam lepszy pomysł.

– O, naprawdę? – Tym razem flirtowała. Widziała wiele razy, jak to robią jej koleżanki, ale szczerze mówiąc, nigdy nie poznała chłopaka wartego flirtu. Ci ze szkoły wydawali się okropnymi szczeniakami, a choć Isabelle nie miała o sobie zbyt wysokiego mniemania, nie zamierzała tracić czasu.

– Ja zgadnę, jak masz na imię, a ty się ze mną umówisz – powiedział z ujmującym tupetem.

Nietrudno mu będzie zgadnąć jej imię – jej rodzice byli tu powszechnie znani – tak więc przystanie na jego propozycję zasadniczo równało się zgodzie na randkę z zupełnie obcym chłopakiem.

Z niesamowicie przystojnym nieznanym. W przeciwieństwie do kolegów JD wyglądał tak, jakby od miesiąca przebywał na słońcu, jego skóra przybrała odcień głębokiego brązu, nieostrzyżone włosy miały barwę dojrzalej pszenicy, słowem: nie musiał się starać, żeby dobrze wyglądać.

W końcu sięgnęła po ubrania i zasłoniła się nimi, tak jakby mogło to pomóc jej nie krępować się nagiego niemal ciała.

– Więc jak? Umowa stoi? – Wyciągnął do niej rękę.

Powoli, jakby z namysłem, uściśniła jego dłoń i skryła uśmiech.

– Stoi.

Przytrzymał jej dłoń przez dobrych kilka sekund i nic nie wskazywało na to, że w ogóle ma zamiar ją wypuścić.

– No to powiedz, lubisz owoce morza, Isabelle? – Miał szelmowską minę.

Isabelle cofnęła dłoń. Patrzyła na niego oskarżycielsko.

– Znasz moich rodziców?

Może wcale nie pracował w klubie, może tylko udawał.

– Nie. Kiedy podnosiłem twoje ubrania, z kieszeni szortów wypadło prawo jazdy.

Z trudem powstrzymała uśmiech.

– Ale umowa to umowa, prawda? Kończę o piątej, przyjdę po ciebie.

Ruszył przed siebie z deską surfingową pod pachą.

– Czeka! – zawołała za nim.

Odwrócił się.

– Spotkajmy się w mieście – powiedziała. – Na plaży Children's?

– Wstydzisz się? Nie chcesz, żeby widziano cię z pracownikiem sezonowym?

– Coś w tym stylu – rzekła z uśmiechem.

– Na razie, Bella.

– Nikt tak na mnie nie mówi! – zawołała, lecz on wchodził już do wody. Wrzaski jego kumpli zagłuszały wszystko.

Nikt nigdy nie nazwał ją Bella, ale uznała, że te oczy i te mięśnie upoważniają go do nazywania jej, jak mu się żywnie podoba.

## Rozdział 7

Emily przysłuchiwała się rodzinnym przekomarzaniom i żartom Hollisa, jego brata, rodziców, a nawet Jolie, którą z dziadkami łączyły bardziej zażyłe relacje niż z własnym ojcem. Co się za tym kryło?

Nan zaprzęgała ją do pracy w kuchni i mimo że z Emily była marna kucharka, cieszyła się z tego włączenia do zajęć. Kroiła warzywa, bagietki, nakładała lód do kubków. Robiła to, w czym córki zwykle pomagały matkom. Od czasu do czasu łapała się na obserwowaniu Nan i zastanawianiu się, czy jest taką matką, jaką stałaby się jej własna mama, gdyby było jej to dane.

Przez większą część kolacji siedziała w milczeniu, starając się poskładać w całość ostatnie osiemnaście lat życia rodziny McGuire'ów i zapomnieć o ostatnich osiemnastu latach własnego.

Dotychczas dowiedziała się, że Hayes jest reportażystą, że niedawno rozstał się z bliską koleżanką, z którą później połączyło go uczucie i którą poznał tutaj, na wyspie, podczas wakacji, kiedy skończył osiemnaście lat. Temat wydawał się drażliwy, toteż szybko go zmienił.

Harper, która miała przyjechać następnego ranka, biegła maratony dla rozrywki. Dla rozrywki! Kto robi takie rzeczy?

Rodzice Hollisa mówili bardzo niewiele o swoim życiu, wywnioskowała w każdym razie, że wciąż są tak samo szczęśliwą parą, jaką byli zawsze. W pewnym momencie zerknęła na nich i zauważyła, że trzymają się za ręce.

Są razem od ponad trzydziestu lat i wciąż trzymają się za ręce?

Jej dziadkowie nie okazywali sobie czułości. Nie okazywali jej także Emily. Nawet po wypadku zachowywali się dość chłodno. To kolejny powód, dla którego Emily niemalże owinęła swoje serce folią bąbelkową i napisała na niej niezmywalnym markerem: „NIE ZBLIŻAĆ SIĘ”.

Nan i Jeffrey McGuire'owie byli całkowitym przeciwieństwem dziadków Emily. Kiedyś uwielbiali peszyć swoje dzieci, całując się pod plażowym parasolem, a czasem późnym wieczorem Emily widziała z okna swojego pokoju, jak tańczą przytuleni w ogrodzie.

Czy i teraz tulą się do siebie w tańcu?

Miała nadzieję, że tak.

Rozmowa płynęła lekko i przyjemnie, każdy z McGuire'ów znajdował sposób, by Emily nie czuła się z niej wyłączona. Zastanawiała się, czy ktoś nauczył ich tej pięknej sztuki zjednywania sobie ludzi, czy wyszali ją z mlekiem matki.

Jeszcze zanim Nan wyjęła z lodówki tort owocowy, Emily czuła się jak ich adoptowane dziecko.

Nie będzie zaprzeczać – to miłe uczucie.

– Czy to z...? – Emily urwała. Ciekła jej ślinka.

– Z cukierni Nantucket Bake Shop – wyjaśnił Hollis. – Mama wysłała mnie tam rano.

Emily zapomniała o tej cukierni. Zapomniała o wielu rzeczach.

– Przez cały czas mówiliśmy my – zauważyła Nan, stawiając deser pośrodku stołu. – Teraz ty opowiedz nam o sobie.

Emily wołała słuchać. Przynajmniej w tym otoczeniu. Przywykła do znajdowania się w centrum uwagi – przyszło jej to naturalnie i może właśnie dlatego tak doskonale odnalazła się w aktorstwie. Udawanie kogoś innego nigdy nie sprawiało jej trudności. Bycie sobą okazywało się znacznie trudniejsze, a ostatnio odeszła jej ochota na udawanie.

– Och... – Emily wypła łyk wody. – No cóż, nie wiem, od czego zacząć.

– Nadal grasz? – zapytała Nan.

– Występowałaś na Broadwayu, zgadza się? – Hayes przypominał Emily golden retrievera, szczęśliwego, energicznego i absolutnie przeuroczego. W porównaniu z nim Hollis był bardziej refleksyjny i nawet w połowie nie tak gadatliwy.

Za to obserwował ją z taką intensywnością, że skręcały się jej od tego wnętrzności.

Jakże łatwo mogłaby zatracić się w jego oczach, gdyby tylko sobie na to pozwoliła, czego z całą pewnością nie robi.

– Grałaś na Broadwayu? – Jolie wytrzeszczyła oczy.

– Tak – przyznała Emily. – We wznowieniu sztuki pod tytułem *Bądźmy poważni na serio*. Prawdopodobnie nigdy o niej nie słyszałaś. – W końcu ilu ludzi znało klasyczne sztuki, które schodzą z afisza raptem po kilku tygodniach od premiery? Zarumieniła się ze wstydu. Nie było to tak imponujące osiągnięcie, jak się wydawało.

– Ja słyszałem – wtrącił Hayes. – Widziałem ją w Londynie.

– Wujek Hayes był wszędzie. – Jolie uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Ale na Broadwayu nie był.

Hayes żartobliwie potargał jej włosy.

– Mam jeszcze czas, JoJo.

– W jakim występowałaś w kostiumie? – Jolie patrzyła na Emily z nowym podziwem. Prawdopodobnie była za młoda, by oglądać *Dottie's World*, dziecięcy serial, który uczynił z Emily gwiazdę na dość krótki, jak się okazało, czas. W oczach Jolie gra w teatrze broadwayowskim była ogromnym osiągnięciem. Emily także chciałaby tak to postrzegać. W rzeczywistości spektakl wydawał się krokiem wstecz po roli w przebojowym serialu – tak przynajmniej twierdziły plotkarskie brukowce.

Emily z namysłem odłożyła widelec, powracając myślami do dziewięciu tygodni, przez które sztuka utrzymywała się na afiszu.

– Miałam przepiękny kostium. Suknię z gorsetem. Była niezwykle misterna, nigdy nie widziałam niczego podobnego. Powinna trafić do jakiegoś muzeum.

– Tuż obok twojego kostiumu Dottie – zażartował Hayes.

Jolie podniosła wzrok znad talerza.

– Kto to jest Dottie?

Emily zbyła pytanie machnięciem ręki.

– Nikt.

– No przestań, Em – droczył się Hayes z przeciwnej strony stołu. – Nie bądź taka skromna. – Zerwał się z miejsca. – Co to była za figura? – Stanął z jedną pięścią na biodrze, a drugą wyciągniętą przed siebie, naśladując aż nazbyt dobrze znaną „pozę Dottie”.

Pozostali zachichotali, a Emily ukryła twarz w dłoniach.

– Emily była dziecięcą gwiazdą – tłumaczyła Nan. – I to wielką.

– Szlachetną Dottie, słodką dziewczyną z sąsiedztwa, która na swoim podwórku miała tajemniczy świat – powiedział Hayes.

– To był cudowny serial – rzekła Nan. – Ile miałaś lat, kiedy się zaczął?

– Dziesięć. Miałam wtedy dziesięć lat.

– Ludzie na wyspie zaczepiali ją, prosząc o autograf. – Hayes wrócił na miejsce.

– Straszna żenada – wyznała Emily.

– Nie ma się czego wstydzić – wtrącił się Jeffrey. – To wielkie osiągnięcie i wiem, że mama była z ciebie bardzo dumna.

Emily poruszyła się nerwowo. Skąd on to wiedział? Powiedział to z taką pewnością.

Czy matka byłaby dumna z miernych recenzji jej broadwayowskiego debiutu albo z krytyki reżysera, że gra, jakby miała blokadę twórczą, że ma z czego czerpać i gdyby to zrobiła, mogłaby być naprawdę znakomita?

– Twojej grze, Emily, brakuje autentyzmu – powiedział. – Coś cię hamuje. Jeśli chcesz, żeby ludzie widzieli w tobie kogoś więcej niż Szlachetną Dottie, musisz dać im powód.

Te słowa bolały. I miała prawo je odrzucić. Później wybrała pracę w drodze – grała w nowym objazdowym musicalu pod tytułem *Cool Rider*, który zwinął się po trzech miesiącach. Po tym tournée podróżowała do Tokio, Londynu, odbyła rejs statkiem, a w końcu wróciła do Nowego Jorku, gdzie spędziła ostatnie dwanaście miesięcy, z czego sześć poświęciła całkowicie spektaklowi, za sprawą którego znalazła się ponownie w centrum uwagi krytyków – nie ciesząc się przychylnością.

*Występ Ackerman w Bądźmy poważni na serio powinien wystarczająco zniechęcić dziecięcą gwiazdę do nowojorskiej sceny teatralnej, ale oto pojawia się znowu, tym razem we własnej produkcji,*

*po obejrzeniu której wielu zastanawiało się, dlaczego Dottie nie mogła przenieść się do jakiegoś innego świata zamiast wypełniać nasz swoimi jałowymi bredniami. Ta aktorka powinna pozostać wierna płytkim serialom telewizyjnym dla dzieci, a prawdziwy teatr oddać profesjonalistom.*

– Masz jakieś zdjęcia? – Jolie odłożyła widelec i skupiła na Emily swoją niepodzielną uwagę. – Z tej sztuki, w której grałaś?

– Pewnie gdzieś mam. Przechowywanie pamiątek nie jest moją mocną stroną.

Emily chlubiła się brakiem sentymentalizmu.

– Broadway... – westchnęła Jolie. – Niesamowite. Marzę o trafieniu kiedyś na Broadway.

– Mówisz poważnie? – Hollis przełknął kęs i spojrzał na córkę.

– Grałam już w trzech przedstawieniach. – Ton Jolie sugerował, że powinien o tym wiedzieć.

Jak mógł nie wiedzieć?

– No, no, cóż za bogaty życiorys. – Emily miała nadzieję, że uda się jej rozluźnić atmosferę.

Widziała po minie Hollisa, że czuł się zakłopotany.

– Opowiesz mi kiedyś o Broadwayu? – poprosiła Jolie, nie odrywając uwagi od Emily. – I o innych spektaklach?

Miło powrócić wspomnieniami do drobnych sukcesów, które odniosła po zakończeniu *Dottie's World*, choć były zaprawione goryczą. Zwłaszcza teraz, gdy jej życie zamieniło się w jedną wielką katastrofę.

– Jasne – obiecała Emily.

– Próbowałam namówić mamę, żeby wysłała mnie w tym miesiącu na obóz teatralny. – Jolie grzebała w talerzu. – Nie zgodziła się.

Emily zerknęła ukradkiem na Hollisa i dostrzegła świeżą ranę, którą zadały mu słowa córki.

Odchrząknęła.

– Wiesz, gdzie stawiałam pierwsze kroki?

Jolie utkwiała w niej zaciekawione spojrzenie.

– Właśnie tutaj, w ośrodku kultury w centrum miasta.

Dziewczyna się wyprostowała.

– Ale tak na serio?

– Każdego lata wystawialiśmy duży spektakl. To tam po raz pierwszy zakochałam się w scenie. Wstąpiłam dziś po drodze do ośrodka kultury. Mam nadzieję, że i w tym roku wpiszę coś do harmonogramu.

– Naprawdę? – W oczach Jolie rozblęśla ekscytacja.

– Naprawdę – odparła Emily, prosząc w duchu, by nie okazało się, że się zagalopowała.

W gruncie rzeczy nie wiedziała, czy Gladys zastosuje się do jej sugestii – Emily nie była ani trochę tak groźna czy wpływowa jak jej dziadek. – Jeśli dasz tej wyspie szansę, być może odkryjesz, że nie ma na świecie lepszego miejsca na spędzenie wakacji.

Jolie się do niej uśmiechnęła i było to urocze, ale to wyraz wdzięczności na twarzy Hollisa najbardziej chwycił ją za serce.

– Od wielu lat nie organizowali tu przedstawienia – rzekła Nan.

Emily starała się nie przejmować tym, że nikt nie zadbał o kontynuowanie tradycji dziecięcych przedstawień.

*Kiedy trafisz na coś, o co warto walczyć, walcz.*

W myślach przetoczyły się słowa mamy. Czy to jest sprawa, o którą warto się bić? Dziecięcy spektakl? Czy nie powinna raczej maszerować na jakiejś politycznej demonstracji albo robić coś... ważniejszego?

Może i powinna, jednak w starych dobrych czasach te przedstawienia wiele dla ludzi znaczyły. Wiadomo, nie miały wpływu na poziomie globalnym, ale lokalnie były ważne. Emily nigdy nie zapomni dnia, kiedy osiągnęła wreszcie odpowiedni wiek, żeby w nich uczestniczyć. Przez cztery lata z rzędu praktycznie żyła na tej scenie – i uwielbiała każdą sekundę tego życia.



– Miejmy nadzieję, że w tym roku je przywrócą – powiedziała. – Jeśli choć trochę będą przypominać tamte z mojego dzieciństwa, będziesz zachwycona, Jolie.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła.

– No, jestem skonany – oznajmił Jeffrey. – Idę spać. A wy, dzieci, urzędujcie tu, jak długo wam się podoba. – Wstał, zaniósł talerz do zlewu, opłukał go i włożył do zmywarki.

Przez te wszystkie lata wspólnego mieszkania z babcią i dziadkiem ani razu nie widziała, by mężczyzna zaniósł do zlewu naczynia. To zachowanie wzbudziło w niej wielką sympatię do pana McGuire’a, choćby przez wzgląd na Nan.

Ale nie tylko.

– Też powinnam się zbierać – oznajmiła Emily. Poszła za przykładem Jeffrey’a i sprzątnęła swój talerz.

– Nie ma po co się spieszyć – rzekła Nan.

Przeciąganie nieuniknionego wydawało się trochę głupie. Mimo że bała się powrotu do domu. Bała się otwarcia drzwi. Bała się zapalenia światła i ciszy zamiast śmiechu matki wypełniającego puste korytarze.

– Naprawdę powinnam sprawdzić, co tam się dzieje. Bardzo dziękuję za kolację.

– No cóż – powiedziała Nan – lepiej wpadnij też jutro wieczorem. Przyjedzie Harper, zechce się przywitać. Jak w dawnych dobrych czasach.

Choć Emily bardzo pragnęła, żeby tak było, wiedziała, że prawda wygląda inaczej. W ciągu ostatnich osiemnastu lat nic nie było takie jak dawniej.

– Odprowadzę cię. – Hollis wstał.

– Nie trzeba – odparła Emily, a tak naprawdę aż zadrżała na myśl o spędzeniu kilku minut sam na sam z tym mężczyzną – i bynajmniej nie było to nieprzyjemne.

## Rozdział 8

Emily wyszła na ganek, Hollis tuż za nią. Wieczór był ciepły, ale nie upalny, tak jakby lato ociągało się z nadejściem. Głęboko odetchnęła, żałując, że nie może spowolnić biegu czasu. Sięgnęła do kieszeni i obróciła w dłoni klucz do domu przy plaży. Stary letniskowy domek pełen wspomnień wabił ją, rzucał wyzwanie, namawiał do otwarcia drzwi. Do wpuszczenia światła.

– Było tak strasznie, jak mi się wydaje? – zapytał Hollis, przerywając milczenie.

Spojrzała na niego.

– Nie, właściwie to wręcz cudownie. Od dawna nie jadłam kolacji w takim gronie. – Posiłki z dziadkami były o wiele bardziej... formalne.

– Na Broadwayu nie było rodzinnych kolacji?

Roześmiała się w nadziei, że zatuszuje w ten sposób smutek. *Żadnych rodzinnych kolacji. Nigdzie.*

Kiedy przechodzili przez ogródek za domem, słyszeli rozbijające się na brzegu fale oceanu.

– Nie miałbyś nic przeciwko, żebyśmy poszli okrężną drogą? – zapytała. – Nie spieszy mi się do powrotu.

– Nie ma sprawy. – Hollis skręcił w stronę oceanu i wkrótce znaleźli się na plaży. Ściągnęła buty i czuła, jak chłodny piasek przeciska się między palcami. – Dziękuję za to, co powiedziałaś. O Nantucket. Jolie niełatwo przekonać.

Emily patrzyła prosto przed siebie.

– Tak myślałam. Zresztą powiedziałam to szczerze. Właśnie tamte przedstawienia sprawiły, że jestem aktorką.

– Tamte przedstawienia? A nie *Dottie's World*?

Roześmiała się.

– Nie. Na *Dottie's World* nie widziałam mamy ani dziadków w pierwszym rzędzie. Natomiast siedzieli tam na każdym spektaklu w ośrodku kultury. Najbardziej lubiłam ten moment, kiedy wywoływano nas przed kurtynę, ponieważ moja rodzina zrywała się wtedy z miejsc i miałam owacje na stojąco. Wiedziałam, że rozpiera ich duma. – Emily zachowała to wspomnienie na ciężkie czasy.

Nigdy nie zapomni tego uczucia, że przyszli tam dla niej. W kolejnym roku dziadek przejął ośrodek kultury i przekazał na jego działalność tyle pieniędzy, że na jego cześć nadano ośrodkowi jego imię.

Zrobił to także dla niej – teraz zdała sobie z tego sprawę. Żeby miała w Nantucket coś, do czego każdego lata powracałaby z radością, jak gdyby nie było tu wystarczająco dużo innych cudowności.

Myślała, że będzie grać w miejscowych przedstawieniach przez wiele, wiele lat, jednak sprawy potoczyły się inaczej...

Zapadło między nimi milczenie. Emily odchrząknęła, próbując wypełnić ciszę. Nie zamierzała uderzać w tak poważny ton – nie zamierzała nawet przywoływać tych wspomnień.

Jednak to one okazały się najważniejsze. To przez nie związała się ze sceną na długie lata. Czy właśnie tak nie było?

– Nie tęskniłaś za tym miejscem?

Wzruszyła ramionami, chociaż wątpiła, czy dostrzegł to w ciemności.

– Może trochę.

– Myślę, że Nantucket za tobą tęskniło.

Niedobrze... że czuła się przy nim w taki sposób. Tak jakby te niepożądane wspomnienia nie były mu obojętne. Jakby ona sama była kimś wyjątkowym, jedynym na świecie. Nie chciała się tak czuć, nie dlatego, że nie było to miłe, lecz dlatego, że nieprawdziwe. Nie mogło być prawdą i ona o tym wiedziała.

Dlaczego więc pozwalała tym uczuciom ogrzewać ją od stóp do głów?

– Nikt z twojej rodziny nie wspomniął o baseballu – powiedziała. W zasadzie Hollis jako jedyny uniknął streszczenia swojego życia. Czyżby jego rodzice wyszli z założenia, że Emily wie więcej, niż w istocie wiedziała? Nie miała nawet pojęcia o istnieniu jego córki. Na stronach internetowych pisano

o nim: „słynie ze skrytości”. Teraz być może zrozumiała dlaczego. Dostrzegła w jego oczach cień wstydu, kiedy mówił, że z mamą Jolie nigdy nie byli małżeństwem, co najmniej jakby ten fakt mógł ukształtować jej opinię na jego temat.

Nigdy w życiu. Ale on tego nie wiedział. Nie znał jej.

– Wiedzą, co robią. – Hollis schylił się po kamyk i cisnął go ukośnie do wody.

– Drażliwy temat? – Zwolniła kroku.

– Można by tak rzec.

Szli w milczeniu przez plażę, a w powietrzu unosiły się wspomnienia bardziej beztrudnych czasów. Ileż to wakacji spędzili razem w tym miejscu, tylko że wtedy Emily nawet sobie nie wyobrażała, że z uroczego małego Hollisa wyrośnie kiedyś... cóż... taki Hollis McGuire.

– A więc jesteś sławny. – Uśmiechnęła się figlarnie.

– Nie, jestem zwykłym bejsbolistą.

Szturchnęła go ramieniem.

– Niech ci będzie, skromnisiu.

– No wiesz, to nie ja grałem na Broadwayu – odparł, odwzajemniając szturchnięcie.

– Nie, masz za to córkę.

Zamilkł.

– Tak, mam – odezwał się wreszcie.

– Jaka kryje się za tym historia? – Wiedziała, że nie ma prawa pytać go o osobiste sprawy, ale po co udawać, że jej nie interesują? Po spędzeniu wspólnego wieczoru mogli wyjść poza wymianę uprzejmości – a ona chciała wiedzieć. Zresztą takt nigdy nie należał do jej mocnych stron. Hollis był tego świadom podobnie jak inni.

– W sumie żadna – powiedział. – Byłem młody i głupi, zarabiałem kupę kasy. Dokonałem kilku kiepskich wyborów. Zapomniałem, kim jestem.

– Zapomniałeś, kim jesteś?

– Tak. Nie jestem typem faceta, który idzie do łóżka ze świeżo poznaną dziewczyną.

Zapadło odrobinę niezręczne milczenie.

– A więc jak jest z tobą i mamą Jolie?

– Przyjaźnimy się – odparł, ucinając temat.

– A Jolie?

– Co: Jolie?

– Wydaje się spięta.

Uniósł brew.

– Wróciłaś tu raptem pięć godzin temu i już grzebiesz w moich brudach?

– Jako twoja najstarsza i najlepsza przyjaciółka po prostu robię, co do mnie należy.

Roześmiał się.

– Cała Emily.

Delikatnie wzruszyła ramionami.

– A ty? Masz jakieś trupy w szafie?

Uśmiechnęła się kokietyjnie.

– Więcej, niż potrafiłbyś zliczyć.

Było to tylko częściową prawdą, bo choć miała za sobą немало nieudanych związków, traktowała je raczej powierzchownie. W istocie rzeczy walczyła głównie z brakiem pewności siebie, jak co druga kobieta na tej planecie. A nie pozwalając sobie na zbliżenie się do drugiej osoby, jedynie podsycala swoje lęki.

Stworzyła za to pewien swój wizerunek – kobiety przebojowej, z rezerwą, duszy towarzystwa. Nakładała tę maskę, kiedy nie miała ochoty pokazywać swego prawdziwego oblicza, czyli – jeśli dobrze się zastanowić – niemal zawsze.

Prawda była kłopotliwa. A tak żyło się łatwiej.

Emily lubiła to „łatwiej”. Przynajmniej kiedyś. Obecnie nie była przekonana, czy ma siłę nadal udawać.

Dotarli do ogródka za jej domem, a myśl o tym, z czym będzie musiała się zmierzyć, zamieniła jej żołądek w twarde kamień. Widok patio złamał jej serce. Pomimo ciemności. Niegdyś stały tu ogromne donice z kwiatami w żywych barwach, teraz rosły chwasty.

Hollis musiał wyczuć jej niepokój, bo zwolnił kroku.

– Wpadniemy pomóc ci uporządkować ogródek.

Pokręciła głową.

– Nie musicie tego robić. Nie macie żadnych zobowiązań.

– McGuire’owie dbają o swoich.

Na jego twarz zakradł się uśmiech. Nie próbowała niczego prostować. Skoro chciał traktować ją jak członka rodziny, kim była, żeby go powstrzymać? Zresztą wiedziała, że nie może go dopuszczać zbyt blisko do siebie.

*Za bardzo się nie angażuj.*

Emily obeszła dom. Kiedy dotarła do ganku, zobaczyła czekającą tam na nią walizkę. Wsunęła dłoń do kieszeni i wyciągnęła klucz, przytrzymując go między palcem wskazującym a kciukiem.

Czuła na sobie wzrok Hollisa. Przywołała się do porządku.

– No, pierwsze koty za płoty. – Czy jej głos zabrzmiał równie niepewnie, jak się czuła?

Napotkała spojrzenie Hollisa i szybko się uśmiechnęła, a potem odwróciła się do drzwi. Dlaczego to takie trudne?

– Chcesz, żebym wszedł razem z tobą?

Jego dobroć ją zaskoczyła. Słyszała podszept serca, które chciało mu odpowiedzieć bez jej przyzwolenia. *Tak, proszę, wejdź ze mną. Sama chyba nie dam rady.* Zanim jednak popełniła kolejny wielki błąd, usłyszała samą siebie:

– Nie, dzięki. Poradzę sobie.

Skinął głową i nie powiedział nic więcej.

– Naprawdę ci dziękuję. – Byłoby łatwiej, gdyby tak na nią nie patrzył.

– Nie ma sprawy. Do jutra. – Zaczął się oddalać, ale jeszcze raz szybko się odwrócił. – I wiesz co, Emily?

Spojrzała mu w oczy.

– Cieszę się, że wróciłaś.



Po powrocie do domu Hollis zastał czekającą na ganku Jolie. Siedziała na schodkach z Tilly u boku i nawet po ciemku dostrzegł jej skwaszoną minę.

– Hej, dzieciaku. Co ty tutaj robisz?

– Chyba nie zamierzasz się z nią umawiać? – burknęła.

Jana uprzedzała go, że być może będzie musiał zmierzyć się z humorami Jolie. Wierzył, że mógłby przekonać do siebie córkę, gdyby tylko dała mu szansę. Ona tymczasem była obojętna na jego urok. W jej obecności czuł się niezręcznie i zapominał języka w ustach.

Wycofanie się z baseballu pociągnęło za sobą znacznie większe straty, między innymi – jak się wydawało – utratę umiejętności płynięcia z prądem, a bliskość Jolie jeszcze uwydatniała te braki.

Twarc córki zastygła w grymasie permanentnego naburmuszenia. Zdał sobie sprawę, że ona oczekuje odpowiedzi na zadane pytanie.

– O czym ty mówisz? – Roześmiał się, jakby miał jej do zakomunikowania coś o wiele bardziej trywialnego, niż spodziewała się Jolie, sądząc po jej minie.

– O Emily. Odprowadziłeś ją do domu. Pocałowałeś ją?

– JoJo, myślę, że coś ci się miesza. – Usiadł obok, ale Jolie się odsunęła. – Poza tym czy naprawdę obchodzi cię, z kim się umawiam?

– Jeśli z Emily, to tak. – Skrzyżowała przed sobą ramiona.

Zmarszczył czoło.

– Dlaczego?

– Bo ją lubię.

Patrzyła na niego spode łba, dając jasno do zrozumienia, że o ile Hollis nie rozumie dorosłych kobiet, to nastoletnie dziewczyny rozumie jeszcze mniej.

– Ja też ją lubię, Jolie. Znamy się całe wieki.

– Ale jest ładna.

– Pewnie, że ładna. – Śliczna. Tak śliczna, że zapiera dech.

Gdy podczas kolacji Hayes rozprawiał o swoich podróżach po świecie, Hollis rzucał na Emily ukradkowe spojrzenia, a przez głowę przemykały mu w całkowitym niedowierzaniu dwa słowa: Emily Ackerman.

Myślał, że po tamtym lecie już nigdy jej nie zobaczy. Miał nadzieję – rok w rok miał taką nadzieję – że domek obok pozostanie niezamieszkały. Rodzina Ackermanów była wystarczająco zamożna, by utrzymywać nieruchomość, z której nigdy nie korzystali, choć wydawało się to szaleństwem.

Przez lata dom podupadł. Rodzina Hollisa zawsze kosiła trawnik i pielęła chwasty. Jego matka sadziła nowe hortensje, gdy stare przestawały kwitnąć, i nawet gdyby Emily nie wróciła, robiliby to samo. Ale domek Ackermanów już nie był taki sam jak dawniej. Jak gdyby zastygł w czasie, jak gdyby dziadkowie Emily bali się cokolwiek zmienić z obawy przed zniszczeniem dobrych wspomnień, jakie pozostały im z tego miejsca. Ale jak często wraca się do dobrych wspomnień, gdy te złe są tak bardzo złe?

– Tato?

– Przepraszam... Tak? – Czyżby Jolie zadała mu pytanie, którego nie dosłyszał?

– I stąd wiem, że ci się podoba – oznajmiła Jolie, wydymając wargi.

– Skąd?

– Stąd, że jesteś nieprzytomny i odpływasz. Mama zawsze tak robiła, za każdym razem, gdy zaczynała spotykać się z nowym facetem. – Jolie oplótła ramionami kolana i je do siebie przyciągnęła.

– Co jest złego w tym, że lubię Emily?

– Ty wszystko psujesz, tato. Będiesz lubił ją przez trochę czasu, a potem już nie i ona już nigdy tu nie przyjedzie. Popatrz na siebie i mamę.

– Tak uważasz? – Czy to Jana podsunęła jej te pomysły?

Popatrzyła na niego wymownie.

– Bądźmy szczerzy, tato. Nie masz najlepszych osiągnięć, jeśli chodzi o związki.

– Byłem dość zajęty, Jolie.

– Wielu facetów z twojej drużyny ma żony i dzieci.

Jej słowa zawisły między nimi jak gradowa chmura. Była to niewypowiedziana dotąd prawda, z którą nie miał odwagi się skonfrontować.

– Po prostu nie umawiaj się z Emily. Jest na to o wiele za miła. – Jego córka wstała i wbiła w niego wzrok. – Obiecuj.

Przemknęło mu przez myśl wspomnienie ślicznego uśmiechu Emily. Popatrzył na córkę. Obecność Jolie była dla niego drugą szansą, nie może więc zrobić niczego, czym by ją zaprzepaścił. Nie. Wiedział, że kolejnej już nie dostanie.

– Nie planuję umawiać się z Emily, JoJo.

– Obiecuj, tato.

– Dobrze, mała. Obiecuję.

Odwróciła się na pięcie i weszła do domu, zostawiając Hollisa na ganku z natłokiem niechcianych myśli.

## Rozdział 9

Weekend Dnia Pamięci 1989

Dzień w pracy ciągnął się niemiłosiernie. JD nosił kije golfowe pewnemu pyszałkowatemu bufonowi nazwiskiem Rich Heard, co wiązało się z wysłuchiwaniami przez większość popołudnia gładzenia tego faceta na temat tego, jaki to jest fantastyczny, ile to ma kasy i dlaczego cała reszta to idioci. JD nie był pewien, czy wytrzyma tu do końca lata, taszcząc kije gościom, którzy z powodzeniem mogliby sami je sobie nosić.

Popołudnie upłynęło mu głównie na rozmyślaniu o spotkanej rano na plaży dziewczynie. Słyszał już to nazwisko (kto nie znał Ackermanów?), a dwie różne osoby zdążyły go ostrzec, by nawet nie próbował uderzać do Isabelle, on jednak nie lubił, gdy ktoś mówił mu, co ma robić. Szczerze powiedziawszy, tylko go to zachęciło do podrywu.

Po zejściu z pola golfowego poszedł prosto do szatni dla personelu i się umył, żałując, że nie ma czasu na wzięcie prysznic. Żałując, że nie ma czasu na dopracowanie wyglądu, zanim po nią pójdzie.

Szybko przebrał się w szorty khaki – takie same jak te, które wielu mężczyzn nosiło w klubie, tyle że bez odpowiedniej metki – i pasiastą koszulkę polo, przez co poczuł się jak oszust, jak przebieraniec.

Kogo próbuje nabrać? Ledwo wystarczy mu pieniędzy, żeby zaprosić ją na burgera – nie będzie przecież udawać, że ma wypchany portfel. Ostatni rzut oka w lustro i uznał, że lepiej wyglądać już nie będzie.

Gdy wychodził z klubu, Alan Ackerman szedł spacerkiem do sklepu sportowego w towarzystwie jakiegoś starszego mężczyzny. Tato Isabelle nawet nie zaszczycił JD spojrzeniem. Typowe.

Ruszył chodnikiem w stronę plaży Children's, przez całą drogę bijąc się z myślami. Mógłby zwyczajnie się nie pojawić – i oszczędzić sobie bólu zadurzenia się w dziewczynie, z którą przede wszystkim nie powinien był w ogóle się umawiać.

Wiedział, że jeśli któremuś z nich dwojga grozi niebezpieczeństwo zakochania się, to właśnie jemu. Bez względu na to, jak bardzo starał się przemawiać sobie do rozsądku, nie zdołał przekonać samego siebie do odwrotu.

Skręcił za róg i ją zobaczył. Siedziała na ławce, zapatrzona w ocean.

Przystanął na chwilę. Sycił oczy.

Długie, ciemne włosy splecione w luźny warkocz, zwiewna bluzka w kwiaty, białe szorty. Lekko opalona skóra, jakby nie był to jej pierwszy dzień na plaży.

Słońce oświetlało ją od tyłu, spowijając jej postać pięknym żółtawym blaskiem. I wtedy JD zrozumiał, że nie ma odwrotu.

Tak, ta dziewczyna pewnie złamie mu serce, ale warto zaryzykować.

Ze wzrokiem przyklejonym do jej postaci szedł przez wydmy w kierunku ławki, na której siedziała.

Czuł się kompletnie jej niegodny.

Zbliżył się do ławki, ze zdenerwowania drżał mu oddech.

*Ostatnia szansa, żeby wziąć nogi za pas.*

– Bella?

Obejrzała się. Widok jej wielkich niebieskich oczu niemal go poraził.

– Spóźniłeś się.

Zerknął na zegarek.

– Tylko trzy minuty.

Uniosła brew.

– Długo zbierałem się na odwagę.

Przypatrywała mu się przez dłuższą chwilę. W końcu odwróciła wzrok, nieporadnie ukrywając uśmiech.

– Jadłaś coś?

Zaprzeczyła.

Udało mu się wskrobać dość pieniędzy, by zabrać ją w jakieś fajne miejsce – w każdym razie wystarczy mu forsy, jeśli sam ograniczy konsumpcję.

– Przy plaży jest budka, gdzie sprzedają hot dogi i frytki – powiedziała.

– Nie musisz tego robić – odparł.

Zmarszczyła czoło.

– Czego?

– Mam pieniądze, mogę zabrać cię do prawdziwej restauracji. – Nie lubił się czuć tak, jakby nie dorastał komuś do pięt. Może to był jednak kiepski pomysł.

Jęknęła.

– A może mam powyżej uszu „prawdziwych” restauracji?

Widział, jak Isabelle umyka w bok spojrzeniem.

– Nie chcę być traktowana jak nadęta i nadziana dziewczyna, okej?

Usiadł obok niej na ławce.

Patrzyła prosto przed siebie, zacisnąwszy zęby. Plażą biegł mały brzdąc, golusienki, goniła go mama, wymachując nad głową maleńkimi kąpielówkami.

– Przepraszam. Nie miałam dobrego dnia.

Starał się na nią nie gapić, lecz jej bliskość wprowadzała go w stan odrętwienia. Drżała jej broda, bardzo delikatnie, niemal niezauważalnie, i w tym samym momencie zdał sobie sprawę, że pieniądze nie równają się automatycznie łatwemu życiu.

– Wiesz co? – powiedział. – Jeśli chciałabyś uciec ze swojego świata na jeden wieczór, myślę, że mogę ci w tym pomóc.

Ujął jedną z jej złożonych dłoni. Patrzyła, jak oplata ją palcami, ale jej nie cofnęła. Spodobał mu się dotyk jej skóry i miał nadzieję, że będzie mógł trzymać ją za rękę przez cały wieczór.

Wstał, pociągnął ją w górę i stanął tuż przed nią, wymuszając na niej spojrzenie.

– Myślisz, że da się zapomnieć na kilka godzin o tym, co cię dręczy?

Lekko wzruszyła ramionami.

– Nie znasz mojej matki.

Wiatr uwolnił z jej warkocza kosmyk włosów. Bez namysłu wsunął go jej za ucho. Nie uchyliła się przed jego dotykiem, ale oddech uwiązał jej w gardle i spuściła oczy.

W sekundzie zrozumiał, że Isabelle jest wyjątkowa. Prawdziwy skarb, nietknięty. Zdziwiłby się, gdyby kiedykolwiek miała chłopaka, czy choćby się z kimś całowała. Nie wykorzysta swojej przewagi. Był bardziej doświadczony, na pewno, a to oznaczało, że potrafił odróżnić przelotną przygodę od prawdziwego uczucia.

Nie potrzebował więcej czasu, już wiedział, że może wyniknąć z tego coś głębszego.

Gdy oddalali się od dziecięcej plaży, wzbierała w nim ekscytacja wobec perspektywy odkrycia Isabelle dla siebie.



JD nie wypuszczał jej ręki, a żołądek Isabelle fikał koziołki. Zastanawiała się, czy tak właśnie jest, kiedy ma się chłopaka. Nic dziwnego, że jej koleżanki zachowywały się tak głupkowato w stosunku do chłopaków, którzy im się podobali. Isabelle nigdy tego nie rozumiała, ponieważ nie spotkała dotąd chłopaka, który patrzył na nią tak jak JD.

Popołudniowa kłótnia z matką była powtórką wielu identycznych awantur. Zdawało się, że Isabelle nigdy nie spełnia oczekiwań mamy. Dlaczego wciąż tak się tym przejmowała? Oto zagadka.

Mama chciała, by była perfekcyjną córką z wyższych sfer, zaś Isabelle chciała po prostu być sobą. Nie podobało się jej, jak jej rodzice i ich znajomi traktują ludzi, i odmówiła włożenia zaaprobowanej przez Elizę sukienki, w której miała pójść następnego dnia na lunch. Matka nie mogła

zrozumieć dlaczego. A Isabelle nie wymyśliła sposobu, jak wytłumaczyć swoje stanowisko bez wszczynania przy tym gigantycznej awantury, do której oczywiście doszło tuż przed jej wyjściem na spotkanie z JD.

Następstwa tej kłótni wciąż dawały się jej we znaki. Nie zamierzała wygadać się z niczym, co dotyczyło rodziny, ale stało się, a jemu chyba to nie przeszkadzało.

– Dokąd idziemy? – zapytała.

Napotkał jej wzrok i uśmiechnął się od ucha do ucha, jakby ukrywał jakąś tajemnicę.

Szli Beach Street, skręcili w Water Street, aż wreszcie wylądowali na Main Street i znaleźli się przed Nantucket Pharmacy, staromodnym barem z napojami gazowanymi, kanapkami, hot dogami, koktajlami oraz wszystkim, czego zabraniała jej matka.

– Byłaś tu kiedyś?

Uśmiechnęła się.

– Raz. Na koktajlu mlecznym.

– No i?

– Był boski.

– No to sobie zamówmy.

– I grillowany ser?

– Koniecznie.

Weszli do środka i stanęli w kolejce, wciąż trzymając się za ręce jak dwoje ludzi, którzy znają się od miesięcy, a nie od kilku godzin. Podeszli do kontuaru, JD złożył zamówienie, a w tym czasie Isabelle rozglądała się po lokalu, uświadomiwszy sobie, że w każdej chwili może ją tu zobaczyć ktoś ze znajomych rodziców. Wypuściła rękę JD. Przerwał w pół zdania, by na nią spojrzeć.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Z uśmiechem pokręciła głową.

Dziewczynę za ladą wyraźnie denerwowało, że to wszystko tak długo trwa.

Skończył zamawiać, po czym ponownie przeniósł wzrok na Isabelle, która unikała jego spojrzenia. Przejrzał ją na wylot i ona o tym wiedziała. Jak ma mu wyjaśnić, nie raniąc przy tym jego uczuć, że jej sytuacja rodzinna oznacza, że nie mogą pokazywać się razem publicznie?

Może ta pierwsza randka powinna być zarazem ostatnią.

Mniejsza o żołądek fikający koziołki czy o niezdolność do niewdychania jego zapachu. To skutek zauroczenia. Okazywał jej wielkie zainteresowanie i był bardzo, ale to bardzo przystojny. Jednak Isabelle miała więcej oleju w głowie niż banalne dziewczyny, które bez przerwy chichotały, rozmawiając z fajnymi chłopakami. Ona musi skupić się na tym, co istotne – na ukończeniu liceum – by potem oznajmić rodzicom, że robi sobie rok przerwy i zamierza podróżować po świecie, a później, jeśli będzie miała na to ochotę, może pójdzie na studia i zorientuje się, co chciałaby robić w przyszłości.

Ten plan nie zyskałby ich błogosławieństwa, podobnie jak umawianie się z JD – gdyby więc musiała wybierać, która z tych rzeczy była dla niej ważniejsza?

Kiedy szli w stronę Brant Point, mając przed sobą latarnię morską, a na horyzoncie piękny ocean, JD wziął ją za rękę, jakby miał do tego pełne prawo, a jej zjeżyły się włosy na karku.

Siedzieli na plaży, jedli kanapki, rozmawiali. Godzinami. Opowiedział jej o college'u i o tym, jak zarabia na studia, zdecydowany wieść inne życie niż jego rodzice.

– Nie chcę żyć od wypłaty do wypłaty – powiedział. – Nie chcę, żeby moje dzieci chodziły do szkoły w podartych dżinsach i dziurawych butach. Chcę odnieść sukces i uważam, że potrafię. Muszę tylko pracować trochę ciężiej niż większość ludzi.

Widziała ogień w jego oczach, potrzebę dowiedzenia samemu sobie oraz innym ludziom, takim jak jej rodzice, że zrealizuje swoje plany. Czy jej sytuacja życiowa jeszcze bardziej pogłębiała w nim kompleks niższości?

Słońce zaszło, plaża opustoszała i ucichła, zostali tam tylko oni, puste torebki po kanapkach i rozgwieżdżone nocne niebo.

Położył się na piasku i wpatrywał w granat nad głową.

– Czy patrząc w gwiazdy, wypowiadasz czasem życzenie?



Zajęła miejsce obok niego, a jej twarz rozjaśniła się w delikatnym uśmiechu.

– Co noc. Zawsze, gdy zauważę tę pierwszą.

– Dzisiaj też?

Nie mogłaby powiedzieć tego na głos – jakie pomyślała sobie marzenie, ujrawszy pierwszą jasną gwiazdę w oddali.

Podparł głowę pięścią, zagłębiając łokieć w piasku, i się do niej uśmiechnął.

– Dzisiaj też... jakie wypowiedziałaś życzenie?

Pokręciła głową, nie przestając patrzeć w niebo.

– Żadne.

– Zdradzę ci moje.

Isabelle rzuciła mu spojrzenie.

– Okej.

Kącki jego ust rozciągnęły się w uśmiechu.

– Życzyłem sobie, żeby to nie był ostatni raz, kiedy cię dokądś zabieram.

– Poważnie? – zapytała, starając się uspokoić bicie serca.

– Tak – potwierdził, po czym dodał marzycielskim tonem: – Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem.

Odwróciła głowę, pewna, że policzki zapłonęły jej jaskrawym różem, chcąc czmychnąć stamtąd jak najprędzej. Czuła się przy nim tak, jak nigdy dotąd, co z jednej strony ją przerażało, z drugiej zaś ekscytowało – nigdy nie poznała kogoś, kto z taką łatwością mówiłby dokładnie to, co myśli. Tak jak JD.

Podparła się na łokciach, chłonąc dźwięki i woń oceanu.

– Wiesz, że to słaby pomysł, prawda? – zapytała.

Nieomal czuła, jak siadając, JD marszczy czoło.

– Dlaczego?

Był od niej starszy, dojrzały, bardziej doświadczony. Przystojny, szczery i uczciwy. Nie zasługiwał na szufladkowanie tylko dlatego, że nie należał do „ich świata”, wiedziała jednak, że byłaby to pierwsza rzecz, jaką zrobiliby jej rodzice, gdyby tylko doszły ich słuchy, że poszła z nim na randkę.

– Z powodu twoich rodziców? – zapytał.

Przytaknęła.

– Bardzo się różnimy.

– Różnice mogą być korzystne – zauważył. – Ty pokażesz mi świat, którego nie znam, a ja odwzajemnię ci się tym samym.

Odepchnęła się od ziemi i wyprostowała.

– To słaby pomysł – powtórzyła, patrząc mu w oczy.

– Słaby i dlatego uważasz, że nie powinniśmy się widywać, czy słaby, ale spotykajmy się pomimo to?

Isabelle potrząsnęła głową. Nie wiedziała. Była w kropce. Wywracał jej świat do góry nogami.

– Nie uwierzę, że nie czujesz tego czegoś między nami, Bella. Niemożliwe, bym czuł to tylko ja.

Głęboko westchnęła.

– Ale moi rodzice...

– Teraz ich tu nie ma.

– JD, nie ma dla nas przyszłości, musisz o tym wiedzieć. Nie lepiej skończyć to teraz, zanim się zacznie?

Dotknął jej policzka.

– Już się zaczęło. Już nie będę umiał o tobie zapomnieć.

Zatrzepotało jej serce. Chciała mu wierzyć. Chciała przy nim być, ponieważ nie знаła nikogo tak prawdziwego jak on. Podobała jej się ta jego autentyczność. I podobały jej się jego usta. Miękkie, pełne, a gdy pożerał ją wzrokiem, wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby go pocałowała.

– Nie myślmy o przyszłości – powiedział. – Skupmy się na tej chwili, na tym, co teraz, a reszta niech rozwiąże się sama, później.

Brzmiało dobrze. Lepiej niż dobrze. Fantastycznie. Isabelle miała dość kierowania się rozsądkiem. Choć raz chciała podjąć decyzję zgodną z własnymi myślami i odczuciami, a nie z tym, co narzucili jej albo nakazali rodzice.

– Co ty na to? – zapytał.

– Żeby myśleć tylko o tym, co tutaj i teraz?

– Tak.

– W porządku. A przekonasz mnie, że warto ignorować to, co będzie później?

Uśmiechnął się.

– Chciałbym spróbować.

Motyle w brzuchu powróciły. Przysuwając się do niej, nie odrywał od niej oczu ani na sekundę. Ujął w dłonie jej twarz, wpatrując się w nią z takim skupieniem, że aż zadrżała.

– Mogę cię pocałować, Bella? – wyszeptał.

Wpatrzona w niego, skinęła głową, a potem, gdy zetknęły się ich wargi, pragnęła uspokoić oddech. Nie myliła się: usta miał pełne i miękkie. Pocałunek z początku był delikatny, lecz szybko stawał się gorączkowy, JD mocniej ją do siebie przyciągnął. Pomyślała, że być może do tej pory całowała się z niewłaściwymi chłopakami. Nigdy za tym nie przepadała – w tej jednak chwili doszła do wniosku, że pocałunki mogą stać się jej nową ulubioną rozrywką.

Przesunął dłonie w dół jej pleców. Isabelle nie mogła wyjść ze zdumienia, że JD wydawał się kimś znanym jej od lat – a może raczej kimś, na kogo czekała od dawna.

Odsunął się i zajrzał jej w oczy.

– Przepraszam, muszę się opanować.

Niemal wyczuwała, jak JD się hamuje i z jakim przychodzi mu to trudem. Zjednął ją sobie tym zachowaniem, sprawił, że czuła się bezpieczna.

I że zakochuje się w tym świeżo poznanym chłopaku, zastanawiając się, jak utrzymać jego istnienie w tajemnicy przed rodzicami, którzy prawie na pewno nie będą tego pochwalać.

Zrozumiała bowiem, co miał na myśli JD – teraz i ona nie będzie już umiała wybić go sobie z głowy.

## Rozdział 10

Wilgotny zwierzęcy język lizał jej rękę, budząc ją ze snu. Po bardzo długiej i bardzo niewygodnej nocy zmrużyła oczy w porannym słońcu.

– Emily?

Z wysiłkiem uniosła powieki, widząc przed sobą przyglądających się jej Jolie i Hollisa.

Była świadoma, że znajduje się na zewnątrz, na patio – przypominała sobie o tym za każdym razem, gdy zmieniała ułożenie ciała – jednak poprzedniego wieczoru nie odważyła się wejść do środka.

Poczuła się kompletnie obnażona.

Powrót do Nantucket, do tego domu, zmusił ją do zmierzenia się z wieloma uczuciami, które zepchnęła na margines swojego życia. Teraz zaś jakby wykopała kapsułę czasu i w mgnieniu oka przeniosła się kilka dziesięcioleci wstecz.

Dlaczego się na to zgodziła?

– Przepraszam – powiedziała w końcu, wygładzając zmięte ubranie. – Musiałam być porządnie zmęczona. – Podobnie wyglądała pobudka na plaży po długiej nocy spędzonej z przyjaciółmi. A zarazem całkowicie inaczej.

Kiedy się poruszyła, na ziemię spadł jej zeszyt z listami mamy. Hollis podniósł go, zanim sama się po niego schyliła. Zdążył przeczytać słowa, które matka wykaligrafowała na okładce.

*Gdyby mnie zabrakło*

Napotkał jej wzrok, a sądząc po jego minie, miał pytania. Oraz obawy.

Wyciągnęła rękę po zeszyt, który starannie wsadziła sobie pod pachę, unikając jego czujnego spojrzenia. Zapomniała, jak to jest, gdy ktoś się o ciebie troszczy i cię rozpieszcza.

Nie była pewna, czy jej się to podoba.

Emily stworzyła sobie życie pełne przygód, a jej odwaga dawała o sobie znać już w dzieciństwie. Doprowadzała Hollisa do rozpaczy, skacząc prosto w spienione fale albo na główkę w basenie, czy też polując na kraby, których on nie chciał nawet dotknąć.

Z kolei Hollis był zawsze poważny i praktyczny. Pewnego lata Emily poznała znaczenie słowa „posępność” i uznała, że doskonale go ono opisuje. Gdyby gromadziła pasujące do niego przymiotniki, „posępny” i „zniewalający” znalazłyby się na szczycie listy. Chodzący oksymoron. Hollis zawsze troszczył się o innych, ale szczególnie o Emily, jak gdyby wziął na swe barki ciężar bycia jej obrońcą. Najwyraźniej z tego nie wyrósł.

– Wcześniej się zerwaliście – powiedziała, siląc się na swobodny ton, zupełnie nieświadoma, czy rzeczywiście pora jest wczesna, czy nie.

– Przyszliśmy zaprosić cię na piknik na plaży, a także na rejs wielką, wypasioną łodzią, którą tato wynajął na weekend za forszę zarobioną na baseballu – oznajmiła Jolie.

– Jolie, łódź należy do mojego przyjaciela. – Hollis wydawał się zażenowany. – Yhm... a co ty tutaj robisz?

Emily pominęła to pytanie milczeniem i uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Duża, wypasiona łódź, tak?

Jolie wzruszyła ramionami.

– Wiesz, boję się rekinów, ale jeśli ty popłyniesz, to ja też. Może poopowiadałabyś mi o Broadwayu i wszystkich innych rolach?

Emily dobrze знаła ten błysk, który pojawił się w oczach Jolie. Przypomniała sobie, kiedy sama odkryła miłość do sceny – była wtedy parę lat młodsza niż Jolie teraz.

Nie szło jej jakoś świetnie, przynajmniej na początku. Dziadek zagroził nawet interwencją, ponieważ w pierwszym roku obsadzono ją w chórze, ale jego podejście pod hasłem „czy oni nie wiedzą, kim jesteście?” było dokładnie tym, czym jej mama pogardzała, dlatego zażądała, by się do tego nie mieszała.

– Pozwólcie jej być dzieckiem, któremu nie podaje się wszystkiego na tacy – mówiła. – Pozwólcie jej być normalną.

Isabelle zależało na tym, by jej córka nie stała się rozpuszczoną smarkułą, poza tym

występowanie w chórze bardzo wiele Emily nauczyło.

W wieku dziesięciu lat dostała pierwszą rolę mówioną. Grała damę dworu w *Kopciuszku* wystawianym w ośrodku kultury. Nigdy nie zapomni, jak tańczyła z księciem na scenie – blasku reflektorów na twarzy, ciemnej widowni, oglądającej ją publiczności. Było to wielkie, emocjonujące przeżycie.

Radość grania nie umarła wraz z matką, choć zmieniła te kilka lat, kiedy Emily występowała w telewizji. Tytułową rolę w dziecięcym serialu dostała niedługo po ukończeniu dziesiątego roku życia i przez trzy kolejne lata wcielała się w postać Dottie.

W tamtym czasie scena była jej wielką namiętnością – lecz ostatnio gra aktorska utraciła swój blask. Teatr stał się okrutny.

Widok ekscytacji Jolie Broadwayem poruszył w niej jakąś strunę. Podobnie jak teraz czuła się wczoraj w ośrodku kultury; przypomniała sobie, że wciąż potrafi poczuć ten rodzaj pasji. Brakowało jej tego, tej pasji – do czegokolwiek – ale przede wszystkim do teatru. Hollis może i był jej pierwszym zauroczeniem, ale pierwszą prawdziwą miłością – teatr.

– Z przyjemnością opowiem ci o Broadwayu – odrzekła wreszcie Emily, starając się nie myśleć już o sobie. Przeczuwała, że wspomnienia będą jej tego lata bardzo psuły szyki.

– Serio? – Jolie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Superowo!

Czy tak niewiele trzeba do uszczęśliwienia nastolatki?

– Tak. Ale dziś niestety nie mogę przyjść na plażę.

Jolie jęknęła.

– Niech zgadnę: masz pracę. Dorośli zawsze mają pracę.

– Jolie... – Hollis skarcił córkę wzrokiem, lecz po sekundzie jego oczy znów spoczęły na Emily.

– Mam, to prawda. – Emily ruchem głowy wskazała dom za plecami. – Samo się nie wyremontuje. Jestem umówiona na spotkanie z wykonawcą. – Wyjęła telefon i sprawdziła godzinę. – Oho. Zjawi się tu lada chwila.

– Tak wcześniej? – Jolie się skrzywiła.

Wróciła myślami do rozmowy z doradcą inwestycyjnym, który liczył na to, że tego lata będzie miał „pełne ręce roboty”. Odpowiedział na jej ogłoszenie w przededniu jej wyjazdu do Nantucket i wyznaczył godzinę spotkania. Ona sama zdecydowanie wybrałaby jakąś porę bliżej dziesiątej. Albo południe.

– Co to za gość? – zapytał Hollis.

Emily zauważyła jego baczne spojrzenie.

– Nie znasz.

– Znam wielu ludzi.

– Nazywa się Jack Walker. Nie był na wyspie od kilku lat.

– I masz zamiar tak po prostu wpuścić go do domu?

Przestąpiła z nogi na nogę.

– Czy to jakieś wielkie halo?

– Emily, przecież nic o tym człowieku nie wiemy.

Od razu poczuła, że podjęła złą decyzję. Chciała znaleźć kogoś, kto przyjdzie i wyremontuje za nią dom, żeby nie musiała zawracać sobie tym głowy.

– Poczekam z tobą. – Znowu przyjął tę opiekuńczą postawę.

– Naprawdę nie trzeba. – Emily starała się być uprzejma, acz stanowcza. A tymczasem, jak się jej zdawało, w jej głosie słychać było głównie irytację. Czy on wie, z iloma ludźmi miała w życiu do czynienia? Sama potrafi się o siebie zatroszczyć.

– Jolie, biegnij do domu na śniadanie – rzekł Hollis. – Przyjdę, jak tylko się upewnię, że facet jest w porządku.

Jolie rzuciła Emily porozumiewawcze spojrzenie, jak gdyby mówiła: „już wiesz, co miałam na myśli?”, zaś Emily starała się z całych sił nie przewrócić oczami.

– Może kiedy tu skończycie, wpadniesz na placuszki? – zaproponowała Jolie. Wyraźnie polubiła Emily, w każdym razie chyba bardziej niż swojego „posępnego, ale zniewalającego” ojca.

– Och, nie powinnam – odrzekła Emily. – Już wczoraj wprosiłam się na kolację.

– Tato, powiedz jej, żeby przyszła na placuszki. – Jolie zerknęła na Hollisa, który nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– Przyjdź na placuszki – zaprosił bez entuzjazmu.

– Chyba nie będę miała czasu. Hollis, naprawdę sobie poradzę. Możesz obserwować z oddali, skoro chcesz mieć pewność, że ten facet mnie nie zamorduje, nie zawinie moich zwłok w prześcieradło i nie wrzuci ich na tył swojej furgonetki.

– Fuj. – Jolie się skrzywiła.

– Przepraszam – rzekła Emily, uświadomiwszy sobie, że ta uwaga była dość makabryczna jak dla dziecka.

– Przyjeżdża ciocia Harper – dodała niezrażona Jolie.

Hollis nie ruszył się z miejsca – Emily się domyślała, że ten człowiek od remontu nadal nie daje mu spokoju.

– Bardzo chciałabym się z nią zobaczyć – oznajmiła, przenosząc uwagę na swojego młodziutkiego gościa. – Może wyślesz mi SMS, kiedy będę mogła później do was zajrzeć? – Tę prośbę skierowała do Hollisa.

– Jasne, jeśli podasz mi swój numer.

Hollis patrzył na nią wyczekująco. Odwzajemniła to spojrzenie trochę za długo.

– Lepiej podaj go mnie – wtrąciła się Jolie. – Obiecuję, że nie będę spamować. – Sięgnęła do tylnej kieszeni, wyjęła z niej najnowszy model iPhone'a i podała go Emily.

– O, masz telefon.

– Wszyscy mają telefony. – Jolie usiadła na krześle naprzeciwko Emily.

Emily błyskawicznie przeniosła wzrok na Hollisa, który tylko wzruszył ramionami. Wpisała swój numer i oddała komórkę Jolie.

– Okej, a teraz pstryknijmy fotkę. – Jolie stuknęła w telefon, po czym wycelowała aparat w Emily.

Ta odruchowo zasłoniła twarz dłońmi.

– Dopiero się obudziłam.

Jolie zrobiła zdjęcie.

– Za późno. – Znów postukała w komórkę i oznajmiła z szerokim uśmiechem: – Gotowe. – Pokazała fotografię Emily. – Moim zdaniem wyglądasz przepięknie.

Powiedziała to tak uroczo, z taką szczerością, że Emily na moment zastygła w bezruchu.

– Wyślę ci SMS, jak tylko przyjedzie ciocia Harper! – Jolie zeskoczyła z krzesła i podeszła do Tilly, oglądając się na ojca. – Idziesz?

Emily wciąż czuła na sobie uwagę Hollisa – jego zatroskanie, opiekuńczość. Kiedy on się przekona, że niepotrzebna jej ochrona? Zrobiła dobrą minę do złej gry, wstała i zapewniła Hollisa, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Dasz sobie radę? – zapytał, świdrując ją wzrokiem.

To się jej nie spodobało. Nie podobało się jej, że choć nie widzieli się tyle lat, on zdawał się dostrzegać w niej to, co chciała ukryć przed światem.

– Tak, Hollis. – Jej głos zabrzmiał chłodniej i oschlej, niż zamierzała, nie mogła jednak pozwolić, by jej tak pilnował. Jest dorosła. Załatwi sprawy po swoimemu.

– Nie mówię o wykonawcy – sprostował.

Udawała, że nie rozumie.

– No to o czym?

– Spałaś na dworze.

– Lubię gwiazdy.

Wiedział, że kłamała – miała to wypisane na twarzy.

– Em...

Popatrzyła mu w oczy – dobre i szczere – i zmiękła. Odrobinę.

– Dam sobie radę – zapewniła, tym razem sympatyczniejszym tonem.

Przyglądał się jej przez kilka sekund, wreszcie skinął głową i ruszył za Jolie.

– Pa, Emily! – krzyknęła dziewczyna.

Emily niemrawo pomachała im na pożegnanie.

Gdy odeszli, jęknęła i przesunęła dłońmi po twarzy. *Ale ze mnie idiotka.*

W kieszeni zabrzączał telefon. Na ekranie wyświetlił się nieznajomy numer.

„Cześć, Emily. Tu Jolie. Chciałam, żebyś miała mój numer. Dołączam zdjęcie, którego możesz użyć przy dodawaniu mnie do kontaktów. Myślisz, że będzie dobre?”

Emily się uśmiechnęła. Jolie może okazać się najlepszą osobą, jaką zna. Czy zaprzyjaźnienie się z dwunastolatką to coś dziwnego? Dorośli są tak niegodni zaufania.

Przeniosła uwagę na dom i ciężko westchnęła.

– No dobra – mruknęła do siebie pod nosem. – Miejmy to już za sobą.

## Rozdział 11

Emily poczłapała na ganek, powtarzając sobie w kółko to samo zdanie: „Dam radę”. Stała przed drzwiami, trzymając w dłoni zeszyt z listami. Przemknęły jej przez myśl słowa z listu matki opatrzonego nagłówkiem: „Kiedy chcesz się poddać...” – znała je praktycznie na pamięć.

*Moja kochana Emily,*

*ludzie będą mówić, że Bóg nigdy nie da Ci więcej, niż jesteś w stanie przyjąć. Ja się z tym nie zgadzam. Bóg oferuje nam więcej, niż umiemy przyjąć, dlatego musimy na Nim polegać. Bo gdybyśmy radzili sobie ze wszystkim, co niesie życie, do czego Bóg byłby nam w ogóle potrzebny?*

Matka miała rację. Bóg z pewnością dał Emily więcej, niż zdołała udźwignąć. Pozwolił na wypadek, który odebrał życie jej matce. Jak mama mogła oczekiwać, że po czymś takim Emily Mu zaufa? No i bądźmy szczerzy: biorąc pod uwagę to, jak żyła dotychczas, Emily była najzupełniej pewna, że już dawno przepędziła Go ze swego życia.

Stała na ganku, po raz trzeci gapiąc się na drzwi. Ni z tego, ni z owego wydało jej się to absurdalne. Przywiązywała do tego domu zbyt wielką wagę. Przecież to tylko budynek. I w dodatku niezbyt ładny w obecnym stanie. Trzeba skoczyć na głęboką wodę i mieć to z głowy. Po to tutaj przyjechała.

Nim zebrała się na odwagę, usłyszała warkot nadjeżdżającego samochodu. Odwróciła się i ujrzała, jak czerwony pick-up toczy się po podjeździe.

Jack Walker był człowiekiem punktualnym. W normalnych okolicznościach stanowiłoby to niesłychaną zaletę, ale ponieważ Emily obudziła się tego dnia na patio, w tym akurat momencie zaleta jawiła się jej bardziej jako wada.

Pomodliła się szeptem: „Proszę, nie pozwól mu mnie zamordować” i próbowała się ogarnąć, obserwując jednocześnie, jak fachowiec parkuje auto, gasi silnik i wysiada.

Pierwsze wrażenie jest ważne – tego nauczyła ją babcia. Pierwsze wrażenie, jakie zrobił na niej Jack Walker (prócz punktualności): wysoki, przystojny, o wyrazistych rysach twarzy. Z grzywą złocistych włosów delikatnie przyprószonych na skroniach siwizną.

*Nie wygląda na seryjnego mordercę.*

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem i się uśmiechnął.

– Wczesna pora.

– Zasnęłam – przyznała, zastanawiając się, jak wygląda po nocy spędzonej pod gołym niebem. Choć starała się uporządkować włosy, czuła pod palcami kołtun z tyłu, tak więc przypominała pewnie damską wersję Alfalfa z *Klanu urwisów*. – Przepraszam.

Jack podniósł rękę.

– Nie ma za co przepraszać.

Podąła mu dłoń, zamierzając zrehabilitować się silnym, męskim uściskiem, a tymczasem Jack ujął ją oburącz i potraktował bardzo delikatnie.

– Miło mi poznać.

Cofnęła rękę i znów pomodliła się w duchu.

– Mam na imię Emily.

– Jack Walker. – Jeszcze raz obrzucił ją spojrzeniem. – Z rodziny Ackermanów?

– Tak – potwierdziła. – Nie jest pan mordercą ani żadnym zbirzem?

Blokowała swoim ciałem drzwi wejściowe i nagle zdała sobie sprawę, że gdyby nie zaprzeczył, byłaby bezradna, nie miałaby możliwości go powstrzymać.

Roześmiał się.

– Nie.

Zmierzyła go wzrokiem.

– W razie czego mogę przedłożyć pismo z referencjami.

Wsadziła klucz do zamka.

– Nie trzeba. Nie mam na to czasu. Proszę wejść. Oprowadzę pana. – Pchnęła drzwi i wkroczyła do środka. Natychmiast uderzył ją w nozdrza stęchły zapach zaniedbanego domu.

Odwróciła się. Jack wciąż stał na ganku.

– Wnieść do środka? – Wskazywał na walizkę, którą pospiesznie chwyciła i wciągnęła do przedpokoju.

– Przepraszam.

Nic nie powiedział, choć miał lekko zdziwioną minę. Babcia nie byłaby dumna z pierwszego wrażenia, które robiła Emily. W końcu wszedł, a ona zamknęła za nim drzwi.

Dom wydawał się mniejszy niż w jej pamięci. Na wprost znajdował się duży pokój z przeszkloną ścianą, zapewniającą doskonały widok na ogród za domem, basen oraz patio wyłożone popękkanymi płytami betonu. Po lewej była kuchnia, taka z prawdziwego zdarzenia, wyposażona w najlepsze niegdyś sprzęty.

– Szczerze mówiąc, nie miałam jeszcze okazji ocenić zakresu prac. Przyjechałam wczoraj.

Kąciaki oczu Jacka zmarszczyły się w uśmiechu.

– Po to tu jestem – oznajmił.

Zrobiła krok w prawo i wyobraziła sobie dziadka siedzącego za wielkim biurkiem, niemalże poczuła wypełniającą gabinet woń tytoniu i mięty pieprzowej.

– Może razem obejrzymy cały dom i sporządzimy notatki? – zaproponował Jack.

– Dobry pomysł – odparła.

Czy aż tak rzucało się w oczy, że Emily nie ma bladego pojęcia, co tu w ogóle wyprawia?

Skręciła w stronę schodów i przez ułamek sekundy znów miała dwanaście lat, snuła się w koszuli nocnej w środku nocy, kurczowo ściskając matkę za rękę.

Zamknęła oczy i pozwoliła sobie na przelotne wspomnienia.

*Nie możesz rozpamiętywać przeszłości, Emily. Określ, co wymaga remontu. Zrób listę rzeczy, których trzeba się pozbyć. Zamów kontener. Jak najszybciej.*

Otworzyła oczy, wyjęła telefon i zaczęła spisywać. Jack prawdopodobnie robił to samo na kartce. Jego lista była zapewne nieco obszerniejsza, zważywszy na fakt, że Emily nie miała żadnego doświadczenia w remontowaniu domu.

Zanotowała:

*odnowić podłogi,*

*pomalować ściany,*

*zamówić kontener.*

Weszli do kuchni. Emily zatkało na widok jej obecnego wyglądu.

– Kurczę...

– Długo tu pani nie było?

– Osiemnaście lat.

Wytrzeszczył oczy.

– To sporo wyjaśnia.

Wyjaśniało. Na przykład zapyziała kwiecistą zazdrostkę na oknie nad zlewem. Zdjęła ją, zmięła w kulkę i cisnęła na blat.

*nowe zasłony/rolety,*

*nowe okna?*

– Wpuśćmy tu trochę powietrza – zasugerował Jack. Pochylił się nad zlewem i zmagał z kłamką, aż wreszcie ustąpiła, a do środka wpadł ciepły podmuch wiatru. – Jakie ma pani plany co do tego domu?

– Odłożył podkładkę z kartką na blat i spojrzał na Emily.

– Zamierzam go wyremontować i sprzedać.

Uniósł brwi.

– Nie chce pani tu zamieszkać?

W jej śmiechu nie było wesołości, zabrzmiał fałszywie, nawet dla niej.



– Zdecydowanie nie.

– W takim razie to pomieszczenie będzie, moim zdaniem, wymagało sporo pracy. – Zapisał coś na podkładce. – Kuchnia jako serce domu i tak dalej. Kupujący uwielbiają piękne kuchnie.

Skinęła głową, choć przyszło jej na myśl, że kuchnia nigdy nie była sercem tego domu. Ten zaszczyt przypadał salonowi. Z jedną przeszkloną ścianą i widokiem na ogród za domem oraz drugą, przeciwną, zastawioną od podłogi do sufitu regałami z książkami – to salon był zawsze miejscem spotkań rodziny Ackermanów.

Weszła tam i kucnęła, by zlustrować dwie dolne półki, gdzie przechowywano wszystkie jej książki.

Trixie Belden. *Ania z Zielonego Wzgórza. Fizia Pończoszanka*. Stały tu w komplecie, jak gdyby tyle lat czekały, aż ktoś znów je otworzy.

To tutaj zaczęła się jej miłość do opowieści. Oraz przygód. Mama czytała jej na głos prawie co wieczór, nawet wtedy, gdy Emily mogła z powodzeniem czytać już samodzielnie dziecięce książki. Był to ich specjalny rytuał.

Babcia nie pochwałała tego zwyczaju.

– Nie pakuj jej do głowy tych wszystkich bzdur, Isabelle – mawiała z dezaprobatą. – Lepiej, żeby nie bujała w obłokach tak jak ty.

Wtedy matka pochylała się bliżej, żeby babcia niczego nie usłyszała:

– Uważam, że dla głowy nie ma lepszego miejsca niż obłoki.

Emily się śmiała, po czym obie wracały do lektury, modulując na przemian głosy i wcielając się w rozmaite postaci.

Powiodła dłonią po grzbietach starych książek i przez chwilę poczuła się tak, jakby znalazła się w gronie najbliższych przyjaciół. Lecz nie przyjechała tu po to, by okrężną drogą wracać do przeszłości.

*nowe meble,*

*nowe dywany,*

*nowa armatura,*

*nowe wszystko!*

– Dlaczego nie sprzedała pani domu wcześniej? – zapytał Jack, stając w drzwiach salonu. – Osiemnaście lat nieużywania to długo dla takiego miejsca.

– Nie należał do mnie – odparła, wstając z kucek. – Dziadek zostawił mi go w spadku. Niedawno umarł.

– Przykro mi.

Udawała, że bolało mniej niż w rzeczywistości, zbywając wyrazy współczucia machnięciem ręki, zanim zdążyły wywiercić dziurę w jej perfekcyjnej fasadzie.

– Mnie też długo tu nie było – oznajmił Jack, jakby wyczuwając jej wewnętrzne zmagania.

– Dawniej spędzał pan dużo czasu na wyspie?

– Tak. – Sprawdził profile przeszklonych rozsuwanych drzwi wychodzących na ogród. – Podejmowałem się rozmaitych dorywczych prac tu i ówdzie przed studiami, a także w ich trakcie.

Uśmiechnęła się.

– Założę się, że pobyt na wyspie w takim wieku był superfajny.

– Spędziłem tu jedno z najlepszych chwil w moim życiu – powiedział, przenosząc na nią wzrok.

– Znał pan moją matkę? Isabelle Ackerman? – Nie miała pojęcia, dlaczego o to zapytała.

Jack uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Wszyscy znali pani matkę.

Zaskoczyło ją to stwierdzenie.

– Wszyscy z klubu... – Wyraźnie zaskrzyły mu się oczy. – Podziwialiśmy ją na odległość.

– Była piękna, prawda? – Emily ściszyła głos.

– O tak, piękna.

Po krótkiej pauzie ruszyła w stronę schodów.

To może trochę zabołec. A właściwie mocno. To plaster, którego nie jest gotowa zerwać, rana, która powinna pozostać osłonięta.

Usłyszała własne słowa, którymi wypełniała ciszę, wchodząc na piętro i dodając sobie w duchu otuchy powtarzaniem do znudzenia (i z coraz większą irytacją): „Dam radę”.

– Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, moja babcia była miłośniczką tapet. Trzeba będzie je zerwać. Są naprawdę ohydne.

Jack parsknął śmiechem, idąc za nią na górę. Otworzyła drzwi pokoju, który niegdyś należał do niej. Została w korytarzu, natomiast Jack wszedł do środka i rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Ten pokój wygląda całkiem dobrze. – Odwinął dywan przykrywający niemal całą podłogę. – Może wystarczy tylko odmalować. – Stał obok powieszonych nad łóżkiem korkowej tablicy. – To pani? – Wskazał na fotografię Emily z mamą na plaży. Nie musiała podchodzić bliżej, by wiedzieć, co to za zdjęcie i z którego dnia. Szczęśliwe wspomnienie, o którym starała się zapomnieć.

– Tak, wiele lat temu.

Jack dotknął zdjęcia, a potem spojrzał na Emily.

– Urocze.

– Są tu jeszcze trzy sypialnie. Może pan później rzucić na nie okiem, wszystkie w podobnym stanie. – Tyle że wcale nie była tego pewna, wcale. Przecież nie obejrzała ich osobiście.

Nie trzeba odgrzebywać starych, pokrytych kurzem wspomnień.

Jack wsadził ręce do kieszeni i z powagą skinął głową.

– Brzmi dobrze.

Gdy tylko wyszedł na korytarz, Emily zamknęła drzwi i odetchnęła. Nie miała ochoty myśleć o tym, jakie jeszcze wspomnienia są przyszpilone do tablicy albo upchnięte w szufladach. Pospiesznie zaczęła schodzić na parter.

– Jest też trochę pracy wokół domu. – Przynajmniej tego była pewna.

Pokazała Jackowi patio, podartą siatkę na drzwiach ganku, butwiejące drewno, popękany cement.

– To pewnie oczywiste rzeczy, ale ja nie mam zielonego pojęcia o remontowaniu domu.

Wetknął notatki pod pachę.

– Razem jakoś przez to przebrniemy.

– Tak? – *Czy to znaczy, że podejmiesz się tej pracy?*

– Myślę, że poradzimy sobie z większością tego, co wymaga naprawy – oznajmił Jack. – Wynajmę miejscowych do pomocy – może zająć to dobrą chwilę, ale zawsze znajdą się młode chłopaki, które potrzebują zarobić parę groszy. Przygotuję na jutro kosztorys, możemy się tak umówić? – Z jego oczu biła dobroć, z kącików rozchodziły się promieniście głębokie zmarszczki.

– Tak będzie dobrze – przyznała Emily. – Znam swój budżet, więc powiem, co możemy, a czego nie możemy zrobić.

Babcia przesłała jej informację o wysokości odłożonych na koncie środków na remont – zostały zabezpieczone po to, by dom nie stał się dla Emily finansowym ciężarem. Jak na razie sięgnęła do nich dwukrotnie – raz, żeby kupić bilet na prom, i drugi raz, żeby zjeść w podróży kanapkę.

Spoglądając na dom, zastanawiała się, czy ma dość pieniędzy na pokrycie kosztów remontu. Czy babcia wiedziała, w jakim budynek jest stanie?

– Zaoferuję uczciwą cenę. – Uśmiechnął się. Miał miły uśmiech, a ubrany w bojówki, jasnoniebieską koszulkę i robocze buty zupełnie nie wyglądał na przedsiębiorcę.

– Będę wdzięczna. – Emily schowała dłonie w rękawach.

Jack przyglądał się jej przez kilka sekund, aż wreszcie odwrócił wzrok.

– Cieszę się, że będę miał okazję dla pani pracować, pani Ackerman.

Skinęła głową.

– Z niecierpliwością czekam na kosztorys.

Wsadził okulary przeciwsłoneczne na nos i zniknął za rogiem.

W kieszeni Emily zawibrował telefon. Znów Jolie: „Ciocia Harper już tu jest! Babcia pyta, jakie są Twoje ulubione kanapki? Ma zamiar przynieść Ci wałowę, nawet gdybyś nie mogła przyjść na plażę”.

Wiadomość była opatrzona zdjęciem dziewczynki o złocistorudych włosach zebranych w niedbały kucyk. Palce z resztkami lakieru do paznokci ułożyła w znak wolności. Jej tato widoczny w tle wydawał się zamyślony.

Emily powiększyła twarz Hollisa. Wyglądał nie jak słynny bejsbolista, a raczej człowiek, który ma zbyt wiele na głowie.

Lecz nadal bardzo przystojny.

Odpisała: „Nie trzeba!”.

„Ale i tak przyniesie, więc lepiej, żeby wiedziała, co lubisz”.

„Lubię wszystko! Indyk z serem, szynka z serem, sałatka z kurczaka. Nie jestem wybredna”.

Bardzo szybko znów brzdęknęła komórka. „Tato mówi, że zrobi Ci kanapki z serem i majonezem”.

Emily roześmiała się głośno na wspomnienie z dzieciństwa.

Z całą swoją dziewięcioletnią mądrością oznajmiła wówczas – błędnie – że wynalazła najlepszą kanapkę na świecie: kromkę białego chleba obficie posmarowaną topionym serem, zwiniętą następnie w kulę. A wisienką na torcie był kleks majonezu na wierzchu chlebowej kuli.

Emily była wtedy apodyktyczna, zmusiła więc Hollisa i Hayesa do skosztowania tego kulinarnego majstersztyku, co skończyło się jękami oraz biegiem po coś, co „spłucze ten tłuszcz”.

Nie mogła uwierzyć, że pamiętał – jej samej zupełnie wyleciało to z głowy.

Szybko odpisała: „Ten, kto je wymyślił, jest geniuszem!”.

„Moim zdaniem ohyda”.

Emily parsknęła śmiechem, gdy nadeszła kolejna wiadomość.

„Mam nadzieję, że zmienisz zdanie co do plaży. Nie mogę się doczekać opowieści o Broadwayu!”

No tak, Broadway.

Emily nie mogła sprowadzić Broadwayu do Jolie, mogła za to przynajmniej dopiąć swego w ośrodku kultury i zrobić wszystko, co się da, żeby znów wystartowały pełną parą dziecięce spektakle. Ze względu na tę dziewczynkę.

I może także na samą siebie.

## Rozdział 12

Koniec czerwca 1989

Lato Isabelle zawsze wyglądało tak samo. Dni na plaży albo w wodzie, później przyjęcia i kolacje z rodzicami i ich przyjaciółmi. Nie wiedzieć czemu Eliza i Alan Ackermanowie uwielbiali się nią chwalić, afiszować, jakby była symbolem ich doskonałego modelu wychowania, symbolem ich znakomitego życia.

Czego jednak nie wiedzieli rodzice, to to, że podczas tych kolacji ich córka myśli o przystojnym chłopaku z pola golfowego, do którego się później wymknie. Nie wiedzieli o nocnych piknikach, kiedy mówiła im, że jest z przyjaciółmi. Nie wiedzieli, ile razy nie poszła na plażę, tylko spotkała się z JD w Juice Barze. A już na pewno nie wiedzieli o pocałunkach – pocałunkach bez końca.

Isabelle nie spodziewała się, że będzie potrafiła skutecznie ukrywać swoją relację z JD, okazało się jednak, że jest w tym niezrównana. Niemal wszyscy w mieście znali jej rodziców, więc był to wyczyn nie lada, acz z drugiej strony wiedziała, dokąd pójść, żeby nie natknąć się na znajomych.

Mimo wszystko zachowywali ostrożność – nie chciała, by cokolwiek stanęło na przeszkodzie jej randkom z chłopakiem z college'u, który zdecydowanie skradł jej serce.

JD mówił rzeczy, których nikt dotychczas jej nie mówił. Prawił komplementy, które nie miały żadnego związku z jej majątkiem czy nawet urodą (choć ją także często komplementował). Przed wszystkim podziwiał w niej żywiołowość, ikrę, inteligencję. Za jego sprawą wydawało się jej, że mogłaby przenosić góry.

To poczucie wszechmocy dawało wielką siłę, przekonanie, że nic nie może jej dotknąć. Odnosiła wrażenie, że JD czuje się przy niej podobnie, ponieważ sypał jak z rękawa nowymi pomysłami i planami na wspólną przyszłość – ich przyszłość, nie tylko jego.

– Chcę zapewnić ci życie, na jakie zasługujesz – mawiał.

– Jedyne, czego mi potrzeba, to przeżyć je z tobą.

Siedząc teraz na kocu na plaży Ladies, miejscu bardziej ustronnym niż tamto, w którym spędzili pierwszą randkę, Isabelle położyła JD głowę na kolanach, on zaś wpatrywał się w ocean.

– O czym myślisz? – zapytała cicho, dostrzegając w jego oczach zadumę.

– O tym co zawsze. O tobie.

Dotknęła jego podbródka, czując pod palcami szorstkość zarostu. Niepewność towarzysząca ich pierwszemu spotkaniu znikła, zastąpiła ją spokojna poufałość, pocałunki stawały się coraz częstsze, dłonie splatały się raz po raz.

– A co o mnie myślisz?

Z uśmiechem spojrzał jej w oczy.

– Że cię kocham, Isabelle Ackerman.

Oparła się chęci odwrócenia wzroku. Z pewnością oszalał. Miłość to coś, czego się doświadcza, gdy jest się starszym i zna się drugiego człowieka od miesięcy, może nawet od lat.

– Przepraszam. – Poruszył się, ona usiadła. – Nie powinienem był tego mówić.

Zauważyła jego zranioną minę.

– Nie, to ja przepraszam... po prostu mnie zaskoczyłeś. Mógłbyś to powtórzyć?

Zerknął na nią z ukosa. Bardzo chciała, by nie uciekał wzrokiem.

– Proszę...

Rwał mu się oddech.

– Dużo o tym myślałem, Isabelle, i wiem, że brzmi to wariacko, ale... kocham cię.

Uśmiechnęła się, JD się zawstydził.

– A o czym ty myślisz? – zapytał.

– Myślę, że ja też cię kocham.

– Serio?

Kiwnęła głową.

– Jak się wie, to się wie.

Nie potrafiła tego wyjaśnić. Szaleństwem było uważać, że jest zakochana w kimś, kogo poznała zaledwie miesiąc wcześniej, zwłaszcza że miała dopiero siedemnaście lat, jednak serce kazało jej wierzyć, że to miłość. Tak czuje się człowiek, który kocha. Jak można z tym polemizować?

Nie rozmawiali o tym, co stanie się wraz z końcem lata, skupiając się zamiast tego na wspólnym czasie. Może dlatego to uczucie było tak intensywne – jakby żyli tylko chwilą, jakby to ona była wszystkim, co mieli.

JD całował ją nie jak ktoś, kto robił to już sto razy, lecz jak ktoś, kto być może już nigdy nie będzie miał okazji tego zrobić.

A ona zatracala się w każdym pocałunku.

Od czasu do czasu pojawiał się jednak uporczywy niepokój, co będzie dalej. Rodziło się pytanie, jak przetrwają, kiedy opuszczą tę bańkę, którą było dla nich Nantucket?

– Nie zastanawiaj się nad tym teraz – powiedział, jak gdyby czytał w jej myślach. Objął ją, przyciągnął do siebie i pozwolił, by osunęła się w jego ramiona.

– Nic na to nie poradzę – odparła. – Co ja bez ciebie zrobię?

– Nie będzie ci dane się dowiedzieć.

I choć w zasadzie wiedziała, że to nieprawda, te słowa wsączyły w nią isierkę nadziei, której postanowiła kurczowo się trzymać.

## Rozdział 13

Hollis obserwował, jak Jolie ostrożnie zbliża się do wody. Fale mknęły do brzegu, a gdy rozbijały się u jej stóp, ona się odwracała i biegła w przeciwnym kierunku. Tilly deptała jej po piętach. Jolie była tu od czterech dni i z każdym kolejnym nabierała coraz większej odwagi. Powiedzmy.

Tato siedział na leżaku obok Hollisa w idiotycznym daszku chroniącym przed słońcem, z nosem umazanym niewtartym w skórę kremem z filtrem.

- Kapitalne to twoje dziecko.
- Całkiem udane – zgodził się Hollis.
- To lato dobrze zrobi wam obojgu.
- Będzie tu tylko przez miesiąc.

W myślach zaczął odliczać godziny niczym metronom. *Minęły już cztery dni.*

- Tylko? Dlaczego? Jana miała ją przez dwanaście lat, czy teraz nie twoja kolej?

Hollis westchnął.

- Nie sądzę, by Jolie chciała zostać tu dłużej, niż musi.

Tato zerknął na Hollisa.

- Po tych kilku tygodniach na wyspie zmieni zdanie.

– A czy zmieni też zdanie o mnie? – Hollis pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział. Nie chciał rozmawiać o swoich rodzicielskich niedociągnięciach, zwłaszcza z własnym ojcem, któremu jakoś udało się wszystko zrobić, jak należy.

- Myślę, że to wyłącznie w twoich rękach, synu.

Hollis o tym wiedział. Wiedział, że tylko on może naprawić to, co popsulo się między nim a Jolie, ale od czego zacząć? Była dla niego niczym obcy język – tajemnicza i niezrozumiała. Upłynęło zbyt wiele czasu, popełnił zbyt wiele błędów.

Gdy Jana go zapytała, czy Jolie mogłaby spędzić z nim kilka letnich tygodni, w sumie się zdenerwował – perspektywą spędzenia czasu z własną córką. Gdyby nie rodzina, nie bardzo by wiedział, co robić. Jak dotąd jego wysiłki zmierzające do nawiązania bliższego kontaktu z córką okazywały się bezowocne.

A co było w tym wszystkim najgorsze? To, że wcale nie miał jej za złe. Na miejscu Jolie też by siebie nienawidził.

- Może nie nadaję się na ojca – rzekł cicho Hollis.

Tato zatrzaskał książkę.

- Cóż, synu, za późno na wybór, prawda?

Nie znosił, kiedy tato był taki stanowczy. Nie zdarzało się to często – Jeffrey McGuire generalnie należał do ludzi wesołych i żartobliwych – ale gdy już się zdarzyło, Hollis wiedział, że powinien uważnie słuchać.

Szkopuł w tym, że choć niechętnie się do tego przyznawał, tato nigdy źle go nie pokierował. Dlaczego niektórzy ludzie dostają podwójną porcję mądrości, podczas gdy on, jak mu się zdawało, nie dostał nawet tej, która powinna była przypaść mu w udziale? Przynajmniej nie w kwestii relacji z Jolie.

Dotychczas wszystkie decyzje dotyczące córki były błędne. Danie jej wolnej ręki. Wyprowadzenie się. Niedomaganie się, by być dla Jolie i Jany czymś więcej niż książeczką czekową. Tak wiele błędów...

- Tato, nie praw mi kazać.

– Ja widzę to tak, że masz wybór – oznajmił tato. – Możesz siedzieć beczynn timeroztrząsać, jak to bardzo żałujesz, że sprawy nie potoczyły się inaczej, albo zrobić postępy i wszystko naprawić.

– Tak, wiem. – I rzeczywiście wiedział. Wiedział, że zawiódł jako ojciec, i wiedział, że jego rodzice nie byli z tego dumni. Nie lubił sobie przypominać, jak zawsze znajdowali czas dla Jolie, jak oglądali jej szkolne występy teatralne i taneczne, koncerty, podczas gdy on przegapił niemal wszystkie. Może gdyby nie wypadek, spisałby się lepiej, a może nie. Może wypadek posłużył tylko za wymówkę, usprawiedliwienie, że tak kiepsko wywiązał się z wychowania córki. Może po prostu był okropnym ojcem. – Nawaliłem, tato. Nawaliłem i chyba już za późno na naprawę.

– Nigdy nie jest za późno – powiedział tato. – Póki oddychasz.

Hollis westchnął. Łatwo się mówi.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć.

Nie mógł tego zdzierżyć. Irytował się, gdy coś nie przychodziło mu z łatwością – a relacje z Jolie zdecydowanie do łatwych nie należały. Gdyby interesowała się sportem, mogliby grywać razem w piłkę albo przekazywałyby jej swoją wiedzę na ten temat – ale się nie interesowała. Była dzieckiem wkraczającym w nastoletniość, którego zainteresowania wydawały mu się absolutnie bezsensowne.

– Zacznij od niej – poradził tato. – Zorientuj się, co lubi, a później zmusz się do zaangażowania.

Hollis zmarszczył czoło.

– Myślisz, że swoją matkę obchodzi baseball?

– Ona kocha baseball – odparł Hollis. Spojrzał ukradkiem na mamę siedzącą obok Harper pod parasolem. Miała na głowie gigantyczny kapelusz przeciwsłoneczny i wciąż była ubrana, jakby cierpiała na alergię słoneczną.

– Nie, Hollis. Ona kocha ciebie.

– Kocha baseball.

Tato długo mu się przyglądał. Zbyt długo.

– Nie lubi tego sportu?

– Uwielbiała patrzeć, jakie daje ci on szczęście. Pomyśl, jak dobrze cię znała, skoro zainteresowała się tym, co było dla ciebie takie ważne.

Hollis milczał.

– Nawet nie wiem, co lubi Jolie.

I był zupełnie pewien, że nie zdołałby wzbudzić w sobie zainteresowania czymś takim jak fryzury, makijaż czy ciuchy, nawet gdyby bardzo tego pragnął.

– Cóż, znamy przynajmniej jedną rzecz, którą uwielbia – zauważył tato.

Wzrok Hollisa podążył za spojrzeniem taty, który patrzył na ocean, gdzie Jolie, zanurzona w wodzie po pas, zaśmiewała się razem z wujkiem.

– Teatr.

– Zgadza się – przyznał. – Mógłbyś postarać się o przywrócenie dziecięcych przedstawień w ośrodku kultury.

– To nie takie proste.

– Dla ciebie nic trudnego. Jesteś w zarządzie.

– Sam głosowałem za zrezygnowaniem z dziecięcych programów, pamiętasz?

Jolie z krzykiem wyskoczyła na brzeg, a potem głośno się roześmiała. Nawet Hayes znalazł sposób na nawiązanie z nią kontaktu. Bez względu na to, jak bardzo okaże się to trudne, Hollis musi spróbować, czuł bowiem, że jeśli pod koniec miesiąca Jolie wyjedzie z Nantucket, mając o nim takie samo zdanie jak w dniu przyjazdu, będzie po wszystkim.

Na tę myśl ugięły się pod nim kolana. Najwyższy czas stanąć na wysokości zadania. Modlił się, by nie było za późno.



Przez kilka kolejnych dni Hollis przeżuwał radę ojca i zapewne dlatego znalazł się na schodach ośrodka kultury w drodze do biura Gladys Middlebury. To stare babsko pewnie nie omieszka powiedzieć mu czegoś do słuchu.

Minęło prawie dwadzieścia lat – kto by przypuszczał, że Emily jeszcze kiedyś tu wróci.

Ominął biurko recepcjonistki – ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, to godzinna pogawędka z Hillary Schweitzer o jej kotach – i udał się prosto do gabinetu Gladys.

Rozmawiała przez telefon, usadzona za wielkim mahoniowym biurkiem odziedziczonym po poprzedniku, przysadzistym mężczyźnie, na którego wszyscy mówili Teddy. Biurko nie pasowało do

Gladys – była znacznie drobniejsza niż Teddy i jakaś taka nadęta. Dlaczego nie wymieniła tego olbrzymiego mebla – nie wiadomo.

Jej rodzina należała do najbogatszych na wyspie. Gladys nie pobierała pensji za swoją pracę w ośrodku kultury – nie potrzebowała. Wykonywała ją tylko dlatego, że się nudziła i chciała „wnieść swój wkład”. Nie zamieniłaby z Hollisem ani słowa, póki nie został zawodowym sportowcem. Nie zauważyłaby go na ulicy, a jeśli już, to po to, by utrzyć mu nosa. Taka była Gladys Middlebury.

Co sprawiało, że uprzejma rozmowa z tą kobietą była dla Hollisa wyzwaniem.

Gladys odłożyła telefon i spiorunowała go wzrokiem.

– A nie mówiłam, że tak będzie?

Hollis zamknął za sobą drzwi.

– Upierał się pan, że nigdy nie wrócą do Nantucket. – Wstała. – Był pan taki pewien.

– Nie wiem, co powiedzieć, Gladys. Jestem równie zaskoczony, jak pani.

– Póki ona tu jest, należałoby może porozmawiać o jej domu, który straszy szpetotą. – Gladys podeszła do stojącej na parapecie rośliny w czerwonej doniczce. Chwyliła za spryskiwacz i trzykrotnie nacisnęła butelkę. – Może to odeśle ją do szeregu.

– Chyba mam leszy pomysł – rzekł Hollis w nadziei, że odciągnie uwagę Gladys od petycji, którą upchnęła w jednej z przepastnych szuflad biurka. Podpisanej przez co najmniej setkę osób i zawierającej postulat, by podjąć jakieś kroki w związku z domem Ackermanów. Tylko z powodu tej petycji Hollis się ugiął i zagłosował za likwidacją programów dziecięcych oraz redystrybucją funduszy.

Gdyby tego nie zrobił, dotknęłoby to osobiście rodzinę Emily, a w jego odczuciu była to ostatnia rzecz, której chciałby ktokolwiek z nich. Poświęcenie dziecięcych programów wydawało się niewygórowaną ceną.

Czyżby był w błędzie?

Gladys gwałtownie się do niego odwróciła.

– Nie ufam pańskim pomysłom, panie McGuire. I nie będę pana słuchać, póki nie zdejmie pan tej czapeczki.

Hollis usiadł na czarnym krześle po drugiej stronie biurka, zamasztył ruchem zsunął czapkę z głowy i złożył ją w dłoniach, ale milczał.

– No dobrze – rzekła wreszcie. – Niech pan mówi.

Wsparł łokcie na kolanach i wycelował w nią wzrok.

– Przywrócimy dziecięce spektakle.

Gladys zbyła go machnięciem ręki.

– Wie pan, że nie możemy tego zrobić. Problem tkwił w braku personelu. Oraz braku zainteresowania ze strony dzieciaków. Nikt nie chce spędzać lata na użeraniu się z dziećmi – nie chcą tego nawet ich rodzice.

– Gladys, Emily, gdyby tylko chciała, mogłaby wytoczyć sprawę ośrodkowi. – Hollis pochylił się na krześle. – Nie sądzę, by miała pani inny wybór niż dać jej to, czego chce.

– Chce, żeby przedstawić jej szczegółowy wykaz, na co idą pieniądze dziadka.

– A tak naprawdę chce dziecięcych spektakli.

Gladys westchnęła i zagłębiła się w fotelu, także odziedziczonym po Teddym, który całkowicie pochłonął jej mierzającą metr pięćdziesiąt postać.

– Powstaną dziury budżetowe w innych obszarach. Wie pan, że zrewidowaliśmy budżet i przeznaczaliśmy pieniądze na utrzymanie festiwalu filmowego, cyklu koncertów i...

– Trzeba będzie zrewidować go ponownie – przerwał jej Hollis. – Albo zorganizować zbiórkę pieniędzy? – *Albo dorzucić trochę twoich prywatnych środków.*

– Zbiórkę pieniędzy? – zadrwiła.

– Imprezę charytatywną na rzecz wsparcia ośrodka kultury? Ludzie byliby zachwyceni.

Gladys zaskrzyły się oczy. Tak, uwielbiała imprezy charytatywne z prawdziwego zdarzenia. Lecz cynizm szybko powrócił.

– Nawet gdybym chciała przywrócić tego lata dziecięce spektakle, nie mamy nikogo, kto wzięłby to w swoje ręce. Pamięta pan historię z poprzednią prowadzącą.



Słyszał plotki i nie chciał, by Gladys zaczęła się nakręcać opowieściami o poprzedniej reżyserce dziecięcych spektakli, kobiecie, która reklamowała się jako profesjonalistka, a w rzeczywistości zmyśliła dziewięćdziesiąt pięć procent swojego życiorysu. „Zawodowy teatr w Chicago” okazał się „szkolnym teatrykiem na bardzo (bardzo) odległych przedmieściach”. Gladys wpadła w furję, gdy dowiedziała się prawdy, najprawdopodobniej dlatego, że to ona zatrudniła tamtą kobietę. Innymi słowy: nie odrobiła zadania.

– Myślę, że znam idealną osobę – oznajmił Hollis.

Gladys spojrzała na niego zza okularów w grubej oprawie.

– Czyżby?

Wzruszył ramionami, jakby chciał tym razem powiedzieć: „Cóż na to poradzę? Ma się te koneksje”.

– Więc jak? Zamierza mi pan zdradzić, kto to taki, czy siedzieć tu z tym złośliwym uśmieszkiem na twarzy? – Usta Gladys wygięły się w podkowę. – Ludzie w pańskim wieku wszystko robią na pół gwizdka. Nawet uśmiecha się pan leniwie.

– Przyszedłem pomóc, Gladys. A pani tego nie docenia – droczył się Hollis.

– Wziąwszy pod uwagę, że sam maczał pan w tym palce, rzekłabym, że pomaga pan nie tylko mnie, panie McGuire. – Przez długą chwilę mierzyła go wzrokiem. – Proszę się pospieszyć, zanim stracę zainteresowanie.

– Powinna pani zatrudnić Emily.

– Emily, dziewczynę, która wypadła stąd jak burza, zachowując się tak, jakby to miejsce było jej własnością?

– Tak. – Nie dziwił się, że Gladys podniosła Emily ciśnienie. Ponieważ Emily nigdy nie należała do osób, które zachowują swoje opinie dla siebie.

Przedstawił wyjątkowe kwalifikacje Emily do objęcia tej posady, lecz Gladys nie dawała się przekonać.

– Ogromnie zależy jej na tym miejscu, to widać, poza tym przez większość życia pracowała w teatrze, występowała nawet na Broadwayu. To dla nas zrządzenie opatrności.

– Opatrności niech pan do tego nie miesza. – Poprawiła okulary i westchnęła. – Mówi pan, że występowała na Broadwayu?

– Gladdy, taka okazja się nie powtórzy.

Pogroziła mu palcem.

– Uprzedzałam, żeby mnie tak nie nazywać.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

– Porozmawia pani z nią?

– A dlaczego sam pan z nią nie porozmawia? Zdaje się pan wiedzieć o niej wszystko. – Wymownie uniosła brew.

– Myślę, że byłoby lepiej, gdyby ta propozycja wyszła od pani.

– Nie lubi pana, co? – Gladys splotła dłonie na biurku. – Co jej pan zrobił?

– Nic jej nie zrobiłem.

Starsza kobieta zmarszczyła czoło.

– Wszyscy zawodowi sportowcy są tacy sami.

– Tak, przejrzała nas pani na wylot. – Hollis wstał. – Czyli porozmawia pani.

Spojrzeła na niego spode łba.

– Zdaje się, że nie mam specjalnego wyboru.

– Umowa stoi. Proszę informować mnie na bieżąco.

Przyglądała mu się przez długą, wytrącającą z równowagi chwilę.

– Skąd to nagle zainteresowanie ofertą zajęć dla dzieci, panie McGuire?

Cudownie. Tylko tego mu brakowało – maglowania przez Gladys Middlebury.

– Zainwestowałem w dobrobyt tej wyspy. Przecież pani wie.

– I nie chodzi o nic więcej? – Przy słowie „więcej” machnęła ręką, jak gdyby zawisło między nimi jakieś niedopowiedzenie.

– Nie wiem, co pani sugeruje, pani Middlebury, ale moim jedynym ukrytym motywem jest jak najlepsze przysłużenie się tej społeczności.

Nie został tam wystarczająco długo, by pozwolić jej na dalsze komentarze. Ostatnia rzecz, jakiej było mu potrzeba, to wylądowanie pod czujnym okiem Gladys Middlebury – albo osobiste zmierzenie się z pełnym wachlarzem powodów, dla których zależało mu na poprowadzeniu przez Emily wakacyjnych zajęć dla dzieci.

## Rozdział 14

Emily przewijała Twittera, skręcając za róg do głównego wejścia ośrodka kultury. Dała Gladys cały tydzień i zamierzała ją odpytać.

Podniosła na sekundę wzrok, by uniknąć zderzenia z idącą chodnikiem młodą trzyosobową rodziną, i wtedy zauważyła zmierzającego w jej stronę Hollisa.

Miał w sobie ten luz człowieka nieznośnie przystojnego, który tuż po wstaniu z łóżka wyglądał jak model z reklamy. Zachwycalo ją to, a zarazem irytowało.

– Hej. – Uśmiechnął się, gdy skróciła się dzieląca ich odległość.

Stali na ulicy, patrząc na siebie nawzajem przez – jak im się zdawało – dobrą minutę, która w rzeczywistości trwała nie więcej niż trzy sekundy.

Czy od ich pierwszego spotkania naprawdę upłynęło dopiero kilka dni? Odnosiła wrażenie, że znacznie więcej. Może dlatego, że chowała się w starym domu, obserwowała jego rodzinę z okna na piętrze i mnożyła wymówki, dlaczego nie może dołączyć do nich na plaży.

– Co tutaj robisz? – zapytał w końcu.

Emily uwolniła wstrzymywany dotąd oddech, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu odkładać niczego na później.

– Zamierzam sprawdzić, jakie decyzje podjęła dyrektor administracyjna. Ta starsza kobieta, Gladys. Nie kiwnęłaby palcem, gdybym jej nie dociskała. Chciałam się upewnić, że Jolie będzie miała swoje przedstawienie.

Hollisowi zmienił się wyraz twarzy.

– Naprawdę?

– Tak, muszę dotrzymać danej obietnicy. Żeby nie było tak, jak z obozem teatralnym. Pamiętasz? Uśmiechnął się.

– I ty przyszedłeś tu w tym celu?

Spojrzał na budynek, potem znów na Emily.

– Yyy... tak. Tato zasugerował, że dobrze by było, gdybym zainteresował się czymś, co ją pasjonuje.

– Czy nie od tego są ojcowie?

Odwrócił wzrok.

– W sumie nie wiem.

Emily widziała, że unika jej spojrzenia. Czyżby stał się kimś zupełnie innym niż człowiek, którego pamiętała z przeszłości? Otrząsnęła się z tej myśli – nie miało to przecież znaczenia. Nie był częścią jej życia. Nie powinno jej obchodzić, co zrobił ani czego nie zrobił.

– Myślisz, że Gladys ulegnie twojej presji?

Wzruszyła ramionami.

– Mój dziadek zrobił tak wiele dla tego ośrodka, a oni wycięli z programu akurat tę rzecz, na której najbardziej mu zależało. Nie pozwolę, żeby zwyczajnie uszło im to płazem.

Hollis zaczął coś mówić, ale przerwał.

– Co?

– Jesteś zła.

– Jestem... wiesz, ile to miejsce dla mnie znaczyło.

– To było dawno temu, Em. Świat się zmienia.

Czy to znaczy, że nie powinna się już przejmować? To było jej miejsce. Miejsce, z którym wiązały się jej najpiękniejsze wspomnienia, a tymczasem pod spojrzeniem Hollisa czuła się tak, jakby jej reakcja była przesadzona.

Czy rzeczywiście przesadzała? Nie potrafiła tego ocenić.

– Hej, nie wpadłabyś do Juice Baru? – Hollis skierował kciuk za siebie, jakby wskazywał Emily drogę do ich ulubionej lodziarni w Nantucket.

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie, chcę udawać, że mam jakąś siłę sprawczą i wymusić coś na tej starej kobiecie.

– Dla Jolie.

– Oczywiście, że dla Jolie. Dla kogo by innego?

Wzruszył ramionami.

– Wstąpiłaś tu, jeszcze zanim poznałaś Jolie, może masz więc także własne powody?

Przyglądał się jej przez kilka wytrącających z równowagi sekund. Uznała, że to się jej nie podoba. Jego oczy widziały za dużo tego, czym nie miała ochoty się dzielić.

– A tak w ogóle co tu robisz? – zapytała, zmieniając temat.

– Już mówiłem. Przyszedłem zorientować się w zajęciach dla Jolie...

– Nie, mam na myśli tutaj, w Nantucket.

Odwrócił wzrok.

– Moja rodzina przyjeżdża tu każdego lata.

– Tak, ale ty nie.

Drgnęły mu mięśnie żuchwy. To testowanie nie przypadło mu do gustu, widziała to po jego wyrazie twarzy. Niestety, tylko zachęciło ją to do dalszych dociekań.

– Latem grasz w baseball i robisz inne rzeczy związane z tym sportem.

– W razie gdybyś nie zauważyła, Emily, już nie. – Wsadził rękę do kieszeni.

– Wygugłowałam cię.

– Tylko tego brakowało. – Przybrał nieszczęśliwą minę.

– Podobno oferowano ci tego lata dwie różne prace komentatora. Mógłbyś być głosem Major League.

– Nie chcę być głosem. Chcę grać. – Słowa te zaskoczyły jego samego, jakby wymknęły się bez jego przyzwolenia.

Patrzyła mu w oczy, aż w końcu umknął wzrokiem.

– Dajmy temu spokój.

Emily policzyła w myślach do trzech, jak gdyby te trzy sekundy miały mu wystarczyć do rozluźnienia napięcia.

– Hollis, wydajesz się zagubiony.

– Przyjeżdżasz tu zniemacka po dwudziestu latach i zachowujesz się tak, jakbyś wszystko o mnie wiedziała. To nie w porządku.

– Masz rację, nie w porządku.

Och, ale jakżeby chciała wiedzieć o nim wszystko.

Rozluźnił ramiona, tylko odrobinę.

– Widzę za to, że ukrywasz się tu z córką, której jakbyś nie znał. – Wolałaby zamknąć usta, w tej jednak chwili zdała sobie sprawę, że w tyle głowy tłoczą się pytania, których po prostu nie mogła nie zadać.

– Nie ukrywam się... – Pokręcił głową.

Jej szczerość czasem denerwowała ludzi. Dlaczego nie pilnowała własnego nosa?

– Później porozmawiamy. – Ruszył w kierunku przeciwnym do miejsca, gdzie zaparkowała rower, zostawiając ją na chodniku z myślą, że byłoby lepiej, gdyby w ogóle na niego nie wpadła.

To prawda: nie znała już Hollisa McGuire'a. Nie wiedziała, jak bardzo cierpiał po wypadku ani jak trudno było mu się po nim otrząsnąć. Nazywano go „cudownym McGuire'em” – jednak po powrocie na boisko okrzykniętym „powrotem dekady” zaledwie cztery lata później wszystko się skończyło.

Tak bardzo skupiała się na własnym cierpieniu, że nie pomyślała nawet przez sekundę, że może dotyczy ono nie tylko jej. Po dzisiejszym spotkaniu szanse na porozmawianie z nim o tym były znikome.

*Ten mój niewyparzony język.*



Po krótkiej i bezwocnej rozmowie z Gladys, która najwyraźniej obrała strategię gry na zwłokę,

Emily wróciła do domu, gryząc się rozmową z Hollisem. Powinna do niego pójść i przeprosić. Tak postąpiłaby prawdziwa przyjaciółka. Ale załagodzenie sprawy byłoby jednoznaczne z daniem mu do zrozumienia, że Emily nie ma pytań – to zaś było nieuczciwe.

Miała całe mnóstwo pytań. Przede wszystkim: „Co się z stało?”

W chwili, gdy odstawiała rower matki pod starą szopę, pod dom podjechał samochód pocztowy. Zatrąbił i kierowca pomachał do Emily, zatrzymując się przy skrzynce.

To dziwne. Oprócz babci nikt nie wiedział, że Emily tutaj jest, a chociaż babcia hołdowała staroświeckim zwyczajom, była najmniej sentymentalną osobą, jaką Emily знаła. Prawdopodobieństwo wysłania przez nią czegokolwiek do Nantucket było doprawdy nikłe.

Emily podreptała do skrzynki, pomachawszy odjeżdżającemu listonoszowi. Znalazła w niej zaadresowaną na swoje nazwisko kopertę. Natychmiast rzuciła okiem na adres zwrotny: „Kancelaria Prawna Blakely i Shore”.

Rozerwała kopertę i wyjęła ze środka dwie kartki papieru. Pierwszą było pismo od Solomona Blakely’ego, jednego z prawników dziadka.

*Szanowna Pani Ackerman,*

*przez trzydzieści lat miałem przyjemność świadczyć usługi prawne Pani dziadkowi. Był człowiekiem równie błyskotliwym, co szczodrym i z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o Jego śmierci. Dowiedziałem się od Elizy, że otrzymała Pani klucze do domu w Nantucket i że spędzi tam Pani lato. Pani dziadek bardzo by się ucieszył.*

*Miałem zaszczyt zająć się Jego testamentem. Jedną z Jego próśb było przekazanie Pani tego listu po Jego śmierci.*

*Emily, była Pani dla niego całym światem i wiem, że bardzo Panią kochał.*

*Gdyby miała Pani jakiegokolwiek pytania, proszę się nie wahać i do mnie zadzwonić.*

*Z poważaniem*

*Solomon Blakely*

*Adwokat*

Emily szybkim ruchem odwróciła kartkę, znajdując pod nią list napisany odręcznie na kremowej papeterii. Na widok znajomego charakteru pisma oczy zasły jej mgłą.

Myślała, że wysłuchała już ostatniej rady dziadka. Myślała, że skoro umarł, jest już poza zasięgiem, a tymczasem proszę, po raz ostatni dzieli się z nią swoją mądrością. Po śmierci.

Emily usiadła na górnym schodku ganku. Szum oceanu w oddali uspokajał galopujące serce.

Odetchnęła głęboko, świadoma, że to naprawdę ostatnie przesłanie dziadka, chcąc, by każde jego słowo coś znaczyło, może nawet więcej, niż miało znaczyć w założeniu.

*Najdroższa Emily,*

*jeśli czytasz ten list, to znak, że zszedłem już ze sceny. Może bardzo smucisz się z tego powodu, a może wiesz, że jestem teraz w lepszym świecie i znajdujesz w tym pocieszenie. Tak czy owak, mam nadzieję, że odrobinę za mną tęsknisz.*

*Bo ja będę za Tobą tęsknił, na pewno. Będzie mi zwłaszcza brakowało oglądania, jak robisz to, co kochasz – jak grasz. Zawsze czerpałem z tego mnóstwo radości.*

*Przyglądałem się, jak wyrastasz na silną, pewną siebie, wspaniałą kobietę, i jestem zachwycony, że zostawiam dom w Nantucket w tak kompetentnych rękach. Remont takiego budynku może wydawać się zadaniem beznadziejnym, mam jednak nadzieję, że koniec końców zapewni Ci trochę rozrywki. Mam*

też inną nadzieję: że zrobisz to, czego nie zrobiłem ja – powrócisz do dawnych wspomnień... dobrych wspomnień.

*Zawsze baliśmy się tam wrócić, wiedząc, że przywoła to ogromny ból i smutek, ale uświadamiam sobie teraz, że przeżyliśmy tam również wiele dobrego. Twoja matka kochała tę wyspę niemal tak mocno jak Ciebie.*

*Więc chociaż z początku może być Ci trudno i smutno, mam nadzieję, że wykorzystasz ten czas na gojenie ran, takie prawdziwe gojenie. I może nawet pozwolisz jej odejść, choćby trochę.*

*Pamiętaj: dom jest Twój – nie masz żadnych zobowiązań. Postawiłem sprawę jasno. I nawet jeśli Twoja babcia nie do końca zdaje sobie z tego sprawę, wie, że tak jest najlepiej. Nie obrazimy się, jeśli postanowisz wyremontować dom i go sprzedać. Jeśli zdecydujesz się go zatrzymać, też dobrze. Wybór należy do Ciebie.*

*Mam dwie prośby:*

*Zerwij ohydne tapety babci.*

*Zalóż od nowa ogród różany. Zawsze go uwielbiałem.*

*Być może będąc na miejscu, odkryjesz na nowo Nantucket i wszystkie uroki wyspy. Może znów odrobinę się w niej zakochasz. I chociaż troszeczkę pomoże Ci to wkroczyć w kolejny rozdział życia.*

*Tylko pamiętaj, Emily: wszystko, co kiedykolwiek zrobiliśmy, było podyktowane miłością do Ciebie.*

*Pozdrawiam z całego serca*

*Dziadek*

Emily przeczytała list od nowa, ocierając spływające po policzkach łzy.

Dziadek był człowiekiem interesu, ale zawsze miał słabość do Emily. Dlaczego tak bała się opowiadać mu o swoich porażkach? Może by ją zaskoczył. Może by zrozumiał.

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem słowa. Pomimo swoich wad był dobrym człowiekiem i naprawę go kochała. Z wzajemnością. W pewnym sensie chyba nadal opłakiwała jego śmierć; czuła żal, że z jej życia zniknęła kolejna droga jej sercu osoba.

*I chociaż troszeczkę pomoże Ci to wkroczyć w kolejny rozdział życia.*

Pomoże? Naprawdę? A jeśli tak, to w jaki sposób? Dlaczego nie wyjaśnił, na czym polega to „wkraczanie w nowy rozdział”?

Może nie umiał. Może nie wiedział.

Nie zauważyła, by on sam albo babcia robili jakieś kroki naprzód – przynajmniej nie na wyspie. Odnosiła wrażenie, że wszystko, co dobre, umarło, a Nantucket stało się na zawsze cmentarzyskiem ich szczęścia.

*Tylko pamiętaj, Emily: wszystko, co kiedykolwiek zrobiliśmy, było podyktowane miłością do Ciebie.*

Zatrzymała się na dłużej przy tym fragmencie. Jeszcze raz przeczytała całe zdanie.

*Wszystko, co zrobiliśmy?*

Zmarszczyła czoło. Co takiego zrobili? Chodzi mu o przygarnięcie jej po śmierci mamy? To oczywiste, że zrobili to z miłości. Ta część nie wymagała wyjaśnienia.

*Wszystko, co kiedykolwiek zrobiliśmy.*

Te słowa przykuły jej wzrok. Gdyby znalazły się na ekranie komputera, mrugałyby na czerwono.

O czym on mówi?

Złożyła list, przycisnęła go do piersi i spojrzała w dal, chłonąc widok oceanu.

– O czym nie wiem, dziadku? – wyszeptała.

Łagodna bryza chłodziła skórę, przyprowadzając ją o głębię skórkę.

Emily zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej zostawić tę tajemnicę w spokoju, pogrzebaną tu, na wyspie.

## Rozdział 15

Czwarty lipca 1989

Godziny pracy dłużyły się JD, bo jego jedynym pragnieniem było spędzanie jak najwięcej czasu z Isabelle.

Rano czwartego lipca stał na polu golfowym z torbą kijów, czekając na jednego z tych bogatych snobów, który najpewniej będzie traktować go jak powietrze i da mu znacznie niższy napiwek niż ten, na który JD sobie zasłuży.

Starał się o tym nie myśleć. Zaplanowali z Isabelle wspaniały wieczór. Zgodziła się przyjść do domku jego ciotki na wspólnego grilla z przyjaciółmi, a później wybierali się wszyscy na plażę oglądać fajerwerki.

Było to wielkie wydarzenie, ponieważ po raz pierwszy mieli znaleźć się w gronie innych i choć było to grono jego przyjaciół, a nie jej, zawsze to jakiś krok naprzód – nie mógł się doczekać tego uczucia, że oficjalnie są parą.

Stał w upalnym lipcowym słońcu, w jedynych ładnych spodenkach khaki, jakie miał w swojej garderobie, klubowej granatowej koszulce polo oraz białej czapeczce Titleist, czyli w swoim uniformie chłopaka z pola golfowego. Jego współlokator Jeb stał kilka kroków dalej, polerując kij iron 9 wyjęty z torby, którą powierzono mu pod opiekę.

Gdy dwaj starsi mężczyźni zaczęli iść wzgórzem w stronę pierwszej rzutni, żołądek podjechał JD do gardła.

Prosto do nich zmierzali Alan Ackerman i jeden z jego zadzierających nosa kumpli.

Gdy tylko mężczyźni dotarli do rzutni, Jeb do nich podszedł i podał rękę tacie Isabelle.

– Dzień dobry panu. Mam na imię Jeb.

Alan uściśnił mu dłoń.

– Miło cię poznać, Jeb, ale zdaje się, że masz kije mojego przyjaciela. – Zwrócił się do JD. – A ty jak masz na imię, synu?

– JD.

– Wolę, jak moi pomocnicy nie udzielają mi rad – oznajmił Alan. – Podawaj mi tylko kije, o które poproszę, a się dogadamy.

– Mnie pasuje, proszę pana.

Alan kiwnął głową.

Po tej wymianie nastąpiła trwająca cztery i pół godziny partia golfa, najbardziej nerwowa z tych, w których kiedykolwiek asystował JD – i bynajmniej nie z powodu samego przebiegu gry.

Gdy znaleźli się przy czternastym dołku, JD miał ochotę skorygować Alana w kwestii wyboru kija, ale milczał. (Alan trafił w bunkier). Przy szesnastym dołku drugi z mężczyzn zapytał Alana o jego córkę Isabelle, a wtedy Jeb gorączkowo spojrzał na JD z subtelną rozpędzonego pociągu towarowego.

JD zachował pozory nonszalancji, choć serce waliło mu jak młotem.

– Rozpoczyna klasę maturalną. Z pewnością wyląduje na którejś uczelni Ligi Bluszczonej... myślimy o studiach prawniczych.

I znów JD chciał poprawić Alana. Powiedzieć, że jego córki nie interesuje ani Liga Bluszczonej, ani prawo. Ona chce podróżować po świecie, poznawać inne kultury, podjąć być może pracę z dziećmi z grup ekonomicznie lub społecznie upośledzonych. A przede wszystkim chciał powiedzieć Alanowi, żeby nie szufladkował swojej córki, ponieważ Isabelle może robić, co tylko zechce – potrzebuje jedynie czasu na odkrycie, czemu pragnie się w życiu poświęcić.

Chciał także powiedzieć, że kocha jego córkę, że da jej szczęście – wiedział, że tak – jeśli tylko będą potrafili przejść do porządku nad faktem, że jest chłopakiem z pola golfowego, który zarabia w ten sposób na studia na uniwersytecie.

Nie powiedział żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego nosił kije za Alanem aż do osiemnastego dołka, przyjął od niego godziwy napiwek,

po czym udał się do szatni, by przebrać się na randkę z Isabelle.

Ten dzień rzucił światło na to, czemu oboje się przeciwstawiają: tradycji, pieniądзом i oczekiwaniom.

Wieczorem spotkał się z Isabelle, kolejny raz pod wielkim wrażeniem jej urody i dobroci. Nie rozumiał, jak udało się jej stać taką osobą, skoro żyła pod jednym dachem z człowiekiem tak uprzywilejowanym jak Alan Ackerman.

Dzięki temu kochał ją jeszcze bardziej.

Wtuliła się w jego ramiona, płynęły sekundy, oni zaś pragnęli uciec od wścibskich spojrzeń zewnętrznego świata, marząc, żeby można było żyć tylko dla miłości. Ale świat w ten sposób nie działał.

Pocałował ją i zaprowadził na tył domu, gdzie zebrało się już kilkoro jego przyjaciół, którzy w większości wzięli sobie wolny dzień z okazji święta. JD potrzebował dodatkowych pieniędzy, dlatego postanowił spędzić poranek w klubie, choć teraz niemal tego żałował.

– Jesteś pewien, że nie będą komentować? – zapytała Isabelle, puszczając dłoń JD.

– Są naprawdę w porządku – zapewnił. – Ale możemy trzymać się z dala, jeśli poprawi ci to samopoczucie.

Lustrowała gromadkę – ani jednej znajomej twarzy.

– Albo sobie stąd pójść – zasugerował. – Nie mam nic przeciwko wyprawie na naszą plażę i oglądaniu stamtąd sztucznych ogni.

Pokręciła głową.

– Nie, chcę poznać twoich przyjaciół.

Uśmiechnął się.

– To dobrze, bo chciałbym się trochę tobą pochwalić.

Roześmiała się, mars na jej czole się wygładził, co – przynajmniej chwilowo – uciszyło także i jego obawy.

Jedli burgery z grilla, pili niskoalkoholowe napoje, a JD przedstawił ją wszystkim swoim znajomym. Co dziwne, Isabelle od razu wtopiła się w jego świat, jak gdyby nawet nie przemknęło jej przez myśl, że dzielą ich pieniądze.

Ale może jest tak, że pieniądze są większą przeszkodą dla tych, którzy ich nie mają.

O zmroku udali się całą grupą na plażę. Usiedli na kraciatym kocu obok Jeba i dziewczyny imieniem Michelle. W pewnym momencie Jeb pochylił się do JD i powiedział:

– Miałaś rację, stary. Ona jest spoko.

JD nie był pewien, czy Isabelle tego nie usłyszała.

Gdy rozpoczął się pokaz fajerwerków, Isabelle usiadła przed nim, oparła się o jego pierś, on otoczył ją ramionami i wdychał jej zapach, żałując, że nie można zastopować czasu.

Obejrzeni w ten sposób niemal cały pokaz, żadne z nich nie czuło potrzeby zmiany pozycji i JD zaczynał już uważać się za najszcześniejszego chłopaka pod słońcem.

Póki nie usłyszał głosu za plecami. Znajomego głosu. Głosu, który słyszał rano na polu golfowym.

– Isabelle?

Błyskawicznie się wyprostowała, każdy mięsień w jej ciele naprężył się jak struna. Obejrzała się na ojca, który stał z matką na plaży. Oboje wyglądali na ludzi przekonanych o swojej nieomyślności, wstrząśniętych i wzburzonych – niefortunne połączenie.

– Miałaś być z Lydią – rzekła Eliza. – Kim są ci ludzie?

Isabelle wstała, JD poszedł w jej ślady.

– To moi przyjaciele, mamo.

Eliza zmierzyła JD od stóp do głów.

– Przyjaciele?

– Tak – potwierdziła Isabelle. – Przyjaciele.

– A gdzie Lydia?

Isabelle przestąpiła z nogi na nogę.

– Czy ty nie jesteś tym chłopakiem z klubu? – Alan przewiercał JD wzrokiem.



– Tak, proszę pana.

– Isabelle, co się tu dzieje?

Powoli wsunęła dłoń w rękę JD – może nie był to najlepszy gest w zaistniałej sytuacji, on jednak nie zamierzał się odsuwać, nie wtedy, gdy najbardziej go potrzebowała.

– Mamo, tato, to jest JD, mój chłopak.

Eliza wytrzeszczyła oczy, Alan zrobił taką minę, jakby miał za chwilę wybuchnąć.

– Isabelle, idziemy – syknęła Eliza przez zaciśnięte zęby.

– Dokąd?

– Do domu. Zabieramy cię do domu.

– Mamo, zachowujesz się nie fair. Mam siedemnaście lat, to znaczy prawie siedemnaście, jestem dorosła.

– „Prawie” nie wystarczy. Okłamałaś nas, młoda damo. Idziemy.

Isabelle odwróciła się do JD z oczami pełnymi łez. Ścisnął jej dłoń, jakby w milczącym zapewnieniu, że on sam nie ruszy się z miejsca, bez względu na to, jak bardzo obawiałby się jej rodziców.

Podeszła do nich, zwiesiwszy ramiona, z całej jej postaci sączył się wielki smutek.

Zastanawiał się, czy to ostatni raz, kiedy widział i dotykał Isabelle Ackerman.

Na samą myśl o tym skręcały mu się wnętrzności.

## Rozdział 16

Przy ostatnim spotkaniu Emily z Harper McGuire siostra Hollisa była siedmioletnią dziewczynką z długimi ciemnymi warkoczami, wielkimi brązowymi oczami i garstką piegów na nosie. Teraz stała przed nią jak dziewczyna wyjęta z katalogu firmy Eddie Bauer – o swojskiej urodzie, nie tak onieśmielająca jak modelki z wybiegów, które zdobią okładki magazynów mody.

Wydawało się, że uroda jest cechą rodzinną McGuire'ów. Nawet gamoniowaty Hayes, którego Emily zawsze traktowała jak młodszego brata, wyrósł na mężczyznę, za którym pewnie uganiają się kobiety.

Emily czuła, że od nich odstaje, co było dość dziwne, zważywszy na fakt, że lata temu to rodzina Hollisa wyróżniała się w Nantucket i to wyłącznie z niewłaściwych powodów. Jednak to już przeszłość – teraz Emily, właścicielka rozpadającego się domku na pierwszorzędnej działce nad oceanem, nie pasowała do reszty otoczenia.

W każdym razie gdy tylko zauważyła Harper stojącą na ganku domku McGuire'ów, piękna siostra Hollisa wyciągnęła do niej ramiona i zamknęła ją w serdecznym uścisku, jakby były bliźniaczkami rozdzielonymi tuż po porodzie, które spotkały się po latach.

– Nie mogę uwierzyć, że wróciłaś! – powiedziała Harper. – Pamiętasz mnie, prawda?

– Oczywiście – odparła Emily. – Ale wyglądasz zupełnie inaczej, niż kiedy ostatnio cię widziałam.

Harper się roześmiała.

– Nie mogę się doczekać twoich opowieści. Hollis mówił, że występowałaś na Broadwayu.

Emily omiatała wzrokiem teren wokół domu, aż zobaczyła Hollisa pakującego do jeepa lodówki turystyczne i torby plażowe oraz wszystkie inne rzeczy, które matka ustawiała mu pod nogami.

– Mamo, spędzimy na tej łódce jeden dzień – zauważył Hayes, dołączając do pozostałych. – A ty spakowałaś się, jakbyśmy wyprowadzali się stąd na zawsze.

Nan poklepała Hayesa po ramieniu.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek gdzieś ugrzęźnie, synku.

– Myślisz, że gdzieś utkniemy?

Machnęła ręką i zawróciła do domu, uśmiechając się uroczo do Emily i ściskając ją za ramię, gdy ją mijala.

Emily o mały włos nie zapomniała o zaproszeniu na weekendową wyprawę łodzią, ale powitała tę odmianę z radością, pomimo chłodnego spotkania z Hollisem kilka dni temu.

Prawda była taka, że nudziła się sama w domu. Jedyłą ekscytującą rzeczą, jaka wydarzyła się przez cały tydzień, było otrzymanie kosztorysu od Jacka Walkera i natychmiastowe zatrudnienie go do prac remontowych. Nie żeby miała wielki wybór – ani jedna z osób, do których dzwoniła, nie miała wolnych terminów na tak duże przedsięwzięcie.

Jack poprosił o kilka dni na zebranie ekipy i miał nadzieję rozpocząć prace w poniedziałek.

To dobrze. Emily nie mogła chować się w domu przez kolejne dni albo wykręcać się od wyprawy na ryby/piknik/pieszą wycieczkę z Hollisem i jego rodziną.

Wiedziała, że mogłaby spokojnie spędzać czas z ludźmi, których szczerze lubi i którzy przyjęliby ją z otwartymi ramionami, ale nie należała do rodziny McGuire'ów i nic tego nie zmieni, nawet najbardziej żarliwe pragnienie.

Lepiej od początku mieć to na uwadze.

Zapewniła Jolie, że dzisiaj z nimi popłynie, a łamanie danych dzieciom obietnic z pewnością jest jednym z najgorszych przewinień na świecie.

– Emily?

– Przepraszam. – Uzmysłowała sobie, że znów buja w obłokach. – Tak, występowałam na Broadwayu. Tylko raz.

– Nie bądź taka skromna. – Harper szturchnęła ją żartobliwie. – Ilu ludzi może się pochwalić, że w ogóle trafiło na Broadway?

Może powinna być dumna, lecz w zaistniałych okolicznościach wszystko dobre, co się jej

przytrafiło, zdawało się należeć do innego życia.

– Biegasz w maratonach? – Emily przypomniała sobie, jak rozmawiano o tym na kolacji jej pierwszego wieczora w Nantucket.

Harper się roześmiała.

– Tak ci powiedzieli?

– Tak. To nieprawda?

– Prawda. Po prostu to zabawne, że bez względu na to, co robię, moja rodzina uważa maratony za moje najbardziej imponujące osiągnięcie. Tak, biegam. Pomaga mi to przewietrzyć głowę. Powinnas od czasu do czasu spróbować.

– Sądzisz, że przyda mi się wietrzenie głowy? – zapytała Emily, odpowiadając sobie w myślach, że zdecydowanie tego potrzebuje, choć wolałaby osiągnąć ten sam efekt, oglądając Netflixa albo pałaszując pół litra lodów Häagen-Dazs, zamiast przebiec milę, a co dopiero dwadzieścia sześć mil.

Nim Harper zdążyła odpowiedzieć, z domu wypadła Jolie.

– Emily! Jesteś!

Harper się cofnęła.

– Hola! Mnie tak nie witałaś, JoJo.

Jolie objęła Harper ramionami i uściskała.

– Przepraszam, ciociu Harper. To dodatkowy uścisk w ramach rekompensaty.

– Będiesz miała całe lato, żeby to nadrobić – zauważyła Harper.

– Nie całe – sprostowała Jolie. – Tylko miesiąc.

Harper potargała dziewczynce włosy.

– Dlaczego niecałe lato?

– Tato ci nie mówił?

– Nie – odparła Harper. – Dlaczego nie zostaniesz do końca wakacji?

Jolie wzruszyła ramionami.

– Bo on chyba nie chce, żebym była tu tak długo.

Harper spojrzała na Emily, która szybko przeniosła wzrok na Jolie, a później na Hollisa.

Nie zdążyły jednak zareagować, ponieważ dziewczynka uśmiechnęła się od ucha do ucha ze słowami:

– Emily, co myślisz o fotce, którą ci przesłałam? Mam milion pytań!

Emily także chciała zapytać o coś Jolie – mianowicie dlaczego Hollis miałby nie chcieć, żeby spędziła tu całe wakacje?

Jolie wsunęła rękę w dłoń Emily i ją ścisnęła.

– Lubisz ocean? Ja lubię, ale tylko z daleka. Wujek Hayes pomaga mi pokonać strach, że fala zwali mnie z nóg i wyniesie daleko w morze. – Zaczęły iść w stronę jeepa Hollisa. – Trochę się boję wypływać łódką. Ale tato na szczęście dobrze pływa. Przynajmniej mam taką nadzieję, no wiesz, na wypadek gdyby ktoś z nas wypadł za burtę.

– Jolie, biegnij po krem z filtrem – poprosił Hollis. – Zostawiłem go w kuchni na blacie.

Jolie wypuściła dłoń Emily, pozbawiając ją ciepła.

Emily stanęła zakłopotana przy samochodzie Hollisa, który upychał w bagażniku sprzęty i prowiant.

– Co z domem? – zapytał.

Nie rozmawiali ze sobą od czasu niefortunnego spotkania na chodniku pod ośrodkiem kultury. Nie chciała sprzeczać się z Hollisem – miała wrażenie, że coś w jej świecie się zepsuło. A z drugiej strony ostatnio zepsuło się jakby wszystko.

Skrzyżowała ramiona i odwróciła wzrok, łagodny wiatr mierzwił jej włosy. Wetknęła kosmyk za ucho i pokiwała głową z całkowitą obojętnością.

– Wymaga sporo pracy.

– I co zamierzasz z tym zrobić?

Wzruszyła ramionami.

– Wynajęłam fachowca.

– Tego z zeszłego tygodnia? Co o nim wiesz? – Hollis porzucił swoje zajęcie i poświęcił Emily niepodzielną uwagę, czego akurat wcale nie chciała.

– Spotkałam się z nim, wypytałam o różne rzeczy. No i jakoś mnie nie zamordował.

– Umówiłaś się z kimś jeszcze? Powinnaś była do mnie zadzwonić przed podjęciem ostatecznej decyzji.

– Nie byłam pewna, czy zechciałbyś ze mną rozmawiać po... no wiesz... – Zawiesiła głos. Umknął przed nią wzrokiem.

– Przepraszam.

Przestąpiła z nogi na nogę.

– Nie, to ja przepraszam. Nie powinnam być taka wścibska.

Jego twarz rozpogodziła się w znajomym uśmiechu.

– Wtedy nie byłabyś sobą.

– Ha, ha. – Przewróciła oczami, lecz w głębi duszy była wdzięczna za rozładowanie napięcia.

– Facet jest budowlańcem? – Hollis pewnie śledził jej dom przez lornetkę przez cały czas, gdy był tam Jack.

– Jest przedsiębiorcą inwestycyjnym – wyjaśniła.

Hollis nic na to nie powiedział.

– Jest naprawdę sympatyczny. Mówi, że łatwo się nudzi i potrzebuje jakiegoś zajęcia na lato. – Emily traciła pewność siebie. – Zresztą nikt inny się nie zgłosił.

– Emily...

Hollis zamierzał apelować do jej rozsądku, wyczuła to w jego tonie. Nie pozwoliła mu dojść do głosu.

– Celem jest wystawienie domu na sprzedaż i jak najszybsza transakcja. – *Im szybciej stąd wyjadę i zostawię to wszystko za sobą, tym lepiej.*

– Może zechcesz go zatrzymać – powiedział Hollis, spuściwszy wzrok.

– Nie ma mowy. To niepraktyczne.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie chcę domu, Hollis. – Czyżby maglował ją z zemsty za poruszenie tematu baseballu?

– To dom letni. Nie musiałybyś w nim mieszkać przez okrągły rok.

– Nie chcę mieć tu domu i kropka – ucięła. *Zresztą i tak mnie na to nie stać.*

Mijały sekundy, Hollis nie spuszczał z niej oczu i przez chwilę czuła się tak, jakby miała wypisane na twarzy wszystkie skrywane lęki, a on widział je jak na dłoni.

– Ależ się cieszę, że będziesz nam dzisiaj towarzyszyć, Emily. – Nan ponownie wyłoniła się z domu z kolejnym naręczem rzeczy do zapakowania. – Ukrywałaś się przez cały tydzień. Trochę słońca dobrze ci zrobi. – Uśmiechnęła się.

– Dziękuję za zaproszenie – odparła Emily.

Hollis wreszcie uwolnił ją od swojego spojrzenia, odebrał od matki stos ręczników i załadował je bez słowa do samochodu, a Nan pobięła robić zamieszanie przy drugim aucie. Emily próbowała nie zauważać mięśni jego ramion – a te rysowały się wyraźnie nawet na przedramionach. Kto ma tak wyrzeźbione przedramiona? Bejsboliści, oto kto. Ten widok okropnie ją rozpraszał.

Jak na razie wycofanie się ze sportu ani trochę nie zaszkodziło jego sylwetce.

– Mogę pomóc – rzucił, unikając jej wzroku.

Zmarszczyła czoło.

– W czym?

– W remoncie.

– Tylko nie to. – Czy obrał sobie za cel pilnowanie jej czujnym okiem, póki nie będzie gotowa wyjechać z wyspy na dobre?

– Dlaczego?

– Bo to głupi pomysł.

– Dlaczego?

Szukała w głowie jakichś praktycznie brzmiących powodów, ale nie znalazła żadnych, dopóki nie usłyszała szczebiotania Jolie dobiegającego z domu za jej plecami.

– Powinieneś spędzić lato z córką.

– Spędzam je z córką. – W jego głosie wyczuwało się napięcie. – Ale przypuszczam, że będzie chciała robić coś więcej niż błąkać się ze mną przez kolejne trzy tygodnie.

Czy rzeczywiście? A może pragnęła tylko jednego: lepiej poznać własnego tatę. Czy on tego nie rozumiał?

– Poza tym nie chciałbym cię martwić, ale zebranie ekipy tak późno w sezonie nie będzie łatwe.

– Późno? – Poczuła, jak przyspiesza jej puls. – Lato dopiero się zaczyna.

– Ludzie umawiają fachowców na lato z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Większość tych naprawdę dobrych jest już zarezerwowana. Czy jesteś pewna, że ten facet jest uczciwy?

Emily zacisnęła powieki i uszczypnęła się w grzbiet nosa.

Nie, nie była pewna. Niepokoiła się umiarkowanie, czy Jack Walker nie jest przypadkiem seryjnym mordercą, ale w ogóle nie brała pod uwagę, że może nie będzie umiał wywiązać się z zadania.

Hollis przyprawił ją o zawroty głowy.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i opanowała nerwy.

– Jack miał podzwonić po ludziach. Roboty mają ruszyć w poniedziałek. Jeśli będzie mu brakowało ludzi, możemy porozmawiać o wynajęciu twojej rodziny.

– O wynajęciu? Emily...

Przerwała mu Jolie.

– Znalazłam! – zawołała, wręczając tacie buteleczkę, a następnie zwróciła się do Emily. – Jedziesz z nami. W drugim samochodzie nie ma miejsca.

Emily skupiła całą uwagę na dziewczynce.

– Dla mnie bomba.

W rzeczywistości wcale tak nie było. Do tej pory niemal każdy kontakt z Hollisem był naznaczony napięciem. Jak tu zachować spokój, skoro on jednym spojrzeniem potrafił przejrzeć na wylot stwarzane przez nią pozory?

Wszyscy wpakowali się do dwóch samochodów i wyruszyli w drogę do miejskiej przystani, gdzie, jak zapowiedział Hollis, pewien jego znajomy zabierze ich na pokład Boston Whaler.

– To ładna łódź – przyznała Emily.

Hollis wygiął brew, jak gdyby chciał rzucić jej wyzwanie: czyżby wiedziała, co to jest Boston Whaler?

– Spędziłam wiele lat nad oceanem – wyjaśniła.

– Więc nie boisz się wody? – zapytała Jolie.

Emily uwolniła się od spojrzenia Hollisa.

– Ani trochę.

– Surfujesz? – zainteresował się.

– Surfuję. Pływam na desce z wiosłem. Pływam bez deski. Żegluję. – Utkwiła wzrok gdzieś w oddali. – Kocham wodę.

– Może mimo wszystko aż tak bardzo się nie zmieniłaś – zauważył Hollis z łagodnym uśmiechem wyższości.

Dotarli do przystani i ruszyli w stronę pomostu. Hollis wskazał elegancką, dużą motorówkę, białą z czerwonym dnem i nazwą Edna wypisaną na burcie czerwonymi literami.

– Tamta jest nasza – poinformował.

– Zmieścimy się wszyscy? – zaniepokoiła się Jolie.

– To outrage czterysta dwadzieścia – zauważyła Emily.

– Co to znaczy?

– Że pomieści dwadzieścia osób. – Zerknęła na Hollisa, zadowolona, że zaimponowała mu swoją wiedzą. – Twój znajomy jest właścicielem tej łodzi?

– Traktuje ją niemal jak własne dziecko. – Hollis niby z dezaprobatą pokręcił głową, ale jego mina zdradzała rozbawienie.

Jolie pobiegła w kierunku motorówki, a za nią podążyła reszta rodziny McGuire'ów. Harper przekomarzała się z Hayesem, przerzucając się żartami zrozumiałymi tylko dla nich dwojga, rodzice szli ręką w rękę.

Emily próbowała nie zsynchronizować się z Hollisem, ale stało się tak – tak samo jak wtedy, kiedy byli dziećmi. Między nią a jednym i drugim bratem był rok różnicy, zatem równie dobrze mogła zadzierzgnąć więzy przyjaźni z młodszym z McGuire'ów. Jednak to z mężczyzną krocącym teraz u jej boku zawarła pakt krwi i przyjaźń po grób, nie wspominając o niezliczonych drobnych ślubowaniach, pluciu na ręce przed wymianą uścisku dłoni, a nawet pierwszym pocałunku, jeśli można tak to określić.

Ona zdecydowanie by tak tego nie nazwała. Nadal przypisywała ten honor Tommy'emu Wayfairowi z dziewiątej klasy. Czy raczej horror.

Mieli z Hollisem tak niewiele lat, że tamten całus nie mógł się liczyć – mimo tego, że zapamiętała ów wieczór w najdrobniejszych szczegółach.

Późny wieczór po całym dniu spędzonym na słońcu. Jedli kolację w ogrodzie McGuire'ów, Nan przygotowała wielki dzban świeżo wyciśniętej lemoniady, by ugasić ich pragnienie po wielu godzinach plażowania. Cała czwórka dzieciaków zajadała się burgerami z grilla, śmiała się, bawiła w ogrodzie, pobiegła z powrotem na plażę, aż na koniec zostali na dworze tylko oni, Hollis i Emily.

Hayesa i Harper zawołano do domu – ona poszła ochoczo, on protestował.

– Mamo, mam praktycznie tyle samo lat co Hollis – biadolił.

– „Praktycznie” tyle samo nie znaczy tyle samo, młody człowieku – oznajmiła Nan, puszczając oko. – Hollis, jeszcze tylko kilka minut, dobrze?

Kobieta zaprowadziła stawiającego opór syna do domu, a Hollis klapnął na piasek, patrząc na ocean w blasku pełnego księżyca.

Emily usiadła obok niego.

– Sekret za sekret.

Hollis jęknął. Nie cierpiał większości wymyślanych przez nią zabaw, a szczególnie tej. Zasada była taka, że raz w tygodniu jedno z nich mogło zawołać „sekret za sekret”, a drugie musiało powiedzieć o sobie coś, czego nie wiedział nikt inny, albo odpowiedzieć na każde zadane pytanie. Zmieniali się i tym razem to Emily przypadła kolej zadawania pytań.

Hollis nie znosił tej zabawy, ponieważ nie znosił wszystkiego, co wymagało zdradzania swoich uczuć.

– Chłopcy nie lubią paplać – oznajmił jej rok wcześniej, kiedy wyjaśniała zasady zabawy.

– No to jak mam cię poznać, Hollisie McGuire? – zapytała.

– Wiesz już dużo – odpowiedział, ale oboje rozumieli, że te protesty są bezcelowe. Gdy Emily coś postanowiła, nie spoczęła, póki nie dostała tego, co chciała.

Zrobiło się cicho. Emily przypominała sobie wszystko, czego się dowiedziała dzięki tej zabawie i jej „głupim zasadom”, jak nazywał je jej dziecięcy przyjaciel. Na przykład, że nie lubił przyjeżdżać do Nantucket na długo, ponieważ dzieci na plaży przezywały go „białą biedotą” albo „Hollie Hobbie1”. Nie chciało mu się tłumaczyć, że Hollis to imię często nadawane w ich rodzinie, z którego w dodatku jest dumny.

I tak dowiedział się, że czasem późną nocą Emily się zastanawia, czy matka kiedykolwiek zdradzi jej, kim jest jej ojciec, boi się, że nigdy go nie pozna albo że nie będzie miała prawdziwej rodziny. W ten sposób dowiedzieli się oboje, że poza Nantucket nie mają wielu przyjaciół.

Pochodzili, co prawda, z dwóch różnych światów, ale w takich momentach Emily Ackerman i Hollis McGuire niewiele się od siebie różnili.

– Nie mam sekretów – powiedział Hollis, gdy oznajmiła, że czas na kolejną rundę zabawy.

– Każdy ma sekrety – stwierdziła.

– Ty już wszystkie moje znasz. – Przyciągnął kolana do piersi. – Nawet wiesz, że ukradłem w sklepie paczkę Skittles, a tato kazał mi ją oddać i przeprosić. Poza tobą nie wie o tym nikt, nawet Hayes.

– Sekret za sekret – powtórzyła, jakby chciała mu przypomnieć, że nie zamierza wysłuchiwać jego kiepskich wymówek: zasady to zasady.

Długo siedział w milczeniu, jak gdyby przewijał w głowie listę rzeczy, o których mógłby jej powiedzieć. Woda obmywała brzeg zaledwie parę metrów przed nimi, gdy tak oboje siedzieli w ciszy. Czasem wymyślenie czegoś zajmowało mu sporo czasu. Trzeba zacząć od tego, że był dzieckiem często pogrążającym się w zadumie, a Emily doceniała fakt, że traktował tę zabawę na tyle poważnie, iż zastanawiał się nad odpowiedzią.

Po kilku minutach milczenia Hollis znów jęknął.

– Nie chcę się dzisiaj w to bawić, Em.

– Masz jakiś sekret, widzę. – Odwróciła się do niego gwałtownie. – Zawsze wiem, kiedy myślisz o czymś, co chciałbyś mi powiedzieć. Więc mów.

Ze wzrokiem utkwionym w atramentowym oceanie wyrzucił z siebie w końcu tajemnicę, jakby była wstrząśniętą butelką wody sodowej, którą właśnie odkręcono.

– Czasem zastanawiam się, jak by to było, gdybym cię pocałował.

Emily była zbita z tropu.

– No coś ty?

Hollis nadal unikał jej wzroku.

– Tak. – Wziął do ręki kamyk i cisnął go w fale.

Zawahała się.

– To dlaczego mnie nie pocałujesz, żebyś nie musiał się dłużej zastanawiać?

Spojrzał na nią.

– Serio?

Wzruszyła ramionami.

– Czemu nie?

– Bo jesteśmy przyjaciółmi.

– I co z tego?

– Przyjaciele się nie całują.

– No tak, prawda. – Odwróciła się i przez kilka sekund siedziała bez słowa. – Ale może my jesteśmy takimi przyjaciółmi, co się całują?

Patrzył na nią błyszczącymi orzechowymi oczami, jakby bił się z myślami, czy to przypadkiem nie jakiś podstęp z jej strony.

– Nigdy się z nikim nie całowałem.

Emily spojrzała mu prosto w oczy i skrzyżowała nogi.

– Ja też nie.

Hollis powoli usiadł jak jej lustrzane odbicie. Był poważny i może odrobinę zdenerwowany, natomiast Emily nie czuła żadnego zdenerwowania... póki nie przysunął się bliżej.

– Jesteś pewna? – zapytał.

Skinęła głową. Nigdy dotąd nie myślała o pocałowaniu Hollisa, teraz jednak ciekawość wzięła górę.

Słyszała głosy na plaży gdzieś w oddali, a gdyby wsłuchała się uważniej, na pewno usłyszałaby także łomot własnego serca.

Uklęknął i pochylił się blisko. Emily zamknęła oczy, a wtedy Hollis przycisnął wargi do jej ust. Były miękkie i smakowały wiśniowymi lodami na patyku. Po kilku sekundach się odsunął, akurat w chwili, gdy jego mama wezwała go dzwonkiem do domu.

– Muszę iść – powiedział.

– Dobra. To cześć.

Odbiegł, zostawiając ją samą na plaży. Siedziała i dumiała, dlaczego całowanie się to takie wielkie meczyje. Ale myślała też o tym, kiedy to powtórzy.



*Kochana Emily,*

*porozmawiamy chwilę o całowaniu. Mam szczerą nadzieję, że odbędziemy tę rozmowę w cztery oczy, przede wszystkim dlatego, że byłoby fajnie dowiedzieć się, co o tym sądzisz. Pamiętam, że po moim pierwszym pocałunku (o którym nie powiedziałam mamie) pomyślałam sobie: to jest superdziwne. No i kto w ogóle wymyślił całowanie? Wilgotne to, jakieś takie pokraczne i wcale nie przyjemne. Na filmach pokazują to zupełnie opacznie, zapewniam... W tamtym pierwszym pocałunku nie było nic romantycznego.*

*Za to przy drugim miałam ochotę odnaleźć tego, kto wymyślił całowanie, i osobiście podziękować za tę zasługę dla ludzkości. Mam nadzieję, że Twój pierwszy pocałunek będzie cudowny i niewinny. Mam nadzieję, że nie będzie towarzyszyła mu żadna presja (ani niechciana ślina!). Mam nadzieję, że z tym poczekaasz, póki nie znajdziesz kogoś, kogo naprawdę polubisz.*

*Mam też nadzieję, że pobiegniesz zaraz potem do domu i wszystko mi opowiesz.*

*Ściskam*

*Mama*



## Rozdział 17

Proszenie o przysługę nie było w stylu Hollisa. Tym bardziej dawnych kolegów z drużyny. Być może nadejdzie czas, kiedy uzna to za rzecz absolutnie normalną, ale wycofanie się ze sportu wciąż było na tyle świeże, że wszystko, co łączyło się z baseballlem, przysparzało mu bólu, włączając w to dawnych kolegów.

Sezon trwał już od paru miesięcy, zaś Hollis wynajdywał sobie rozmaite zajęcia, byle nie myśleć o tym, co go omija.

Jednak Jimmy'ego Williamsa traktował nie tyle jak kumpla z drużyny, co starego przyjaciela.

Nie raz zbliżyło ich do siebie wspólne doświadczenie lata spędzanego w Nantucket – żaden z nich do tego miejsca nie pasował. Rodzina Hollisa przyjeżdżała tam nie na odpoczynek, tylko do pracy, a Jimmy był biednym dzieciakiem, który po raz pierwszy odkrył wyspę dzięki kościelnemu programowi pomocy dla ubogich dzieci. Nawet po tym, jak klub sprzedał Jimmy'ego do Filadelfii, utrzymywali z sobą kontakt. Pałkarz z potężnym uderzeniem, kobieciarz, Jimmy „Świrus” Williams miał krzepę i słynął z zamiłowania do imprez. Ale gdzieś po drodze spotkał Jezusa i całe jego życie się zmieniło.

Reszta chłopaków, w tym Hollis, mówiła, że długo to nie potrwa, ta cała historia z nawróceniem, ale wedle jego wiedzy Jimmy i Jezus wciąż funkcjonowali doskonale.

Po wypadku to właśnie Jimmy zjawił się przy łóżku Hollisa. To Jimmy godzinami przesiadywał w szpitalu, zabawiając go opowieściami, przeżywając z nim na nowo dni chwały, zapewniając go, że z tego wyjdzie. To stary przyjaciel Jimmy wysłuchiwał cierpliwie Hollisa, gdy ten rozprawiał się ze swoim gniewem – na samego siebie, na Boga, na cały świat.

I to Jimmy pokazał mu, jak uporać się z tym gniewem, to Jimmy pokazał mu, czym jest łaska i przebaczenie.

Bądź co bądź właśnie Jimmy poradził sobie z przehandlowaniem go do innego klubu lepiej niż każdy inny zawodnik.

– Bóg ma plan, stary – powiedział. – Ja w to wierzę.

I się sprawdziło. Hollis nie był tym zachwycony, ale fakt pozostawał faktem: Jimmy odnosił sukcesy i zakończył karierę w wielkim stylu. Później powiedział:

– Mówiłem ci, że Bóg wie, co robi. Troszczy się o mnie i o ciebie też się troszczy.

Czasem Hollis w to wierzył. Innym razem, na przykład kiedy stawał w obliczu największej przeszkody – pozyskania sympatii córki – nie był już tego taki pewien.

Hollis szedł nabrzeżem, Jolie przed nim, reszta rodziny z tyłu, Emily obok niego. Zauważywszy ich, Jimmy uniósł muskularne ramię i wrzasnął przeciągle:

– Mój kumpel, cudowny ozdrowieniec!

Hollis dotarł na koniec pomostu i wpadł prosto w szeroko rozpostarte ramiona starego kumpla. Jimmy zamknął go w niedźwiedzim uścisku, docisnął do piersi (mocno), a potem się odsunął. Hollis poklepał go po brzuchu, który, musiał przyznać, powiększył się nieco od czasu, gdy obaj grali w drużynie.

– Wciąż w formie, Świrusie.

– Ty też się nie zapuściłeś, Mack. – Jimmy położył mu ręce na ramionach i patrzył rozpromienionym wzrokiem. Nawet gdyby nie odezwał się słowem, Hollis wiedziałby, że przyjaciel jest autentycznie szczęśliwy. Zaszła w nim jakaś zmiana – już jakiś czas temu. Jimmy twierdził, że stało się to za sprawą Jezusa, i Hollis mu wierzył. Jimmy podchodził do wiary po swojemu. Bóg nie był jakimś odległym bytem w niebie, którego nie sposób pojąć ani uchwycić – dla Jimmy'ego był tak samo prawdziwy jak Hollis oraz inni chłopcy, których nazywał przyjaciółmi. Hollis dążył do osiągnięcia takiego poziomu wiary – do rzeczywistej, uchwytnej relacji z Bogiem. Czasem wydawała się osiągalna. Ale też odnosił często wrażenie, że popełnione w życiu błędy wbijały klin pomiędzy niego a Jezusa, przekreślając tę możliwość.

– Jak biodro?

Hollis zerknął na Emily, świadom, że we dwóch skupiają na sobie całą jej uwagę, i pośpiesznie zmienił temat.

- Wszystko znakomicie, Świrusie. Chciałbym cię przedstawić kilku osobom.
- Samym swoim.
- Zgadza się, samym swoim.

Jimmy w końcu wypuścił Hollisa z uścisku i zwrócił się ku pozostałym. Hollis rozpoczął prezentację, zatrzymując się na dłużej przy Jolie.

- A to jest moja córka JoJo.
- Jimmy szerzej się uśmiechnął.
- Wreszcie możemy się poznać.

Zaskoczona Jolie zamrugwała.

- To pan o mnie słyszał?
- Żartujesz? Jak byłaś malutka, twój tato obnosił się z twoimi zdjęciami po całej szatni.

Dziewczynka rozpromieniła się na króciutką chwilę, ale gdy tylko napotkała wzrok Hollisa, chłód powrócił.

Jimmy najwyraźniej nie wyczuł między nimi napięcia, ponieważ pociągnął Jolie za warkocz i powiedział:

- Całe szczęście, że odziedziczyłaś urodę po mamie.
- JoJo się uśmiechnęła.
- Nie poznał pan jeszcze Emily.
- A, tak – rzekł Jimmy. – Nowa miłość Hollisa, jak się domyślam.

Emily wybałuszyła oczy.

- Pudło.

Jimmy uniósł brew.

- To moja przyjaciółka z dzieciństwa, Emily Ackerman.
- Ackerman? Tak jak ośrodek kultury?
- Słyszałeś o nim? – zapytała Emily.

– Wszyscy go znają. Dawniej uwielbiałem spędzać tam weekendy. Zawsze coś się działo. Moja żona zapisała się na kurs ceramiki. Kupiłem jej nawet piec, z którego skorzystała ze dwa razy. – Jimmy serdecznie się roześmiał. – Byłoby lepiej, gdyby przestali organizować tam warsztaty. Przynajmniej dla mojego portfela.

Zmarszczone czoło Emily zdradzało jej konsternację.

- Piękny dzień na morską wycieczkę – wtrącił Hollis. – Dzięki za przysługę, stary.

– Chyba żartujesz! Powinniśmy byli zrobić to już wieki temu. – Jimmy wszedł na pokład, a potem pomógł Jolie. Natychmiast pognała na dziób. Po kolei wsiedli pozostali członkowie rodziny, na pomoście zostali tylko Hollis i Emily.

- Gdzie jest ster? – pokrzykiwała z dziobu Jolie.

– Poczekaj. Zaraz ci pokażę! – Jimmy pospieszył w jej stronę, a Hollis zajął jego miejsce i wyciągnął rękę do Emily.

Zawahała się, lecz w końcu podała mu dłoń. Gdy poczuł dotyk jej skóry, przeszył go dreszcz aż po czubki palców stóp. Spotkały się ich spojrzenia, oddech uwiązał mu w gardle.

Co miała w sobie ta kobieta, że tak nim zawładnęła?

Przybrał swoje najbardziej nonszalanckie oblicze.

- Chyba się nie boisz?

Wsiadła na łódź, złapała równowagę, wyprostowała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Oczywiście, że nie, Hollis. Czy ty już całkiem mnie zapomniałeś?

Pamiętał. Pamiętał wszystko, co dotyczyło Emily, łącznie z chwilą, kiedy podczas tropikalnej burzy odmówiła ucieczki z plaży. Hollis i Hayes wiedzieli, że ich mama wpadnie w furję, jeśli nie wrócą do domu, ale Emily uparła się na surfowanie „jeszcze tylko na tej jednej fali”. Jakby obce jej było pojęcie niebezpieczeństwa.

Patrząc na nią teraz, nie dostrzegął ani śladu po tamtej dziewczynie, widział inną, wprawioną w udawaniu. Ale jego nie da się nabrać. Chciała, aby wszyscy wierzyli, że wciąż jest taka sama jak kiedyś, nieustraszona i pewna siebie, on jednak dostrzegł prawdę, którą próbowała ukrywać.

*Co się z tobą stało, Emily?*

Podążając za jej spojrzeniem, zorientował się, że nadal trzyma ją za rękę. Puścił jej dłoń i z miejsca poczuł chłód na skórze.

Emily przewiesiła sobie torbę przez ramię i dołączyła do reszty grupy, z pozoru niewzruszona. Jimmy zjawił się ponownie u boku Hollisa.

– Ślicznotka z niej, Mack. Mogłaby być tą jedyną.

Hollis pokręcił głową.

– Ale nie jest.

– Co? Dlaczego? Jeśli ona nie jest dla ciebie dość dobra, to czego ty oczekujesz?

– To nie tak, Świrus, zrozumiałeś mnie na opak. Ja nie jestem dość dobry dla niej.

Jimmy parsknął śmiechem.

– Oj tam, może się nad tobą ulituje.

Wrócił na dziób, by przygotować wszystkich do całodniowej morskiej wycieczki, zaś Hollis obserwował, jak Jolie sadowi się tuż obok Emily, i zastanawiał się, czy nie irytuje tym przyjaciółki z dzieciństwa.

Sądząc po jej minie, nie denerwowało jej to ani trochę. Jolie wyjęła telefon i przeglądała zdjęcia – może ze ślubu? – a Emily zadawała pytania, skupiając na sobie całą uwagę jego córki. Jemu nigdy się ta sztuka tak dobrze nie udała.

Mama przestała wszystkich usadzać i podeszła do Hollisa. Podążyła za jego wzrokiem utkwionym w Jolie i Emily, a następnie położyła mu dłoń na ramieniu.

– Złapała niesamowity kontakt z JoJo.

– Tak – przyznał cicho Hollis. – To prawda.

– Ty też sobie radzisz, synu – dodała mama, jak gdyby wyczuwając jego frustrację, że nie potrafi nawiązać z córką bliskich relacji.

Miło ze strony mamy, że mu współczuła, nie zmieniało to jednak faktu, że nie zrobił niemal żadnych postępów, choć spędził już z córką pełny tydzień z danego im miesiąca. Zaczynał kurczyć mu się czas.

Jolie wybuchnęła śmiechem. Hollis obejrzał się na córkę, a napotkał świdrujący wzrok Emily. Może potrafiła przejrzeć go na wylot, tak samo jak on ją. Może myślała, że mężczyzna ze zdjęć ślubnych dużo bardziej nadaje się na tatę Jolie. Może uważała Hollisa za pierwszorzędnego palanta, ponieważ pozwolił, by jego córka dorastała praktycznie bez ojca, podobnie jak Emily.

I być może miała rację.

Tylko że Hollis łatwo się nie poddawał, a myśl o innym mężczyźnie przejmującym rolę taty Jolie doprowadzała go do szewskiej pasji. Musi bardziej się postarać. Dotrzymywać wszystkich obietnic. Robić więcej, niż się od niego oczekuje. Być supertatą, jeśli chce mieć nadzieję na odzyskanie własnej córki.

Oby tylko nie było za późno.

## Rozdział 18

Przyjechałam tu zaraz po ich ślubie – powiedziała Jolie. – Chcesz obejrzeć zdjęcia? – Dziewczynka zwinęła się w kłębek obok Emily i wyjęła telefon.

Rozmowa zaczęła się dość niewinnie. To znaczy Emily nie próbowała o nic wypytywać. Mimo że interesowało ją mnóstwo rzeczy, spośród których niebagatelna była kwestia, dlaczego relacja Hollisa z Jolie wydawała się tak ułonna i dlaczego Jolie sądziła, że jej tato nie chce, by została u niego na całe lato.

– Jasne – odparła Emily.

Kto by nie chciał obejrzeć fotografii ze ślubu? Zresztą chciała przy okazji zobaczyć, jak wyglądała matka dziewczynki.

Ślub był piękny. Matka Jolie, Jana, miała przepiękną suknię z odkrytymi ramionami i wyszywanym perełkami gorsetem oraz marszczoną w sam raz spódnicę. Wyglądała zachwycająco. A Jolie w żółtej sukience druhnny była uosobieniem wdzięku.

– Piękna sukienka – pochwaliła Emily. – Tyle detali.

– Tak, naprawdę ładna – przyznała Jolie. – Też chciałabyś taką? Kiedy będziesz wychodzić za mąż?

Emily się roześmiała.

– Chyba nie muszę się tym kłopotać, przynajmniej jeszcze długo.

– Serio? Czy większość ludzi w twoim wieku nie jest po ślubie?

Emily poruszyła się nerwowo. *Owszem. Jest.*

– Wydaje mi się, że małżeństwo jest nie dla mnie.

– Myślałam, że wszyscy chcą wziąć ślub.

– Chyba nie wszyscy.

Gdyby była ze sobą szczerą, może udzieliłaby innej odpowiedzi. Ale czasami szczerść okazywała się zbyt trudna.

– Byłam jedyną druhną – ciągnęła Jolie. – Ponieważ jestem ulubienicą mamy. Chciała mi pokazać, że chociaż ona ma teraz Ricka, między nami nic się nie zmieniło.

Emily spojrzała ukradkiem na Hollisa, który – niestety – wyglądał jak ktoś, z kim chciałaby nawiązać relację bliższą niż przyjacielska. Miał na sobie zwykłą szarą koszulkę, noszoną chyba już z tysiąc razy, i granatowe szorty kąpielowe. Klapki nosił chyba rzadko, niemniej tego dnia wyglądał w nich stylowo. Do tego charakterystyczne okulary pilotki i czapka z daszkiem – nie z logo jego drużyny, jak zauważyła.

– Jak często widzisz się z tatą? – zagadnęła Emily.

Jolie nadal przewijała zdjęcia w telefonie.

– Oj, prawie wcale. Jest gwiazdą baseballu. Kiedyś widywałyśmy go częściej, to znaczy ja. Nigdy nie chciał się ożenić z moją mamą. Mama mówi, że ich związek był pomyłką, ale ja na pewno nią nie jestem.

– Oczywiście, że nie. – Emily przeżuwała chwilę tę informację. – Więc nie mieszkałaś nigdy z tatą?

– On ciągle był w podróży – odparła rzeczowo Jolie. – Od czasu wypadku już go nie widziałyśmy. Mama powiedziała, że on nie jest sobą i że potrzebuje czasu na dojście do siebie. Tamtego roku chyba nawet zapomniał o moich urodzinach.

Emily czytała o wypadku. Prawdę mówiąc, myślała o nim niemal obsesyjnie. Jakiś samochód nie zatrzymał się przed znakiem stopu i uderzył w bok auta Hollisa. Roztrzaskał mu biodro, lekarze bali się, że nie będzie mógł chodzić. Baseball wydawał się pieśnią przeszłości, a jednak Hollisowi udało się powrócić do sportu.

To wtedy okrzyknięto go „cudownym McGuire’em”. Przez pewien czas wydawało się, że w pełni wyzdrowiał, ale czy doznane obrażenia mogły być powodem jego wycofania się ze sportu? Nie był przecież taki stary.

Emily nie widziała jego oczu za szklami okularów, czuła jednak, że i on na nią patrzy. Co myślał

na temat jej zaprzyjaźniania się z jego córką? Czy obawiał się, z czym Jolie może wyskoczyć?

A może pieniądze i sława zamieniły go w człowieka, którego niewiele obchodzi?

– Jeśli zdradzę ci tajemnicę, obiecasz, że nie powiesz tacie? – zapytała Jolie, w napięciu wpatrując się w Emily swoimi niebieskimi oczami.

Emily chciała powiedzieć: „Jasne, możesz mi zaufać”, ale co wtedy, jeżeli usłyszy coś, o czym Hollis powinien się dowiedzieć?

– Nie wiem, czy mogę ukrywać coś przed twoim tatą, JoJo.

Jolie się uśmiechnęła.

– Nazwałeś mnie JoJo.

– A nie powinnam?

– No coś ty. Przecież się przyjaźnimy. – Jolie wyszczerzyła w uśmiechu wszystkie zęby, a Emily po raz kolejny wzruszyła jej prawdziwość, szczerłość. – To nie jest jakiś straszny sekret. Po prostu wydaje mi się, że tato tak naprawdę wcale mnie nie chciał.

Emily ścisnęło się serce, dobrze знаła to bolesne uczucie.

– Ej, dziewczyno, nie sądzę, by była to prawda. Słyszałaś, co mówił pan Williams: tato cię kocha.

Jolie wzruszyła ramionami.

– Uważam, że jak ktoś kogoś naprawdę kocha, to znajdzie sposób, żeby z tym kimś być. Tak Rick powiedział mamie. Słyszałam, jak o tym rozmawiali. On chce mnie adoptować.

Emily kątem oka zerknęła na Hollisa. Czy on o tym wiedział?

– No proszę, a co ty na to?

– Tato jest superbejsbolistą. Ale tatą to takim sobie. Rick też tak powiedział. Tego nie możesz powiedzieć mojemu tacie.

Przez resztę popołudnia te słowa rozbrzmiewały w głowie Emily tak głośnym echem, że nie mogła się od nich uwolnić. Nie знаła obecnego Hollisa, ale nigdy by nie przypuszczała, że jest typem mężczyzny, który nie troszczy się o rodzinę. Z domu wyniósł dokładnie przeciwny wzorec.

Miał wokół siebie tak wielu ludzi – „samyh swoich”, jak powiedział Jimmy. Czy on nie rozumie, jakim jest szczęściarzem?

Choć była na niego zła, to czy z drugiej strony nie miał prawa wiedzieć o zamiarach ojczyma Jolie?

Późnym popołudniem słońce zmęczyło już wszystkich, łącznie z Jimmym, który zorganizował im tę fantastyczną morską wycieczkę.

Opłynęli cieśninę, zatrzymali się, by podziwiać latarnię Brant Point, podjadali przekąski i gotowe zestawy lunchowe przygotowane przez Bartlett's Farm i chłonęli każdy promyk słońca.

Emily spędziła większość czasu z Jolie, choć w ciągu dnia grupki się przetasowywały, dając jej okazję do nadrobienia zaległości z Harper (która, kiedy nie biegła w maratonach, zajmowała się biologią morską), pogawędki z Nan i żartów z Hayesem. Rozmawiała nawet trochę z panem McGuire'em, który nalegał, by mówiła mu po imieniu.

Na co odparła:

– Dobrze, panie McGuire.

Zabawiała towarzystwo opowieściami o swoich podróżach, delektując się uczuciem skupiania na sobie ich niepodzielnej uwagi.

Jedyną osobą, z którą nie rozmawiała, był Hollis, który niemal przez cały dzień nieco izolował się od reszty.

Dwukrotnie zauważyła, jak niezręcznie próbował znaleźć wspólny język z Jolie i dwukrotnie wydawał się kompletnie zagubiony.

Przebywając w ich towarzystwie, przypomniła sobie, co to znaczy być częścią grupy. Przypomniła sobie, jakie to uczucie być dla kogoś ważnym. Zapomniła o tym nie bez powodu.

*Muszę strzec swojego serca.*

Gdy łódź dobiła do nabrzeża, a Hollis wyskoczył, by zarzucić cumę, Emily bała się, że pod wpływem tych emocji opadnie z niej maska niezależnej, wolnej od wszelkich trosk kobiety. Przyjeżdżając tu, nie spodziewała się spotkać kogokolwiek znajomego, a już na pewno nie tego, że będą

gościć ją państwo McGuire'owie. Zawsze byli tacy serdeczni, wszyscy bez wyjątku. Przy nich człowiek czuł się tak, jakby należał do rodziny, nikt nie zadawał tam zbędnych pytań.

Ale Emily przywykła do braku przynależności. Do samotności. Ponieważ jej związki zawsze kończyły się tak samo, samotność była łatwiejszym wyborem. Nie warto narażać się na cierpienie, dlatego choć otaczała się ludźmi, nigdy nie dopuszczała ich do siebie zbyt blisko.

Rodzina McGuire'ów nie wpisywała się w ten schemat i Emily o tym wiedziała.

Potrzebowała przestrzeni. Potrzebowała poukładać sobie wszystko w głowie i przypomnieć, po co tutaj przyjechała. To nie są wakacje, ma przed sobą konkretne zadanie. Poza tym ten dzień spędzony na łodzi rzucił światło na pewne sprawy związane z Hollisem, od których ścisnęła ją w dołku.

Była zła na niego, a zarazem przez wzgląd na niego.

Gdy już wszyscy wysiedli z łodzi i pożegnali się z Jimmym, Emily zaniósła do jeepa Hollisa stos ręczników.

– Chyba się przejdę – powiedziała, patrząc, jak Hollis wpakuje do samochodu cały ekwipunek.

– Chcesz wrócić do domu na piechotę?

Nie ufając własnemu głosowi, tylko skinęła głową.

– To kawał drogi. Mogę cię gdzieś podrzucić.

Znów ściągnął brwi w znajomej trosce. Jego wzrok przygwozdził ją do miejsca na jedną, dwie, trzy sekundy... Spuściła oczy.

*Nie potrzebuję, żebyś mnie pilnował.*

Przewiesiła torbę przez ramię.

– Dziękuję, że zabraliście mnie ze sobą.

Jolie objęła Emily w pasie i mocno się przytuliła.

– A ja dziękuję, że opowiedziałas mi o aktorstwie. Zaraz po powrocie do domu wygoogluję ośrodek kultury i sprawdzę, czy przypadkiem nie zdecydowali się w tym roku na letnie przedstawienie.

Oczy Hollisa błyskawicznie spoczęły na Emily. Chyba nie miał jej za złe, że podsyca w Jolie miłość do teatru. Szybko umknął wzrokiem i zatrzasnął klapę jeepa.

– Na pewno cię nie podwieźć?

Emily mocno chwyciła za pasek torby i przycisnęła go do ramienia.

– Na pewno.

Potrzebowała powietrza. Głębokiego oddechu. Musiała przypomnieć sobie, po co tu jest. A przede wszystkim przypomnieć sobie o tym, że musi trzymać ludzi – szczególnie tych przystojnych – na peryferiach swego serca.

Jeszcze raz pomachała Jolie na pożegnanie i ruszyła w tym samym kierunku, co pozostali turyści, z nadzieją, że zgubi się w tłumie. Minęła sklepy sprzedające po wygórowanych cenach bluzy, koszulki i czapeczki z Nantucket, po czym ruszyła prosto przed siebie Broad Street. Jak mogła zapomnieć? Jak mogło wylecieć jej to z głowy?

Włókła się za grupką jednodniowych turystów, którzy podziwiali brukowane uliczki, ceglane chodniki, feerię barw w oknach wystawowych butików i sklepów. W normalnych okolicznościach wolałaby wyprzedzić ciągnącą się noga za nogą gromadkę, tym jednak razem cieszyło ją to niespieszne tempo, oglądanie Nantucket ich oczyma.

Może pomogą jej odnaleźć piękno, o którym dawno temu zapomniała.

Choć niewykluczone, że po dzisiejszym dniu będzie to dla niej najgorsze.

W jej torbie zabrzączał telefon. Emily przystanęła przed Mitchell's Book Corner przy głównej ulicy i wyjęła komórkę, spodziewając się wiadomości od Jolie, a tymczasem gapiła się na wyświetlony na ekranie numer babci. Była w Nantucket już od tygodnia, babcia dzwoniła po raz pierwszy.

Emily nie miała ochoty z nią rozmawiać. Nie była gotowa zdradzić planów związanych z domem i zdecydowanie nie chciała wyjaśniać, czego dowiedziała się na temat ośrodka kultury. Ani opowiadać Elizie Ackerman, że właśnie spędziła cały dzień z rodziną McGuire'ów. *Pamiętasz ich, babciu? Ludzi, których zawsze uważałaś za niegodnych twojego czasu? Och, a tak na marginesie, wiedziałaś, że Hollis był gwiazdą baseballu? Prawdopodobnie ma więcej pieniędzy niż ty!*

Emily usiadła na narożnej ławce i głęboko zaczerpnęła powietrza. Co ona tutaj robi? Mogła zlecieć

komuś remont i sprzedaż domu. Uniknąć tego wszystkiego – cokolwiek to było – i zająć się własnym życiem.

Mniejsza z tym, że to życie zmierzało donikąd. Że było w rozsypce. Mniejsza z tym, że nie miała dokąd pojechać.

– Pani Ackerman?

Emily nie potrzebowała oglądać się za siebie, by wiedzieć, że za jej plecami stoi Gladys Middlebury. Rozpoznała charakterystyczny zaśpiew w jej głosie. Odwróciła się i ujrzała przed sobą Gladys w największych okularach przeciwsłonecznych, jakie kiedykolwiek widziała, i z dużą torbą w rękę.

Po bliższym przyjrzeniu się zauważyła, że ciemne szkła przykrywają drugą parę okularów. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Gladys nie uszczknie co nieco ze swego okazałego konta i nie kupi sobie korekcyjnych okularów przeciwsłonecznych albo nie wypróbuje fotochromów.

Bogaci miewają dziwactwa.

– Dzień dobry, pani Middlebury.

Kobieta obesła ławkę, by Emily mogła z nią rozmawiać bez wykręcania szyi.

– Myślałam o pani wizycie.

Emily nie odpowiedziała. Odniosła wrażenie, że Gladys na coś się szykuje – może na przeprosiny? Emily pogrzebała w Internecie i odkryła, że od ośmiu lat ośrodek kultury nie przygotowywał żadnych zajęć dla dzieci. Od ośmiu lat! Biorąc pod uwagę wysokość corocznych dotacji dziadka, całkowita kwota musiała być naprawdę spora. Pewnie mogłaby pozwać ośrodek, gdyby chciała.

A może nie. Może dziadek nie miał prawa przeznaczać pieniędzy na konkretny cel. Nie miało to znaczenia – udawała, że mógł to robić, a Gladys nie oponowała.

– Rozmawiałam z członkami zarządu, oddzielnie, ponieważ nie udało się nam zorganizować zebrania. W każdym razie zgadzamy się co do tego, że należy przywrócić zajęcia dla dzieci. – Mówiła jakby przez zaciśnięte zęby. Ten pomysł wyraźnie nie przypadł jej do gustu.

– Wspaniale.

– Pierwotnie zlikwidowano warsztaty dla dzieci z powodu braku zainteresowania rodzin oraz braku personelu. – Gladys zdjęła ciemne okulary, pozostawiając na nosie tylko te korekcyjne. Gdyby nie miała takiej poważnej miny, Emily pewnie by się roześmiała.

– Może teraz będzie inaczej? – zasugerowała. – Minęło wiele lat.

– Uważamy, że pod właściwym kierownictwem mogłoby się tak stać. Będziemy musieli o takie zadbać. Nie chcemy, żeby zajęcia dla naszych dzieci prowadził byle kto. Reżyserka, którą mieliśmy tu ostatnio, kazała dzieciom się całować podczas przesłuchań do *Pięknej i bestii*.

Emily zmarszczyła czoło.

– Żartuje pani...

– Twierdziła, że musi „ocenić chemię między Piękną i Bestią”. Może pani sobie wyobrazić telefony, które odbieraliśmy w tej sprawie. To były dzieci! Okazuje się, że nie każdy, kto chwali się umiejętnościami reżyserskimi, rzeczywiście je posiada. – Gladys wygięła brew w łuk, a po chwili jakby zebrała myśli. – Potrzebny nam ktoś z pasją, pani Ackerman.

– Zgadzam się. I sądzę, że uda się wam znaleźć taką osobę, jeśli pokażecie, że jesteście skłonni potraktować te zajęcia priorytetowo. Jeżeli reżyser będzie czuł, że znalazły się w programie tylko po to, by udobruchać donatora, nic z tego nie wyjdzie.

– Zgadzamy się. – Gladys zacisnęła usta w wąską kreskę. – I zobowiązujemy się do udzielania pani pełnego wsparcia.

Emily się wyprostowała.

– Mnie?

– A komuż by innemu? – Gladys zadarła podbródek. – To pani nas besztala, rozprawiając o tym, jak bardzo są potrzebne dziecięce spektakle – powiedziałabym, że wręcz mówiła pani o tym z pasją – i podobno zdobywała pani szlify na Broadwayu.

Emily uniosła ręce w obronnym geście.

– Nic z tego, pani Middlebury. Przepraszam, ale ja nie mogę...

– Działając na ostatnią chwilę, nie mamy innego wyboru. Z pewnością miała pani na względzie dzieci z Nantucket, mówiąc, że tego potrzebują. Proszę pomyśleć o nich.

Emily przemknął przed oczami obraz uśmiechniętej Jolie. Nie. Nie z taką intencją wparowała tamtego dnia do ośrodka kultury.

– Przykro mi, ale przyjechałam tu doprowadzić do porządku dom dziadków i go sprzedać, zajmie mi to praktycznie całe lato.

– Chwała Bogu – skomentowała Gladys. – Ten dom kłuł w oczy... nie wie pani, ile razy... – Pokręciła głową. – Och, mniejsza z tym. Nie wiem, co powiedzieć, pani Ackerman. Uważamy, że to jedyna możliwość. Jeśli chce pani wskrzesić dziecięce spektakle, będzie pani musiała je reżyserować. – Kobieta się wyprostowała. – A skoro nie może pani podjąć się tego zadania, akceptuje pani przeznaczenie pieniędzy dziadka na to, co uznamy za stosowne.

Emily odwróciła wzrok. Pomysł był koszmarny. Nigdy nie pracowała z dziećmi. W dodatku jej jedyna próba reżyserska skończyła się potężną klęską i drenażem kieszeni. Pogodziła się z faktem, że nie jest nauczycielką, tylko aktorką. Odtwórczynią ról. Udawaczką. Ale udawać, że potrafi się reżyserować dziecięce przedstawienie? To już przesada.

Z drugiej strony lubiła dzieci. Pomyślała o Jolie i o tym, jakie to może okazać się dla niej ważne... i o Hollisie. Mogliby zyskać w ten sposób jakże potrzebny czas, może nawet naprawić to, co się między nimi wyraźnie zepsuło.

Tyle że nie przyjechała do Nantucket po to, by cokolwiek naprawiać. Przyjechała tu z konkretnym zamiarem dania sobie w życiu drugiej szansy – i opuszczenia tej budzącej złe wspomnienia wyspy najszybciej, jak się da.

– Proszę się zastanowić, pani Ackerman, i do poniedziałku poinformować mnie o swojej decyzji.

– Czyli za dwa dni.

Gladys uniosła brew.

– Zawsze można odłożyć tę sprawę do przyszłego lata, zakładając, że nasz ośrodek będzie nadal otrzymywał wsparcie finansowe z majątku pani dziadka.

Emily znów pomyślała o Jolie. Może i nie przyjechała tu niczego naprawiać, ale skoro mogłaby pomóc, czy nie wypadałoby tego zrobić?

*Kiedy trafisz na coś, o co warto walczyć, walcz.*

Ta rada zawsze ją mobilizowała. Ośmieliła do podjęcia działań. Ale czy matka nie miała na myśli czegoś innego: równości, sprawiedliwości, czegoś godnego zaangażowania?

Z pewnością nie chodziło jej o teatr dla dzieci. Kto walczy o dziecięcy teatr?

A jeśli walka o niego odmieniłaby życie jakiegoś dziecka, tak samo jak zdarzyło się to w jej przypadku?

Gdy tylko ta myśl zaświtała jej w głowie, inna od razu zepchnęła ją na margines. *A jeśli znów mi się nie uda?*

Chciało się jej wyć. Nie było tu dobrej odpowiedzi. Poza tym Emily nie jest nauczycielką. Ani nawet typem osoby, której większość rodziców chciałaby powierzyć swoje dzieci – jest jedną wielką porażką.

– A więc? – Z głosu Gladys sączyło się zniecierpliwienie.

– Pomyślę – odparła Emily.

– Doskonale.

Gladys przeszła na drugą stronę ulicy, powoli stąpając po nierównym bruku w swoim praktycznym obuwiu, które było pewnie „dobre na artretyzm”.

Co powiedziałyby na to matka, gdyby tu była i mogła wyrazić swoją opinię?

Emily nie musiała się zastanawiać – co prawda nie rozmawiała z nią od osiemnastu lat, ale listy dały jej obszerny wgląd w to, jaką mama była osobą. Słowa na papierze, zamrożone w czasie, kreśliły wyraźny obraz Isabelle Ackerman i właśnie pod jej wpływem Emily zamieniła się w poszukiwaczkę przygód. Wiodła życie, którego chciała dla niej matka, a które nigdy nie było jej dane.

Nie zatrzymała się nigdy nad myślą, co by się stało, gdyby nagle się jej odwiedziało.

Isabelle prawdopodobnie tak odpowiedziałyby na propozycję Gladys: „Zrób to, Emily. Poradzisz



sobie doskonale, a nawet jeśli nie, przeżyjesz fantastyczną przygodę, wprowadzając dzieciaki w świat teatru. Nie wyobrażam sobie bardziej odpowiedniej do tego osoby – masz w sobie wielką pasję”.

Emily by argumentowała, że nie potrafi pracować z dużą grupą, że nie ma pojęcia, jak zainteresować małe dzieci, i ma zbyt wiele na głowie, by w pełni się zaangażować i dać z siebie wszystko.

„Ale co dałoby szczęście twojemu sercu?” – zapytałaby matka.

Wtedy Emily z żalem by się wycofała, ponieważ nie pamiętała, kiedy ostatnio jej serce było szczęśliwe.

Zresztą o takich rzeczach głośno się nie mówiło.



*Kiedy będziesz przytłoczona*

*Kochana Emily,*

*to żadna tajemnica, że nie byłam przygotowana na zostanie matką w wieku osiemnastu lat. Tak naprawdę zastanawiam się, czy ktokolwiek bywa przygotowany do tej roli, w każdym razie ja wiem na pewno, że nie byłam. Tak wielu rzeczy nie wiedziałam. Tak wiele trzeba było się nauczyć, a Ty nie urodziłaś się, niestety, wyposażona w instrukcję obsługi.*

*Popelniałam wiele błędów. Pewnego dnia szykowałam się do wyjścia z domu, a Twój fotelik samochodowy wraz z Tobą przypiętą pasem jakimś cudem spadł z kuchennego blatu i wylądował na podłodze z Tobą wrzeszczącą wniebogłosy.*

*Do dziś nie mam pojęcia, jak to się stało, za to już nigdy nie postawiłam fotelika na blacie.*

*Błędem poświęciłam inny list, ten jest o uczuciu przytłoczenia – o wrażeniu, że coś nas przerasta. W którymś momencie wszyscy tego doświadczamy, często codziennie, tak jak ja w tamtych pierwszych latach. (Tak, latach. Okazuje się, że dzieci rosną i ciągle się zmieniają, co rusz pojawiają się nowe wyzwania, na przykład ząbkowanie, nauka chodzenia albo siadania na nocniku. Później będą to randki, makijaż, chłopcy. Wtedy też będę pewnie popełniać błędy).*

*Wygląda na to, że ciągle coś mnie przerasta. Ale jedno wiem na pewno: potrafię dużo więcej, niż zazwyczaj mi się wydaje. Tylko muszę mierzyć się z każdym problemem po kolei. Kiedy spiętrzę je sobie wszystkie naraz, przestają funkcjonować. Dlatego w danym momencie skupiam się na najbardziej palącym problemie. Gdy go rozwiążę, przechodzę do następnego. Oczywiście nie działa to w każdym przypadku – nie da się w ciągu jednego dnia zaprowadzić pokoju na świecie – za to problemy, które wpływają na naszą codzienność, można rozwiązywać po kolei.*

*Nie zawsze zgadzam się z Twoimi dziadkami, ale dziadek lubi powtarzać: „Jak zjada się słonia? Po kawałku”.*

*A więc kiedy poczujesz się przytłoczona, podziel wszystko na kawałki... i pamiętaj, żeby przeżuwać powoli i każdy porządnie przetrawić.*

*Ściskam*

*Mama*

## Rozdział 19

Lipiec 1989

Upłynęły niemal trzy pełne dni, zanim Isabelle zdołała wyrwać się z domu na tyle długo, by poszukać JD. Po upokarzającym zabraniu jej siłą z plaży wieczorem czwartego lipca rodzice ją uziemili i odebrali wszystkie przywileje do końca lata.

Błagała ich, żeby spotkali się z JD, żeby dali mu szansę, zdjęli klapki z oczu i dopuścili do siebie myśl, że być może – tylko być może – porządny z niego chłopak.

– Żaden „porządny chłopak” nie zachęcałby naszej córki do związku bez naszej wiedzy – zawyrokowała mama.

Ponieważ mama poszła na kolejny idiotyczny lunch, a tato wybrał się na ryby ze swoim współnikiem, który przyjechał tylko na jeden dzień, Isabelle wskoczyła na rower i popedałowała do klubu w nadziei spotkania JD i porozmawiania z nim choćby przez kilka minut, nim będzie musiała pędzić z powrotem do domu.

Gdy dotarła na miejsce, nigdzie go nie było. Jeb siedział na zewnątrz przy stole piknikowym, zajadając hot doga z frytkami.

– Isabelle? – Rzucił jej przez ramię spojrzenie, jakby rozmowa z nią mogła wpędzić go w tarapaty.

– Gdzieś tu jest?

Jeb wstał, podszedł do niej i poprowadził ją w stronę wejścia dla personelu, z dala od czujnych oczu, tak jakby jej rodzice mieli szpiegów rozsianych po całej wyspie.

Co, szczerze mówiąc, prawdopodobnie miało miejsce.

– Nie powiedział ci? – zapytał półszepem Jeb.

– O czym?

– Zwolnili go dwa dni temu. Pewnie jest w domu.

– Zwolnili? – Isabelle miała ochotę krzyknąć. – Czy to sprawka moich rodziców?

Jeb wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

Z całą pewnością maczali w tym palce.

– Jak on się miewa?

– Myślę, że miewałby się lepiej, gdyby cię zobaczył.

Isabelle zerknęła na zegarek. Jak długo matka będzie poza domem?

Doszła do wniosku, że ma to w nosie. Zaryzykuje wpakowaniem się w jeszcze większe kłopoty, byle tylko spotkać się z JD.

– Dzięki, Jeb – zawołała, biegnąc do roweru, po czym pędem pomknęła do wynajmowanego domku letniskowego JD.

Dojechała na miejsce, rzuciła rower na ziemię i zapukała do drzwi. Po kilku długich sekundach otworzyły się i stanął w nich JD, rozmamłany, ale tak samo przystojny.

Na jej widok rozjaśniły mu się oczy.

– Co ty tu robisz?

Gwałtownie szarpnął siatkowe drzwi i przyciągnął ją do siebie, całując tak, jakby miał to być ich ostatni raz, jak gdyby wyobrażał sobie tę chwilę od wielu dni.

– Musiałam się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku – powiedziała.

– A twoi rodzice...?

– Nie wiedzą, że tu jestem.

Zrzedła mu mina. Może sądził – a raczej miał nadzieję – że zmienili zdanie.

Pocałowała go, chłonęła, uświadamiając sobie w jednej sekundzie, jak bardzo za nim tęskniła, jak bardzo go kocha.

– Mam szlaban na wyjścia – oznajmiła, odrywając się od niego. – Powiedzieli, że nie mogę się z tobą więcej spotykać.

JD przeczesał dłonią włosy.

– W takim razie nie powinno cię tu być.

Do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie mówisz tego serio.

Odwrócił się.

– Nie chcę dawać im kolejnych powodów, by jeszcze bardziej mnie znienawidzili, Bella. Chcę, żeby mnie pokochali... żeby pokochali nas oboje.

Pokręciła głową.

– Nic z tego. To się nigdy nie stanie.

Usiadł na kanapie i wziął ją w ramiona. Jej serce przepełnił niewypowiedziany smutek.

– To jest nie w porządku – powiedziała wreszcie.

– Ale wiedzieliśmy, jak jest. Wiedzieliśmy, że to nie może trwać wiecznie.

Otarła spływającą po policzku łzę.

– Ale dlaczego? Bo nie jesteś bogaty? To głupie. To nie jest rok tysiąc osiemset dziesiąty.

Odsunął się, zmuszając ją do spojrzenia mu w oczy.

– Posłuchaj, Bella. Kocham cię. Najbardziej na świecie. I jeśli wykombinuję jakiś sposób, żebyśmy mogli być razem, to wcielę go w życie. Obiecuję.

Kciukiem otarł jej łzy, po czym przysunął wargi do jej ust, całując ją delikatnie, powoli, jak często dotąd. Delektowała się chwilą, modląc się w duchu, by nie był to ostatni raz.

Objęła go za szyję i do siebie przyciągnęła, czując, jak wzbiera w niej gniew na rodziców na myśl, że może go stracić.

– Nie mogą mną rządzić – rzekła.

– Może jeszcze przez pewien czas mogą – odparł.

– To nie w porządku.

Uśmiechnął się smutno i przycisnął czoło do jej czoła.

Pocałowała go ponownie. I jeszcze raz. I znów. Coraz bardziej gorączkowo, z coraz większą intensywnością.

Nie wiedziała, co doprowadziło do tego, co wydarzyło się później: czy odkryta na nowo skłonność do buntu, złość na rodziców czy fakt, że naprawdę wierzyła, że kocha JD tak, jak nigdy nikogo nie kochała.



Isabelle podciągnęła pościel pod brodę i tuliła ją do siebie w objęciach JD. Pocałował jej nagie ramiona. Zamknęła oczy, mając świeżo w pamięci to, co się właśnie stało.

Ogarnęło ją poczucie winy – ale nie żal. Czy po prostu dali się ponieść chwili? Czy miłość do niego porwała ją do tego stopnia, że opuścił ją zdrowy rozsądek? A może musiała udowodnić coś rodzicom, którzy postanowili traktować ją tak, jakby wciąż była dzieckiem?

Nie знаła odpowiedzi – wiedziała tylko, że nic się już nie odstanie.

– Wszystko dobrze? – spytał cicho. – Wydajesz się smutna.

Spojrzała mu w twarz i wyrzuty sumienia w mgnieniu oka zniknęły. Kochała JD, bez względu na to, co powiedzą rodzice.

– Tak, ale muszę już iść.

Pocałowała go jeszcze raz i pozbierała ubrania, żalując, że nie może spędzić z nim reszty dnia, zamiast wracać do domowego więzienia Ackermanów.

Odgarnął jej włosy z twarzy i czule ją pocałował.

– Kocham cię, Bella.

Uśmiechnęła się.

– Ja ciebie też.

Nie wiedziała, co prawda, kiedy zobaczy go ponownie, wiedziała jednak, że stanie się to na pewno.

## Rozdział 20

W poniedziałek rano Hollisa obudził psi język liżący go po twarzy – doznanie, którego nie sposób z niczym pomylić. Nic nie wytrącało go ze snu szybciej niż mokre, obślinione całusy Tilly.

Poklepał ją po głowie i podrapał za uszami, póki z zadowoleniem nie uznała, że jest wystarczająco obudzony, by ją wyprowadzić.

Wciągnął na siebie wczorajszą koszulkę, zszedł na dół i poczłapał na dwór za psem, świadom, choć dopiero zaczynało świtać.

– Co tak wcześnie, Tilly? – gderał, idąc za nią na plażę. Zerknął na pograżony w ciemności dom Emily i zastanawiał się, czy rozwiązała problem spania w domu zamiast na zewnątrz.

Tilly pobiegła w stronę oceanu. Hollis zagwizdał, na próżno. Zazwyczaj go słuchała: czyżby zwietrzyła jakieś zwierzę?

Niechętnie ruszył za nią na wydmy, a brodząc w porastających je trawach, dostrzegł stojącą na brzegu Emily. Spoglądała na ocean i powolutku wyzierające zza horyzontu słońce.

Wiedział, że lada chwila ich zauważą, sycił się więc każdą sekundą. W białych szortach i białej, wydymającej się na wietrze koszuli była kwintesencją piękna.

Emily nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody. Z tego, co zrozumiał, spędzała życie, przenosząc się z miejsca na miejsce niczym motyl szukający bezpiecznego spoczynku. Wzniosła wokół siebie mur i choć doskonale opanowała sztukę odpychania od siebie każdej osoby, która próbowała się do niej zbliżyć, za każdym razem, kiedy się najeżała albo zamykała w sobie, on tym bardziej pragnął ją poznać.

Tilly podbiegła do Emily, trącąc nosem jej rękę. Emily uklękła, potarmosiła psa za uszy, następnie podniosła wzrok i ujrzała wpatzonego w nią Hollisa.

Nie zaszło między nimi nic złego, a mimo to odczuwało się jakieś napięcie, jakby byli ze sobą związani mocno naprężoną liną. Nie bardzo pojmował, w czym rzecz. Od wycieczki Emily zachowywała się wobec niego oschle, odmówiła, gdy zaproponował, że podwiezie ją do domu, dlatego postanowił dać jej trochę swobody.

Teraz jednak stali obok siebie, jak gdyby świat znów rzucił ich ku sobie. Hollis nie mógł opędzić się od myśli, jak bardzo pragnie dotknąć jej skóry.

– Hej – powiedział.

– Hej.

– Wcześnie wstałaś.

Poklepała Tilly.

– Lubię oglądać wschód słońca.

On też powinien częściej wstawać o świcie.

– Jest naprawdę niesamowity – przyznał.

– Ranny z ciebie ptaszek? – zapytała.

Stał obok niej, zwrócony twarzą do oceanu.

– Już nie.

– Od kiedy wycofałeś się ze sportu?

Zerknął na nią z ukosa, lecz ona nie patrzyła w jego stronę.

– Hej, wszystko między nami w porządku?

Odwróciła się do niego z szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

– Co masz na myśli?

Unikał jej wzroku.

– Bo jest... jakoś dziwnie.

Wzruszyła ramionami.

– No wiesz, dziwnie tutaj wrócić i nie znać żywej duszy. W dodatku robię idiotyczne rzeczy, na przykład wtykam nos w twoje życie osobiste i próbuję nakłonić cię do opowiadania o baseballu, na co ty wcale nie masz ochoty.

– Mówiłem ci, że to żadne wielkie halo. – Schylił się po kamyczek i cisnął go w fale. – Po prostu

nadal trudno mi o tym mówić. – Czuł na sobie jej spojrzenie.

– Ponieważ nie chciałeś odejść?

Czy naprawdę zamierza się do tego głośno przyznać?

Nikt nie znał szczegółów jego rezygnacji ze sportu, ale Emily miała w sobie coś szczególnego, nawet po tylu latach. Czuł, że w pewnym sensie nikt nie zna go lepiej niż ona, choć w gruncie rzeczy wcale go nie znała. Wbił wzrok w piasek przed stopami.

– Tak.

– Wszystko przez wypadek?

– Chcieli, żebym wrócił: trenerzy, kumple z drużyny... ja sam. – Rety, nienawidził o tym opowiadać. – Pragnąłem tego bardziej niż ktokolwiek.

– Przecież wróciłeś – zauważyła, otulając się ramionami, gdy podniósł się wiatr od oceanu.

– Tak, byłem cudownym ozdrowieńcem.

– To budujące.

– Ale nieprawdziwe. – Rzucił Tilly patyk. – To znaczy, owszem, wróciłem, choć lekarz mnie przed tym przestrzegał. Byłem potwornie uparty. Nie posłuchałem. Nie chciałem, żeby ktoś mi dyktował, co mi wolno, a czego nie. – A jednak. Głośno się do tego przyznawał. – Podczas pierwszego meczu byłem w siódmym niebie, niesamowite przeżycie. Tłum oszalał, kiedy wbiegłem na boisko.

– Wierzę. Byłam tam.

– Co?

Emily nie przestawała wpatrywać się w ocean.

– Byłam tam. Wśród wiwatującego tłumu. – Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Niemożliwe. – Słowa wyrwały się praktycznie szeptem. – Dlaczego do mnie nie podeszłaś?

Machnęła ręką.

– Raczysz żartować. Byłeś wielką gwiazdą. Nawet nie wiedziałam, czybyś mnie sobie przypomniał.

– No...

Co miał na to odpowiedzieć? Przecież nie wiedział, jak by zareagował, gdyby zobaczył ją na meczu. Po wypadku nie był w najlepszej formie, nawet wtedy, gdy okrzyknięto go cudownym ozdrowieńcem. Ostatnie cztery lata w pierwszej lidze pamiętał jak przez mgłę – były pasmem bólu, łykania lekarstw, fizjoterapii i podłych nastrojów, a ostatecznie puszczenia go kantem przez drużynę, której poświęcił swoje najlepsze lata.

Pogodził się z tym wszystkim, kiedy jego życie powróciło na właściwe tory, kiedy znów zaczął rozmawiać z Bogiem. Dlaczego więc ból i wstyd wciąż były tak świeże, nawet wiele miesięcy później? Tego oblicza nie chciał pokazywać nikomu.

Próbował sobie przypomnieć wszystko, czego nauczył się w ciągu minionego roku, co Jimmy pomógł mu sobie uświadomić: że złe decyzje nie czynią człowieka złym, że Bóg mu wybaczył, że wciąż ma przed sobą kawał życia.

Druga szansa z Jolie to, jak ujął to Jimmy, dar od Boga. „Nie schrzań tego, Mack”. Tak jakby w chwili, gdy znów nawiąże relacje z Jolie, będzie mógł wreszcie zostawić za sobą pozostały ból.

Zdarzały mu się momenty, kiedy był pewien, że już sobie wybaczył, lecz ostatnimi czasy był pewien czegoś przeciwnego: że przebaczenie to ostatnia rzecz, na jaką zasługuje.

– Szkoda, że cię wtedy nie widziałem, tak po prostu – powiedział w końcu.

– Byłam na kilku twoich meczach. Musiałam się przekonać, czy cały ten szum jest uzasadniony.

Wreszcie się do niego uśmiechnęła. Wcześniej wpatrywała się w fale.

– No i?

– Na pierwszym meczu, na który się wybrałam – w jakiejś drużynie przed Major League – zaliczyłeś wszystkie bazy, gdy po raz pierwszy byłeś przy kiju. – Lekko się zmieszała.

Pamiętał. Pierwszy raz przy piłce w lidze farmerskiej i poradził sobie fantastycznie. Po tym meczu go przywrócili. Było to jedno z tych wspomnień, które usunął z pamięci, kiedy wszystko stracił – świadomość, że już nigdy się tak nie poczuje, za bardzo bolała.

A jednak jego żołądek fiknął koziołka na myśl o tym, że oglądała mecz, widziała go w szczycie

formy, zanim wypadek odarł go ze wszystkiego.

– Szkoda, że o tym nie wiedziałem.

Milczeli przez kilka sekund, obserwując, jak słońce powoli wznosi się nad horyzont. Tilly straciła zainteresowanie patykiem i ściagała teraz fale, biegnąc tam i z powrotem.

– Sekret za sekret – powiedziała nagle Emily.

Czas się zatrzymał. Znowu byli dziećmi dzielącymi się każdą myślą, nawet taką, która ich peszyła, jak na przykład wtedy, gdy przyznał, że chciałby ją pocałować.

Tamten pocałunek był słodki i niewinny dla obojga. Dlaczego nie mogli zatrzymać tamtej chwili? Dlaczego wszystko musiało się tak drastycznie zmienić?

– Znasz moje zdanie na temat tej zabawy – powiedział.

Wzruszyła ramionami.

– Sekret za sekret – powtórzyła.

– Kto powiedział, że teraz twoja kolej na zadawanie pytań?

– Ja wymyśliłam zasady.

– Więc może każde z nas zada po jednym pytaniu i będziemy kwita? – To propozycja fair, zgadza się? Niech i ona trochę się pogimnastykuje.

Długo nie odpowiadała.

– Twoja kolej przypadnie następnym razem. Innego dnia.

Roześmiał się.

– Już to widzę.

– No dobra, niech ci będzie. Co chcesz wiedzieć?

Stał nieruchomo przez bite dziesięć sekund, przyglądając się jej badawczo.

– Chcę wiedzieć wszystko, Emily.

Zmienił się wyraz jej twarzy, przestąpiła z nogi na nogę. Nie powinien był tego mówić. Poczula się niezręcznie. I nieważne, że powiedział prawdę.

– Rozumiesz, nie widzieliśmy się całe wieki, mamy sporo zaległości – dodał, próbując zbagatelizować sytuację.

– Racja. Ale pamiętaj, nie chcę być wścibska.

Wyszczrzył zęby.

– Tak, jasne.

Ołowiana chmura się rozproszyła, zeszło napięcie. Ciemność ustąpiła miejsca porannemu słońcu, chwila przeminęła.

Emily umilkła, a Hollis oparł się pragnieniu wzięcia ją za rękę, jak gdyby mógł w ten sposób wygładzić na jej czole bruzdę strapienia.

Trąciła go ramieniem.

– No, Mack, wiem, że masz to na końcu języka.

Długo wpatrywał się w wodę, a potem głęboko westchnął.

– Nie wycofałem się tak po prostu – wykrztusił wreszcie. – Poprosili mnie, żebym odszedł.

Czuł na sobie jej spojrzenie – uważne, zaciekawione. Czy wkrótce pojawi się w nim także krytyka?

Czasem mawia się, że dobrze powiedzieć coś na głos, wyrzucić to z siebie. Nie tym razem. Nie mógł znieść słów, które zawisły w powietrzu, szargając mu opinię. Wolałby nadal być bohaterem, który tamtego dnia zaliczył wszystkie bazy. Który na przekór wszystkiemu powrócił na boisko w wielkim stylu.

– Z powodu odniesionych obrażeń?

Pokiwał głową. Nie chciał ciągnąć tematu, ale rozmawiał z Emily – swoją Emily. Jeśli miałby powiedzieć o tym komukolwiek, to właśnie jej. Poza tym była nieustępliwa. Nie pozwoli mu teraz milczeć.

– Zapłaciłem lekarzowi, żeby wydał mi zgodę. – Znowu wbił wzrok w ziemię, tym razem dlatego, że wstyd przyznania się do przekupstwa był zbyt ciężki do udźwignięcia.

Emily milczała.

– Wypisywał recepty, leki umożliwiały mi grę, ale w końcu spustoszenia w moim organizmie stały się aż nadto widoczne. Zaczęli stopniowo skracać mi czas gry, aż wreszcie pewnego dnia oznajmili, że to koniec. Tłumaczyli, że to dla mojego własnego dobra. – Wyczuł w piasku kamyk, wygrzebał go i cisnął w fale. – Trochę... się pogubiłem.

– Dlatego tu jesteś? Żeby na nowo się odnaleźć?

– Nie wiem. Przyjechałem tu pewnie dlatego, że nie miałem gdzie się podziąć.

– Rozumiem.

Wcisnął dłonie do kieszeni.

– Nikt o tym nie wie, nawet moja rodzina. Tabletki stały się dla mnie protezą.

Odwrócił wzrok. Jak to możliwe, że głośno się do tego przyznał? Tylko Jimmy znał koszmarny szczegóły jego odejścia ze sportu.

– Byłem wściekły, słowo daję. Nie żyłem tak, jak powinienem, ale zawsze wierzyłem, że Bóg chce dla mnie jak najlepiej. Więc jak mógł dopuścić do wypadku, jak mógł pozwolić, bym stracił wszystko, na co zapracowałem, wszystko, co kochałem?

Emily niemal niezauważalnie pokiwała głową.

– Zastanawiałam się nad tym samym.

Oczywiście, przecież straciła matkę. W porównaniu z tamtą tragedią jego rozpacz z powodu zakończenia kariery wydawała się płytka.

– Pomógł mi Jimmy – dodał. – Nauczył mnie, że czasem trzeba utracić wszystko, żeby zrozumieć, co naprawdę się w życiu liczy. To niełatwa lekcja. Zwłaszcza że wcześniej nie poświęcałem czasu temu, co ważne, na przykład Jolie.

Emily milczała przez kilka sekund, wreszcie spojrzała w jego stronę.

– Przykro mi, Hollis.

Wzruszył ramionami, jakby to wszystko nie miało znaczenia, podczas gdy w rzeczywistości znaczyło bardzo wiele.

– Postępowałem głupio. Powinienem być posłuchać. Skończyć z tym zaraz po wypadku, zamiast zgrywać bohatera.

Może już wtedy, lata temu, zrozumiał, co jest w życiu ważne. A mimo to dokonał innego wyboru. Był uparty jak osioł, pełen pychy, lekcewał wszystkie rady.

I co zyskał, kupując sobie ten dodatkowy czas w lidze? Mnóstwo cierpienia oraz ból biodra i nogi, który pozostanie z nim na zawsze.

– Poprosili, żebyś się wycofał?

Przytaknął, starając się ze wszystkich sił nie powracać do tamtych wspomnień. Do wyników wyrywkowego testu antydopingowego w rękę jego managera. Do zeznania podpisanego przez lekarza, którego jeszcze tego samego dnia zwolniono z pracy. Wszystko to było czarną plamą wstydu na lśniącej poza tym kartotece.

– Odszedłem z nieskalaną reputacją.

Tylko co mu po reputacji, skoro to, co ważne, przepadło?

Miała więcej pytań, widział to. Ale reguły tej zabawy były jasne. Nie wolno jej było go sondować – mogła jedynie pozwolić mu mówić. A powiedział już dość.

– No cóż, trudne wyznanie jak na początek dnia.

– Być może, jednak cieszę się, że mi powiedziałeś.

Delikatnie obrócił głowę w jej stronę.

– Ty i te twoje głupie zabawy.

Roześmiała się cicho, prawie niesłyszalnie. Stała zwrócona twarzą do oceanu, wdychała słone powietrze.

– Ależ tu pięknie.

Objął ją wzrokiem, przyglądał się jej profilowi.

– Tak, pięknie.

Gdy napotkała jego spojrzenie, wyobraził sobie, że jest to dla niej jasne, że wcale nie mówił o wschodzie słońca.



Gdy stała na plaży obok Hollisa, tak wiele myśli kłębiło się jej w głowie. Znajdowali się niemal w tym samym miejscu, gdzie wiele lat temu pocałował ją po raz pierwszy (i ostatni). A teraz wyznał coś, o czym nie wiedział prawie nikt.

Jeszcze niedawno obijali się o siebie niczym obcy ludzie, których kiedyś łączyła przyjaźń, teraz jednak czuła, że Hollis jest jej bliższy niż ktokolwiek.

Chciała dowiedzieć się więcej o Jolie. Zrozumieć, jak ojciec może opuścić córkę – chciała, by otwarcie o tym powiedział, ponieważ pozwoliłoby mu to być może na szersze spojrzenie, ale przede wszystkim po to, by jej samej rozjaśniło się w głowie. W końcu zawsze się zastanawiała, jak mógł porzucić ją jej własny ojciec.

Ale Hollis milczał. Przynajmniej na razie.

– Ta kobieta z ośrodka kultury chce, żebym pokierowała dziecięcym spektaklem – powiedziała, uznając, że to temat, który można bezpiecznie poruszyć o brzasku na plaży, podziwiając wschód słońca u boku najprzystojniejszego spośród znanych jej mężczyzn.

– Tak? – zwrócił się w jej stronę. – Zamierzasz to zrobić?

Wzruszyła ramionami.

– A powinnam? Wiesz, nie przyjechałam tu dla wskrzeszenia dziecięcego teatru.

– Nie, ale nie możesz spędzić całego lata we własnych czterech ścianach.

– Dlaczego? – zapytała, nie dając po sobie poznać, że przyznaje mu w duchu rację. Już była okropnie znudzona remontem.

– Będziesz tylko zawadzać.

Roześmiała się i sprzedała mu kuksańca.

– Wyobraź sobie, że miałam na studiach zajęcia z budowy dekoracji.

– Serio? Założę się, że okulary ochronne były superwygodne i seksowne.

Znow parsknęła śmiechem.

– Prawdę mówiąc, szło mi beznadziejnie. Interesowała mnie tylko scena.

Przez jego twarz przemknął wyraz zadumy.

– Szkoda, że nie widziałem cię nigdy na deskach teatru. Założę się, że byłaś niesamowita.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Nieszczególnie, ale przez pewien czas sprawiało mi to niekłamaną przyjemność.

– Teraz już nie? – zapytał z powagą w oczach.

– To sekret na inny dzień, panie McGuire.

Zadarł brodę, udając zaskoczenie.

– A więc to tak.

Skwitowała tę uwagę uśmiechem. Przez ułamek sekundy poczuła się jak za dawnych czasów. Może dawne czasy wcale nie były takie złe.

– Wpadnij do nas na kawę – zaproponował jej. – Mama wmusi w ciebie gofry, a tato zanudzi cię najświeższymi wiadomościami z Wall Street.

Przyglądała się Hollisowi przez długie sekundy i zdała sobie sprawę, że jeśli przyjmie zaproszenie, jej serce znajdzie się w niebezpieczeństwie.

*Strzeż swojego serca.*

– Dziękuję, ale powinnam wrócić do domu. Przygotować się na przybycie ekipy.

Skinął tylko głową i nieumiejętnie ukrył rozczarowanie.

*Jest tylko kumplem* – powtarzała sobie w duchu Emily, choć jakaś jej cząstka postanowiła te słowa zlekceważyć. Rozsądne oblicze, które nieczęsto miało decydujący głos, stanęło tym razem na wysokości zadania i przywołało do porządku buntowniczą cząstkę.

Wokół Hollisa McGuire'a było zdecydowanie zbyt wiele znaków zapytania, a Emily, choć



bardzo tego chciała, nie umiała wydusić z niego wszystkich odpowiedzi. Lepiej wyjdzie, utrzymując tę znajomość na przyjacielskiej, serdecznej stopie, bez uczuciowych komplikacji. Takie przesłanie zawierały listy mamy – żeby pilnować własnego serca. Jak dotąd ta rada dobrze jej służyła – po co teraz wszystko psuć?

Mniejsza z tym, że jego opowieść chwytła za serce. To się nie liczyło. Miała do wykonania konkretne zadanie: nadzorować remont domu i pozbyć się tej nieruchomości.

Wtedy będzie wreszcie – wreszcie – mogła ruszyć naprzód.

## Rozdział 21

Kilka godzin później, tuż przed umówionym przybyciem Jacka z ekipą, by rozpocząć pierwszą fazę prac remontowych, rozległo się energiczne pukanie do rozsuwanych oszklonych drzwi wiodących na patio.

Emily podniosła wzrok znad kubka, do którego nalewała właśnie trzecią porcję kawy, i ujrzała uśmiechniętą buzię Jolie. Zaprosiła ją gestem ręki.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Jolie wparowała do kuchni jak bomba.

– Czego? – Emily wstawiła do lodówki dzbanuszek z mlekiem.

– Czekał, mogę trochę?

– Kawy? – Emily stała przy otwartych drzwiach lodówki, spoglądając na Jolie. – Nie.

– Dlaczego? Wujek Hayes mi pozwala.

– A czy twój tato o tym wie?

Przewróciła oczami.

– Jakby go to obchodziło...

Emily zamknęła lodówkę i stanęła przy kuchennej wyspie naprzeciwko Jolie.

– Jesteś na niego naprawdę wściekła, prawda?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Nie. Jest mi w sumie obojętne, czy on mnie chce, czy nie.

Emily przypomniała sobie, że mówiła kiedyś dokładnie to samo. Teraz rozumiała, że był to mechanizm obronny – łatwiej było udawać, że jest jej wszystko jedno, niż przyznać, że niczego na świecie nie pragnęła bardziej niż pełnej rodziny.

Zaskoczyła ją ta niechciana myśl. Wcale nie udawała, mówiąc, że nie obchodzi jej, czy tato ją chce, czy nie. Uznała dawno temu, że nie ma to absolutnie żadnego znaczenia.

Dlatego więc, gdy patrzyła teraz na Jolie, coś w tej kwestii jakby się zmieniło?

– Wiesz, pod pewnymi względami masz szczęście. – Emily postawiła na blacie pudełko pączków, które kupiła w nieznannej jej wcześniej cukierni o nazwie Wicked Island Bakery.

– Dlaczego? Bo mój tato jest dziany?

Emily się roześmiała.

– Nie, dlatego że tutaj jest. – Otworzyła pudełko, delektując się słodkim aromatem smażonego ciasta.

Jolie mocniej zmarszczyła czoło.

– Tu na wyspie?

– Tutaj z tobą. Oddałabym wszystko, żeby móc przeżyć to samo z moim tatą.

Emily podsunęła pączki, a Jolie na ich widok aż zaświeciły się oczy.

– Mogę się poczęstować?

– Oczywiście.

Dziewczynka sięgnęła po pączka, a następnie przeniosła wzrok na Emily.

– Twój tato nie żyje?

Skosztowała ciasta i oblizwała czubki palców.

Emily po raz kolejny poruszyła konstatacją, jaka to miła odmiana rozmawiać z kimś, kto mówi dokładnie to, co myśli. Miała nadzieję, że nie zmieni się to wraz z wiekiem, choć doświadczenie wskazywało, że dorośli zwykle nie są tak bezpośredni.

– Nie wiem – przyznała. – Nigdy go nie znałam.

Jolie przestała gryźć. Przygasła.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Przykro mi, Emily.

I znów w oczach dziewczyny błysnęła czysta szczerłość.

Uwagę Emily zwróciło pukanie do drzwi. Odstawiła kubek z kawą i poszła otworzyć.

– Nie powiedziałaś mi, czym byłaś tak przejęta na początku.

– A, racja! – Jolie zeskoczyła ze stolka i podreptała za Emily. – Tym, że będziesz reżyserować dziecięce przedstawienie w ośrodku kultury.

Emily gwałtownie się odwróciła.

– Kto ci to powiedział?

– Babcia Nan – wyjaśniła rzeczowym tonem. – Jej koleżanki wiedzą wszystko o wszystkim. Dziadek nazywa je plotkarami. No i pewnie jedna z nich wypaplała, że znów będą organizować teatr dziecięcy i że to wszystko dzięki tobie! – Uśmiech Jolie rozświetliłby ciemne niebo w bezksiężycową noc.

– JoJo, klamka jeszcze nie zapadła.

Dziewczynce zrzędnęła mina.

– Naprawdę? Bo ja już wysłałam mamie SMS z pytaniem, czy pozwoli mi zostać tu dłużej, żebym mogła wziąć udział w przesłuchaniach. Napisałam jej, że mamy najprawdziwszą reżyserkę z Broadwayu i w ogóle.

*Oho.*

I jak tu teraz odrzucić propozycję Gladys?

– Co ci odpowiedziała?

– Jeszcze nic. Tam jest różnica czasu. Ale jeśli ty nie zrobisz tego spektaklu, to będą z tego nici, no i się nie dowiem, jak mi idzie w aktorstwie.

Emily ponownie odwróciła się w stronę drzwi.

– To niezupełnie prawda, JoJo. Będziesz miała mnóstwo okazji, by się o tym przekonać. – Otworzyła frontowe drzwi, spodziewając się Jacka, a tymczasem ujrzała Hollisa. – O! To ty.

– A co, jestem za wcześnie?

– Za wcześnie na co?

– Na remont.

– Naprawdę masz zamiar pomagać?

– A co innego mam do roboty?

Podeszła bliżej.

– Spędzać czas z córką.

Hollis zajrzał w głąb domu.

– Ona już tu jest.

– Trafna uwaga.

– Emily kupiła pączki – zawołała przez ramię Jolie, pędząc z powrotem do kuchni.

Twarz Hollisa natychmiast pojaśniała.

– Pączki?

Emily jęknęła.

– No dobrze, wejdz, skoro już jesteś, bo mam wrażenie, że i tak nie uda mi się ciebie pozbyć.

Gdy wszedł do środka, Emily nasunęła się myśl, że nie był tu jeszcze od czasu jej powrotu. W dzieciństwie też rzadko tu przychodził. W przeciwieństwie do McGuire'ów, których drzwi zawsze stały dla niej otworem, którzy karmili ją przy każdej okazji i niemal przyjęli ją do rodziny, babcia Emily wyznaczyła surowe zasady co do obecności innych dzieci w ich domu.

– Nie chcę, żebyście nosili do domu piasek, Emily – mawiała. – Chłopcy McGuire'ów mogą tu przychodzić, ale tylko pod warunkiem, że będziecie się bawić w ogrodzie.

Zawstydziła się na wspomnienie, w jaki sposób traktowano Hollisa i jego rodzeństwo, kiedy oboje byli dziećmi, a przede wszystkim na fakt, że doświadczali tego ze strony jej własnych dziadków. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego, podobnie jak jej mama. Prawdę mówiąc, Emily odrzuciła większość nauk babci na rzecz lekcji pozostawionych jej przez matkę w listach. Zamierzała stać się w przyszłości osobą, z której Isabelle Ackerman byłaby dumna – nawet gdyby oznaczało to rozczarowanie babci.

– Przepraszam za ten zapach stęchlizny – powiedziała, zamknąwszy za Hollisem drzwi. – Nie mogę się go pozbyć od tygodnia.

– Świeża farba załatwi sprawę – oznajmił.

– Wszystko, co świeże, pomoże. – Gwałtownie się zatrzymała w drodze do kuchni. – Twoja mama powiedziała Jolie, że reżyseruję przedstawienie w ośrodku kultury.

Hollis zrobił skruszoną minę.

– Wiem. Przepraszam. Próbowałem im wytłumaczyć, że nie zapadła jeszcze oficjalna decyzja, ale wiesz, jak tutaj rozchodzą się plotki.

Wiedziała. Aż za dobrze. Już jako dziecko zdawała sobie sprawę z tempa rozsiewania plotek po całej wyspie, a przynajmniej w kręgu znajomych jej babki.

– I co ty na to?

– Jolie powiedziała, że poprosiła mamę, żeby pozwoliła jej zostać na wyspie dłużej i zgłosić się na przesłuchanie.

Hollis niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Chciałbyś, żeby została na dłużej?

Napotkał jej wzrok.

– Musisz w ogóle o to pytać?

Emily wiedziała, że to nie jest najszcześniejszy moment na skakanie mu do gardła z powodu Jolie, szczególnie po tym, jak się przed nią otworzył rano na plaży. Dlaczego zatem usłyszała, jak robi coś zupełnie przeciwnego, jak gdyby nie miała kontroli nad własnym językiem?

– Nie wiem nic o tobie ani Jolie poza tym, co sama mi powiedziała.

Westchnął.

– Co takiego ci powiedziała?

– Tato! – wrzeszczała z kuchni Jolie. – Pączki!

– Już idę, JoJo! – odkrzyknął.

– Mniejsza o to.

Emily chciała pójść do kuchni, lecz Hollis złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie.

Jego dotyk przyprawił ją o dreszcz. Spojrzała na jego dłoń, którą pospiesznie cofnęła.

– Przepraszam – rzekł. – Co powiedziała?

Emily zmrużyła oczy.

– Powinam była trzymać język za zębami. – *Dlaczego mam taką niewyparzoną buzię?*

– Ale nie trzymałaś.

Czuła, jak powraca między nimi napięcie, i to nie takie, od którego elektryzuje się powietrze. To był inny rodzaj napięcia, który zamieniał jej żołądek w twardy kamień.

– Wiem. Mam dryg do wtykania nosa w cudze sprawy.

Ściągnął czapkę z daszkiem i przeczesał palcami ciemne włosy.

– Nie będę temu zaprzeczał.

Wycelowała w niego wzrok.

– Bardzo śmieszne.

– Słuchaj, wiem, że masz swoje zdanie, ale nie znasz całej historii.

Emily przysunęła się o krok – zbyt blisko, jak się okazało, ponieważ czuła woń mydła, którego użył rano pod prysznicem.

– Masz rację. Mam swoje zdanie. Masz też rację co do tego, że nie znam całej historii. Ale jedno wiem na pewno: twoja córka jest kapitalnym dzieciakiem i myśli, że jej tu nie chcesz.

Stanął jak wryty, a Emily natychmiast pożałowała swoich słów.

*To nie twoja sprawa. Przestań kłapać dziobem.*

– Tak powiedziała? – Posmutniał.

Emily westchnęła.

– Przepraszam, Hollis. Mówiłam, że nie będę wściubiać nosa w cudze sprawy, ale...

– Nie potrafisz się powstrzymać – dokończył za nią z głuchym śmiechem. – Nie szkodzi. Mogłem się tego domyślać.

Emily i tak posunęła się już daleko – dlaczego zatem nie pójść na całość?

– Ja tego nie rozumiem. – Patrzyła mu w oczy. – Nigdy w życiu bym nie przypuszczała, że akurat ty okażesz się ojcem, który nie uczestniczy w życiu własnej córki.

Rano na plaży zdobył się na szczerość – dlaczego czuła potrzebę dalszego przyciskania go do muru?

– Nie rozumiesz wielu rzeczy.

– Więc mi je wyjaśnij. Powiedz, co takiego powstrzymało cię przed daniem jej odczuć, że ją kochasz, bez względu na wszystko.

Odsunął się, lecz tylko odrobinę i uważnie wpatrywał się w jej twarz, poruszając w niej jakąś strunę.

Nie dość, że wtrącała się w jego sprawy, to czyniła to z takim zaangażowaniem, że nie mogła zaprzeczyć, iż kierują nią osobiste pobudki. Ale dlaczego? Przecież nie był jej ojcem, nie miała do tego prawa.

Z drugiej strony, jak miałyby szanować mężczyznę, który potraktował własną córkę tak samo, jak jej ojciec potraktował ją: z kompletną obojętnością?

*Wstyd, Emily, tak dobrze sobie radziłaś. Dlaczego musiałaś wszystko zepsuć?*

– Opowiedziałem ci, co się ze mną działo po wypadku – rzekł cicho.

– Ale chodzi mi o wcześniej. Mówiła, że rzadko cię widywała.

– Nie znasz całej historii, Em – powtórzył spokojnym głosem.

– Wiem wystarczająco dużo.

– Chodzi ci o Jolie...? – Umilkł, jak gdyby ważąc w myślach, czy powinien kontynuować. – Czy o siebie? – Ten sarkazm był dla niej jak policzek.

A więc tak czuje się ktoś, komu bezceremonialnie mówi się prawdę prosto w oczy.

Nawet nie drgnęła, słysząc pukanie do drzwi. Przyjęła pozycję obronną, wiedząc, że zasłużyła na to niekomfortowe samopoczucie, na odwrócenie ról – świadoma, że zraniła go swoimi słowami, choć nie miała takich intencji.

– Chodzi o Jolie – powiedziała w końcu.

Uniósł brwi – ledwo zauważalnie. Emily wykonała błyskawiczny zwrot w tył, serce waliło jej w piersi z siłą gwałtownej burzy, jakie nawiedzały Nantucket.

– Myślę, że chodzi o ciebie, Emily – rzekł. – Nie przerzucaj na moją córkę własnych problemów z tatą.

Zatrzymała się z ręką na klamce i rozdziawionymi ustami, kiedy jednak odwróciła się, by powiedzieć ostatnie słowo, zobaczyła tylko pusty korytarz.

Hollis może i był kiedyś uroczym chłopcem, ale wyrósł na upartego mężczyznę.

Otworzyła drzwi Jackowi stojącemu na ganku z kubkiem kawy w jednym ręku i plikiem papierów w drugim.

Jego promienny uśmiech nie pasował do jej chmurnego nastroju.

– Więc jak? Gotowa? Zaczynamy?

*Tak, gotowa. Odbędziemy ten remont, bym mogła szybko sprzedać dom i wynieść się z wyspy.*

– Do dzieła.

## Rozdział 22

Atmosfera stała się zdecydowanie napięta, więc Hollis obszedł budynek i znalazł się w ogrodzie za domem. Nie potrzebował instrukcji Jacka Walkera, by wiedzieć, że podłoga patio wymaga zerwania, a skuwanie starego betonu wydawało się dobrym sposobem na rozładowanie zbędnej energii.

Od dawna nikt nie rozmawiał z nim tak jak Emily – nawet Jimmy sobie na to nie pozwalał. Ograniczył się do delikatnego uświadomienia Hollisowi, że powinien naprawić stosunki z Jolie. Emily wykazała się subtelnością buldożera.

I co jej z tego przyszło? Nie miała zielonego pojęcia o jego relacjach z córką.

A może wściekł się z tego powodu, że powiedziała głośno o wszystkich lękach, które starał się ukrywać.

Wsadził sobie do uszu słuchawki, włączył muzykę – głośno – chwycił za młot i zaczął skuwać starą betonową płytę. Wymyślił sobie to zajęcie, by trzymać się z dala od wszystkich i przestać myśleć o swoich ojcowskich porażkach.

Oczywiście, że chciał, by Jolie została na dłużej. Minął już ponad tydzień, a on nadal nie zrobił żadnych postępów. To dziecko miało w sobie tyle słodyczy – którą okazywało wszystkim prócz niego. Jak przebić się przez tę niechęć?

Przeniósł się myślami do tamtego dnia, kiedy Jana zadzwoniła z nowiną, że jest w ciąży. Gdyby mógł cofnąć zegar, powróciłby do tamtej chwili. Nie wyobrażał sobie zapuszczenia się jeszcze dalej w przeszłość, bo choć żałował swojego krótkotrwałego niezwiązku z Janą, nie żałował pojawienia się na świecie Jolie – ani przez sekundę.

Czy nie zakomunikował tego wystarczająco jasno? Czy pozostałe przykrości – wypadek, sposób, w jaki podszedł do swojej rekonwalescencji, zakończenie kariery – utwierdziły córkę w przekonaniu, że to ona była powodem jego cierpienia?

Muzyka ryczała mu w uszach, wymachiwał młotem z dzikim zapamiętaniem. Bolały go bicepsy i barki, ale nie ustawał, zdecydowany uwolnić podwórko od szkaradnych płyt za sprawą czystej siły fizycznej. Komu potrzebny młot pneumatyczny, skoro ma gniew i żal?

Jana była jedną z tych dziewczyn – tych, które pojawiały się znienacka po meczu w tym samym barze, co drużyna. Hollis przeżywał kryzys i był nie w sosie. Patrząc na sprawy z perspektywy czasu, powinien był wtedy udać się prosto do hotelu i pójść spać, ale koledzy namówili go na wspólne wyjście.

Wchodzi Jana. Długonoga, zgrabna, piękna Jana – która ma zbyt ciężki makijaż i niewygórowane ambicje. Jedyne jej celem było wylądowanie w łóżku z zawodowym bejsbolistą, a Hollis był dostatecznie pijany, by wyświadczyć jej tę przysługę.

Natychmiast pożałował swojej decyzji. Przecież zupełnie jej nie znał. Koledzy nazywali to „dodatkową korzyścią” bycia zawodowym sportowcem, ale nawet w stanie największego upodlenia Hollis potrafił odróżnić dobro od zła, a przespanie się z kompletnie obcą dziewczyną było całkowitym przeciwieństwem dobra.

Obiecał sobie poprawę – co prawda Jana nie była jego pierwszą pomyłką, ale wiele tygodni później, kiedy dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży, postanowił dopilnować, by była zarazem ostatnią.

Telefon zadzwonił po meczu, w którym dowiedział, że spadek formy ma już za sobą. Zaliczenie wszystkich baz, dwa dublety, zapewniająca wygraną liczba asyst sprawiły, że Hollis był w siódmym niebie. Drużyna wyszła świętować zwycięstwo, a jemu wpadła do głowy myśl, że życie nie może być jeszcze piękniejsze.

I wtedy zadzwonił telefon. Nie rozpoznał numeru, więc nie odebrał. Piknięcie zasygnalizowało, że ktoś się nagrał na pocztę głosową, ale postanowił zignorować wiadomość.

Rano następnego dnia obudził się na lekkim kacu, z bólem głowy. Tamta noc wymknęła się spod kontroli, podobnie jak wiele innych. Przypomniawszy sobie o nagraniu dopiero wtedy, gdy był już od godziny na nogach.

– Hollis, tu Jana... yyy... dziewczyna z baru w Denver. – Westchnienie. – Czy ty w ogóle mnie pamiętasz? My... to znaczy ja... – Pauza. – Musisz do mnie oddzwonić.

Jęknął. Słyszał o dziewczynach, które mają obsesję na punkcie zawodowych sportowców – jeden z jego kumpli musiał wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się nałożony na dziewczynę, która uważała, że są małżeństwem – ale minął ponad miesiąc, prawie dwa, a Jana nie zrobiła niczego, co skłoniłoby go do myślenia, że ich jednorazowa przygoda była czymś więcej niż właśnie jednorazową przygodą.

Nie sprawiała wrażenia stalkerki, a prosząc go o oddzwonienie (czego nie zrobił), nie wydawała się nawet rozczłuszczona.

Może jest zarażona. Zabezpieczali się czy nie? Zwykle zachowywał dużą ostrożność – zresztą takie przelotne przygody nie były w jego stylu – ale może takie jego pieskie szczęście?

Wybrał jej numer, w zdenerwowaniu nasłuchując kolejnych sygnałów.

– Cześć, Hollis – w końcu się zgłosiła.

– Hej.

– Założę się, że nie sądziłeś, że jeszcze kiedyś mnie usłyszysz.

Nie sądził, ale zachował to dla siebie.

– Co tam?

– Powiem prosto z mostu i chcę, żebyś wiedział, że niczego od ciebie nie oczekuję.

Żołądek podjechał mu pod gardło, ponieważ domyślił się, co za chwilę usłyszy. *O nie.*

– Jestem w ciąży.

Potar mosił włosy, zakrył dłonią twarz.

– Żartujesz.

– Chciałabym, żeby tak było.

Westchnął.

– Jesteś pewna, że to moje?

Odgłos, który z siebie wydała, był tak cichy, że niemal go nie usłyszał.

– Przepraszam – rzekł. – Nie miałem zamiaru sugerować...

– Twoje – potwierdziła chłodno.

Wstał i podszedł do okna.

– Prawdopodobnie chcesz, żebym pozbyła się dziecka, ale ja...

– Nie – przerwał. – Wcale tego nie chcę.

– Nie?

Zamknął oczy. To wszystko zmieniało. I choć patrząc na to, jak żył, człowiek nigdy by się tego nie domyślił, on wciąż miał swój moralny kompas.

– Oczywiście, że nie.

– Większość facetów... – Umilkła. – Po prostu mnie zaskoczyłeś.

– A ty tego chcesz?

– Nie. Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, bo masz do tego prawo, ale nie pozbędę się ciąży. To nie podlega dyskusji.

– I dobrze.

– Dobrze.

Milczenie było równie brzemiennie jak Jana, lecz zapewne powodowało większy dyskomfort, przynajmniej na tym etapie.

– Więc może powinniśmy... – Rozejrzał się po surowym pokoju hotelowym, marząc, by jakiś migający neon powiedział mu dokładnie, co zrobić. – Może powinniśmy się pobrać?

Roześmiała się.

– Mówisz serio?

– Serio.

Już słyszał swoich kumpli – gadaliby, że złapała go na dziecko, że powinien wysłać jej forszę i uznać sprawę za załatwioną. Ale tych kumpli nie wychowywali tacy rodzice jak Jeffrey i Nan McGuire'owie. Hollis uważał, że należy brać odpowiedzialność za swoje czyny i bez względu na to, czy dziecko można było nazwać pomyłką czy nie, przespanie się z Janą nią było i takie są fakty.

– Nie wyjdę za ciebie, Hollis – powiedziała Jana. – Nawet cię nie znam. A ty wcale nie chcesz się ze mną żenić.

Wstydził się przyznać do ulgi, jaką poczuł po tych słowach.

– Po prostu staram się zachować przyzwoicie.

– Wiesz, nie jestem jedną z tych dziewczyn, co to próbują usidlić bogatego chłopaka na dziecko.

Prawda jest taka, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłam.

– Ja też nie mam tego w zwyczaju – rzekł Hollis.

– Liczyłam na oświadczyzny mojego chłopaka, a tymczasem on ze mną zerwał. Powiedział, że się w kimś zakochał. To był związek na odległość, więc dziecko nie może być jego. A ja znalazłam się tamtej nocy w niewłaściwym miejscu.

Nie tylko ona. Pozwolił, by spadek formy odebrał mu tamtego wieczoru rozum. I oczywiście musiało się to stać właśnie teraz, gdy znów jest u szczytu.

– Więc czego ode mnie potrzebujesz?

– Niczego. Z tego, co o tobie słyszałam, wiem, że porządny z ciebie gość. Tak czy owak, nie jesteś mi nic winien. Będziesz miał gdzieś na świecie dziecko i uznałam, że ukrywanie tego przed tobą byłoby nie fair. Tylko dlatego zadzwoniłam.

Wybawiała go z opresji.

I choć mnóstwo chłopaków byłoby w pełni zadowolonych z takiego obrotu sprawy, Hollis do nich nie należał. Tydzień później zadzwonił do Jany i powiedział, że chociaż nie są parą, i tak chciałby być obecny w życiu swojego dziecka.

I był – w pewnym sensie.

Powinien jednak bardziej się postarać. Postawić JoJo na pierwszym miejscu, a nie traktować ją jak dodatek do udanego życia.

Gdy się urodziła, wpadł w absolutny zachwyt, ale trudno było być przy niej na sto procent, skoro razem nie mieszkali. A może to tylko kolejna wymówka...

Potem zdarzył się wypadek i jedyne, co się liczyło, to powrót do gry. A po powrocie liczyło się tylko podtrzymanie kariery sportowej. Oraz ukrywanie przed wszystkimi sposobu, w jaki to osiągnął.

Nie liczyło się, że był kapryśny, nieobecny, czy wręcz nieuchwytny. Nie liczyło się, że jego córka dorastała bez niego. Jego rodzice zabierali Jolie na długie weekendy, natomiast Hollis spędzał je w siłowni. Jana przysyłała mu powiadomienia o różnych szkolnych imprezach, ale zawsze był zbyt zajęty.

Czasem, choć przyznawał to z wielką niechęcią, bywał wręcz podły.

Właśnie tamten czas wykopał przepaść między nim a Jolie. Tamten czas sprawił, że jego jedyne dziecko myślało, że jest niechciane i niekochane.

I on ponosił za to winę.

Grzęznąąc w przeszłości, wymachiwał młotem z takim zaangażowaniem, że nie zauważył stojącej przed nim córki, dającej mu znaki jedną ręką, a w drugiej trzymającą wysoką szklankę lemoniady.

Wyjął z uszu słuchawki, wewnętrzną stroną przedramienia otarł pot z czoła.

– Przepraszam.

Był zdyszany, rozdrażniony, niespokojny.

– Emily prosiła, żeby ci to zanieść – oznajmiła Jolie. – Podobno walisz tu tym młotem jak jakiś wariat.

– Tak ci powiedziała?

– No. – Podała mu szklankę, lekko nią potrząsając. Kostki lodu pobrzękiwały o ścianki.

– Co jeszcze mówiła?

– Że jak zwykle jesteś uparty jak osioł. – Jolie wzruszyła ramionami. – Kłóćcie się?

Hollis wziął szklankę i wypił duszkiem połowę zawartości.

– Nie, nie kłóćmy się.

– Tato, nie jestem dzidziusiem – przypomniała JoJo. – Widzę, kiedy ludzie się nie lubią. – Roześmiała się. – A ja myślałam, że będziesz próbował ją podrywać.

– I co w tym śmiesznego?

– Nie sądzę, by była w stanie z tobą wytrzymać. – Jolie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Hollis wypił kolejny haust.



– Mama chce z tobą porozmawiać. Nim zdecyduje, czy mogę zostać na kolejny miesiąc i zagrać w przedstawieniu.

– Okej, zadzwonię do niej.

– Pozwolisz mi zostać?

Dostrzegł w jej oczach błaganie i pomyślał o tym, co mówiła Emily. Powinien zapewnić Jolie, że niczego innego tak nie pragnie – że chce, by została do końca lata, bo wtedy lepiej ją pozna i będzie mógł być dla niej kimś, kim dotychczas nie był: ojcem – lecz z jakiegoś powodu nie wykrztusił żadnego z tych słów.

– Porozmawiam z twoją mamą – obiecał, dopijając lemoniadę i podając jej pustą szklankę.

Wyciągnęła po nią rękę, a na jej twarzy smutek mieszał się ze strapieniem. Chciał, żeby wiedziała, że praktycznie bez niczyjej pomocy doprowadził do wznowienia dziecięcych spektakli w ośrodku kultury. Że zrobił to dla niej, by mogli spędzić razem więcej czasu. Że przeprasza, że był takim matosem. Ale wyjaśnienie wszystkich przyczyn takiego zachowania wiązało się z powiedzeniem Jolie całej prawdy, na co nie był gotów.

Wybrał zatem milczenie i modlił się, by nie złamać jej tym serca.

Jolie odwróciła się, Hollis znów wziął do ręki młot.

– Hej, JoJo?

Zatrzymała się.

– Mam wielką nadzieję, że się zgodzi.

Córka obserwowała go przez kilka sekund, a po chwili wyraz jej twarzy odrobinę złagodniał. Nie uśmiechnęła się, ale i nie zmarszczyła czoła i był to pierwszy zwiastun autentycznego kontaktu, jaki z nią nawiązał od jej przyjazdu na wyspę. Albo od zawsze.

I prosił w duchu, by nie był zarazem ostatni.

## Rozdział 23

Emily unikała Hollisa przez resztę dnia, co nie było trudne, ponieważ zadekował się na patio i własnoręcznie usunął stamtąd niemal cały stary beton. Walił młotem, kruszył go na kawałki, wrzucał na taczkę, którą musiał przynieść z domu, a potem wywoził gdzieś gruz. (Do kontenera? Do bagażnika samochodu? Do czarnej dziury?)

Problem polegał na tym, że rozpoczynając o jedenastej, pracował cały czas bez koszuli. Bez koszuli! Jak mogła być na niego wściekła?

Emily wyrzekła się mężczyzn. Za dużo z nimi kłopotu. Zbyt duże ryzyko dla serca. Gdy jednak obserwowała Hollisa przez kuchenne okno, czuła, jak słabnie jej determinacja.

Hollis był wprawdzie humorzasty i nadopiekuńczy, lecz przy tym nieznośnie przystojny. Ramiona i tors miał wyrzeźbione, jak przystało na sportowca, a ponieważ spędzał sporo czasu na słońcu, jego skóra przybrała idealny odcień brązu.

– Myślę, że jest już czysta.

Emily podskoczyła na dźwięk kobiecego głosu za plecami i nerwowo zakręciła wodę, która lała się o wiele za długo jak na umycie jednej szklanki.

Gladys wymownie wyjrzała przez kuchenne okno na podwórze, omiatając wzrokiem widok, który rozpraszał Emily do tego stopnia, że zupełnie nie słyszała, jak kobieta wchodzi do jej domu.

Gladys stała za nią z uniesioną brwią. Emily odstawiła szklankę do zlewu i wytarła ręce.

– Pani Middlebury, co pani tutaj robi?

– Przyszłam po odpowiedź – odparła przez wąskie usta.

– Już?

– Jest poniedziałek.

Rzeczywiście, był poniedziałek. Zauważyła za oknem biegnącą do Hollisa Jolie. Dziewczyna wróciła w międzyczasie do domu i przebrała się w kostium kąpielowy w groszki. Bez wątplenia próbowała przekonać tatę, że dość pracy na dziś.

– Pani Ackerman?

Emily obserwowała rozmowę tamtych dwojga. W pewnym momencie dziewczynka posmutniała. Przycisnęła ręcznik do piersi i poszła tam, skąd przyszła, wyraźnie przybita.

Emily miała ochotę podbiec do Hollisa i powiedzieć mu parę słów do słuchu, ale się powstrzymała.

„Czy ty naprawdę jesteś taki tępy?” – zapytałaby swoim najbardziej zasadniczym tonem. „Každy idiota widzi, że dziewczynka zabiega o twoją uwagę! Chcesz, żeby tu została, czy nie?”

– Nie mam czasu czekać tu przez cały dzień. – Szorstki ton Gladys wyrwał ją z tej wymyślonej sprzeczki.

Emily pociągnęła nosem.

JoJo była rano taka podekscytowana, kiedy myślała, że Emily reżyseruje przedstawienie. Jak mogłaby teraz odmówić? Kiedyś, dawno temu, była taką Jolie. Czuła się zagubiona i samotna, pragnęła uwagi ojca, który był tak samo nieobecny jak Hollis w życiu swojej córki.

*Nie rób tego, Emily. Zgotujesz sobie kolejną porażkę. Nie jesteś nauczycielką. Nie jesteś reżyserką. Nawet nie wiesz, czy lubisz dzieci. Masz na głowie remont domu.*

Miała mnóstwo wymówek, by nie podjąć się tego zadania.

I równie dużo powodów, by skoczyć na głęboką wodę. Przede wszystkim dobro relacji Hollisa i Jolie. Jeśli dziewczyna zaangażuje się w spektakl, przedłuży pobyt na wyspie co najmniej o miesiąc. Wyraźnie oboje potrzebują tego czasu.

– Pani Ackerman?

Hollis miał rację: prawdopodobnie będzie tylko przeszkadzać, płacząc się robotnikom pod nogami. Co innego miała do roboty? Wylegiwać się całymi dniami na plaży?

Jaki ma to sens, skoro pojawiła się możliwość zrobienia czegoś, co dla kogoś jest ważne?

Czegoś, co niegdyś było równie ważne dla niej.

Rozmaite za i przeciw przeważały szalę raz na jedną, raz na drugą stronę. Jej wzrok spoczął na

Hollisie. Może nawet sam nie wiedział, że potrzebuje spędzić więcej czasu z córką, ona jednak widziała to jak na dłoni. Nie miała wobec niego żadnego długu. Nie łączyły ich żadne więzy. Dlaczego tak wiele dla niej znaczył po tych kilku zaledwie dniach?

*Zawsze był ważny.*

Odepchnęła od siebie te myśli i zwróciła się ku starszej kobiecie, która wtargnęła do jej kuchni.

– Zgoda – powiedziała cicho, nie czekając, aż odejdzie jej odwaga.

– Słucham? – Gładys studiowała jej twarz, jakby spodziewała się pewności siebie i opanowania

Ackermanów.

Emily nie miała żadnej z tych cech. Nie dzisiaj.

Wyprostowała się.

– Zgoda.

Gładys tylko surowo skinęła głową.

– Doskonale. Prześlę potrzebne dokumenty. Proszę swobodnie wpadać do teatru, kiedy tylko sobie pani życzy. Przesłuchania zaczynają się pod koniec tygodnia.

Emily niemal stanęło serce.

– Pod koniec tygodnia? Za wcześnie. Nie wybrałam jeszcze nawet sztuki.

– Pokładam w pani wiarę, podobnie jak pan McGuire. – Wychyliła głowę w stronę jadalnianej części kuchni, gdzie stanął właśnie Hollis – z koszulą w dłoni i skórą połyskującą od potu. – Prawda, panie McGuire?

– O czym rozmawiacie? – Wyglądał na autentycznie zdezorientowanego. A przy okazji seksownie. Bardzo seksownie.

*Emily, weź się w garść! To tylko nagi tors. Pięknie wyrzeźbiony i zapewne twardy jak skała tors.*

– Wznawiamy dziecięce spektakle – wyjaśniła Gładys. – Najwyraźniej dopiął pan swego.

Emily przestała podziwiać nagą pierś Hollisa i zmarszczyła czoło. O czym ta kobieta mówi?

Gładys, nim wyszła z pokoju, ostentacyjnie rzuciła Hollisowi niezadowolone spojrzenie.

– Do zobaczenia w najbliższy weekend, pani Ackerman – zawołała w drzwiach.

– O co jej chodziło? – spytał Hollis, wycierając twarz koszulką.

– Ty mi powiedz.

Niewinnie wzruszył ramionami.

– Rozmawiałaś z nią o dziecięcym teatrze? – zapytała, skrzyżowawszy ramiona.

Hollis upchnął koszulkę w tylnej kieszeni spodni, odpowiadając jej milczeniem.

Przyglądała mu się przez kilka sekund.

– Nie wiedziałam, że ci na tym zależy.

– Zależy Jolie. I tobie.

– Mnie? – Roześmiała się. – Zależy mi na zajęciach dla dzieci, ale wcale nie chciałam ich prowadzić.

Odwrócił wzrok.

– Więc to ty opowiedziałeś jej o moich doświadczeniach – domyśliła się Emily, kojarząc fakty.

– Z Broadwayu.

– Może coś tam napomknąłem...

– Może? – Zrobiła krok w jego stronę, chcąc, by odczuł w pełni wagę jej pytania.

– Napomknąłem. – Z tą ujmującą miną winowajcy wyglądał jak mały chłopiec, który coś przeszkrobał. Niewiele brakowało, a ta mina wymazałaby pamięć o porannej kłótni.

Niewiele...

– Myślę, że będziesz w tym naprawdę niezła.

Przestała się jeżyć.

– Naprawdę?

Gdy na nią spojrział, zrobił to bardzo na serio. Badał oczy, twarz, szukając tego, czego nie mówiła na głos. Skinął głową.

– Ty tak nie uważasz?

Wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie.

– Mówisz poważnie?

Nie zamierzała wdawać się w wyjaśnianie wszystkich powodów.

– Uwielbiałaś tamto miejsce.

– To było dawno temu.

Przysunął się, tak nieznacznie, że niemal nie zauważyła ruchu. A jednak... jak mogła nie zauważyć, skoro wszystkie zakończenia jej nerwów były na niego nakierowane?

– Może nie tylko ja pogubiłem się po drodze?

Położył jej dłoń na ramieniu.

– Ja się nie pogubiłam.

Po co skłamała? Widziała, że nie dał się nabrać.

– Em, będziesz w tym świetna – przekonywał tak szczerze, że prawie mu uwierzyła.

– Zobaczymy.

Jego uśmiech świadczył o tym, że chciałby coś dodać.

– Co?

– Podobno ludzie się nie zmieniają, ale ty się zmieniłaś. Jesteś inna. Jakby bardziej ostrożna.

Odwróciła wzrok. Miał rację. Jak mogła się nie zmienić po swojej gigantycznej porażce?

– W każdym razie Jolie będzie szczęśliwa – rzekła, byle tylko zmienić temat.

– Będzie zachwycona – zgodził się.

Napięcie opadło, choć wolałaby, żeby Hollis miał na sobie koszulkę. Wówczas dużo łatwiej by się jej rozmawiało.

Podeszła do lodówki i napełniła szklankę lemoniadą oraz lodem.

– Nie rozumiem cię, Hollis. – Podała mu napój.

– Co masz na myśli?

– Ciebie i Jolie.

Westchnął.

– Może nie powinniśmy o tym rozmawiać, Emily.

– Przecież zrobiłeś to dla niej.

– Między innymi.

Nie chciała znać innych powodów. I tak miała już mętlik w sercu i głowie.

– No dobrze, ale dlaczego jej o tym nie powiesz? – spytała, błagając w duchu, by emocje nie wymknęły się spod kontroli. – Ona cię ubóstwia, a gdyby dowiedziała się o czymś takim... dopiero miałbyś fory.

– Słuchaj, bardzo cię przepraszam, że wcześniej na ciebie warknąłem, ale ja i Jolie... to skomplikowana sytuacja. Nie taka sama, jak między twoim tatą a tobą.

– Nie, nie taka sama. Ponieważ ty jesteś na miejscu, tuż przed jej nosem, a sprawiasz wrażenie, jakbyś był na drugim końcu świata.

Drgnął mu podbródek, jak gdyby przeżuwał jakieś słowa, nie bardzo wiedząc, czy powinien wypowiedzieć je na głos.

– Łatwo ci mówić. Nadrabiam mnóstwo straconego czasu. – Hollis odsunął krzesło i usiadł przy stole. Wciągnął przez głowę koszulkę – na całe szczęście. – I nie...

Podeszła do stołu.

– I nie co?

Pokręcił głową.

– To głupie. – Spojrzał jej w oczy i wtedy to dostrzegła: cichą rozpacz. – I nie chcę o tym rozmawiać.

Usiadła naprzeciwko.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Splótł dłonie na blacie, od tłumionych myśli drgały mu mięśnie twarzy.

– Hollis...

– Nie zasługuję na drugą szansę. – Słowa padły tak znienacka, że nie mogły być zaplanowane.

Zamarła.

– Ale ją dostałeś.

– Wiem, tylko że...

– Musisz przynajmniej spróbować. – Czego by nie dała za wiedzę, że jej własny tato próbował, nawet jeśli poniósł sromotną klęskę.

– Próbuje. – Rozmasował dłońmi skronie. – Z całych sił. Ale ona mnie nienawidzi, a ja nie wiem, jak jej pokazać, że żałuję. Wiesz, nie jestem taki jak Hayes. Nie mam tej łatwości w kontaktach z ludźmi.

Nie, Hollis nie potrzebował słów, by przyciągać do siebie ludzi. Działo się to samo z powodu tych jego przenikliwych oczu, uśmiechu, umiejętności skupiania na rozmówcy uwagi w taki sposób, że człowiek czuł się jak pępek świata.

– Myślę, że jesteś w błędzie. Ona cię nie nienawidzi. Po prostu chce, żebyś trochę bardziej się wysilił, zapracowując na jej miłość.

– Nie. Nienawidzi mnie. I słusznie. Wszystko spieprzyłem. – Pokręcił głową. – Nie zasługuję na jej przebaczenie. A ty na jej miejscu byś mi wybaczyła?

Pytanie ją zaskoczyło.

– Gdyby twój tato pojawił się nagle po tylu latach, wybaczyłabyś mu?

– To co innego – odparła. Ale czy rzeczywiście? Nawet ona borykała się z podobieństwami.

– W jakim sensie?

– Ja jestem dorosła. Nie potrzebuję już ojca. A ona jest jeszcze dzieckiem i potrzebuje.

Zakręcił szklanką z lemoniadą.

– Nawet nie wiem, od czego zacząć. Nie wiem, co jej powiedzieć ani jak z nią rozmawiać. Czuję się jak ostatni dureń.

– Dopiero wkracza w nastoletniość. Tacy są młodzi w tym wieku – mówiła z przekonaniem, którego jej brakowało. W dorosłym życiu miała do czynienia zaledwie z kilkorgiem dzieci i nigdy na dłużej. Ale sama była kiedyś nastolatką. A to się liczy, prawda? – Powiedz, jak mogłabym pomóc.

– Nie jestem też taki jak ty – nie mam wrodzonej swobody w obchodzeniu się z dziećmi.

Roześmiała się.

– Wrodzona swoboda? Raczysz żartować. Twoja córka jest jedynym dzieckiem, które polubiłam. No, może z wyjątkiem poznanego na promie chłopca. Jestem przekonana, że byśmy się zaprzyjaźnili, gdybym go jeszcze spotkała.

Jego twarz najpierw złagodniała, a po chwili przybrała poważny wyraz.

– Co mam robić?

– Nie znam się na wychowywaniu dzieci – odparła.

– Nie, ale twój tata też zawałił sprawę. – Odwrócił wzrok, mars na czole świadczył o jego frustracji.

– Myślę, że za bardzo wszystko komplikujesz, Hollis – rzekła w końcu. – Nie musisz wdawać się w głębokie rozmowy.

– Mam wrażenie, że zupełnie jej nie znam.

– Pomyśl, jak poznaje się kogoś nowego. Nie zaczynasz od drażenia najmroczniejszych i najskrzętniej skrywanych tajemnic.

Jego spojrzenie z miejsca rozładowało atmosferę.

– Cóż za ironia, że mówisz to akurat ty.

– No dobra. Większość ludzi od tego nie zaczyna.

Zmrużył oczy.

– A ty zawsze nawiązujesz nowe znajomości od wyciągania osobistych informacji?

Nie. Jej motto brzmiało raczej: „Trzymaj wszystkich na bezpieczną odległość, a się nie sparzysz”.

Im mniej wiesz, tym łatwiej ci odejść.

– Emily?

Zdobyła się na uśmiech.

– Szukasz odpowiedniej taktyki, co? Robisz się okropnie nachalny.

Wzruszył ramionami.

– Dobrze by było przekonać się od czasu do czasu, jak czuje się druga strona.

– A jak brzmiało pytanie? – Wstała i stanęła po drugiej stronie kuchennej wyspy, jak gdyby mogło ją to przed czymś ochronić.

– Czy wszystkie nowo poznane osoby zmuszasz do wyjawiania czegoś osobistego? Czy tylko mnie poddajesz temu wyjątkowemu rodzajowi tortur?

Uśmiechnęła się, choć słowa ciężko zawisły między nimi w powietrzu. W przypadku wszystkich innych osób zaczęłyby zbaczać z tematu w tej samej sekundzie, w której rozmowa przybrałaby osobisty obrót. Znała siebie od tej strony, nie była kompletnie nieświadoma. Jednak przy Hollisie nie miała ochoty udawać. Straciła przemożną chęć zabawiania rozmówcy. Nie chciała odgrywać zwyczajowej roli. Chciała wiedzieć o nim wszystko. I to ją przerażało.

– Nie zmuszam. – Siliła się na swobodę.

– Naprawdę? – Na ustach Hollisa formował się ostrożny uśmiech. – Więc interesują cię tylko moje tajemnice? Ciekawe...

Przewróciła oczami.

– Niczego bym się tu nie doszukiwała.

Wzięła do ręki dzbanek z lemoniadą, odwróciła się plecami do Hollisa i otworzyła lodówkę, zadowolona z tej krótkiej chwili, w której mogła się pozbierać, oraz powietrza chłodzącego rozpaloną twarz.

Mógłby z łatwością wyzwać ją od oszustek, bo przecież oszukiwała, i byłaby bezradna, nie mogłaby go powstrzymać.

Najbezpieczniej zmienić temat.

– Powinieneś zabrać Jolie na plażę – podsunęła, zamykając lodówkę. – Na przykład na deskę z wiosłem. Rozmową się nie martw. Jest przereklamowana. Jeśli chcesz, żeby wiedziała, że uwielbiasz spędzać z nią czas, po prostu to rób.

Po kilku sekundach namysłu zapytał:

– Na pewno nie pracowałaś wcześniej z dziećmi?

– Myślę, że potrafię znaleźć wspólny język z Jolie. Pytałeś, co bym zrobiła, gdyby tato poprosił mnie o wybaczenie i prawda jest taka, że nie wiem. Ale gdy pomyślę, czego najbardziej bym od niego chciała w dzieciństwie... – Lustrowała przestarzały tynk strukturalny na suficie i zanotowała w pamięci, by poprosić Jacka o jego skucie. – Nie głębokiej rozmowy, za to miło byłoby wiedzieć, że on chce poświęcić mi czas. – Przetarła blat kuchenną ściereką.

Dlaczego nagle poczuła się tak bezbronna?

– To on zmarnował szansę – rzekł Hollis.

Czuła, jak boleśnie kurczy się jej żołądek, i zaczęła szukać w myślach innego tematu rozmowy. By oddalić poprzedni wątek. Udawać, że jest bez znaczenia.

– Tak, tak. Wiem.

– Mówię serio, Em. Nie chcę popełniać tych samych błędów, co twój ojciec.

Stała z wzrokiem wlepionym w blat.

– Więc nie popełniaj.

Położył rękę na jej dłoniach, nie pozwalając jej odejść.

– Staram się.

Zamarła na kilka sekund, następnie wysunęła dłoń i podeszła do zlewu. Nie podobało się jej to wrażenie, że znalazła się pod mikroskopem. Nie podobał się jej fakt, że nie może niczego przed nim ukryć.

– Chodź z nami na plażę – zaproponował. – Jolie będzie wniebowzięta.

– Dziękuję, muszę zabrać się do pracy. Gladys zaplanowała przesłuchania już na piątek.

Skinął głową, po czym odepchnął od siebie szklanke.

– Dzięki za lemoniadę.

Uśmiechnęła się.

– Nie żartuj. Dzięki za rozprawienie się z patio.

– Och, wcale się z nim nie rozprawiłem – odparł z powagą. – Ja tylko skułem beton, a już twoja

głowa w tym, jak naprawić zniszczenia.

Rzuciła w niego kuchenną ścierką, trafiając go w bark.

– Bardzo śmieszne.

– Gdybyś się rozmyśliła co do plaży, zaproszenie jest aktualne.

Nie zamierzała zmieniać zdania. Nawet w tej chwili czuła, jak serce wymyka się jej spod kontroli.

Nie potrzeba jej więcej czasu w towarzystwie Hollisa. Nie może uśpić czujności, nawet przy nim. Zwłaszcza przy nim. Ryzyko znacznie przewyższało potencjalną nagrodę. Jak mawiała matka, w sprawach serca ostrożność przede wszystkim.

Ostrożność. W każdych okolicznościach.

## Rozdział 24

We wtorek rano Gladys wprowadziła Emily do małego narożnego biura na piętrze w głębi budynku.

– Proszę wybaczyć ten bałagan – powiedziała. – Nikt od dawna nie urzędował w tym pokoju.

Emily omiotła wzrokiem pomieszczenie, zauważając, że doskonale odpowiada jej potrzebom. Małe biurko odsunięte od ściany, za nim krzesło. Przy lewej ścianie dwa wysokie regały na książki, z których wysypywały się jakieś papiery.

– Co to jest? – zapytała.

– Tutaj są same scenariusze – wyjaśniła Gladys. – A na tym drugim pamiątkowe albumy z poprzednich przedstawień. Lata temu mieliśmy tu mamę, która bardzo się zaangażowała w prowadzenie tych albumów.

Mama Laury Delancey. Emily pamiętała. Laura często dostawała główną rolę, niezależnie od rodzaju przedstawienia. Ostatniego spędzonego na wyspie lata Emily grała Fern w *Pajęczynie Charlotty*, a Laura rolę tytułową. Po wypadku Emily wyjechała z Nantucket przed premierą spektaklu i zawsze się zastanawiała, co stało się z graną przez nią postacią. Może wyjaśnią to te albumy.

– Gdyby potrzebowała pani gdzieś zadzwonić, trzeba najpierw wybrać „dziewięć”. A przy kontakcie z recepcją „trzy”.

Emily nie przewidywała żadnych rozmów telefonicznych. Jej plan zakładał podjęcie decyzji co do wyboru spektaklu, przygotowanie scen na przesłuchania i wyobrażenie sobie scenografii, kostiumów, detali.

Gdy teraz o tym pomyślała, stwierdziła, że to ambitny plan. Będzie szczęśliwa, jeśli uda się jej wybrać sztukę.

– W porządku. – Usiadła za biurkiem. – Mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Doskonale – rzekła Gladys, zdawkowo skinąwszy głową. – Wychodzę na chwilę. Powodzenia.

– Zamknęła za sobą drzwi i się oddaliła, stukając grubymi obcasami, których odgłos cichł coraz bardziej. Emily nie zdążyła jeszcze nawet poukładać swoich rzeczy, a już rozległo się pukanie.

– Proszę! – zawołała.

Młoda ciemnowłosa kobieta wetknęła przez drzwi głowę.

– Prezentujesz się bardzo oficjalnie. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Nie daj się zwieść – odparła Emily.

– Mam na imię Marisol. Jestem twoją stażystką ukośnik asystentką ukośnik profesjonalną doręczycielką kawy.

– Nie wiedziałam, że mam kogoś takiego.

– Odbynam staż w ośrodku kultury, więc Gladys przydzieliła mnie tobie – oznajmiła Marisol. – Tak szczerze, to chyba nie wiedziała, gdzie mnie upchnąć. Studiuję teatr na Uniwersytecie Bostońskim, ale reżyseria i scenopisarstwo interesują mnie teraz o wiele bardziej niż jeszcze kilka lat temu, kiedy wydawało mi się, że chcę zostać gwiazdą sceny.

Emily ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć dziewczynie, że scenopisarstwo i reżyseria są znacznie trudniejsze niż się powszechnie wydaje. Zamiast tego uśmiechnęła się i odparła:

– Cieszę się, że mam pomoc.

– Rozpoczęłam już naszą kampanię w mediach społecznościowych, ale im prędzej uda się nam wystawić przedstawienie, tym lepiej. – Wręczyła Emily stos segregatorów. – Wyciągnęłam kilka scenariuszy do rozważenia.

– Dziękuję, Marisol – rzekła Emily, wdzięczna za tę troskliwość.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Na razie nie.

– Okej. Wszyscy są zakopani po uszy w pracy, więc po prostu krzyknij, jeśli będę ci potrzebna.

Już zapisało się dwadzieścioro pięcioro dzieciaków.

Emily wprost zatkaną.

– Naprawdę? Jakim cudem? Nawet nie wiemy, co będziemy wystawiać.



– Ludziom jest wszystko jedno. Chcą wziąć udział i tyle. Zaangażowałam Hillary w organizację przesłuchań. – I dodała ciszej: – Dzięki temu nie zamęczysz cię gadulstwem.

Emily się roześmiała.

– Super, dziękuję. Dam znać, jeśli coś mi się nasunie.

Marisol kiwnęła głową i ruszyła do drzwi, zanim jednak wyszła, odwróciła się do Emily.

– Wiesz, bardzo się cieszę, że to robisz. Myślę, że to świetna sprawa dla dzieciaków. Zwłaszcza dla tych, które, tak jak ja, mają trudność z wpasowaniem się w grupę.

Choć ukończyła szkołę wiele lat wcześniej niż Marisol, i tak dobrze pamiętała tamto uczucie. Przejście od indywidualnych nauczycieli na planie z powrotem do gimnazjum, a potem do liceum było dla Emily trudne. A jeszcze trudniej było jej pokonywać tę drogę bez mamy.

Przez pewien czas unikała teatru, ale w ósmej klasie nauczyciel angielskiego poprosił, by wzięła udział w przesłuchaniu do szkolnego przedstawienia *Once Upon a Mattress*. Obsadzono ją w głównej roli Winnifred i stara miłość natychmiast powróciła. Od tamtej pory scena stała się jej bezpieczną przystanią. Dawała jej to, czego Emily pragnęła: wspólnotę, rodzinę, poczucie przynależności.

Zabolała świadomość, że teraz to utraciła, ten jedyny stały element w życiu.

Po tamtej fatalnej porażce nie było już powrotu. Złe recenzje. Nietrafna ocena własnych sił. Brak talentu...

*Emily, przestań.*

– Tak w ogóle to wczoraj wieczorem obejrzałam od nowa milion starych odcinków *Dottie's World* – dodała Marisol.

Emily serce podeszło do gardła. Czy to znaczy, że Marisol szukała o niej informacji w sieci? A jeśli tak, to czy jej nowa stażystka/asystentka/doręczycielka kawy wiedziała o jej katastrofalnej próbie wyjścia poza swoje miejsce w szeregu?

– Muszę przyznać, że w tamtych szerokich spodniach po prostu wymiatałaś – powiedziała ze śmiechem Marisol.

Nawet jeśli coś wiedziała, niczego nie dała po sobie poznać. Dzięki temu Emily trochę polubiła tę dziewczynę.

– To wszystko, Marisol – rzekła z udawaną irytacją.

– A te spinki z motylkami na całej głowie to dopiero stylowa.

Emily rzuciła dziewczynie spojrzenie, ta zaś czmychnęła za drzwi, które kiepsko tłumili jej śmiech. Pokręciła głową, chichocząc pod nosem z żartobliwych przytyków Marisol.

Gdy w biurze zrobiło się cicho, Emily nie potrafiła skupić uwagi. Przewertowała kilka scenariuszy, lecz jej wzrok ślizgał się w kółko po tych samych stronach. Zerknęła na półkę z albumami.

Przez osiemnaście lat nie pozwalała sobie na powrót do tamtego lata czy tamtych wspomnień, a teraz oto stanęły jej przed oczami, patrząc jej prosto w twarz. Nie tylko albumy, ale także dom, Hollis, teatr – wszystko. Nie mogła przed nimi uciec.

Co dziwne, zdała sobie sprawę, że po części wcale nie chce uciekać. Chce pamiętać.

Nie ów dzień, gdy dziadkowie zmusili ją do zostawienia na lodzie pozostałych członków obsady i wywieźli ją z wyspy, załamana po stracie matki. Tylko całą resztę. Odnalezienie swojego nazwiska na liście aktorów. Pierwszą próbę do spektaklu. Pierwszą przymiarkę kostiumu. Nowe znajomości.

Przesuwała wzrok po grzbietach albumów, póki nie trafiła na tamten sprzed osiemnastu lat. Zdjęła go z półki i podeszła z nim do biurka. Powoli otworzyła okładkę. Na pierwszej stronie wyskoczyło zdjęcie kompletnej obsady oraz tytuł: *Pajęczyna Charlotty*. Wodziła palcem po uśmiechniętych twarzach – tyle koleżanek i kolegów, z którymi miała się przyjaźnić do końca życia, a tymczasem nawet nie potrafiła przypomnieć sobie ich imion.

Przerzuciła kartkę i odczytała nagłówek: „Próby”. Z kolejnych stron wzywały zabawne zdjęcia z prób. Fotografia jedenastoletniej Emily w kostiumie scenicznym, zamrożona w czasie. Och, ile rzeczy chciałaby teraz powiedzieć tamtej dziewczynce.

„Przed tobą bardzo trudne chwile, mała Emily, ale trzymaj się mocno. Pewnego dnia będziesz miała je za sobą”. Oto, co by jej powiedziała.

Ale czy to prawda? Czy miała je za sobą? Czy raczej wciąż tkwiła w miejscu, kręcąc się w kółko?

Znalazła tak skuteczny sposób na wyparcie przeszłości, że rzadko myślała o Nantucket albo o wypadku, czy też o tym, jak skradziono jej dzieciństwo. Ale tutaj, w teatrze, kiedy patrzyła na te fotografie – albo kiedy stała gdzieś w pobliżu Hollisa – tamte wspomnienia wydawały się świeże.

Jak gdyby odbyła podróż wstecz i utknęła w przeszłości w zepsutej maszynie czasu.

Przewróciła kolejną kartkę, z zaskoczeniem natrafiając na hołd złożony jej mamie. Nekrolog Isabelle Ackerman wklejono starannie obok zdjęcia Emily w kostiumie.

Do tego krótki odręczny dopisek wyjaśniający, co się stało.

*Nasza Fern (Emily Ackerman) przeżyła wielką tragedię, gdy samochód jej matki uległ wypadkowi na Cliff Road trzydziestego pierwszego lipca po północy.*

*Odetchnęliśmy z ulgą, że Emily doznała jedynie lekkich obrażeń, ale wskutek śmierci jej matki straciliśmy naszą Fern, którą zaledwie na dwa tygodnie przed premierą zastąpiła Jenna Martin.*

Był także wycinek z programu – narysowane serce z dedykacją w środku: „To przedstawienie poświęcamy Emily Ackerman wraz z wyrazami sympatii i modlitwą”.

Wpatrywała się w tekst, czując, jak ściska się jej gardło. Nie wiedziała, że zadedykowano jej tamto przedstawienie. Pamiętała kwiaty, jakie przysłano na pogrzeb – zabrała je ze sobą do domu. Ale nigdy nie było jej dane zobaczyć całej reszty.

Ponownie odczytywała słowa matki Laury na temat wypadku. *Wielka tragedia... samochód matki... Cliff Road.*

Emily przerwała dalszą lekturę. To się nie zgadza. Do wypadku doszło na ‘Sconset, nie na Cliff Road. Mama Laury musiała pomylić okolicę. Emily odwróciła kartkę i natknęła się na wycięty z gazety artykuł. Nagłówek głosił: „Mieszkanka wyspy zginęła w nocnym wypadku samochodowym”.

Mimo że żołądek Emily zawiązał się w ciasny supeł, zmusiła się do przebiegnięcia wzrokiem po pożółkłej kartce.

Gazeta donosiła, że Isabelle Ackerman, lat dwadzieścia dziewięć, oraz jej jedenastoletnia córka Emily zostały przewiezione do szpitala Nantucket Cottage, gdzie stwierdzono zgon Isabelle. Emily udzielono pomocy medycznej i spodziewane jest jej całkowite wyzdrowienie.

W jednej sekundzie przeniosła się na tylne siedzenie buicka, zamęczając matkę pytaniami.

– Dlaczego wyjeżdżamy w środku nocy?

Mama była bardzo wzburzona, zupełnie jak nie ona.

– Zapięłaś pas? – warknęła przez ramię.

– Tak, mam. Co się dzieje?

– Wyjaśnię ci, jak dojedziemy na miejsce.

– Na jakie miejsce?

– Emily, proszę. – Mama mrużyła oczy, ponieważ wycieraczki nie nadały z usuwaniem deszczu z przedniej szyby. – Nic nie widzę. – Sięgnęła za plecy i wyciągnęła rękę do córki.

Emily się zawahała.

– Em... – Mama rzuciła jej spojrzenie.

Emily podała jej dłoń.

– Ty i ja, zawsze razem – powiedziała mama.

Jedenastoletni umysł Emily kręcił się wokół rozmaitych scenariuszy, co złego mogło się wydarzyć między mamą a dziadkami, ale nie przychodziło jej do głowy nic, co pchnęłoby mamę do ucieczki z domu w środku nocy.

To, co działo się później, nadal pozostawało niewyraźną plamą. Było bardzo ciemno, drogi śliskie.

Pamiętała, jak później w szpitalu policjant mówił babci i dziadkowi, że Isabelle próbowała skręcić przy zbyt dużej prędkości, wpadła w poślizg i zderzyła się z dorodnym bukiem. „Zginęła na miejscu” – dodał policjant, jakby miało to ich jakoś pocieszyć.

Siła uderzenia cisnęła Emily na boczną szybę, powodując utratę przytomności. Pamiętała tylko, jak podała matce rękę, a potem jak ocknęła się w szpitalu.

Emily zamknęła oczy. Bardzo długo nie pozwalała sobie na ponowne przeżywanie tamtej chwili. Przez wiele lat po wypadku śniły się jej koszmary, w których wciąż od nowa powracał tamten moment. Udało się jej w końcu pogrzebać wspomnienia i nie miała ochoty ich odkopywać, nawet gdyby miały przysłużyć się jej aktorskiemu rzemiosłu.

Niektóre wspomnienia najlepiej pozostawić w przeszłości.

Otworzyła oczy i ponownie odczytała słowa.

*W wyniku wypadku samochodowego, do którego doszło tuż po północy na Cliff Road w pobliżu North Liberty Road, zginęła Isabelle Ackerman, córka Alana i Elizy Ackermanów.*

*Cliff Road.*

Emily nie pamiętała, dokąd jechały. Była zbyt wytrącona z równowagi, kiedy opuszczały dom. Błagała matkę o wyjaśnienia, nie zwracała uwagi na znaki drogowe.

Babcia twierdziła, że wypadek miał miejsce na 'Sconset, na drugim krańcu wyspy. Emily nie była wprawdzie matką, ale wiedziała, że matki nie zapominają takich szczegółów.

Dlaczego babcia skłamała, podając inną lokalizację?

Emily powiodła palcem po słowach Cliff Road.

Powróciła ta sama ciekawość, która w pierwszej kolejności kazała jej sięgnąć po album.

– Dokąd wtedy jechałaś, mamu? – wyszeptwała. *I po co tyle tajemnic?*

Dręczyło ją to pytanie, rodząc kolejne. I jak tu zamknąć przeszłość, nie znając żadnych odpowiedzi?

Wzięła do ręki telefon, odszukała w kontaktach numer babci i wcisnęła guzik.

Eliza odebrała po pierwszym sygnale.

– No wreszcie.

– Wiem, długo się nie odzywałam, babciu. Przepraszam.

– Jak tam na wyspie?

– Dobrze.

– Wynajdujesz sobie zajęcia?

– Tak, mam pełne ręce roboty. – Wiedziała, że babcia była ciekawa szczegółów, ale na razie nie miała ochoty niczym się z nią dzielić. Nie chciała zdradzać, że będzie reżyserowała przedstawienie w ośrodku kultury ani że odnowiła znajomość z Hollisem.

Ani że było jej tu ciężko, naprawdę ciężko.

– Cóż, mam nadzieję, że nie remontujesz domu sama. Jest dość pieniędzy na wynajęcie do tego ludzi. Znalazłaś kogoś sensownego do pomocy?

– Tak się składa, że owszem. A przy okazji, babciu, mam do ciebie pytanie.

– W porządku.

Emily zaczerpnęła powietrza i niewiele brakowało, żeby stchórzyła. Nie rozmawiały o wypadku. Nigdy. Jak gdyby temat został dawno temu zakazany i wszyscy przestrzegali milczącej umowy.

Ale czy Emily nie miała prawa wiedzieć?

– Przeczytałam dzisiaj stary artykuł z gazety. O mamie.

Z drugiej strony napotkała milczenie.

– Chciałam tylko się upewnić co do jednej rzeczy.

– Emily, pewne sprawy lepiej pozostawić w przeszłości. – Babcia wydawała się rozdrażniona.

– Wiem, babciu, ale możesz mi tylko powiedzieć, gdzie doszło do wypadku?

– Gdzie?

– W którym miejscu na wyspie?

Babcia westchnęła.

– Domyślałam się, że po powrocie do Nantucket zaczniesz zadawać pytania. Była w drodze do ‘Sconset. Tam zdarzył się wypadek.

– Po co jechała do ‘Sconset?

– Miała tam przyjaciółkę. Shae czy jakoś tak. Kilka lat od niej starszą.

– Ale dlaczego w środku nocy? I po zabrała mnie ze sobą?

– Emily, twoja matka zawsze była impulsywna. O tym już wiesz.

– W artykule napisano, że wypadek miał miejsce na Cliff Road.

Milczenie trwało dobre kilka sekund.

– Babciu?

– Tamta gazeta była znana z przeinaczania faktów – odparła. – Nie mają tam tak profesjonalnych dziennikarzy jak tutaj, w Bostonie. Musiało dojść do pomyłki. Pamiętam całą rozmowę z policjantem. Jeśli nie masz do mnie innych spraw, muszę kończyć. Goszczę dzisiaj u siebie klub brydzowy.

– Jasne.

– Dziękuję za telefon, skarbie – powiedziała na koniec babcia.

– Pa. – Emily zakończyła rozmowę, a w głowie kłębiło się jej teraz więcej pytań niż poprzednio.

Nabrała też pewności, że nie wie wszystkiego o wypadku matki.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek się dowie.

## Rozdział 25

Hollis zastał Jolie siedzącą na tarasie za domem i przewijającą strony w telefonie. Nie podniosła wzroku, kiedy rozsunął przeszkłone drzwi, ani kiedy usiadł obok niej na krześle.

Tilly leniuchowała u jej stóp. Żadna z nich zupełnie nie zareagowała na jego obecność.

Emily miała rację – za dużo myślał. Układał sobie w głowie perfekcyjne rozmowy, precyzyjny dobór słów, by udowodnić w ten sposób córce, że nie jest debilem, za jakiego go miała, ale może perfekcja nie istnieje.

Komunikowanie się z Jolie było trudniejsze niż odbicie szybkiej piłki i Hollis wiedział, że winę za to ponosi on, a nie jego córka.

– Przepraszam za to, co wcześniej – powiedział, przerywając milczenie.

Jolie nie odpowiedziała.

Odtworzył w myślach tamten moment, gdy dzień wcześniej przybiegła do niego pod dom Emily.

– Tato, nie zabrałbyś mnie na plażę? Chcę popracować nad moją opalenizną.

– W tej chwili nie mogę, JoJo – uciął.

– Ale ja nie pływam na tyle dobrze, żeby iść sama.

Nawet nie przerwał wtedy swoich zajęć, nie poświęcił jej uwagi, na jaką zasługiwała. Nie poświęcił choćby pięciu minut swojego czasu. Z powodu podłego nastroju zbył ją po raz kolejny, przez co odeszła bez słowa.

Wyładował na Jolie swoją irytację po sprzeczce z Emily, to zaś było nie w porządku. Tylko jak wyjaśnić to teraz córce? Jak wytłumaczyć, że jedna z najdłużej znanych mu osób ponownie wkroczyła w jego życie, a jej główna uwaga na jego temat dotyczyła tego, że marny z niego ojciec?

Emily miała w zwyczaju mówić bez ogródek, co na co dzień doceniał, lecz nie wtedy, gdy ta szczerłość była skierowana pod jego adresem.

Tylko że Jolie nie musiała tego wiedzieć.

Może powinien pójść za radą Emily. Wciągnął powietrze, świadom, że odtrącenie przez Jolie zaboli bardziej niż koszt dany mu przez którąkolwiek z kobiet w przeszłości. Ale córka warta była podjęcia takiego ryzyka.

– Próboweś kiedyś pływać na desce z wiosłem?

Podniosła wzrok. Twierdziła, że boi się wody, a mimo to odnosił wrażenie, że jest o wiele śmielsza, niż dawała po sobie poznać. Pokręciła głową.

Wstał i wyciągnął do niej rękę. Spojrzała na nią jak na jakiś nieznany obiekt.

– Chodźmy.

– Nie wiem, czy chcę.

– Chodź. Nauczę cię.

Z ociąganiem podała mu rękę. Pomógł jej wstać, delikatnie podciągając ją w górę. Skręcił na podwórze, zauważając, że nie wyszarpnęła od razu dłoni, i pomyślał, że to jest właśnie to uczucie, kiedy ma się córkę.

Gdy Harper była mała, wpatrywała się w ich ojca jak w obrazek. Hollis nigdy nie doświadczy tego ze strony Jolie. Lecz nie powstrzyma go to przed próbami stania się dla niej takim obrazkiem.

Z szopy za domem wyjął deski i kamizelkę ratunkową.

Szli na plażę w milczeniu, tym jednak razem Hollis nie czuł potrzeby wypełnienia ciszy. Postanowił cieszyć się tym wspólnym czasem. Po krótkiej lekcji na brzegu przekonał Jolie do rzucenia deski na wodę.

– Na początek po prostu na niej usiądź – poradził.

– Coś mi się nie wydaje, że będę w tym dobra. A jeśli wpadnę do wody?

– Prawdopodobnie wpadniesz, ale masz kamizelkę, a poza tym cały czas będę obok.

Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Słońce późnego popołudnia rozjaśniło jej oczy.

– Obiecujesz? – Przykleiła wzrok do jego twarzy, pytanie ciężko zawisło w powietrzu.

– Obiecuję, JoJo – powiedział cicho w nadziei, że nie potraktuje tego jak puste słowa.

Umknęła spojrzeniem, położyła deskę na wodzie i się na nią wgramoliła. Ocean był na szczęście spokojny, poszło więc gładko. Hollis jej nie odstępował, zanim jednak udało się jej podnieść, łagodna fala strąciła ją do wody.

Kamizelka pomogła jej ustawić się w pionie, ale kiedy Jolie się wynurzyła, wyglądała na roztrzęsioną. Hollis chwycił ją za rękę, przyciągnął do deski i ułożył płasko jej ramię, by łatwiej jej było się ustabilizować.

– Mówiłam, że nie będę w tym dobra. – Jolie przycisnęła palce do oczu, pozbywając się słonej wody.

– Jak na pierwszy raz było świetnie – pochwalił Hollis.

– Więcej nie chcę – burknęła.

Żałował, że nie ma przy nim kogoś, kto podpowiedziałby mu, co robić. Nie chciał, by Jolie go znienawidziła, dlatego kusił go, by cisnąć deskę w kąt szopy i pozwolić jej na siedzenie z telefonem. Lecz nie tego chciał ją nauczyć.

– McGuire’owie nigdy się nie poddają – powiedział.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Powiedziałam, że już nie chcę.

Hollis podciągnął się na swoją deskę, usiadł na niej okrakiem i odwrócił się do Jolie.

– Wdrap się tylko na chwilę.

Przewróciła oczami.

– Nie stawaj, po prostu usiądź.

Przez kilka sekund tkwiła w wodzie, aż wreszcie wskoczyła na deskę. Naśladowała Hollisa, sadowiać się okrakiem, z wiosłem w ręku.

– Zadowolony?

– Świetny początek. Może za szybko próbowałeś stanąć.

– Nigdy mi się nie uda – gderała. – W ogóle nie wiem, po co tu jesteście.

– Nie myśl o stawaniu. Po prostu ciesz się dniem. Nawet jeśli na tym poprzestaniesz, i tak zrobiłaś postępy. Wcześniej nie mogłaś nawet usiąść na desce, a nie dalej jak w zeszłym tygodniu w ogóle bałaś się wody.

Zacisnęła zęby, przez jej twarz przemknął cień sprzeciwu, ale po kilku minutach złapali wspólny rytm. Spokojnie wiosłowała obok niego, na pierwszy rzut oka całkiem zadowolona, niemal jak gdyby zapomniała o swoich próbach stawania na desce.

– Mama dzwoniła – powiedziała zniecka.

– No i? Pozwoli ci dłużej zostać?

Unikała jego wzroku, wpatrzona w jakiś punkt na wodzie.

– Powiedziała, że nie może podjąć tak poważnej decyzji bez rozmowy z tobą.

– Nagrałem jej wiadomość z informacją, że ja się zgadzam. Zadzwoń do niej zaraz po tym, jak mi przekazałaś, że chciałaby ze mną porozmawiać.

– Chce mieć pewność. Na wypadek gdybyś tak mówił tylko dlatego, że nie chciałeś mnie urazić.

Hollis uważnie przyjrzał się córce.

– Tak powiedziała?

Jolie rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym znów wbiła wzrok w ocean. Jana tak nie powiedziała – założyła tak Jolie.

– Po powrocie zadzwonię do niej jeszcze raz.

– I co jej powiesz?

– Że chcę, żebyś została – odparł Hollis.

Zadrżał jej podbródek.

– Pokaż mi, jak się na tym staje – poprosiła po chwili.

Z całych sił starał się ukryć uśmiech. Po raz pierwszy dostrzegł w córce cząstkę siebie. Nie zamierzała się poddać. Może mimo wszystko płonął w niej ogień McGuire’ów.

Ponownie zademonstrował, jak stanąć na desce, a potem rzucił jej spojrzenie.

– Twoja kolej.

– Jak ty to robisz, wygląda na łatwiznę – stwierdziła z westchnieniem.

– Bo robię to od wielu lat.

Ostrożnie przesunęła nogi w tył, podciągając się na kolana. Ustabilizowała kołyszącą się deskę.

– Powoli – radził Hollis. – Bez pośpiechu.

Wsparała się na kolanach, poczekała, aż złapie równowagę, i zaczęła się podnosić.

– Najpierw jedna noga, potem druga – instruował. – Spokojnie i powoli.

Gdy Jolie miała już się wyprostować, deska się zachybotła, a dziewczynka czym prędzej opadła z powrotem na kolana. Po chwili zauważył, jak na jej czole formuje się cienka linia szalonej determinacji.

– Łapiesz to, mała – powiedział cicho, by jej nie dekoncentrować.

Po kilku sekundach podjęła kolejną próbę, tym razem wolniej, z większym opanowaniem. Hollis obserwował, jak przesuwa stopy i w końcu prostuje ciało w pionie. Rozpostarła ramiona jak na równoważni, kołysząc się na falach w przód i w tył, aż wreszcie złapała równowagę i stanęła nieruchomo jak drzewo.

Zdała sobie z tego sprawę dopiero po chwili, a gdy to nastąpiło, rozjaśniła się jej twarz.

– Udało się!

– Udało.

Utrzymywała się stabilnie na desce, woda niosła ją naprzód. Zanurzyła wiosło. Hollis przez cały czas jej nie odstępował.

Kiedy Jolie pojęła, w czym rzecz, nie chciała przestać. Nie dość, że przezwyciężyła strach, to jeszcze poszła o krok dalej, robiąc coś, o czym na początku nawet nie chciała słyszeć, nie wierząc we własne siły. A on był tego świadkiem.

Właśnie to do niego dotarło. Był przy tym, widział to na własne oczy.

Spędzili na wodzie godzinę, a potem zaczęli płynąć do brzegu, ponieważ Jolie burczało w brzuchu i już trochę piekła ich skóra. Znalazłszy się na plaży, poszli w stronę domu – w niekrępującym milczeniu, tak jak poprzednio, a Hollis przypomniał sobie swoją rozmowę z Emily. Będzie musiał podziękować jej za radę. Gdyby nie ona i nie jej gotowość do szczerego podzielenia się swoimi odczuciami, ten dzień nigdy by się nie wydarzył. Gdyby nie ona, prawdopodobnie nadal boczyłyby się gdzieś w kącie.

Ich torby leżały w tym samym miejscu, gdzie je zostawili. Hollis wyjął telefon, Jolie uczyniła to samo. Skrolowała wiadomości, a tymczasem Hollis się odwrócił i słuchał, jak jego komórka próbuje połączyć się z Janą.

– Co robisz? – zapytała Jolie.

– Dzwonię do twojej mamy.

Wydawała się zaskoczona.

Włączyła się poczta głosowa. Zostawianie kolejnej wiadomości prawdopodobnie miało się z celem, lecz mimo to się nie rozłączył.

– Pewnie jest zaabsorbowana swoim miesiącem miodowym – szepnął do córki, odsłuchując nagrany przez Janę tekst. – Jana, tu znów Hollis. Jolie mówi, że chcesz ze mną porozmawiać, nim zdecydujesz, czy pozwolisz jej tu zostać na kilka tygodni dłużej...

Telefon piknął, a kiedy Hollis spojrział na ekran, zobaczył, że dzwoni Jana.

– Hej – powiedział, odebrawszy połączenie. – Przepraszam, jeśli przeszkadzam.

Nie chciał myśleć o tym, w czym mógłby jej przeszkadzać. Widział świeżo upieczonego męża Jany, który wyglądał co prawda na dość sympatycznego człowieka, jednak obraz sztywnego, prawie że ofermowatego Ricka i seksbomby Jany podczas ich miesiąca miodowego był ostatnią rzeczą, którą chciałby sobie wyobrazić.

– Nie szkodzi. Właśnie wracamy na plażę. Jolie powiedziała, że chce zostać dłużej? – W głosie Jany brzmiało niedowierzanie.

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Hollis, co jest grane? Chyba mi nie powiesz, że naprawdę chcesz ją mieć u siebie przez kolejny miesiąc.

Zerknął na bacznie obserwującą go Jolie, a następnie się odwrócił i odszedł kilka kroków dalej.

– Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

Jana się zaśmiała.

– Nie musisz udawać, Hollis.

– Nie udaję. Cieszę się, że tu jest. Chcę, żeby została.

– Niech zgadnę: siedzi tuż obok, a ty zgrywasz przed nią anioła.

– Nie wiedziałem, że w tym scenariuszu jest miejsce dla anioła.

– Jeśli powiem, że nie może zostać, wtedy to ja będę czarnym charakterem.

– Więc tego nie mów.

I znów ponury śmiech.

– Jana, proszę cię. Wiem, że nie spisywałem się, jak należy, ale to przecież moja córka.

– Zastanowię się. Muszę kończyć.

– Przesłuchania są w piątek. Mogłabyś zdecydować do tego czasu i dać nam odpowiedź?

– Do widzenia, Hollis.

Rozłączył rozmowę i odczekał kilka sekund, nim odwrócił się do córki stojącej za nim z ponurą miną.

– Nie pozwoli mi zostać.

– Tego nie wiemy.

– Ja wiem. Chce, żeby Rick mnie adoptował.

Hollis zwiesił ramiona.

– Co?

– On chce mnie adoptować, a mama twierdzi, że to dla wszystkich najlepsze rozwiązanie.

Wysłała mnie tu, bo myśli, że jak spędzisz ze mną kilka tygodni, łatwiej się zgodzisz.

– Niemożliwe.

– Wydaje im się, że chodzę spać o wiele wcześniej niż naprawdę.

Hollis podszedł bliżej.

– A ty tego chcesz? – zapytał.

Wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku, i klapnęła na piasek.

– Bo ja tego nie chcę.

Uklęknął obok niej. Tym razem spojrzała mu w oczy.

– Nie?

– Ani trochę – zapewnił ją, kręcąc głową.

Siedziała bez ruchu z telefonem na kolanach.

– Nie zakładajmy najgorszego – powiedział. – Będę urabiał twoją mamę, ale teraz umieram z głodu. Co powiesz na burgery?

– Mniam.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha, a jego serce ze szczęścia fiknęło koziołka. Jolie się uśmiechnęła. Do niego.

I była to najwspanialsza rzecz pod słońcem.



## Rozdział 26

Późnym wieczorem we wtorek Hollis napisał do Emily wiadomość.

„Dzięki za radę wobec Jolie. Miałaś rację”.

„Ja mam zawsze rację, Mack” – odpisała.

„Cóż za skromność”.

„Powiedz, jak było, czy mam się domyślać?”

„Wolę zrobić to osobiście”.

„Ok. Tylko nie każ mi zbyt długo czekać”.

„Jutro”.

„Pasuje. Dobranoc, cudowny ozdrowieńcu”.

„Dobranoc, Em”.



W środę rano Emily zaparzyła Jackowi i jego wesołym pomocnikom dzbanek kawy, wcisnęła laptop, nowy notes i telefon do solidnego plecaka i wyszła tylnymi drzwiami do szopy w ogrodzie, gdzie przechowywano rowery.

Ledwo zdążyła wyjąć rower mamy, gdy usłyszała za sobą kroki. Odwróciła się i ujrzała Hollisa zmierzającego w jej kierunku, niespiesznie, na luzie. Próbowwała się na niego nie gapić, ale on potrafił świetnie wyglądać bez żadnego wysiłku.

Był świeżo ogolony – po raz pierwszy od jej przybycia na wyspę – i ubrany we wrzosową koszulkę opinającą tors i bicepsy. Opalenizna zdawała się głębsza, piwne oczy dosłownie błyszcząły.

– Dzień dobry. – Przywitała go uśmiechem, gdy się zbliżył.

– Tylko na to spójrz – powiedział, podsuwając jej pod nos telefon. – Przyszło dziś rano.

Wzięła z jego rąk komórkę i przeczytała SMS od Jany.

„W porządku. Może zostać. Tylko pamiętaj, dobrze się nią opiekuj”.

– Może zostać. – Jego głos przepełniała cicha radość, lecz nikt inny pewnie by jej nie wyłapał, ponieważ była nader powściągliwa.

– Może zostać?

Rozciągnął usta w powolnym uśmiechu.

– Póki nie przeczytałem tego SMS-a, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się denerwowałem, że Jana się nie zgodzi.

Emily oddała mu komórkę.

– Wspaniała nowina. Ogromnie się cieszę.

– Zawdzięczam to tobie. Ta sztuka...

– Zaraz. – Przerwała mu uniesieniem ręki. – Zasada numer jeden: nie wystawiamy sztuki tylko musical. Ważne, żebyś rozróżniał te rzeczy, szczególnie że masz w domu młodą aktorkę.

– Czym się różnią?

– W sztuce nie ma muzyki. W musicalu jest.

Wyszczrzył zęby.

– Nietrudno zapamiętać.

– Zdziwiłbyś się, jak wielu ludzi się myli. – Poprowadziła rower w stronę furtki.

– Mniejsza o terminologię... w każdym razie dziękuję.

– A teraz powiedz: co do czego miałam rację? – zapytała, nawiązując do wiadomości z poprzedniego wieczoru. – To znaczy: tym razem?

Szturchnął ją ramieniem.

– Co za zarozumiałstwo.

Wzruszyła ramionami z udawaną pewnością siebie.

– Co mam ci powiedzieć? Jak mam rację, to mam rację.

– W tym konkretnym przypadku jestem ci zobowiązany. Wczorajszy dzień okazał się absolutnym sukcesem. – Uśmiechnął się. – Zabrałem ją na deskę z wiosłem. Nie siliłem się na rozmowę. Czułem, że naprawdę mamy ze sobą kontakt. – Przestąpił z nogi na nogę. – Em, ona się do mnie uśmiechnęła.

Emily stopniowo zmieniała zdanie na temat jego ojcostwa. Ujrzała w Hollisie mężczyznę, który desperacko się stara, zupełnie niepodobnego do człowieka, który wiele lat temu porzucił jej mamę, gdy tylko dowiedział się o dziecku w drodze.

– A nie mówiłam? – rzekła, odrobinę zdziwiona, że jej rada okazała się cenna, zważywszy na jej obecną sytuację życiową i brak udanych związków na przestrzeni lat.

– Ona jeszcze nie wie.

– Że może zostać?

Hollis skinął głową.

– Spała, kiedy wychodziłem z domu. Mam zamiar ją obudzić. Najpierw chciałem powiedzieć tobie.

Coś w tym słowach mocno ją poruszyło.

– Cieszę się, że to zrobiłeś.

Spojrzał na rower, jakby zauważył go dopiero teraz.

– Dokądś się wybierasz?

Wskazała kciukiem za ramię.

– Jack już jest, więc postanowiłam przejechać się do miasta. Nie będę mu się płatać pod nogami. Okazuje się, że zajęcia z budowy dekoracji niekoniecznie przygotowują człowieka do remontu domu.

Roześmiał się. Był to serdeczny śmiech, którego od czasu powrotu na wyspę nie słyszała niemal wcale.

– Konkretnie dokąd?

– Do ośrodka kultury. Jest mnóstwo pracy przed przesłuchaniami.

– Więc nie będzie cię przez cały dzień?

– A co, będziesz za mną tęsknić?

W jego oczach błysnęła iskierka rozbawienia, ale z twarzy nie zniknęła powaga. Do czasu...

– Nie, po prostu pilnuję, żebyś się czasem nie nadziała na jakieś narzędzie elektryczne.

Wybuchnęła śmiechem.

– To do zobaczenia. Cieszę się, że sprawy z JoJo zaczęły się układać.

– Tak, ja też – przyznał z uśmiechem.

Wsiadła na rower, starając się odepchnąć od siebie niechciane myśli. Emily Ackerman nie przywiązywała się do ludzi, jak zatem Hollis i cała jego rodzina zdołali w tak krótkim czasie omotać jej serce?

Pedałowała do ośrodka kultury, zmuszając się do podziwiania piękna poranka. Dotarłszy do miasta, musiała dwukrotnie użyć starego rowerowego dzwonka, by ostrzec przechodniów, że nadjeżdża za ich plecami.

Za każdym razem brzdęk przypominał jej o matce. Za każdym razem otrząsała się ze wspomnień. Już i tak za dużo o niej myślała. A to bolało. Po tylu latach wciąż bolało. Psycholog prawdopodobnie by powiedział, że nie przeżyła okresu żałoby.

Psycholog miałby rację.

Gdy tylko Emily otworzyła drzwi ośrodka kultury, powitał ją gwar głosów. Gwar tak duży, że zaczęła się zastanawiać, czy nie odbywa się tu przypadkiem jakaś poranna impreza, o której nie miała pojęcia. Czy uda się jej wśliznąć niepostrzeżenie i zaszyć w biurze?

Przeszła przez hol i zadarła głowę, słysząc dobiegające z piętra głośne rozmowy. Zorientowała się, że będzie musiała minąć grupę, by dostać się do przydzielonego jej przez Gladys biura. Może udałoby się znaleźć jakąś salę w głębi korytarza, gdzie mogłaby popracować...

– Emily?

Podniosła wzrok i ujrzała Nan McGuire stojącą w samym środku dużej grupy kobiet w różnym wieku.

– Nan?

Matka Hollisa pospiesznie zeszła do holu.

– Przyłapałaś nas. – Nan zerknęła na piętro. Dzięki otwartemu atrium z dołu było widać stojące na górze kobiety.

– Co tutaj robicie? Odbywa się tu dzisiaj jakaś impreza? – zainteresowała się Emily.

– Skądże – odparła Nan. – Przyszliśmy tu dla ciebie.

– Nie rozumiem.

– To ona? – Jakaś kobieta w wieku Nan zbiegała ze schodów. Nie tyle zbiegała, co się toczyła.

– Emily, to jest Pearl Whitmeyer – przedstawiła Nan. – Wytrawna krawcowa.

Pearl rozpromieniła się na ten komplement.

– Nie używałam maszyny od lat, ale wiem, że gdy tylko do niej siądę, wszystko sobie przypomnę.

– Na górze jest też Cheryl Davidson, nasza specjalistka od marketingu, Elise Santana, która zajmie się rekwizytami, a Marisol Duncan podobno już poznałaś – będzie twoją prawą ręką.

Reszta kobiet zdążyła w tym czasie zejść na parter. Każda z przedstawianych osób pomachała Emily na powitanie.

– Pomyślałyśmy, że może przyda ci się pomoc, więc zebrałyśmy kilka kluczowych osób. – Nan uśmiechnęła się radośnie.

– Nic sobie nie pomyślałyśmy – sprostowała Cheryl. – Wszystko to zasługa Nan, a my cieszymy się, że możemy się przysłużyć. Uważamy, że robisz dla naszych dzieciaków wspaniałą rzecz.

– To zaledwie garstka ochotniczek – wyjaśniła Nan. – A kiedy skompletujesz obsadę, planujemy zmobilizować także rodziców.

*Jak za dawnych czasów.*

Nim Emily zdążyła się obejrzeć, kobiety otoczyły ją wianuszkami i ruszyły z miejsca, zagarniając ją ze sobą jak ławica ryb. Zmierzały przez hol do pracowni zajęciowych, mijając po drodze salę teatralną.

– Wspaniale, że postanowiłaś tu wpaść – mówiła Nan, gdy wszystkie kobiety zajęły miejsca przy stole. – Słyszałam, że byłaś tu też wczoraj. Twój entuzjazm jest zaraźliwy.

– Emily, wybrałaś już sztukę? – zapytała siedząca obok Marisol.

– Marisol idealnie nadaje się na asystentkę – oznajmiła Nan. – Studiuję teatr w Bostonie.

– Mówiła mi – odparła Emily. – Cieszę się, że mam ją do pomocy.

– Nie żartuj! Ależ to wzbogaci mój zawodowy życiorys! – rzekła Marisol. – Obejrzałam wczoraj więcej odcinków *Dottie's World*. Wtedy to było naprawdę coś.

Emily zdobyła się na uśmiech.

– Chyba tak.

– Supersprawa, że poznałam wreszcie Dottie.

– Mówisz poważnie? – Emily poczuła się staro.

– No jasne. – Marisol wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Świetny był odcinek, w którym twoje podwórko zamienia się w przestrzeń kosmiczną, a ty zabierasz dzieciaki w podróż dookoła Słońca. Najbardziej podobała mi się krowa w czerwonych botkach unosząca się w kosmosie.

– Krowa, która przeskoczyła przez Księżyc – dodała Emily, przypominając sobie tamtą scenę. – I dożyła swoich dni w stanie nieważkości.

Praca w telewizji wydała się jej odległa o całe wieki. I o miliony marzeń.

– Więc jak, wybrałaś spektakl? – powtórzyła Cheryl. – Mogłabym zaktualizować stronę i przygotować ulotki, które poroznosilibyśmy po mieście, rozwiesili w miejscowych sklepach, rozkręcając emocje przed przesłuchaniami. Marisol już pracuje w pocie czoła nad nagłośnieniem wydarzenia w mediach społecznościowych.

Nim Emily zdążyła odpowiedzieć, poczuła, jak nie wiadomo dlaczego ścisną jej gardło, a oczy zachodzą mgłą. Zdołała wykrztusić zdławione „przepraszam”, wstała od stołu i wypadła z sali. Co się z nią dzieje? Znalazła toaletę, szybko czmychnęła do środka i ochlapała twarz zimną wodą.

– Weź się w garść, Emily – powiedziała do swojego lustrzanego odbicia.

Otworzyły się drzwi łazienki. Stała w nich Nan z zatroskaną miną, taką w stylu Hollisa.

– Wszystko dobrze?

Emily uszczypnęła się w nos.

– Tak.

– Na pewno? Nie miałam zamiaru cię zdenerwować, ściągnając tu dziewczyny.

– Nie, nie, nie w tym rzecz.

Ale rzecz była w tym. Dokładnie w tym. Tyle że nie z powodów, o których myślała Nan. Fakt, że kobiety przyszły jej pomóc, nie zdenerwował jej ani trochę. On ją wzruszył.

Dlaczego tak garnęły się do pomocy? Jak gdyby wносиły osobisty wkład w jej sukces. Nie chciała żadnej z nich sprawić zawodu.

*A jeśli się nie uda?*

Nan stała cicho u jej boku.

– Powrót po tylu latach musi być trudny.

Trafiła w sedno. Trudno odnaleźć się tu ponownie. Odgrzebywać przeszłość dziecięcą łopatką, gdy potrzebna jest koparka.

Odwróciła wzrok.

– Trochę tak.

Nan, podobnie jak jej syn, miała jakby szósty zmysł, który sprawiał, że nie można było jej okłamać.

– Dawno nie miałam wokół siebie ludzi... – Mogłaby na tym zakończyć, ale to nie był przecież koniec zdania. *Dawno nie miałam wokół siebie ludzi, którzy tak się o mnie troszczyli.* Nie zdecydowała się wypowiedzieć tych słów na głos.

Nan wzięła Emily za rękę.

– Teraz masz ich wielu, skarbie.

Głupia gula znów stanęła jej w gardle. Emily zastanawiała się, czy zdoła przełknąć ją w całości.

– Bóg dobrze się tobą opiekuje.

Emily nawet nie próbowała protestować. Nie chciała, by Nan wiedziała, jak cynicznie odnosi się do Boga.

– No, mamy pełne ręce roboty. – Nan poklepała ją po plecach. – Gotowa?

Emily skinęła głową.

– Tak.

– Na pewno?

Uśmiechnęła się do matki Hollisa.

– Na pewno.

Nan ścisnęła ją za ramię.

– Gdybyś poczuła, że coś cię przerasta, wszystkie jesteśmy pod ręką. Wystarczy powiedzieć, czego ci potrzeba.

Wyszła za Nan z łazienki, z każdym krokiem podbudowując swoją determinację. *Okej, Ackerman, masz zadanie do wykonania, a tym kobietom potrzebny jest ktoś, kto nimi pokieruje.*

Fakt, że to ona miała nimi pokierować, wciąż spędzał jej sen z powiek, była jednak zdecydowana doprowadzić rzecz do szczęśliwego końca choćby dlatego, że zasługiwała na to Jolie, nawet jeśli brakowałyby innych powodów.

Gdy weszły do pracowni, rozmowy ucichły i wszystkie zaciekawione spojrzenia wylądowały na Emily.

– Ogromnie się cieszę, że tu jesteście – powiedziała. – Wiedziałam, że nie tylko ja marzę o przywróceniu dziecięcych przedstawień.

– Czekaliśmy na właściwą osobę – zauważyła Pearl.

Siedziały przed nią w komplecie, mała armia pszczół robotnic, patrzyły z życzliwym oczekiwaniem, autentycznie podekscytowane projektem. Tego jej zabrakło przy poprzednim spektaklu, który okazał się fiaskiem.

Może tym razem będzie inaczej?

– Drogie panie. – Emily klasnęła w dłonie. – Co powiecie na *Alicję w Krainie Czarów*?



Emily wyszła z ośrodka kultury, gotowa do przesłuchań, które zaplanowano na kolejny dzień, i podekscytowana.

Przedstawienie *Alicji w Krainie Czarów* miało być muzyczną przygodą pełną kolorowych kostiumów oraz dekoracji i jeśli tylko dzieci zaakceptują pomysł, dorośli są gotowi. Marisol okazała się darem niebios – nie dość, że rozumiała teatr, to znała niemal wszystkich na wyspie. Wraz ze skrzykniętymi przez Nan kobietami zaspokajała wszystkie potrzeby produkcji.

*I co ty na to, Gladys?* Emily starała się nie chełpić sukcesem – jeszcze długa droga przed nimi. Ale świadomość, że osiągnęły już dokładnie to, w co powątpiewała Gladys, czyli zdobyły zainteresowanie rodzin, bardzo tę powściągliwość utrudniała.

To nie jedyne cele, które Gladys uznała za zbyt szumne. Przechodziła przez hol akurat w chwili, gdy Emily przedstawiała zespołowi swoją wizję.

– Wiem, że może to zabrzmieć bardzo ambitnie – mówiła – ale naprawdę wierzę, że dzieciaki sprostają naszym oczekiwaniom, dlatego chcę wywindować poziom. Chcę je dopingować. Żeby po wyjściu z musicalu publiczność przecierała oczy ze zdumienia, że to, co obejrzała, było dziecięcym przedstawieniem.

Wyraźnie słyhać było parsknięcie Gladys, czym ściągnęła na siebie uwagę wszystkich obecnych. Machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „nie zwracajcie na mnie uwagi”, po czym bez słowa udała się na piętro.

– Uważam, że to fantastyczny pomysł, Emily – pochwaliła Marisol, kiedy Gladys zniknęła z pola widzenia.

– Ja też – zawtórowała jej Pearl.

– Masz rację – przyznała Nan. – Te dzieciaki wszystkich zaskoczą. Czuję to przez skórę.

W bardzo krótkim czasie przedstawienie nabrało dla Emily znaczenia, ogromnego znaczenia. Wiedziała, że nie wymaże porażek z przeszłości, ale miło było skupić się na czymś innym niż niepowodzenia. Niż jej własna osoba.



*Kochana Emily,*

*zawsze dorastałam w przekonaniu, że pasja jest czymś dobrym. „Podążaj za swoją pasją”, takie motto wyhaftowałabym na poduszce. To znaczy gdybym lubiła haftowane poduszki.*

*Podpisuję się pod tym obiema rękami. Wierzę w sens szukania swojej pasji i realizowania jej wszystkimi siłami. Choć jesteś jeszcze mała, dostrzegam w Tobie wiele pasji. Miłość do zwierząt i ludzi, kreatywność. Masz w sobie ten sam zapał, co ja i absolutnie to w Tobie uwielbiam.*

*Ale jednocześnie Cię ostrzegam... Podążaj za swoimi pasjami, podążaj całym sercem, lecz pamiętaj o rozsądku. Zabierz go ze sobą. Nie pozwól, by pasja pochłonęła Cię do tego stopnia, że zapomnisz o swoim wielkim pięknym rozumie, który mieści się w tej Twojej pięknej głowce!*

*Kocham Cię*

*Mama*

## Rozdział 27

Hollis niespokojnie krążył pod drzwiami sali przesłuchań.

Jego mama opuściła swoje stanowisko przy stoliku zgłoszeń i do niego podeszła.

– Kochanie, wydaje mi się, że wprowadzasz nerwową atmosferę.

Zerknął na dzieci siedzące rzędem pod salą. Obserwowały go szeroko otwartymi oczami. Mała dziewczynka miała taką minę, jakby chciała się rozplakać.

Usłyszał, jak za zamkniętymi drzwiami rozpoczyna się muzyka do numeru Jolie.

– Okropnie się denerwuję.

– Nie ma powodu – uspokajała mama. – Ćwiczyła przez cały tydzień.

Jakby tego nie wiedział. Jolie postanowiła akompaniować sobie na ukulele (nawet nie wiedział, że potrafi grać na ukulele) w uwspółcześnionej wersji *Somewhere over the Rainbow*. Hollis był absolutnie pewien, że słyszał już tę piosenkę sześćset czterdzieści dwa razy. Uważał, że Jolie jest niesamowita, że ma głos, którego ludzie będą chętnie słuchać, no ale był w końcu jej tatą. A czy nie jest tak, że wszyscy ojcowie uważają swoje dzieci za wyjątkowe i utalentowane?

– Chodź do holu – powiedziała mama.

Nasłuchiwał przez kolejną sekundę, a potem ruszył za mamą korytarzem.

– Mój Boże, Hollis, denerwujesz się bardziej niż ona.

– Wiem. I bardziej niż przed moim pierwszym meczem ligowym.

Jedna z oczekujących mam roześmiała się na te słowa.

– Oto co robią z nami dzieci.

– Prawda? – wtrąciła inna mama. – Zawsze bardziej się denerwuję, żeby dobrze poszło moim dzieciom niż mnie samej.

– Witamy w świecie rodziców – rzekła Nan. – To nie mija. Pamiętasz, Hollis, jak się przejmowałam twoimi meczami?

Tak, pamiętał. Mama była jego najbardziej zagorzałą kibicką. Zastanawiał się, czy w słowach taty kryła się odrobina prawdy: czy naprawdę nie lubiła rozgrywek? Dopingowała go tak, jakby była w swoim żywiole.

Mama się uśmiechnęła i usiadła przy stoliku w chwili, gdy z drzwi na końcu korytarza wyszła JoJo.

Hollis zamarł, sondując jej minę. Z początku miała kamienną twarz, ale gdy zamknęła za sobą drzwi, jej buzię rozjaśnił uśmiech.

Podeszła prosto do Hollisa jak gdyby nigdy nic i wyszeptwała:

– Myślę, że się im podobało.

– No wiesz? Założę się, że byli zachwyceni.

Uciszyła go, oglądając się przez ramię na pozostałych kandydatów.

– Wyluzuj.

– Jasne. – Hollis silił się na nonszalancję. Za to w środku rozpierała go radość. Był taki dumny z Jolie, że weszła na przesłuchanie jak profesjonalistka i dała z siebie wszystko. Jemu z pewnością nie wystarczyłoby odwagi.

Drzwi otworzyły się ponownie, ciemnowłosa dziewczyna wywołała kolejną kandydatkę.

– Marta?

Marta, jak się okazało, była tą zapłakaną dziewczynką. Na dźwięk swojego imienia zupełnie się rozkleiła.

Stojąca w drzwiach dziewczyna rzuciła spojrzenie komuś w sali i powiodła palcem po policzku, komunikując w ten sposób, że pojawiły się łzy. Czy tak przewidywał protokół?

Jolie zrobiła krok w stronę dziewczynki, a Hollis niemal się rozplątał. Jego córka pospieszyła z pomocą młodszemu dziecku. Widząc to, pokochał ją jeszcze bardziej.

Zanim jednak ktoś zdążył podejść do Marty, w drzwiach ukazała się Emily. Miała na sobie dzinsy, sandały na obcasie, luźną, turkusową koszulę i przylegający czarny żakiet z podwiniętymi rękawami. Włosy długie, falujące, usta o odcień ciemniejsze niż ich naturalny kolor.

Jej wygląd zwał z nóg.

Z uśmiechem na ustach uklękła przed dziewczynką, obejmując jej dłonie.

Nie słyszał, co mówi, ale widział, jak Marta kiwa głową, raz, drugi, trzeci, a potem wstaje z miejsca. Emily wzięła ją za rękę i zaprowadziła do sali przesłuchań.

Tuż przed zamknięciem drzwi Emily napotkała wzrok Hollisa i szybko się uśmiechnęła. Hollis rozpląnął się po raz drugi w ciągu zaledwie kilka minut.

Tego oblicza Emily nigdy nie widział. Dowodziło tego, czego od początku się domyślał: że pozostało mu jeszcze wiele do odkrycia.

– To było urocze – rzuciła zza ramienia mama Hollisa. – Emily świetnie dogaduje się z dziećmi. To już drugie dziecko, które udało się jej rozbroić. Wcześniej znalazła sposób na okiełznanie chłopaka Harrisów.

– Powiedziała mi, że mój głos ma wyjątkowe brzmienie – oznajmiła Jolie.

– To dobrze? – zapytał Hollis, wyrывая się ze stanu odrętwienia, w jaki wprawiła go Emily.

– Wzięłam to za komplement – odparła Jolie ze wzruszeniem ramion.

– Oczywiście, że to był komplement. – Nan przekładała stos formularzy przesłuchań. – Kto chce słuchać głosu, który brzmi tak samo jak wszystkie inne?

Odczekali jeszcze kilka przesłuchań. Hollis poczuł się gotów do wyjścia dopiero wtedy, gdy Emily mignęła mu jeszcze kilka razy przed oczami.

Jolie tryskała radością.

– Więc jak... lody?

Obiecał jej wypad do Juice Baru, ciesząc się, że mimo wszystko postanowiła nie rezygnować z nabiątu. Choć mógłby stać tam godzinami, byle tylko znów móc spojrzeć na Emily, nie zamierzał łamać danej Jolie obietnicy.

– No to chodźmy.

Czekali w kolejce po lodowy rozek znacznie dłużej, niż mieściło się to w granicach ludzkiej przyzwoitości, ale gdy tylko Jolie liźnęła domowe lody miętowe i z zachwytu oczy wyszły jej z orbit, wiedział, że było warto.

Poza tym, od kiedy tylko wyszli z ośrodka, nie zamykała się jej buzia. Córka wreszcie się ożywiła. Zdawał sobie sprawę, że Emily miała w tym przynajmniej częściowy udział.

Gdyby nie zgodziła się wyreżyserować przedstawienia, gdyby o nie nie zabiegała, pobyt Jolie na wyspie dobiegałby końca. A tymczasem mieli przed sobą jeszcze kilka letnich tygodni.

– A jeśli się nie dostanę do obsady? – zapytała nagle Jolie w przyływie paniki.

– Nie wygłupiaj się – rzucił beztrosko Hollis. – Oczywiście, że się dostaniesz.

Mimo to ścisnęło go w dołku. W ogóle nie wziął pod uwagę, że może nie wszystkie dzieci wezmą udział w przedstawieniu.

– Porozmawiajmy o czymś innym – zaproponował. – Jutro poznasz swój aktorski los, ale dzisiaj musisz się zadowolić lodami miętowymi i towarzystwem swojego staruszka.

Jolie znów polizowała lody. Szli brukowanymi uliczkami do miejsca, gdzie Hollis wcisnął swoje auto pomiędzy dwa inne parkujące samochody.

– Tylko że nie wiem, o czym – rzekła Jolie. – Nie potrafię myśleć o niczym innym. Wszystkie dziewczyny w mojej grupie mówiły, że chcą zagrać Alicję.

– Wiadomo. Każdy chce dostać główną rolę.

– A ja nie. Myślę, że fajnie byłoby grać Kota z Cheshire. Albo na przykład Gąsienicę.

Uzależnioną od kwasu Gąsienicę? Zabawna rola jak dla dwunastoletniej dziewczynki. Roześmiał się w duchu na ten wewnętrzny dialog z samym sobą, żałując, że nie ma obok Emily, która doceniłaby dowcip.

– Z czego się śmiejesz?

– Co?

– Śmiałeś się. Myślisz, że głupio robię, że wolę takie role?

– Słucham? – Hollis był skonsternowany. Czyżby śmiał się na głos? – Nie, oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc, myślałem o Emily.

– Taaatooo... – Jolie przystanęła.  
– Wyluzuj – powiedział. – Myślałem o czymś, co by ją rozśmieszyło, nic poza tym. Uważam, że to supersprawa, że nie zależy ci na głównej roli.  
– Emily mi kiedyś powiedziała, że role drugoplanowe są czasem o wiele fajniejsze do zagrania. Ciekawsze.  
– Naprawdę?  
– Tak mówiła. Już dawno, zanim w ogóle wiedziała, że będzie robić przedstawienie, więc raczej nie próbowała studzić moich nadziei ani nic takiego.  
*Już dawno.* Hollis się uśmiechnął.  
– Co?  
Pokręcił głową.  
– Nic.  
– Czemu się uśmiechasz?  
– Bo uważam, że jesteś naprawdę super.  
Zaróżowiły się jej policzki i choć jej twarz częściowo przesłaniał lodowy rozek, widział, że się uśmiecha.



Emily wraz ze swoim zespołem przesłuchała w sumie osiemdziesięcioro pięcioro kandydatów. Osiemdziesięcioro pięcioro dzieciaków chciało wystąpić w przedstawieniu, ona zaś zamierzała znaleźć sposób na obsadzenie ich wszystkich.

Gladys twierdziła, że zrezygnowano z dziecięcego teatru z powodu braku zainteresowania. Na tę myśl Emily po raz kolejny stłumiła uśmiech satysfakcji. *Chyba ci udowodniłyśmy, Gladys.*

Pod koniec przesłuchań ostatniej grupy weszła około dwunastoletnia dziewczynka, wręczając Emily swój formularz. W trakcie jego przeglądania wzrok Emily przykuły imiona rodziców. Douglas i Shae Danielsowie.

*Shae.*

Dość rzadkie imię. Czy możliwe, że to ta sama Shae, do której jechała matka tamtej nocy, kiedy zginęła w wypadku?

Emily słuchała, z jaką żywiołowością dziewczyna interpretuje piosenkę *You're Welcome* z filmu *Vaiana*, i natychmiast pomyślała, że doskonale nadawałaby się do roli Gąsienicy. Ta rola będzie wymagała zaśpiewania dynamicznej wersji *Zip-a-Dee-Do-Dah*, więc potrzebny był do niej ktoś obdarzony mnóstwem energii. Córka Shae Daniels miała jej na pęczki.

– Świetnie, Alyssa – pochwaliła Emily, gdy dziewczynka skończyła śpiewać.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Fajnie, że robi pani przedstawienie. Moi bracia grają w baseball, a ja potrzebuję jakiegoś innego zajęcia niż przesiadywanie całe lato na boisku.

Emily się roześmiała.

– Jest tu z tobą twoja mama?

Alyssa kiwnęła głową.

– Czeka w holu.

– Nie masz nic przeciwko, żebym zamieniła z nią słowo?

– Coś nie w porządku? – zaniepokoiła się.

– Ależ nie, nic podobnego. – Wstała i wyszła za Alyssą do holu, mijając po drodze kilkoro ostatnich kandydatów i kierując się do miejsca, gdzie siedziała wysoka, ciemnowłosa kobieta i czytała książkę.

– Mamo, już po wszystkim! – zawołała Alyssa.

Kobieta z uśmiechem podniosła wzrok.

– Świetnie, skarbie. Jak poszło?



– Znakomicie – odparła Emily zamiast Alyssy.

Spoczął na niej wzrok Shae Daniels.

– Miło mi to słyszeć – rzekła kobieta.

– Pani Daniels, mam trochę dziwne pytanie, ale czy znała pani moją matkę, Isabelle Ackerman?

Shae rzuciła szybkie spojrzenie na Nan siedzącą w zasięgu słuchu przy stoliku zgłoszeń obok Hillary.

– Znałam. Kiedyś blisko się przyjaźniłyśmy.

Emily poczuła, jak drży jej oddech.

– Tamtej nocy, kiedy doszło do wypadku... czy rozmawialiście ze sobą? Jechała do pani?

Shae ujęła ręce Emily w swoje dłonie.

– Chciałabym, by tak było, ale nie. Urwał się nam kontakt kilka lat wcześniej. Wpadałyśmy na siebie od czasu do czasu w sklepie albo na plaży, ale od pewnego momentu nie byłyśmy już sobie takie bliskie.

Emily się zawahała.

– Więc nie jechała wtedy do pani?

Shae pokręciła głową.

– Nie, mieszkałam po drugiej stronie wyspy. W...

– 'Sconset – wpadła jej w słowo Emily.

– Zgadza się. A do wypadku doszło na Cliff Road.

Emily zamarło serce. Cliff Road. Tak jak napisano w artykule. Inaczej, niż mówiła babcia.

– Wie pani, do kogo mogła jechać?

– Bardzo mi przykro, Emily, nie mam pojęcia. – Ścisnęła jej dłonie. – Pani matka była cudowną osobą. Żałuję, że zanim odeszła, nie zdążyłyśmy naprawić naszych relacji. Chyba niczego aż tak bardzo nie żałuję.

– Dziękuję za te słowa – powiedziała Emily. – Może opowie mi pani kiedyś historie z czasów waszej przyjaźni. Bardzo chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej.

Kobieta uśmiechnęła się serdecznie.

– Z przyjemnością.

## Rozdział 28

Następnego dnia Jolie siedziała jak na szpilkach, wypatrując, czekając... śledząc.

– Jolie, chodź coś zjeść – prosiła Nan. – Zwariujesz od tego gapienia się w telefon.

– Babciu Nan, nie mogę jeść w takiej chwili. A jeśli nie przeszłam?

– Och, na pewno przeszłaś – odezwał się tato Hollisa. – Emily by cię nie odrzuciła.

– Dziadku... – oburzyła się Jolie. – Nie chcę przejść dlatego, że Emily jest koleżanką taty. Tylko dlatego, że jestem dobra.

Hollis stał w kuchni oparty o blat, z niemal pustym kubkiem kawy w ręku.

– Zamartwianie się zda się na nic, a tylko popsuje ci cały dzień – zauważyła jego mama. Spojrzała na Hollisa, a potem ruchem głowy wskazała Jolie, jak gdyby to on powinien pocieszać ją w strapieniu.

– Kiedy wreszcie prześła tę listę? – biadoliła Jolie. – Ciągnie się to godzinami.

– Prześlą, kiedy będzie gotowa – zauważył przytomnie Hollis. – Spróbujmy się rozerwać.

Moglibyśmy pójść na deskę.

Pokręciła głową.

– Nie mogę, póki nie poznam swojego losu.

Nan się uśmiechnęła.

– Bez wątpienia ma aktorskie zacięcie.

I wtedy Jolie wydała stłumiony okrzyk.

– Przyszło!

Nan postawiła na stole talerz placuszków, dziadek zerknął znad gazety.

– No i na co czekasz? – zapytał Hollis.

– Boję się otworzyć – wyjaśniła Jolie.

– JoJo, czekasz na tę listę od wielu godzin. Otwórz. – Hollis odstawił kubek i podszedł do córki, która trzymała w ręku komórkę z taką miną, jakby to była tykająca bomba.

– Zobaczysz? – Podała mu telefon.

Hollis patrzył na otwartą skrzynkę odbiorczą. Ma sprawdzić za nią? Na widok jej miny ścisnęło mu się serce.

– Jasne.

Usiadł obok niej i otworzył e-mail.

– „Dzielni Drodzy Kandydaci” – zaczął czytać.

– To pomiń – poinstruowała Jolie. – Znajdź link z obsadą. – Skrzyżowała nogi na kanapie, zacisnęła powieki, a ręce złożyła przed sobą jak do modlitwy. Szybko poruszała ustami, z których dobiegał cichy szept.

Może naprawdę się modliła.

Hollis przewijał wiadomość, póki nie trafił na link z obsadą. Kliknął w niego i czekał, aż się otworzy.

– No i?

– Ładuje się.

– Tak to jest, kiedy nie ma się wi-fi. Muszę korzystać z danych sieci... och, dlaczego to tak długo trwa?

Pojawiły się słowa: „Gratulujemy obsadzie *Alicji w Krainie Czarów*”. Skrolował listę, aż wreszcie zobaczył jej nazwisko. Wtedy podniósł wzrok.

– Jolie?

– Jest źle? Nawet jeśli tak, nie szkodzi, bylebym znalazła się w obsadzie. Jestem na liście?

– Jesteś Królową Kier.

– Królową Kier? – Jolie wyrwała mu telefon i sama spojrzała na listę, jakby nie mogła uwierzyć, póki nie przeczyta osobiście. – Jestem Królową Kier!

Zerwała się z miejsca i padła Nan w ramiona.

– Gratulacje, JoJo! Musiałas świetnie wypaść, żeby dostać tę rolę!

Dziewczyna podbiegła do taty Hollisa, cmoknęła go w policzek i wykrzyknęła:

– Dziadku, jestem Królową Kier!

– Czy to dobrze? – Ojciec Hollisa puścił do niej oko. – Gratulacje, JoJo!

Hollis wstał, spodziewając się, że córka podbiegnie teraz do niego, ona jednak przycisnęła komórkę do piersi i zamknęła oczy.

– Muszę zadzwonić do mamy! Oszaleje! –

Pędem wypadła z pokoju, zostawiając go w osłupieniu. Zerknął na mamę, której wyraz twarzy mówił, że zauważyła to pominięcie jego osoby.

– Jest po prostu ogromnie przejęta – rzekła Nan.

– Tak, na pewno. – Hollis skwitował wyjaśnienia mamy machnięciem ręki i wymuszonym, sztucznym uśmiechem. Nie miał wątpliwości, że Nan przejrzała go na wylot. – Wychodzę. Chcę dokończyć pracę na patio Emily.

– Hollis...

Nie czekał na słowa pocieszenia. Zasunął za sobą przeszkłone drzwi i ruszył do domu Emily.

Potrzebował odmiany. Otoczenie domu Emily z przyjemnością mu ją zapewni. Na szczęście ekipa Jacka skupiała się na pracach we wnętrzu, pozostawiając Hollisa sam na sam z myślami – oraz z frustracją. Pracował bez przerwy przez co najmniej godzinę, odreagowując bezradność na zbitej ziemi, gdzie niegdyś rósł cenny ogród różany Ackermanów.

Słyszał, jak Emili napomknęła, że chciałyby go posadzić na nowo. Skoro nie spisywał się jako rodzic, może przynajmniej zrobi coś pożytecznego dla sąsiadki.

– A ty znów tutaj.

Hollis zmrużył oczy, patrząc na Emili. Gdyby przesunęła się o krok w prawo, zasłoniłaby rażące go słońce.

– Tak, chciałem zacząć wcześniej, bo zaraz po lunchu zabieram Jolie na deskę.

Uśmiechnęła się. Wtedy poczuł, jak ogarnia go uczucie, którego nie zaznał od bardzo dawna.

– Wiesz, że nie musisz tu pracować. Wynajęłam człowieka.

Wyprostował się.

– Tak, wiem.

– Więc dlaczego tu jesteś?

– Przyszedłem ci podziękować.

– Chodzi o Jolie? – zapytała z uśmiechem.

Kiwnął głową.

– Nie posiadała się ze szczęścia, kiedy się dowiedziała.

– Bardzo się cieszę.

– Dzięki tobie będzie miała wspaniałe wakacje. A przy okazji ja też.

– Wysłała mi SMS. Same wielkie litery i wykrzykniki.

Uśmiechnął się z wysiłkiem, ponieważ przypomniał sobie, że z nim córka wcale nie świętowała tej radosnej nowiny.

– Więc co mam ci wybudować?

– Och, mam rozległe plany. – Poruszyła brwiami. – Będziemy mieli ubaw po pachy.

– Tak myślałem.

– No dobrze, ale dlaczego przyszedłeś? Tak naprawdę? – Wsparła dłonie na biodrach i przygwoździła go wzrokiem.

Wzruszył ramionami.

– Żeby mieć pewność, że wszystko gra. Nie podoba mi się, że grupa obcych facetów ma dostęp do twojego domu od rana do nocy.

– Och, jesteś ekstremalnie nadopiekuńczy.

Rety, ależ ona mu się podobała. Była nie tylko piękna. Także mądra i zdeterminowana, ale i przygaszona, i nie miała przy tym pojęcia, jaką jest niesamowitą osobą. Żyła z poczuciem celu – jakby używała wszystkich kolorów kredek w pudełku. I to takim dużym, wyposażonym w temperówkę.

– Ziemia do cudownego ozdrowieńca. – Machnęła mu ręką przed twarzą.

– Przepraszam – powiedział. – Tak, jestem ekstremalnie nadopiekuńczy. I nic na to nie poradzę.

Potrząsnęła głową. Zauważył, że ma przewieszoną torbę przez ramię.

– Wybierasz się do teatru?

Przytaknęła.

– Denerwuję się – przyznała.

– Czym?

– Wszystkim.

– To nie w twoim stylu.

Wzruszyła ramionami.

– A to niespodzianka. Nie jestem taka pewna siebie, jak ci się wydaje.

To wyznanie było nieplanowane, jej nerwowy śmiech był marną próbą zatuszowania tych słów.

– Poradzisz sobie fantastycznie, Emily. Mówię ci, jesteś do tego stworzona.

– Będę udawać, że się zgadzam. – Przełożyła torbę z jednego ramienia na drugie. – Udawaj tak długo, aż wreszcie się uda?

– Racja. – Ale Hollis nie chciał niczego udawać. Chciał powiedzieć jej o wszystkich swoich ostatnich przemyśleniach na temat Jolie, baseballu i na jej temat.

Głównie na jej temat.

– Nie forsuj się za bardzo – zawołała przez ramię na odchodnym.

Poszła do szopy po rower. Przyglądał się jej. Przyglądał się przez kilka sekund. Musiała poczuć na sobie jego wzrok, ponieważ odwróciła się i uśmiechnęła z ironią.

– Obibok!

Podniósł spocone ramię i jej pomachał, dając do zrozumienia, że wziął sobie tę uwagę do serca, a następnie zmusił się do powrotu do pracy.

Ale i tak obserwował, jak Emily wsiada na rower i zaczyna pedałować.

Większość poranka upłynęła mu na pielenui zachwaszczonych rabat kwiatowych. W południe dojrzał do zrobienia przerwy. Przypomniał sobie, jak oczy Jolie rozbliły niczym choinkowe lampki, kiedy zapytał ją wczoraj, czy miałyby ochotę pójść później na plażę. Czy to możliwe, że zaledwie parę dni temu córka była dla niego chodzącą zagadką, której, jak sądził, nigdy nie rozwikła?

Nie żeby wszystko już rozgryzł. Nosila na przykład džinsowe szorty ze stanem tak wysokim, że jej pupa wydawała się długa na miłę.

Harper powiedziała jej, że wygląda w nich cudownie, więc Hollis ugryzł się w język, niemniej uważał ten styl za bezsensowny. Nie zamierzał walczyć z wiatrakami, a model szortów z pewnością nie był wart sprzeczki. Nawet jeśli wyglądała w nich jak jego własna matka w roku, powiedzmy, osiemdziesiątym pierwszym.

Przeszedł przez kuchnię do salonu, który został ogołocony z mebli, a podłogi przygotowano do cyklinowania, ale nie widział nigdzie Jacka.

Winston „Winny” Peel, jeden z zatrudnionych przez Jacka robotników, wszedł do pokoju z przeciwnej strony.

– Widziałeś gdzieś Jacka? – zapytał Hollis.

– Nie. Zdaje się, że miał dzisiaj robić coś na piętrze.

Wedle wiedzy Hollisa Jack nie wyznaczył nikogo do pracy na górze, co było o tyle dziwne, że mając kilku ludzi do pomocy, w mig uwinąłby się z sypialniami.

– Widziałeś to? – Winny stał przed kominkiem, gapiąc się na kolekcję kluczy na gzymsie.

– Co?

Hollis podążył za wzrokiem Winny’ego, ale nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Co to?

– Zabiera klucz z każdego miejsca, w którym mieszka – wyjaśnił Winny. – Była wszędzie.

Hollis wziął do ręki jeden z kluczy. Na odwrocie czyjaś ręka napisała: „Brazylia”.

– Każdy pochodzi z innego mieszkania?

Winny przytaknął.

– I z wielu różnych krajów. Australia. Hiszpania. Austria. Francja. Kenia. Kostaryka. Kanada. Twoja dziewczyna zjeżdżała cały świat.

*Twoja dziewczyna.*

Marzenie...

Sięgnął po inny klucz i mu się przyjrzał. Pomalowany na turkusowo w czerwone kropki, z białym napisem „Tajlandia”.

Chciałby zobaczyć wraz z nią połowę tych miejsc. Wyglądało na to, że podróżowała po całym świecie, jak włóczęga – nie zapuszczając nigdzie korzeni, jadąc, gdzie oczy poniosą. Dziwne. Nigdy by nie przypuszczał, że Emily jest sentymentalna. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że i ona nie postrzegała siebie w ten sposób, ale najwyraźniej jakaś część jej samej szukała czegoś stałego. W przeciwnym razie po co kolekcjonowałyby te klucze-pamiątki?

Czy po sprzedaży tego domu dołączy kolejny klucz do kolekcji? Czy zapamięta to miejsce jako jedno z wielu, w którym spędziła trochę czasu?

– Ona jest naprawdę niesamowita... – ciągnął Winny. – Opowiadała nam któregoś razu, jak surfowała u wybrzeży Malediwów i przewróciła ją fala. Deska uderzyła ją w głowę, dziewczyna straciła przytomność. Do dziś nie wie, jak to się stało, że wypłynęła na powierzchnię i nie utonęła. Powiedziałem, że pewnie czuwał nad nią Wszzechmocny. Ta myśl niespecjalnie się jej spodobała.

– Wiesz, Winny, pewnie masz rację – przyznał Hollis, starając się nie myśleć, że o mało nie utonęła u wybrzeży maleńkiej wysepki na Oceanie Spokojnym.

– Zamierzasz do niej zarywać czy jak?

Hollis machnął ręką.

– Win, kumplujemy się od stu lat.

– Nie można się kumplować z taką kobietą.

– Mówisz?

– Ale gdybyś potrafił tak zakombinować, żeby się w tobie zakochała... – Gwizdnął. Masz gotową receptę na szczęśliwe życie. – Winston się roześmiał, ale głośny śmiech zaczął się rwać i wskutek wieloletniego palenia papierosów przeszedł w kaszel.

– Będę miał to na uwadze. – Hollis wyszedł do przedpokoju. Na konsolce leżał ten sam zeszyt, który Emily miała na kolanach tamtego poranka, kiedy zastał ją śpiącą na patio.

*Nie twoja sprawa.*

W tej samej chwili wziął zeszyt do ręki i odczytał wykaligrafowane na okładce słowa: „Gdyby mnie zabrakło”.

Powinien odłożyć zeszyt. No proszę, martwił się, że ekipa Jacka ma zbyt swobodny dostęp do prywatnego życia Emily, a tymczasem sam jako jedyny naruszał tę prywatność.

Ta myśl nie powstrzymała go przed otwarciem zeszytu i prześlizgnięciu się wzrokiem po pierwszej stronie.

List do Emily skreślony starannym pismem, które mogło należeć tylko do kobiety. Jego wzrok powędrował na sam dół strony, gdzie widniały słowa: „Uściski Mama”. Zamknął zeszyt.

Mama pisała do niej listy?

Ostrożnie odłożył zeszyt na stolik, po czym wszedł na piętro. Pierwszy pokój był pusty, przeszedł więc korytarzem do kolejnego, gdzie ujrzał Jacka siedzącego przy biurku w rogu, ze wzrokiem utkwionym w czymś, co trzymał w ręku. Mężczyzna się nie poruszył, kiedy Hollis wszedł do środka. Jakby znajdował się w innym świecie.

– Hej – rzucił Hollis.

Mina Jacka mówiła: „przyłapany na gorącym uczynku”. Hollis zrobił krok naprzód, próbując na próżno zrozumieć rozgrywającą się przed nim scenę. Jack schował trzymany w ręku przedmiot do kieszeni koszuli.

– Przepraszam, Hollis. Robiłem obliczenia. – Odwrócił się, potarł dłońmi twarz i oczy.

– Obliczenia. – Dziwne miejsce jak na rachunki.

– No tak, liczyłem koszty remontu.

– Masz złe wieści?

– Nie, nie, ani trochę. Po prostu czasem w to wsiąkam. – Jack wstał. – Jak idą prace na dworze? Zrobiłeś spore postępy.

– Tak, posuwają się całkiem nieźle – odparł Hollis. – Przyszedłem ci powiedzieć, że po południu urywam się na kilka godzin, bo zabieram Jolie na plażę.

– To dobrze. Świetny pomysł. Spędzaj z córką jak najwięcej czasu.

Hollis stał w milczeniu, mierząc wzrokiem mężczyznę, którego Emily wynajęła do remontu domu – mężczyznę, o którym nic nie wiedzieli. I który spędzał w domu Emily długie godziny – sam, bez niczyjej kontroli.

– Nad czym tutaj pracujesz? – zapytał Hollis. – Emily wspominała, że sypialnie są w dość dobrym stanie.

– O tak. Wszedłem tu, bo chciałem szybko gdzieś zadzwonić, a potem pochłonęły mnie te wyliczenia.

– Może mógłbym rzucić okiem. Trzeba zrobić jakieś cięcia, przesunąć coś w budżecie?

Jack oparł ręce na biodrach i przybrał nonszalancką minę.

– Nie, drobnostka, nie ma się czym przejmować. Bawcie się dobrze na plaży.

I wyszedł, zostawiając Hollisa samego w cichym pokoju, który należał niegdyś do najważniejszej osoby w życiu Emily.

Obrzucił wzrokiem biurko. Wszystko wydawało się na swoim miejscu z wyjątkiem dwóch fotografii, jakby zdjętych z tablicy na ścianie i położonych na blacie.

Hollis wziął je do ręki. Jedna przedstawiała Isabelle trzymającą małą Emily przed bożonarodzeniową choinką, na drugiej Isabelle i Emily stały obok siebie na plaży za domem.

Na ich plaży.

Hollis dostrzegł na tablicy dwa puste miejsca po zdjęciach. Dlaczego Jack je odpiął? I co schował do kieszeni? Nie miał dobrych przeczuć co do tego człowieka.

A jeśli Emily grozi niebezpieczeństwo?

– Tato, gdzie byłeś?

Błyskawicznie się odwrócił na dźwięk głosu Jolie.

– Czekałam na ciebie.

– Przepraszam, JoJo. Rozkojarzyłem się.

– O, to pokój mamy Emily? – Jolie podeszła do tablicy na ścianie i z uwagą oglądała każde przypięte do niej zdjęcie, dając Hollisowi okazję do uczynienia tego samego. Oto Emily, taka, jaką zapamiętał, uśmiechająca się do niego szeroko.

– To ty? – Jolie zdjęła fotografię i pokazała ją Hollisowi.

Na ziarnistym, wyblakłym zdjęciu zobaczył siebie siedzącego na pomoście wraz z Emily i Hayesem, ze stopami dotykającymi wody. Obejmowali się nawzajem ramionami, Hayesowi brakowało kilku zębów, a Hollis wyglądał niezdarnie, jak na większości fotek z młodości. Emily była promienna jak zwykle i to nie tylko na fotografiach. Jakby miała w sobie jakieś wewnętrzne światło, które jarzyło się mocniej niż u całej reszty.

Wywoływała poruszenie. Przykuwała uwagę. Budziła w ludziach radość życia.

Gdy myślał o niej teraz, zrozumiał, że wydarzyło się coś, co przygasiło tamto światło. Och, nadal wspaniale odgrywała swoją rolę, ale Emily – jego Emily – była ostrożniejsza, bardziej zamknięta w sobie. Może nieszczęśliwa?

Czy miała komu się zwierzyć? Czy tylko on wyczuwał w niej jakieś rozczarowanie?

– Tak? – Jolie trąciła go ramieniem. Przez chwilę zapomniał o jej pytaniu.

– Tak, ja i wujek Hayes.

– Byliście tacy młodzi.

– Chyba mniej więcej w twoim wieku.

– Emily jest piękna – oznajmiła Jolie.

Tym razem nie zabrzmiało to jak zastawiona na niego pułapka, więc Hollis nie bał się wyrazić swojej opinii.

– I to jak – przyznał w zadumie.

Piękna i przygnębiona, jak wielu ludzi. Wszystko, czego pragnął, to pomóc jej się pozbierać.

## Rozdział 29

Emily planowała spędzić wraz ze swoim zespołem całą niedzielę w ośrodku kultury. Nie traktowała tego czasu jak pracy. To ona odpowiadała za nakreślenie koncepcji spektaklu, ale entuzjazm współpracowników był zaraźliwy.

Gdy wychodziła rano z domu, ze zdziwieniem zauważyła podjeżdżającą furgonetkę Jacka.

– Pracujesz w niedzielę?

– Mam napięty harmonogram – odparł. – Poza tym ty też wybierasz się do pracy, prawda?

Uśmiechnęła się, przeprosiła, że nie zaparzyła kawy i ruszyła w drogę.



Wróciła do domu wieczorem, gdy większość robotników już poszła, ale zastała Jacka stojącego pośrodku czegoś, co było kiedyś kuchnią, a teraz przypominało bliżej nieokreślony szkielet pomieszczenia. Szafki zostały zdemontowane, urządzenia kuchenne znikły, podłogę zerwano.

W ciągu kilku godzin wybebeszyli dosłownie wszystko.

– No, no – powiedziała, rzucając torbę na podłogę przed kuchennymi drzwiami. – Musieliście nieźle się uwijać.

– Dużo zrobiliśmy.

– Nowe szafki i sprzęty całkiem odmienią wnętrze. Choć nie bardzo sobie wyobrażam funkcjonowanie bez kuchni.

– Dlatego Bóg wymyślił jedzenie na wynos.

– Pewnie tak. – Podeszła do ściany, którą poleciła zburzyć. To otworzyłoby przestrzeń, zaś Emily nie miała wątpliwości, że właśnie tego potrzeba temu staremu domowi: otwartej przestrzeni. – A ściana wciąż stoi.

– Czekałem z tym na ciebie. Na pewno chcesz ją zburzyć?

Zwróciła ku niemu twarz.

– Twoim zdaniem nie powinnam?

– A nawet gdyby, miałyby to jakieś znaczenie?

Wzruszyła ramionami.

– W zasadzie nie.

Roześmiał się.

– Tak myślałem.

Rzuciła mu się w oczy ta jej stanowczość. Bardzo dobrze. O ile na początku miała mgliste wyobrażenie o remoncie, z czasem opracowała naprawdę niezły plan, przedstawiając go Jackowi pomieszczenie po pomieszczeniu.

Trzeba przyznać, że przyjmował wszystkie zmiany i sugestie bez mrugnięcia okiem.

– Cóż mogę powiedzieć? Jak się wie, to się wie.

Jack zamarł na ułamek sekundy.

– Racja – przyznał po chwili. – Się wie. – Schylił się po jakieś wielkie narzędzie przypominające młot i wyciągnął je w jej stronę.

– Co to jest? – zapytała.

– Młot.

– I co miałabym z nim zrobić?

– Pomyślałem, że może zechcesz czynić honory. – Ruchem głowy wskazał ścianę.

Roześmiała się.

– Mam tym czymś uderzyć?

– Nie, masz ją zburzyć.

Emily w końcu sięgnęła po młot.

– Ciężki.

Skwitował tę uwagę wzruszeniem ramion.

– Jak mam rozwalić ścianę, skoro nawet nie mogę tego cholerstwa podnieść? Może jednak sam powinienes to zrobić. – Próbowala przekazać narzędzie Jackowi, lecz on cofnął się o krok i uniół ręce w geście kapitulacji.

– Wiesz – rzekł z uśmiechem, lekko zmieszany – to świetny sposób na rozładowanie napięcia.

– Uważasz, że potrzebuję się wyładować?

I tym razem wzruszył ramionami.

– Wydajesz się trochę zestresowana.

Trochę niespokojna. Trochę neurotyczna. Wszystkiego po trosze. Powróciła myślami do swojej zawodowej porażki – jakie to mało prawdopodobne, że kiedykolwiek ją przeboleje. Że nie ma siły próbować. Że Gladys nadal w nią nie wierzy i że w gruncie rzeczy nie może mieć jej tego za złe.

Ona sama też w siebie nie wierzyła. Co z tego, że przesłuchania poszły sprawnie, że obsada była solidnie skompletowana, że spędziła cały dzień na opracowywaniu koncepcji kostiumów, scenografii i rekwizytów, tworząc olbrzymie tablice z wizualizacjami, które miały zawisnąć w sali prób.

W cieniu tak dramatycznej pomyłki z przeszłości obecne uczucie spełnienia było niezwykle kruche i krótkotrwałe.

Czy jeszcze kiedyś poczuje w sobie pewność?

Tak, rozładowanie napięcia dobrze jej robi. Nigdy dotąd nie burzyła żadnej ściany. Co jej szkodzi spróbować?

– Co mam robić?

– Po prostu walnij – odpowiedział Jack. – Najmocniej, jak potrafisz.

– Najmocniej, jak potrafię?

– Tak jest. – Zachichotał pod nosem. – Zaczekaj, może tak ci będzie łatwiej.

Podszedł do torby narzędziowej, wyjął puszkę czarnej farby w spreju i namalował na ścianie gigantyczny iks.

Emily wyobraziła sobie, że to twarz krytyka, który napisał najgorszą z wielu złych recenzji jej sztuki. Ustawiała się bokiem do ściany, dźwignęła młot, podnosząc go powyżej barku, i zamachnęła się z całej siły. Wbił się w sam środek iksa i tam uwiązał. Nie była w stanie go wyciągnąć.

– Przynajmniej mam dobre wyczucie celu.

Jack się roześmiał, chwycił za rękojeść i wyszarpnął młot ze ściany.

– Jeszcze raz.

Siła uderzenia wprawiała całe jej ciało w drgania i Emily nie była pewna, czy jest w stanie to powtórzyć.

– No, dalej, siłaczko. Jeśli możesz zdemolować pokój, możesz wszystko.

– Ha. – Nie była co do tego przekonana. Czy wyburzenie ściany pomoże w przygotowaniu spektaklu w ciągu zaledwie kilku tygodni? Czy wymaże błędy przeszłości? Pozwoli w miarę bezboleśnie dotrzeć do końca lata?

Ponownie chwyciła za młot i przyjęła właściwą pozycję.

– Spróbuj wyprowadzić ruch od bioder, wykorzystaj nogi, tak jakbyś podnosiła ciężkie pudło.

– Nie dźwigam ciężkich pudeł – odparła z uśmiechem. Zamachnęła się i wbiła młot w ścianę.

I tym razem jej wnętrzości zdrząły niczym ziarna fasoli w marakasach.

Bez słowa wyszarpnęła narzędzie ze ściany, uderzyła ponownie, i jeszcze raz, aż wreszcie przebiła się na drugą stronę.

Sapnęła.

– Dałam radę!

– Dałaś radę – powtórzył Jack.

– Muszę zacząć chodzić na siłownię – rzekła zdyszana.

Jack wyszczerzył zęby.

Emily popatrzyła na wielką dziurę w ścianie.

– Przednia zabawa.



– Więc idź za ciosem.

Pomimo jej początkowych obaw Jack okazał się miłym facetem. Żaden z niego seryjny morderca. Uzmysłowała sobie, że wciąż prawie nic o nim nie wie.

– Naprawdę chciałeś spędzić w ten sposób lato? – zapytała, ponownie chwytając za młot.

– Lepsze to niż bezczynne siedzenie.

– Niż bezczynne siedzenie na plaży? Mówisz poważnie?

Zaśmiał się.

– Nie jestem typem próżniaka. Lubię mieć coś do roboty.

– Rozumiem. – Choć Bogiem a prawdą – nie rozumiała. Pomyślała o leniwych dniach przed przeprowadzką do Nowego Jorku, gdzie zamierzała wystawić swoją sztukę. Żyła wtedy z pieniędzy z funduszu powierniczego, nie wносиła żadnego wkładu w świat i była całkowicie zadowolona z takiego stanu rzeczy. Sposób Jacka wydawał się jednak lepszy. Praca w ośrodku kultury pokazała jej korzyści wynikające z konkretnego zajęcia. Ale chodziło o coś więcej, prawda? To przerzucanie się przy stole pomysłami z zespołem rozniecało w niej jakąś iskrę. Nadawało cel.

Po raz pierwszy od długiego czasu czuła, że to, co robi, ma sens i to uczucie dalece przeważało nad wszystkim, co do tej pory dla siebie robiła. Bo, szczerze mówiąc, wystawiła nowojorską sztukę dla siebie. Chciała dowieść, że potrafi, chciała być gwiazdą. I proszę, co z tego wynikło.

– Właśnie skończyły się przesłuchania, prawda? – zapytał Jack.

Była w połowie zamachu młotem, lecz to pytanie tak ją zaskoczyło, że straciła cały impet.

– Wiesz o tym?

Przycupnął na taborecie i wzruszył ramionami.

– Codziennie siedzę tu cały dzień i słyszę różne rzeczy.

– No tak.

– Poza tym mówi o tym całe miasto.

Zastanawiała się, z kim takim rozmawiał Jack w czasie wolnym od remontu. Czy miał przyjaciół? Jak spędzał czas, kiedy nie pracował u niej w domu?

– Masz rodzinę? – zapytała, a następnie huknęła młotem w ścianę.

– Mam. To znaczy miałem.

Spojrzała na niego.

– Jestem po rozwodzie. Mam dwóch synów. Spędzają lato ze swoją mamą.

– Mieszkasz niedaleko nich?

– Tak, często się widzimy. W sierpniu mają zamiar przyjechać tu do mnie na tydzień.

– To bardzo miłe. Dobrze, że znajdujesz dla nich czas. – Celowo nie dopuszczała do głosu nuty smutku.

– A ty? Często widzisz się z rodziną?

Rąbnęła w ścianę. Z całej siły.

– Mam tylko babcię. Dziadek zmarł w zeszłym miesiącu.

– Przykro mi.

Nigdy nie wiedziała, jak reagować, gdy ludzie wyrażali współczucie z powodu śmierci dziadka. Albo mamy. Zwykle „dziękuję” wydawało się zupełnie nie na miejscu, więc zamiast tego zmieniła temat.

– Ojca nigdy nie poznałam. Musiał być chyba jednym z tych chłopaków, którzy nie są stworzeni do ojcostwa.

– Mama nigdy ci nie powiedziała, kto to?

Pokręciła głową i wyciągnęła młot ze ściany. Jack miał rację – to świetny sposób na wyrzucanie z siebie frustracji. Tylko nie wiedziała, że uruchomi ich nową lawinę.

– No, no... Dziadkowie też ci nie powiedzieli?

– Babcia twierdzi, że go nie znała. Kimkolwiek był, złamał mojej mamie serce i zniechęcił ją do miłości na resztę życia. Nigdy nie wyszła za mąż i powiedziała mi, że jeśli mam dość oleju w głowie, pójdę w jej ślady.

Jack skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie wiem, czy to najlepsza rada.

Odłożyła ciężki młot i rozciągnęła ręce.

– Rozumiem ją. Jeśli się przed kimś otworzysz, sparzysz się nieuchronnie.

– Z kolei jeśli pozostaniesz zamknięta, ominie cię wszystko, co miłość ma do zaoferowania.

– Moja matka by się z tobą nie zgodziła – odparła z ironicznym uśmiechem.

– Skąd wiesz?

– Mówiła mi.

– Czy za życia mamy nie byłaś przypadkiem za mała na rozmowy o miłości?

Przyglądała mu się przez chwilę. Jack był rozwiedziony – oszukiwał sam siebie, jeśli uważał, że miłość to coś więcej niż farsa. I jak zwykle chciała dowieść swoich racji.

– Nie mówiła mi tego za życia. Dowiedziałam się później.

Na twarzy Jacka odmalowało się zdumienie.

– Znaczą jak... podczas seansu spirytystycznego?

Emily parsknęła śmiechem.

– Nie. – Poszła do przedpokoju i wzięła z konsolki zeszyt z listami. Gdy nie nosiła go w swojej przepastnej torbie, zostawiała go na stoliku przy drzwiach wejściowych. Miejsce wydawało się adekwatne dla przedmiotu, który tak wiele dla niej znaczył, jakby honorowe.

Wróciła z zeszytem i mu go podała.

– Po jej śmierci wróciliśmy do mieszkania, spakowaliśmy wszystkie moje rzeczy i wtedy znaleźliśmy ten zeszyt.

Jack ostrożnie przerzucał kartki.

– Pisała do ciebie listy?

– Z radami na wszystkie ważne momenty w moim życiu. Te kluczowe, wiesz, jak na przykład...

– „Kiedy czujesz się opuszczona”. „Kiedy czujesz się niezrozumiana” – odczytywał na głos, kartkując zeszyt.

Położyła rękę na otwartej stronie, żeby jej nie odwrócił.

– To jest jeden z moich ulubionych.

Przeczytał słowa napisane na kopercie zawierającej list.

– „Kiedy popełnisz błąd – duży błąd”.

Emily wyjęła kartkę z koperty.

– „Nie mówię o noszeniu fasonu džinsów, który wyszedł już z mody – mówię o błędach, po których nie tak łatwo się pozbierać. Nie chcę, żebyś bała się podejmowania ryzyka ze strachu, że coś sknocisz. Zawalanie rozmaitych spraw jest częścią życia. Przypuszczam, że zającie w ciążę było pod pewnymi względami dużym błędem, ale ten błąd zesłał mi największe błogosławieństwo w życiu”. – Przerwała, po czym zdała sobie sprawę, że Jack prawdopodobnie nie chce słuchać jakiegoś głupiego listu. – W każdym razie stąd wiem, co mama myślała o miłości. I o całej reszcie.

Podniosła wzrok. Jack ją obserwował i choć miał na twarzy łagodny uśmiech, szklily mu się oczy.

Może myślał o błędach, które sam popełnił. Może wciąż były świeże w jego pamięci, podobnie jak jej pomyłki.

Dziwne, że o ile brała sobie matczyne listy do serca, akurat ten do końca do niej nie przemawiał. Przynajmniej nie na tyle, by przerobić w sobie żal i wstyd porażki i pójść naprzód.

– Nie sądzisz, że z czasem mama mogłaby zmienić zdanie? Poznać kogoś, a może nawet zejść się z twoim tatą?

Emily pokręciła głową.

– Zdecydowanie nie. To znaczy, może by kogoś poznała, ale nigdy nie wróciłyby do taty. Zostawił ją, kiedy się dowiedział, że jest w ciąży. Nie chciał jej. Nie chciał mnie. Złamał jej serce, roztrzaskał na tak drobne kawałki, że nie dałoby się ich już skleić.

Przytuliła zeszyt do piersi.

– Kiedy pisała: „Strzeż swojego serca”, wiedziała, co mówi.

– I dlatego wciąż jesteś sama?

Zaśmiała się i odłożyła zeszyt.

– Prawdopodobnie. A także dlatego, że nie zatrzymuję się w jednym miejscu wystarczająco

długo, by nawiązać z kimś bliższą relację.

– Celowo?

Podniosła młot.

– Jak najbardziej.

– A co z Hollisem?

– Z Hollisem McGuire'em? – Przesunęła się na drugi koniec ściany i ustawiła pod odpowiednim kątem.

– Nie znam wielu facetów o tym imieniu.

– Tradycja rodzinna – rzekła ze śmiechem. – Hollis i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Ale moglibyście być dla siebie kimś więcej. Widziałem, jak na ciebie patrzy, kiedy tego nie dostrzegasz.

– Naprawdę? – Walnęła młotem w ścianę, nagle zmieszana obrotem, jaki przybrała ta absolutnie przyjemna dotąd rozmowa. – Czyli jak?

– Tak jakby nie strzegł swojego serca.

Emily wzięła kolejny zamach.

– Myślę, że jesteś w błędzie, Jack. Hollis McGuire zawsze będzie widział we mnie wyłącznie kumpelę.

Wiedziała, że to nieprawda. Zdarzały się między nimi chwile – chwile pełne obietnic, żaru. Z pewnością nie tylko ona tak czuła.

– Cóż, będę się modlił, byś znalazła kogoś, przy kim zechcesz zapomnieć o rozwadze.

Odwróciła się, nie chcąc tej jego modlitwy, na wypadek gdyby Bóg rzeczywiście miał jej wysłuchać. Ostatnia rzecz, jakiej jej potrzebna, to utrata zdrowego rozsądku w imię miłości.

– I żeby był to ktoś, kto będzie miał dość oleju w głowie, by pozostać wiernym twojemu sercu – ciągnął Jack – i chronić je jak prawdziwy skarb.

Popatrzyła na niego.

– Szkoda, że brakowało mi tego oleju, kiedy byłem młodszy. Miałem coś doskonałego, cudownego i wszystko zaprzepaściłem.

– Mówisz o żonie?

Głęboko westchnął, a następnie odwrócił wzrok.

– Może jeszcze nie jest za późno – pocieszała Emily. – Może ją odzyskasz?

Spojrzał jej w oczy, twarz miał ściągniętą od smutku.

– Niestety, to niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytała, wiedząc, że jest wścibska, lecz nie mając z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia.

Jednak Jack nie chciał o tym rozmawiać.

– Powinienem wynieść to do kontenera. – Podeszedł do leżącego na podłodze gruzu.

– Serio? – Roześmiała się. – Właśnie opowiedziałam ci historię mojego życia, a ty wymigujesz się przy moim pierwszym pytaniu.

Podniósł duży kawał tynku i posłał jej filuterny uśmiech.

– Miło się z panią gawędziło, pani Ackerman.

– Odwracanie kota ogonem jest nie fair, panie Walker – rzekła, kręcąc głową. Wybiła kolejną dziurę w ścianie. – Ale dzięki za naukę burzenia muru.

– Proszę uprzejmie.

Ruszył do wyjścia, pozostawiając Emily w samotnej kontemplacji kuriozalności sytuacji – rozmowy od serca prowadzonej z pracownikiem budowlanym. Czuła jednak, że kiedy remont dobiegnie końca, urządzi wielkie przyjęcie, a Jack znajdzie się na liście gości.

## Rozdział 30

Połowa sierpnia 1989

Isabelle znalazła sposób na widywanie się z JD pod czujnym okiem rodziców. Wykradała się nocą, kiedy mama i tato już spali, biegła pędem na plażę, a on już tam na nią czekał.

Wynajdowała powody do odwiedzania klubu jachtowego, gdzie pracował teraz jako kelner, a gdy nikt nie patrzył, skradali sobie pocałunki w szatni dla personelu.

Ich związek znów stał się niewinny, jak gdyby nigdy nie poszli ze sobą do łóżka. Jakby to był błąd i choć nie można było go naprawić, Isabelle nie sądziła, że JD miał zamiar ją wykorzystać. Gdyby miała wyjaśnić sytuację przyjaciółce, powiedziałaaby, że dali się ponieść chwili albo że się bali, że nie zobaczą się już nigdy więcej.

To niczego nie usprawiedliwiało, jak również nie uwolniło jej od przelotnych wyrzutów sumienia, które torowały sobie drogę do jej umysłu, ale powrót do tego, co było wcześniej, podnosił ją na duchu. JD wydawał się częścią niej samej. Pod każdym względem. Dopiero z nim była w pełni sobą.

Przy nim czuła się na właściwym miejscu. A dni, kiedy nie mogła znaleźć się na miejscu, były trudne.

Dziwnie było nie robić dokładnie tego, czego od niej oczekiwano. Dziwnie... i upojnie.

Do czasu.

Do dnia, kiedy musiała pójść do kliniki po antybiotyki, a skończyło się na teście na mononukleozę.

– Panno Ackerman, badanie krwi wykazało coś interesującego – powiedział lekarz.

– Chyba nie umieram? – zapytała niemal ze śmiechem.

Uśmiech doktora Solstroma zdawał się wymuszony. Ten człowiek leczył ją od lat. Był jej „wakacyjnym doktorem”, jak mawiała matka.

– Nie, nie, nic podobnego. Isabelle, kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

Isabelle nie śledziła na bieżąco takich rzeczy. Pewnie powinna, jednak tego nie robiła. Próbowала sięgnąć pamięcią wstecz i sobie przypomnieć, ale miała pustkę w głowie.

Lekarz usiadł na taborecie na kółkach i spojrzał jej prosto w oczy.

– Czy to możliwe, żebyś była w ciąży?

Zrobiło się jej gorąco. Choć matka siedziała w poczekalni, Isabelle czuła, że powinna mówić szeptem i niemal poprosiła o to samo doktora. Mogłaby przysiąc, że matka słyszy nawet przez ścianę z betonu.

– Nie sądzę – odparła. Cofnęła się myślami do dnia, w którym dowiedziała się, że JD wylano z pracy, kiedy spotkali się u niego w domu, kiedy poszli do łóżka. – O nie...

Lekarz cicho westchnął i odsunął się razem z taboretami.

– Chcemy porozmawiać o różnych możliwościach?

Isabelle ukryła twarz w dłoniach.

– Nie, wiem, jakie są możliwości. Ale dziękuję.

Poklepał ją po ramieniu.

– Będzie dobrze.

Łatwo mu mówić. Nie miał siedemnastu lat, nie był w ciąży i nie był córką Alana i Elizy Ackermanów.

– Musi pan powiedzieć mojej mamie?

Lekarz nabrał powietrza i znów westchnął.

– Powinienem.

– Nie – rzekła. – Sama powinnam to zrobić.

– Mam poprosić pielęgniarkę o wezwanie matki z poczekalni?

Pokręciła głową, ogarnięta nagle palącą potrzebą zobaczenia się z JD.

– Muszę już iść, doktorze Solstrom, ale dziękuję.

– Isabelle, powinnaś porozmawiać z rodzicami, raczej szybciej niż później. Albo będę musiał

zrobić to ja.

Kiwnęła głową.

– Porozmawiam, ale najpierw mam co innego do zrobienia.

Wypadła z gabinetu, starając się ukryć swoje przerażenie. Mama siedziała w poczekalni. To cud, że nie weszła z nią do gabinetu. Po tym, jak Isabelle zauważyła, że podczas wizyty lekarskiej nic jej nie grozi, i poprosiła, żeby matka pozwoliła jej na samodzielność przynajmniej w tej kwestii, Eliza Ackerman ustąpiła.

*I chwala Bogu.*

– Wszystko w porządku? – zapytała, gdy nadeszła Isabelle.

– Tak. W porządku.

– Masz mononukleozę?

– Nie. Po prostu powinnam lepiej się wysypiać.

Matka obrzuciła córkę spojrzeniem precyzyjnym jak wiązka lasera.

– Może powinnam porozmawiać z lekarzem, Isabelle.

– Mamo, daję słowo, że absolutnie nie ma takiej potrzeby. Może wrócę do domu i pójdę zdrzemnąć się na plaży.

Matka wahała się przez kilka sekund, aż wreszcie dała za wygraną.

– No dobrze, chodźmy.

Pół godziny później Isabelle naciągnęła kostium kąpielowy, spakowała torbę plażową i wyglądała jak rasowa plażowiczka, która zamierza wylegiwać się na słońcu cały dzień.

– Mogę pójść na plażę Lydii? – zapytała.

Matka zerknęła na nią z ukosa.

– Mamo, proszę. Byłam więźniem praktycznie przez całe lato. Nie udowodniłam, że można mi zaufać?

Te słowa ubodły ją jak policzek. *Ale ze mnie kłamczucha!* Ale jak inaczej ucieknie przed czujnym okiem matki? Musi zobaczyć się z JD. Absolutnie.

– Isabelle, jeśli jeszcze raz przyłapię cię na oszukiwaniu...

– Nie oszukuję, mamo. Przysięgam.

– Idę na spotkanie w ośrodku kultury, ale jeśli skłamiesz, na pewno się o tym dowiem. Wszędzie mam znajomych.

*Nie wszędzie, mamo, tylko tam, gdzie chodzą bogaci.*

Isabelle odjechała pędem na rowerze, modląc się, żeby mama nie odkryła prawdziwego celu jej wyprawy, lecz zaraz zdała sobie sprawę z ironii. Kiedy matka dowie się o jej stanie, rowerowa przejażdżka do klubu jachtowego będzie jawiła się jak niewinne oszustwo.

Porzuciła rower na trawniku przed klubem, pognała do wejścia dla personelu i wpadła do środka.

JD pewnie będzie obsługiwał stoliki w restauracji. Nie chciała przysparzać mu kłopotów – ale czy to, co miała mu do zakomunikowania, nie jest ważniejsze?

Stała z boku przy wejściu i starała się nie rzucać się w oczy. W końcu – w końcu – JD spojrzał w jej stronę. Na jego twarzy jedno po drugim malowały się różne uczucia, aż wreszcie stanęło na tym właściwym: niepokojem.

Dała mu znak, by się z nią spotkał w części dla personelu, po czym poszła do szatni dla pracowników i tam na niego czekała.

Zjawił się kilka minut później. Padła mu w ramiona, przywierając do niego tak mocno, jak gdyby zależało od tego jej życie.

Zresztą może inaczej by nie przeżyła.

– Bella, co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Muszę z tobą pogadać.

Uchylił drzwi do męskiej przebieralni i zajrzał do środka.

– Nikogo nie ma.

Weszła za nim i zaczęła nerwowo krążyć przed siedzącym na ławce JD.

– Słuchaj, Isabelle, zaraz przez ciebie oszaleję.

– Nawet nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– O co chodzi? Jesteś chora? Rodzice wyjeżdżają przed czasem? Przecież nie mogło się stać nic strasznego. Po prostu powiedz.

Stała na wprost niego.

– JD, jestem w ciąży.

Już. Mleko się rozlało. Nie da się cofnąć czasu. Teraz przyjdzie jej zmierzyć się z konsekwencjami najlepiej, jak potrafi.

– Że co?

Poczuła, jak w gardle nabrzmięła gula.

– Jestem w ciąży – wyszeptła.

Wstał i ją przytrzymał.

– Przecież my tylko...

– Zrobiliśmy to raz? Tak, wiem.

Wydawał się oszołomiony. A może przerażony. Albo kompletnie spanikowany. Albo wszystko naraz. Ona czuła się dokładnie tak samo.

– Zdaje się, że raz wystarczy.

– No dobrze – powiedział. – Przede wszystkim powiedz, jak się czujesz?

– Rodzice mnie zabijają. – Załamał się jej głos, zaczęła płakać, znów padając mu w ramiona. Tulił ją i płakali razem, bo cóż innego może zrobić dwójka dzieciaków, znalazłszy się w takiej sytuacji?

Uwolniła się z jego objęć.

– Boję się, JD.

Przeczesał dłonią włosy i spojrzał jej w oczy.

– Okej, ale nie jesteś sama. Ja się nigdzie nie wybieram. Może... – Zdawał się szukać w głowie jakiegoś rozwiązania, ale cóż mógł wymyślić? – Może się pobierzemy? Przeprowadzisz się do Bostonu i tam pójdziesz na studia?

– A ty skończysz uczelnię z żoną i dzieckiem na karku?

– Dla ciebie tak. Może to nie jest idealne wyjście, ale jest jak jest. Moglibyśmy wynająć małe mieszkanie, znalazłbym dodatkową pracę. Albo zrezygnuję ze studiów i pójde pracować na pełny etat. Zrobię, co będzie trzeba, Bella. Co tylko będzie trzeba.

Znów popłynęły łzy. Słuchając go, wiedziała, że to szaleństwo. Że ten plan nie wypali. Że istnieje milion powodów, dla których nie mogą się pobrać i bawić w dom, a z drugiej strony zrozumiała, że właśnie tego pragnie. Co z tego, że upłynie trochę czasu, nim będzie mogła zjeździć świat. Co z tego, że nie takie miała plany. Będą razem, a to liczy się przecież najbardziej.

– Coś wykombinujemy, okej? – Znów przyciągnął ją do siebie i tulił zapłakaną Isabelle w ramionach, troskliwie całując ją w czubek głowy. – Wszystko się ułoży.

Z jakiegoś powodu – może z czystej naiwności – uwierzyła mu.

## Rozdział 31

Hollis nie miał zamiaru podsłuchiwać.

Stanął w przedpokoju, otworzywszy drzwi w samym środku walenia przez Emily młotem w ścianę. W pierwszym odruchu chciał szybko wparować do środka, sprawdzić, czy nic się jej nie stało, wtedy jednak łomot ucichł, a zaczęła się rozmowa.

Nie była w domu sama.

Emily zawsze chętnie dzieliła się swoimi przemyśleniami. Zawsze była otwarta, mówiła to, co myśli.

Ale również sądził (miał nadzieję?), że zachowuje się tak tylko w jego obecności.

Powinien był od razu im przerwać, dać im znać o swojej obecności, wtedy jednak Jack wymienił jego imię, no i co miał począć? Wtrącić się i mu zaprzeczyć? Powiedzieć, że się myli – że Hollis wcale nie patrzy na Emily „w taki sposób” – a ona postępuje słusznie, z nikim się nie wiążąc?

Zwłaszcza z Hollisem.

Bo jak powiedziała Jolie – Hollis wszystko psuł.

Dlaczego zatem tak zaboląły go słowa: „Hollis i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi”?

Stojąc tuż pod kuchennymi drzwiami, usłyszał, jak Jack mówi coś o kontenerze, czmychnął więc na ganek, gdzie mógł go zagadnąć bez słyszającej ich rozmowę Emily. Zaczekał, aż Jack wyjdzie na parne wieczorne powietrze. Słońce chowało się już za horyzont.

Najpierw pojawił się worek gruzu ułożony na ramieniu Jacka. Stojący z boku Hollis wiedział, że Jack nie może go widzieć. Mężczyzna zszedł po stopniach do kontenera, wyrzucił gruz i dopiero wtedy go zauważył.

– Cześć, Hollis – powiedział, zupełnie nieporuszony jego obecnością. – Emily jest w środku. Burzy ścianę w kuchni. Już na tym etapie wewnątrz wygląda lepiej.

Hollis łypał na niego spode łba.

– Nie rób tego.

Brwi Jacka drgnęły i powędrowały w górę.

– Słucham?

– Czego tu chcesz, Jack?

Starszy mężczyzna się wyprostował.

– Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

– Najpierw przyłapuję cię na myszkowaniu na biurku Isabelle, teraz rozmawiasz z Emily jak dawno niewidziany przyjaciel rodziny czy ktoś taki. Dlaczego tak bardzo interesujesz się jej życiem prywatnym, skoro jesteś tu tylko wynajęty do remontu domu?

Jack wytrzymał gniewne spojrzenie Hollisa, nie podkulając ogona.

– Nie robię tego dla pieniędzy. Lubię poznawać ludzi, z którymi pracuję.

– Dla.

– Słucham?

– Pracujesz dla niej, nie z nią.

– Jest wspaniałą młodą kobietą.

– Którą chciałbyś lepiej poznać? – Długo mierzył Jacka wzrokiem. – Jest dla ciebie za młoda.

Trzymaj się od niej na zdrową odległość, bo inaczej będziemy mieli problem.

– Wyobrażasz sobie nie to, co trzeba, Hollis.

– Co w takim razie powinienem sobie wyobrażać, Jack?

– Nic. Mam tu do wykonania konkretne zadanie: przekształcić dom zgodnie z oczekiwaniami Emily.

– Zgadza się. I lepiej, żebyś o tym pamiętał.

Jack nie wdał się w dyskusję. Skinął tylko poważnie głową, podszedł do swojej furgonetki, wsiadł i odjechał.

Kimkolwiek był ten człowiek, Hollis mu nie ufał.

I nie podobało mu się, że w kółko powtarza sobie w myślach rozmowę Jacka z Emily.

*Strzeż swojego serca.*

Taką wskazówkę dała jej matka, co oznaczało, że przyjaciółka z dzieciństwa na zawsze pozostanie tylko przyjaciółką. I choć wiedział, że to najlepsze rozwiązanie, zarazem tego nienawidził. Tak, chciał dotrzymać danej Jolie obietnicy – w zasadzie nie miał wyjścia, skoro żywił nadzieję na przekonanie jej do siebie. Ale Emily... zdołała wśliznąć się pod podszewkę jego serca, tam, gdzie większość ludzi nie dociera.

Otrząsnął się z tych myśli i wszedł z powrotem do domu, zamykając za sobą drzwi.

– Jack, spójrz! – zawołała Emily z kuchni. – Spójrz, o ile większa wydaje się teraz przestrzeń.

Hollis wkroczył do kuchni i zatrzymał się na jej widok: włosy zebrane na czubku głowy w niedbały kok, luźne pasma opadające na twarz. Miała na sobie wystrzępione dżinsowe szorty i czerwoną koszulkę na ramiączkach, a talię przewiązała granatową kraciastą koszulą. W rękach dzierżyła młot.

Wyglądała przepięknie. Prawdę mówiąc, więcej niż przepięknie. Wyglądała zjawiskowo.

Przez ułamek sekundy stali oboje bez słowa. Powietrze między nimi aż skwierczało. Hollis wyobraził sobie wszystkie rzeczy, które chciałby zrobić, gdyby znajdowali się w innych okolicznościach.

Nie odezwałby się słowem. Podszedłby prosto do niej, przycisnąłby ją do ściany i całował do utraty zdrowego rozsądku.

W jego żyłach płynęło pożądanie, przyspieszając puls. Nie dało się tego zignorować.

W końcu oparła głowę młota o ziemię i wypuściła rękojeść. Upadł na podłogę.

– Cześć.

– Cześć. – Modlił się, żeby serce zwolniło. Chciał zmusić myśli do posłuszeństwa, by nie biegle samopas bez jego pozwolenia. Pamiętał, że gdyby postąpił tak, jak sobie wyobrażał, byłyby reperkusje.

Pamiętał, że wszystko psuje.

– Co ty tu robisz? Gdzie Jack?

– Musiał pojechać. Potrzebujesz pomocy?

Odliczał w głowie sekundy. Nie odrywali od siebie wzroku, jakby łączyło ich coś więcej niż tylko przyjaźń. W żaden sposób nie pomagało mu to uspokoić oddechu.

– Yyy... pewnie – odparła.

Przeszedł tuż obok niej, niemal ocierając się o jej ramię, i zaczął zgarniać na stertę gruz, porządkując pobojowisko, które zrobiła przy wyburzaniu ściany.

Zawisło między nimi ciężące mocno napięcie. Szukał słów – jakichkolwiek – które by je rozproszyły.

– Ale z ciebie bałaganiara – powiedział wreszcie.

Nie zgarnąłby żadnej nagrody w konkursie na zagajanie rozmowy, jednak nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Reakcją na tę uwagę był cudowny wybuch śmiechu Emily, po którym wcale nie poczuł się głupio i który przerwał panujące w pomieszczeniu napięcie.

Przez kilka minut pracowali w przyjacielskim milczeniu, Hollis wynosił gruz do kontenera, a ona kontynuowała burzenie ściany.

– Masz smykałkę do demolki – zażartował. – Muszę pamiętać, żeby nie nadepnąć ci na odcisk.

– To bardzo terapeutyczne zajęcie. Powinieneś spróbować.

Podąła mu młot.

– Zmęczyłaś się?

– Prawdę mówiąc, tak. I umieram z głodu.

Wziął młot i wręczył swój telefon.

– Zamów pizzę. Rozwalenie takiej ściany to więcej niż cały dzień pracy.

– Został jeszcze kawałek.

– Ja się tym zajmę.

– Mój ty bohaterze – szepnęła i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Odwrócił się, by ukryć uśmiech, ale... rety, uwielbiał jej towarzystwo. Poprosił, by poszła poszukać, gdzie Jack schował talerze, a sam dokończył wyburzenie ściany i pozbył się gruzu. Skończył niemal w tej samej chwili, gdy na podjeździe zjawił się chłopak z pizzą. Zapłacił mu i wrócił z pudełkiem



do kuchni, lecz nikogo tam nie zastał.

– Em?

– Jestem na zewnątrz!

Wyszedł za głosem na patio, które – pomimo dewastacji – prezentowało się przytulnie pod rozświetlonym księżycem niebem i z dwiema migoczącymi świecami na stole. Emily siedziała wygodnie na jednym z krzeseł, położywszy stopy na drugim.

– Od tego młota okropnie bolą mnie ramiona – powiedziała. – Rozmasujesz je? Wiem, że to irytująca prośba, ale czuję twardą gulę... o tutaj. – Dotknęła miejsca łączącego kark z barkiem.

Hollis odstawił na stół pudełko z pizzą, stanął za Emily i położył jej dłonie na barkach. Chwyciła jedną z jego dłoni i nakierowała ją na punkt, w którym rzeczywiście mięsień zrobił się twardy jak kamień.

– Czujesz to?

– Tak, twarde.

Wpatrywał się w jej kark, a kark jakby odwzajemniał to spojrzenie, nagi, zapraszający.

– Wiesz, że nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać – powiedział.

– Nigdy nie rozmasowywałaś karku żadnej swojej dziewczynie?

Zamiast odpowiedzieć, tylko się roześmiał. Nie wiedział, jak jej powiedzieć, że nie umawiał się tak na poważnie z wieloma kobietami. Miał kilka związków, ale żaden z nich nie był wart uwagi. Najdłużej był z kobietą imieniem Cherise, stewardessą i chyba jedyną znaną mu osobą, która podróżowała częściej niż on. Byli ze sobą rok, lecz od początku wiedział, że ta relacja nie przetrwa próby czasu... był tylko zbyt... właściwie nie wie jaki... by ją zakończyć. Cały czas myślał, że może przy kolejnym spotkaniu zmieni zdanie.

Ale tak się nie stało.

Spojrzał na swoje dłonie spoczywające na karku Emily. Ona była całkowicie zrelaksowana, a on spięty i z mętlikiem w głowie.

Odgarnął na bok kosmyki, które wysunęły się spod gumki do włosów i nie cofnął od razu dłoni, nęciła go jej skóra. Umysł znów zaczął płatać figle, przesuając mu bez jego zgody przed oczami obrazy tego, co mogłoby się wydarzyć, jak w pokazie slajdów, którego nie powinien oglądać.

Wyobrażał sobie, jak się pochyla, jak muska ustami jej szyję, zsuwa się na ramię i znów powraca do szyi – jak wdycha jej zapach, pozostawiając na obojczyku ślad pocałunków.

– Hollis? – Przekręciła głowę i na niego spojrzała.

– Przepraszam. – Z trudem skupił uwagę na bolesnym przykurczu mięśnia w prawym barku, odpychając myśli, które mogłyby wpędzić go w tarapaty.

– Co myślisz o Jacku? – zapytała, poddając się masażowi.

Jak miał sformułować składną odpowiedź, gdy jego dłonie dotykały jej skóry, gdy był niezdolnie świadom tej miękkości pod opuszkami palców?

– Yyy... nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Uważam, że naprawdę miły z niego facet. Wydaje mi się, że chciałby zejść się z byłą żoną.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Długo milczała z pochyloną w bok głową.

– Na podstawie tego, co dzisiaj powiedział. Myślę, że żałuje rozvodu.

– A ja myślę, że powinnaś na niego uważać, Emily.

Wyprostowała się.

– To znaczy?

Na ułamek sekundy przestał rozmasowywać obolały mięsień i wstrzymał oddech. Jak to powiedzieć, nie budząc trwogi ani nie brzmiąc jak zazdrosny frajer?

– W gruncie rzeczy co o nim wiemy?

Emily wróciła do poprzedniej pozycji, a Hollis do ugniatania mięśni jej ramion.

– Czy ja wiem? – powiedziała. – A ile w gruncie rzeczy wiemy o kimkolwiek?

– Ja na przykład wiem o tobie sporo.

Roześmiała się.

– Tak ci się tylko wydaje.

Oderwał dłonie od jej karku i usiadł obok. Jej ręka natychmiast powędrowała na bark i zaczęła go rozmasowywać.

– Może przydałby ci się taki prawdziwy masaż – powiedział Hollis. – Czy kobiety nie uwielbiają masażu?

– Po pierwsze, to ciut seksistowska uwaga, a po drugie, masaże kosztują majątek.

Hollis odchylił się na oparcie krzesła.

– Od kiedy ma to dla ciebie znaczenie?

Przez krótką chwilę wydawała się zmieszana, lecz szybko odzyskała (bądź próbowała odzyskać) równowagę z lekkim wzruszeniem ramion.

– Staram się nie wydawać lekkomyślnie pieniędzy. A poza tym wspaniale się spisałeś. Ramiona nie bolą już nic a nic.

Widział, że kłamie, choć nie miał pojęcia dlaczego. Otworzył pudełko z pizzą, wciągnął w nozdrza aromat sosu czosnkowego, sera i wyśmienicie wypieczonego ciasta. Nałożył jej dwa kawałki, kolejne dwa wziął sobie, oparł się wygodnie i zmusił ją do spojrzenia mu w oczy.

– Sekret za sekret – powiedział.

Emily jęknęła.

– O nie.

– O tak. – Czekał na swoją kolej do czasu, kiedy rzeczywiście będzie miał istotne pytanie, i oto się pojawiło.

– Niech będzie. – Ugryzła kęs pizzy. – Co chcesz wiedzieć?

Przełknął swój kawałek, popił łykiem wody, po czym nabrał w płuca powietrza, jakby przedłużanie tej tortury niezmiernie go bawiło. Wreszcie popatrzył jej w oczy.

– Co za różnica, jak drogie są masaże, skoro dysponujesz pokaźnym majątkiem powierniczym, który miał zapewnić ci złote lata i wystarczyć jeszcze dla dzieci twoich dzieci?

Odstawiła talerz na stół.

– Nalać ci wody?

– Emily...

Pojął, że jej oszczędność nie wynika ze zwykłej oszczędności, tylko ma drugie dno. Ona zaś musiała wiedzieć, że nie ma sensu dłużej go okłamywać, ponieważ będzie jej to później wytykał, a zresztą to ona wymyśliła tę głupią zabawę.

– Co za idiotyczna zabawa – skonstatowała.

Parsknął śmiechem.

– Mówiłem ci to sto lat temu, choć z drugiej strony tylko dzięki niej udało mi się ciebie pocałować, więc chyba nie mogę za bardzo się skarżyć. – Uśmiechnął się. Czasem mówił rzeczy, których mówić nie powinien i niemal zawsze tego później żałował – lecz nie tym razem.

Odwróciła wzrok.

– Nie chcę o tym mówić.

Przeżuwał kolejny kęs pizzy. Kiedy wreszcie na niego popatrzyła, posłał jej wymowne spojrzenie komunikujące coś w rodzaju „wielka szkoda”, dość podobne do tego, którym obdarzyła go ona, kiedy nie chciał poruszać tematu swojego odejścia ze sportu. Najwyraźniej pamiętała tamtą chwilę, ponieważ w milczeniu spuściła oczy.

– To długa historia – rzekła wreszcie. – Ale sprowadza się do tego, że jestem spłukana.

Wyprostował się.

– Jak to spłukana?

– Nie mam pieniędzy, jestem spłukana.

Przybrała nonszalancką pozę, jak to zwykle Emily. A przecież w środku musiała się miotać.

– Co się stało?

Wypiła kilka łyków wody, odstawiła kubek i znów oparła się na krześle. Popatrzyła w niebo i potarła dłońmi czoło. Nawet bez grama makijażu na twarzy, w potarganych włosach i brudnym ubraniu wyglądała pięknie w blasku księżyca.

*To tylko przyjaźń. To tylko przyjaźń.*

Słowa te z determinacją przegalopowały przez jego myśli, stanowiąc ważne (aczkolwiek niechciane) przypomnienie.

Emily uszczyptała się w nos w ten uroczy sposób praktykowany jeszcze w dzieciństwie.

– Krótko mówiąc...

– Nie chcę skrótów – przerwał jej Hollis.

– Uwierz mi, chcesz.

Pokręcił głową.

– Nie takie są reguły gry.

– Ten, kto je ustanowił, nie myślał trzeźwo – odparowała. Wzięła do ręki kawałek pizzy, spojrzała nań i odłożyła z powrotem na talerz. – Dużo podróżuję.

– Tak, widziałem twoją kolekcję kluczy.

– Naprawdę?

– Winnie mi ją pokazał. Mówił, że zachowujesz klucz z każdego miejsca, gdzie mieszkasz.

– Tak – potwierdziła. – Sama nie wiem dlaczego.

– Pewnie po to, by zabrać ze sobą kawałeczek tego miejsca? Ma to sens.

Wzruszyła ramionami.

– Takie podróże nie są tanie.

– Wiem – potwierdził, wyczuwając, że Emily zaczyna grać na zwłokę. Sam też trochę jeździł po świecie, wystarczająco często, by wiedzieć, że to kosztuje, choć nigdy nie zapłacił za noclegi ani centa z własnej kieszeni. – Bez względu na to, co się stało, możesz mi o tym powiedzieć.

Na moment podniosła wzrok. Zauważył, że szklą się jej oczy. Znając jednak Emily, nie pozwolił sobie na łyzy.

– Po prostu... – Westchnęła.

– Emily? – Hollis odstawił talerz. – Nie musisz mi mówić. Zapomnij. Zapytam o coś innego. W którym z odwiedzanych krajów podobało ci się najbardziej? Albo jaką jadłaś najbardziej odlotową potrawę?

Przyciągnęła kolana do piersi, obejmując nogi ramionami.

– Nie, może dobrze mi to zrobi. Właściwie to chcę ci o tym powiedzieć.

Serce Hollisa wykonało salto.

– Zakończyłam tournée, mieszkałam w Australii, bawiłam się jak nigdy w życiu i właśnie wtedy wpadł mi do głowy szalony pomysł, że mogłabym... Że mogłabym wyreżyserować własny spektakl.

– W teatrze?

Kiwnęła głową.

– I co w tym szalonego?

– Gdy spektakl robi kosmiczną klapę, to jest to szaleństwo.

Zadrżały mu usta.

– Na pewno nie był taki zły.

Uniosła brwi.

– Był.

Hollis milczał.

– Prawdopodobnie zabrzmiałoby głupio dla zawodowego sportowca, ale tamten spektakl był dla mnie szansą na stanie się kimś więcej niż dziecięcą gwiazdą. I poniosłam klęskę. Gdybym była mądra, wystawiłabym skromny spektakl w jakiejś niewielkiej salce, co kosztowałoby mnie grosze, ale nie, musiałam pójść na całość. Wydawało mi się, że tak dużo umiem, a w rzeczywistości byłam jedną wielką miernotą.

– Nie mów tak.

– Och, nie musisz. Krytycy mnie wyręczyli. Rzecz w tym, że nieustannie podróżując i pracując tylko wtedy, gdy miałam na to ochotę, przepuściłam mnóstwo pieniędzy. Parę razy źle zainwestowałam, ale byłam przekonana, że tym razem będzie to solidna lokata kapitału. Myślałam, że mogę na siebie liczyć.

– Może twój projekt nie wypalił tak dobrze, jak byś sobie tego życzyła, ale to nie znaczy, że nic ci się nie udaje.

– Mimo wszystko znaczy. Nawet nie jestem pewna, czy mam kwalifikacje do wyreżyserowania dziecięcego przedstawienia. Krytycy mieli rację: powinnam była schować moją sztukę do szuflady i nie być tak głupia, tak arogancka, by myśleć, że potrzebna jej publiczność.

– Tak napisali?

Smutno pokiwała głową.

– No cóż, krytycy nie znają się na wszystkim.

– Znają się wystarczająco. – Odwróciła wzrok. – Chciałam zrobić coś swojego. Coś, w czym jestem dobra. – Ponownie spojrzała mu w oczy. – Czy teraz masz o mnie gorsze zdanie?

– Co? Niby dlaczego?

– Ponieważ w przeciwieństwie do ciebie nie odniosłam wielkiego, szalonego sukcesu. Jestem osobą, która osiągnęła szczyt w wieku jedenastu lat. Koniec i kropka.

– Może trzeba przededefiniować pojęcie sukcesu.

Zmięta serwetkę w kulkę i cisnęła ją na talerz. Hollis wyjął z pudełka kolejny kawałek pizzy.

– Więc dlatego przyjechałaś tu na lato.

– To moja druga szansa. – Obejrzała się na dom, na okna kuchni, z których sączyło się światło.

– Mój dom drugiej szansy. I to akurat w Nantucket.

– Bardzo mi przykro, Emily.

– Mnie też. – Otarła policzek. Przez ułamek sekundy myślał, że może mimo wszystko uroniła łzę.

– No dobrze. Teraz masz pracę w ośrodku kultury, więc cała naprzód.

– Nawet nie wiem, czy mi za to zapłacą. – Zaśmiała się.

– Zapłacą.

– Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

– Jestem facetem z koneksjami.

Przyglądała mu się przez kilka długich sekund.

– To ty, prawda?

– Co ja?

– Podesłałeś mi te wszystkie osoby do pomocy w przedstawieniu. – Poprawiła się na krześle. – Myślałam, że to sprawka twojej mamy, ale nie. Twoja.

Odstawił talerz.

– Odmawiam zeznań – oświadczył.

Pokręciła głową, w kącikach jej ust czał się uśmiech.

– Niezłe z ciebie ziółko, wiesz, Hollis?

– Tak się składa, że owszem, wiem. Wiem też, że muszę się zbierać. Ale powinniśmy to powtórzyć.

– Kolację czy upokarzającą rozmowę?

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Chyba nie czujesz się upokorzona, opowiadając o tym wszystkim? Po tym, co ja opowiedziałem ci o sobie?

– Odrobinę. Ty miałaś wspaniałe, pełne sukcesów życie, Hollis.

Zatrzymał jej spojrzenie.

– Ale to już przeszłość. Czy przez to moje obecne życie jest mniej ważne?

– Nie, oczywiście, że nie.

Czasami nie był tego taki pewien.

– Zapraszam jutro na kolację. Będziesz po pierwszej próbie, o wszystkim mi opowiesz.

– W porządku, ale tym razem to ty będziesz siedzieć na gorącym krześle.

– Zgoda – odparł, uzmysławiając sobie, że nie ma nic przeciwko zwierzeniu się Emily ze swoich tajemnic.

Wstał, zebrał talerze i pudełko po pizzy i zaczął czekać, aż Emily weźmie oba kubeczki. Ruszył za nią do domu, zanim jednak otworzyła drzwi, odwróciła się do niego ze słowami:

– Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

Jego wzrok przesunął się ledwo zauważalnie z oczu na usta i znów powędrował w górę.

– No coś ty. Nie ma za co.

Wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek. Do jego nozdrzy doleciał odurzający zapach wanilii. Cieszył się, że ma zajęte ręce, w przeciwnym razie trudno byłoby mu zatrzymać je przy sobie.

Odwróciła się, otworzyła siatkowe drzwi i weszła do środka. Idąc za nią, słyszał w tyle głowy ostrzegawcze dzwonki. *Wejdz, odstaw naczynia, wyjdź.* To jedyne, co mógł zrobić.

Nie wolno mu zwlekać z wyjściem. Nie może zostać tu ani chwili dłużej, nie łamiąc danej Jolie obietnicy. Jutro zaopatrzy się w rzetelną dawkę silnej woli, ale tego wieczoru był kompletnie wykończony.

– Denerwuję się jutrzejszą próbą – wyznała w drodze do wybebeszonej kuchni.

– Poradzisz sobie doskonale – zapewnił. – Może właśnie tego szukałaś.

Zaśmiała się.

– Pracy z dziećmi na wyspie odległej od cywilizacji o trzydzieści mil? Wątpię.

Weszli do kuchni. Emily zatrzymała się tak gwałtownie, że nieomal się z nią zderzył.

Tego wieczoru siła woli okazała się niepotrzebna.

Oto w miejscu po kuchennej ścianie stała starsza wersja kobiety, którą pamiętał sprzed lat. Eliza Ackerman, ubrana w eleganckie czarne spodnie i buty na obcasie, patrzyła ze zgrozą.

– Cześć, babciu – wykrztusiła Emily. – Przeprowadziłam kilka zmian w domu.



*Kochana Emily,*

*porozmawiajmy chwilę o Twoich dziadkach. Jak wiesz, moje relacje z nimi nie zawsze układały się idealnie, ale w sprawach istotnych mogłam na nich liczyć. Pomogli mi Cię utrzymywać, a jednocześnie się kształcić. Zadbali o to, byśmy miały wszystko, czego nam potrzeba lub czego zapagniemy. Choć jako nastolatka buntowałam się przeciwko ich pozornie surowym zasadom, w późniejszym czasie coś zrozumiałam.*

*Babcia i dziadek pochodzą z innej epoki. Inaczej postrzegają świat. Ich świat nie jest tak do końca tym „prawdziwym”. Tak bywa, kiedy ma się dużo pieniędzy. Ja nigdy nie kochałam pieniędzy. Nigdy o nie nie zabiegałam. Ktoś mi kiedyś powiedział, że to dlatego, że je miałam.*

*Może miał rację.*

*W każdym razie... (Zauważ, że nie napisałam „w każdym bądź razie”. Ponieważ luźno tu sobie rozmawiamy, chcę jasno powiedzieć, że nie istnieje wyrażenie „w każdym bądź razie”. Jasne? A zresztą...) W każdym razie, zaczęłam doceniać rodziców i mam nadzieję, że Ty także ich docenisz. Chcę, byś miała z nimi dobre relacje. Może nie zawsze podejmują najsluszniesze decyzje, za to zawsze mają dobre intencje i głęboko wierzę, że zawsze będą służyć Ci pomocą – bez względu na wszystko.*

*Czy będziesz się przy nich czuła jak chodząca porażka? Być może. Ale pomimo tego mają w sobie całe pokłady miłości.*

*Uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć.*

*Uściski*

*Mama*

## Rozdział 32

Emily stała zakłopotana w progu kuchni. Nadal trzymała w ręku dwa plastikowe kubki i przyglądając się pomieszczeniu, wyobrażała sobie, jak okropnie musi się ono prezentować w oczach babci. Jej zadanie nie polegało przecież na wyburzeniu domu, tylko na jego ulepszeniu – a w tym momencie wyglądał o niebo gorzej niż w dniu jej przyjazdu.

– Muszę przyznać, Emily, że nie tego się spodziewałam. – Babcia wskazała miejsce po ścianie.

– Pomyślałam, że to bardziej otworzy parter, wpuści więcej światła, będzie bardziej sprzyjać rodzinnym posiłkom i tak dalej. – Słyszała, jak sama płacze się w wyjaśnieniach. Bredziła jak idiotka. Nagle wszystkie jej plany remontowe wydały się nieprzemyślane i głupie.

A wcześniej była ich taka pewna.

– Czy mój pokój pozostał nietknięty, czy i tam wyburzyłaś ścianę? – zapytała babcia z powściągliwym uśmiechem.

– Jest nietknięty. Ale będziemy go odmalowywać. Wybrałam już kolory – możesz zobaczyć próbki na ścianie.

Babcia uniosła brew, patrząc na Hollisa w taki sposób, jakby dopiero teraz go zauważyła.

– Nie wiedziałam, że masz na wypie... przyjaciela.

Jedna rzecz, której babcia nigdy nie omieszkła przemilczeć, to dezaprobata dla chłopaków Emily. Nie polubiła ani jednego, nie licząc Williama Justusa (Emily go nie liczyła), wnuka zamożnej pary obracającej się w tych samych kręgach towarzyskich, co oni. W dziesiątej klasie uznała, że chłopak idealnie pasuje do Emily i próbowała ich ze sobą umawiać przy rozlicznych okazjach.

Niestety, Emily nie przekonała się do Williama, rozsądnego chłopca, który miał wybić jej z głowy jeżdżenie po świecie. Do dziś nie wiedziała, czy to zapach Williama czy jego brak manier trwale ją do niego zraził, lecz bez względu na to, jak było, miały z babcią rozbieżne wizje co do tego, kto byłby dobrą partią dla Emily.

– Pamiętasz Hollisa, babciu. Jego rodzina zawsze wynajmowała sąsiedni domek – przypomniała Emily. – Teraz są jego właścicielami.

Rzuciła tę ostatnią uwagę, jak gdyby fakt posiadania na własność domu stawiał Hollisa w lepszym świetle. *Nie jest już najemcą, babciu. Tylko właścicielem.* Nie zamierzała jednak karmić snobizmu babci. Powiedziała sobie w duchu, że ma dać sobie z tym spokój.

– Dobry wieczór, pani Ackerman – rzekł Hollis jak na nienagannego dżentelmena przystało.

Babcia przywitała go skinieniem głowy.

– Dobry wieczór.

– Hollis zawodowo grał w baseball – usłyszała samą siebie Emily, jak gdyby czuła się w obowiązku podać babci inny powód niż czysta dobroć Hollisa, by ta zaakceptowała jego obecność w swoim domu. Ze wszystkich poznanych przez nią w życiu ludzi Hollis najmniej potrzebował reklamy. Był autentycznie życzliwym i dobrym człowiekiem, nie musiał się niczym podpierać.

Lecz te cechy rzadko miały dla babci znaczenie.

I znów temu uległa. Przedstawiała swoje wybory w korzystniejszym świetle, żeby babcia je zaakceptowała. *Przestań się bronić. Przestań przeproszać za to, kim jesteś.*

– Czuję się zmęczona – oznajmiła zniecierpliwiona pani Ackerman. – Idę się położyć. O domu porozmawiamy rano.

I wyszła, jak gdyby nigdy nic, zostawiając osłupiałą Emily z pytaniem, kiedy dokładnie wybuchnie bomba.

Odwróciła się do Hollisa z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Wiedziałaś, że przyjeżdża? – zapytał.

Pokręciła głową, a potem zniżyła głos, na wypadek gdyby babcia stała pod drzwiami i podsłuchiwała (ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo, że stoi pod drzwiami i podsłuchuje).

– Nie miałam pojęcia. Przeważnie unikałam jej telefonów, ale kiedy niedawno z nią rozmawiałam, nie zająknęła się na ten temat ani słowem.

– Dlaczego unikałaś telefonów? – powiedział szeptem Hollis.

Emily zbliżyła się do niego o krok i błyskawicznie sobie uświadomiła, że to był błąd. Hollis pachniał niebiańsko – albo jakąś wodą po goleniu o leśnym zapachu, w sumie wychodziło na jedno. Patrzył na nią tymi szaleńczo pięknymi orzechowymi oczami bez cienia krytyki, pomimo wszystkiego, do czego się przed nim przyznała.

Dlaczego ją to dziwiło? Powinna była wiedzieć, że z nim jest bezpieczna. Zawsze próbował ją tylko chronić.

Tak jak wtedy, gdy uderzył pięścią w twarz jednodniowego turystę, ponieważ nie spodobał mu się sposób, w jaki chłopak się do niej odnosił.

Miał ogniście rude włosy, bladą cerę i piegi rozsiane po całej twarzy i ramionach. Hollis, Hayes i Emily byli zajęci na plaży swoimi sprawami, gdy ten „gówniarz”, jak nazwał go Hollis, zaczął ni z tego, ni z owego gdać jak kura, mijając ich grupkę. Z początku myśleli, że chłopak po prostu się wygłupia, ale potem minął ich ponownie ze swoimi kumplami, zagadał i zaczął trzepotać rękami niczym machający skrzydłami kurczak.

Hollis, Hayes i Emily przerwali swoje zajęcia, spojrzeli na siebie nawzajem, a potem na chłopaka, którego kumple ustawili się za jego plecami.

– Ej, panna, ale masz śliczne kurze nóżki.

Chłopcy parsknęli śmiechem, a Emily skuliła się pod ciężarem tej obelgi. Chudość i chłopięcość były jej przekleństwem, choć nigdy szczególnie się nimi nie przejmowała. Aż do tej pory.

Podparła się pod boki i przewiercała chłopaka wściekłym wzrokiem.

– Przynajmniej nie jestem szkaradnym rudzielcem!

– Może nie rudzielcem, ale szkaradą i owszem! – odciął się ze śmiechem.

Emily poczuła, jak żołądek zamienia się jej w kamień. Podeszła do chłopaka, pewna siebie, z zamiarem wymierzenia mu ciosu prosto w szczękę i ośmieszenia go przed kumplami. Ale Hollis stanął jej na drodze i wyciągnął rękę niczym szlaban, powstrzymując ją przed podejściem bliżej.

– Powtórzysz to? – spytał wyzywająco.

Emily musiała przyznać, że jej przyjaciel o gołęmbim sercu świetnie odgrywał rolę „bandziora”.

Chłopak, drobniutki w porównaniu z Hollisem, w pierwszym odruchu się skulił, tak prawie niewidocznie, a potem wysunął żuchwę i wypiął pierś.

– Który fragment? Ten o kurzych nóżkach czy o szkaradzie?

Hollis zrobił krok naprzód.

– Lepiej stąd odejść.

Chłopak znów się wyprostował i zaczął posuwać się w kierunku Hollisa.

– Barry, chodźmy – rzucił jeden z jego kolegów. – Spuści ci łomot.

Ale Barry nie słuchał. Zamiast tego szykował się do walki i powiedział piskliwym, drażniącym głosem:

– Kurczakowy kochaś.

Hollis odpowiedział wbiciem pięści w twarz Barry’ego – trafił go prosto w nos. Głowa chłopaka odskoczyła do tyłu, a on sam zatoczył się, próbując utrzymać równowagę.

Kilka sekund później jakiś mężczyzna zawołał:

– Hej!

I zaczął biec plażą w ich kierunku.

Barry wydał gardłowy dźwięk.

– Chodźmy! – rzuciła Emily, łapiąc Hollisa za rękę.

– Lepiej naucz się trzymać jęzor za zębami – Hollis wycedził do Barry’ego, który stał tam nadal z rozkwaszonym nosem.

– Chodź, Hollis – powiedziała Emily na widok zbliżającego się mężczyzny, ale jej przyjaciel wcale się nie spieszył. W końcu ruszył z miejsca, zaczął iść w stronę ulicy, z dala od plaży, jednodniowych turystów i krwawiącego chłopaka z niewyparzoną gębą.

Działo się to wiele lat temu, ale tamta pasja do dbania o jej bezpieczeństwo nie przygasła ani trochę. Zauważyła to już wielokrotnie od czasu powrotu na wyspę.

Hollis mówił niewiele, za to był bezwzględnie lojalny. I choć dopiero niedawno zaczęli poznawać się na nowo, była pewna, że ochroniłby ją własnym ciałem przed nadjeżdżającym autobusem.

Nie знаła na świecie nikogo innego, kto by się tak zachował. Nie zrobiłaby tego nawet jej własna babcia.

– Babcia bywa trudna – wyznała Emily.

Hollis się roześmiał.

– Wiem, że to niedomówienie. – Emily wyrzuciła do śmieci plastikowe kubki i włożyła pudełko z resztką pizzy do niemal pustej lodówki, która została przeniesiona do jadalni. Wróciła do kuchni i zauważyła, jak Hollis się jej przygląda.

– Nie mówiłaś jej jeszcze o pieniądzach, prawda?

Emily zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jesteś jedyną osobą na świecie, która wie, jaka ze mnie ofiara losu.

– Nie jesteś żadną ofiarą losu – odparł rzeczowym tonem. I po chwili dodał: – Wiesz, że ona się dowie.

– Nawet nie chce mi się o tym myśleć. Muszę obmyśleć, czym ją jutro zająć na cały dzień, żeby nie plątała się Jackowi pod nogami.

Pokiwał głową.

– Przyjdę rano. Może do czegoś się przydam.

– Okej. – Uśmiechnęła się z przymusem.

– Okej.

Wydawało się, że zwleka z odejściem, jakby nie był jeszcze na nie gotowy. Ale musiał iść. Chciała, by już poszedł. Ponieważ gdyby został tu dłużej, z tą twarzą i tymi oczami, mogłaby zrobić lub powiedzieć coś, czego później mocno by żałowała.

Na przykład go pocałować. Na przykład przekroczyć granicę przyjaźni i wpakować się prosto w czarną dziurę „nieokreślonych relacji”.

Jej wzrok ślizgał się po jego twarzy, zatrzymując się na dłużej na miękkich, pełnych ustach, i na drobnej bliźnie tuż nad górną wargą po prawej stronie.

Dotknęła jej.

– Co ci się stało?

– Oberwałem mocną, niską piłką – wyjaśnił, nie robiąc uniku.

– Au.

– Cztery szwy. Opuściłem przez to dwa mecze.

– Ile miałaś lat?

– Trzyście.

Rok po jej wyjeździe z wyspy. Uwielbiała kibicować drużynie młodzików. Całą rodziną, wraz z Emily i jej mamą, pakowali się na odkryte trybuny i dawali z siebie wszystko, pesząc Hollisa.

Ile razy grał bez niej na trybunach?

Ominęło ją tak wiele z jego życia. Stojąc tu teraz przed nim, w odległości niespełna pół metra, uświadomiła sobie, że nie chce przeoczyć ani jednej minuty więcej.

Gdy tylko ta myśl zaświtała jej w głowie, cofnęła dłoń i się odwróciła. To jest właśnie pewna droga do zranienia serca. Fantazjowanie jeszcze nigdy nie przyniosło nikomu żadnego pożytku. A fakt, że Hollis był wobec niej opiekuńczy, wcale nie oznaczał, że by jej nie zranił.

– Powinam się położyć – oznajmiła. – Czeka mnie jutro długi dzień.

– Racja. – Hollis klasnął w dłonie i wcisnął czapkę na głowę. – Widzimy się bladym świtem. Jutro mają chyba kłaść nowe płyty na tarasie. Pomyślałem, że może się przydam.

Uśmiechnęła się. Jack prawie nigdy nie pozwalał Hollisowi na pomoc, ponieważ sama go o to poprosiła. Nie może pozwalać, by pracował za darmo, a wiedziała, że nigdy nie przyjąłby od niej pieniędzy. A poza tym powinien poświęcać czas Jolie.

– Do jutra.

– Dobranoc, Emily.

Odruchowo odwróciła się do niego twarzą, gdy mijał ją w przedpokoju. Przez jej głowę



bezwiednie przepłynęły słowa: „dam radę”, jakby jej mózg wiedział, że wyparcie myśli o Hollisie będzie nie lada wyzwaniem.

I nie była niestety pewna, czy jest gotowa je podjąć.

## Rozdział 33

Emily nastawiła budzik na wczesną godzinę, chcąc pojawić się na dole przed babcią, Jackiem i jego ekipą.

Ale noc nie przebiegła według planu. Emily leżała w łóżku, rozmyślając o Hollisie i jego zgubnych ustach, aż proszących się o pocałunek, o wiele dłużej, niż byłaby skłonna przyznać. Sen nadszedł dopiero około drugiej.

Nie mogła spać nie tylko z powodu Hollisa. Także z powodu obecności babci. I nagłego zwątpienia w słuszność wszystkich podjętych decyzji, od wyboru koloru farby, przez dobór kafelków po wyburzenie kuchennej ściany. Oraz przez to, że czuła się jak oszustka, nie mówiąc jej wprost o spektaklu i swojej sytuacji finansowej.

I przez te usta...

W rezultacie zasnęła, nie usłyszawszy budzika i teraz pędziła pod prysznic, żeby szybko się ubrać, zbiec na dół i zaparzyć kawę, zanim wstanie babcia.

Po wyjściu z łazienki zauważyła, że drzwi sypialni babci są otwarte, a przyczepione do ściany próbki farby zniknęły.

Znalazła się na dole akurat w chwili, gdy na podjazd wtoczyła się furgonetka Jacka. Czym by tu zająć babcię, żeby przez cały dzień nie wchodziła robotnikom w drogę?

Stłumiła jęk. A jeśli ona zostanie tu do końca lata?

– Babciu?

Aromat kawy zdradzał obecność Elizy, ale nie naprowadził Emily na jej trop.

– Babciu?

Stanąła pośrodku pustej kuchni, modląc się w duchu, by Jack podkręcił tempo prac i szybciej doprowadził dom do stanu używalności, skoro Eliza Ackerman zwała się im na głowę.

– Dlaczego krzyczysz? – Głos babci dobiegał z zewnątrz.

Emily wyszła na wciąż jeszcze zdemolowane patio i zastała babcię siedzącą na krześle z filiżanką kawy i gazetą w ręku.

– Przepraszam – powiedziała Emily. – Nie wiedziałam, gdzie jesteś. – Usiadła obok.

– Zaparzyłam kawę – oznajmiła babcia, po czym dodała cierpko: – Jest w salonie.

Emily właściwie odczytała te słowa: jako przytyk.

– Wiem, że na razie panuje tu chaos, ale uwierz mi, po zakończeniu wszystkich prac dom będzie wyglądał niesamowicie.

Babcia uniosła brew, lecz nic na to nie powiedziała.

– Nie wiedziałam, że zamierzasz przyjechać. Nawet o tym nie wspomniałaś.

– Chciałam zrobić ci niespodziankę. – Eliza patrzyła na ogród, który na dobrą sprawę także był w opłakanym stanie.

– Robota wre – oznajmiła Emily. – Pomagam przy remoncie i...

– Szwendam się z tych chłopakiem McGuire'ów – przerwała jej babcia.

– Zamierzałam powiedzieć, że pracuję w ośrodku kultury – sprostowała Emily, ignorując protekcyjny ton babki.

– W ośrodku kultury? – zdziwiła się Eliza.

Emily kiwnęła głową.

– Reżyseruję dziecięce przedstawienie.

Brwi starszej kobiety wygięły się w łuk nad zdumionymi oczami.

– Reżyserujesz?!

Emily wydawało się, że słyszy dumę w głosie babci. Czy to możliwe, że wreszcie podjęła decyzję, która zyskała jej aprobatę?

– Jak to się stało? – zapytała Eliza.

– To długa historia.

– Dokądś się wybierasz?

– Nie... to znaczy tak. Dzisiaj pierwsza próba.

– Emily! – Uroczy głos Jolie poprzedził równie uroczy widok jej buzi. Wyłoniła się zza bocznej ściany domu, niosąc pudełko z cukierni Nantucket Bake Shop; Tilly dreptała przy jej nodze. – Emily! Nie mogę doczekać się próby! Mam najfajniejszą piosenkę w całym spektaklu!

Emily zerknęła ukradkiem na babcię, która przybrała aż nadto znajomy wyraz twarzy mówiący: „co to wszystko ma znaczyć?”.

Jolie umilkła, gdy tylko zauważyła, że Emily nie jest sama.

– Och, przepraszam. – Podała pudełko. – To od babci Nan. Albo od dziadka. W sumie nie wiem, od kogo.

Prawdopodobnie Hollis wstał o świcie, poszedł do piekarni i przysłał córkę ze śniadaniem, dowiedziawszy się, że Emily jest praktycznie bez grosza. Cóż za troskliwość. Jakże w stylu Hollisa.

Przyjacielski gest. Ot co. Oto, kim dla niej był. Przyjacielem.

*Skup się.*

– Jolie, to moja babcia. Babciu, to jest córka Hollisa, Jolie.

Jolie wysunęła dłoń w stronę Elizy, którą ta ostentacyjnie uściśnęła.

– Nie wiedziałam, że Hollis jest żonaty.

– Och, nie jest – wyjaśniła Jolie. – Moja mama wyjechała na miesiąc miodowy z pewnym lekarzem. Ma na imię Rick. Są na Hawajach. Dlatego jestem tutaj u taty.

– Rozumiem – wycodziła Eliza.

– JoJo, może zanieziesz pączki do domu i zapytasz, czy któryś z panów nie jest głodny?

– A ty nie chcesz?

Emily zajrzała do pudełka. Gdy w powietrzu uniósł się zapach smażonego ciasta, od razu pociekła jej ślinka.

– Czy ten długi jest z nadzieniem?

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Zachowaj go dla mnie.

– Załatwione. – Jolie wbiegła do środka.

– Założę się, że Hollis McGuire ma mnóstwo tajemnic – rzekła babcia.

– Jolie nie jest żadną tajemnicą.

– Rozwiódł się?

Emily poczuła ucisk w żołądku. Nie chciała dyskutować o moralności Hollisa. Wiedziała, co z tego wyniknie. Babcia zdawała się nie mieć wyrozumiałości dla ludzkich błędów, z czym Emily nieustannie walczyła. I szczerze mówiąc, nie czuła się w obowiązku wziąć Hollisa w obronę. Nie powinna czuć żadnego przymusu.

Jeśli Jolie była pomyłką, to Emily nie była niczym innym. Czy tak postrzegała ją babcia po tylu latach?

– Prowadził niesamowite życie – powiedziała.

– Wiem wszystko na temat jego sportowej kariery – przyznała babcia. – Twój dziadek został jego fanem.

– Ja też – przyznała Emily. – Był fantastycznym sportowcem.

– To prawda.

– Porządny z niego człowiek, babciu.

Eliza wypła łyk kawy.

– Czy wy dwoje...?

– Jesteśmy przyjaciółmi – dokończyła Emily. – Od kiedy tu przyjechałam, jest dla mnie ogromną pomocą.

– Doskonale.

Emily nienawidziła tego słowa. „Doskonale”. Mama też go nie znosiła.

*Moja matka uwielbia kończyć rozmowy jednym koszmarnym słowem: „doskonale”. To jej sposób wyrażania dezaprobaty bez mówienia wprost, co myśli. Jej sposób na powiedzenie ostatniego słowa bez*

*zdradzania swoich prawdziwych opinii. Obiecuję, że nigdy nie będę komentować w ten sposób tego, co mówisz. I ty też nie rób tego wobec mnie. Będziemy doprowadzać nasze rozmowy do końca, Ty i ja. Rozumiesz, maleńka?*

- Chcesz, żebym przedstawiła ci plany remontowe?
- Możesz zacząć od farby, którą wybrałaś do mojej sypialni?
- To jest kolor gołębi.
- Szary.
- Ale neutralny. Potencjalny kupiec prawdopodobnie będzie wolał coś neutralnego.

Babcia zacisnęła usta.

- Więc sprzedajesz dom?

Emily wiła się jak piskorz. Potrzebowała kofeiny. Albo środków uspokajających. Jednego albo drugiego.

- Tak, myślę, że tak będzie najpraktyczniej. A ty?

Eliza ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami.

- Chcę uszanować życzenia twojego dziadka.

Emily wciągnęła powietrze. Modliła się w duchu, by nie dać się sprowokować.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Chciał, żebyś to ty zdecydowała, co stanie się z domem, więc nie zamierzam się do tego mieszać – odparła niemal z bólem.

- Czyżby?

– Aczkolwiek nie rozumiem, dlaczego musiałaś wyburzyć całą ścianę.

Aha. Babcina wersja „niemieszania się” polegała na wtrącaniu swoich opinii pod postacią kąśliwych uwag, pod wpływem których Emily zaczęła podawać w wątpliwość każdą ze swoich decyzji.

- Chciałabyś pojechać ze mną do ośrodka kultury?

Babcia się obruszyła.

- Nie, umówiłam się na wolontariat w szpitalu i nadrabianie zaległości z dawnymi znajomymi.

Emily starała się nie okazywać ulgi. Wiadomość, że babcia nie będzie dzień w dzień kręcić się po domu od świtu do nocy była niemal błogosławieństwem.

W tym momencie rozsunęły się przeszkłone drzwi. Emily spodziewała się zobaczyć tam JoJo, lecz zamiast niej stanął w nich Jack z podkładką do pisania w dłoni.

- Dzień dobry.

Babcia odwróciła się w stronę głosu, a w chwili, gdy jej wzrok spoczął na zatrudnionym przez Emily fachowcu, zamarła.

– Babciu, to jest Jack Walker. Człowiek, który ma plan. – Emily wstała i uśmiechnęła się do Jacka, jemu natomiast zgasł uśmiech na twarzy. Prawdopodobnie martwił się, że babcia zamierza ingerować w remont i każe mu zaczynać wszystko od nowa. Obawy były zresztą uzasadnione. Emily też się tego bała.

Eliza odstawiła kubek na stół i wstała, ściągając twarz ze znajomą dezaprobatą zaprawioną czymś jeszcze, czego Emily nie potrafiła uchwycić.

- Tak się składa – rzekł Jack – że już się kiedyś spotkaliśmy.

Emily przeniosła wzrok na babcie.

- O, naprawdę? To wy się znacie?

– Tak jakby – odparł Jack, nie spuszczać oczu ze starszej kobiety.

– Przepraszam – powiedziała Eliza Ackerman. – Nie mogę sobie przypomnieć, gdzie się poznaliśmy.

Była to standardowa uwaga babci komunikująca: „nie jesteś na tyle ważny, bym cię zapamiętała”. Emily miała ochotę przewrócić oczami, ale się pohamowała.

– Och, zaraz. Pracował pan w klubie – rzekła babcia. – Mam rację? Nosił pan Alanowi kije golfowe. – Jej gniewna mina zamieniła się w szorstki, przelotny uśmiech.

Jack ją obserwował, wydawało się, że komunikują się telepatycznie. Emily wodziła między nimi wzrokiem. Tę scenę przerwał jakiś odgłos za ich plecami.

Emily obejrzała się przez ramię i ujrzała Hollisa, prezentującego się wyjątkowo wspaniale w promieniach porannego słońca. Jak można tak fantastycznie wyglądać w zwykłej koszulce i krótkich spodenkach z wielkimi kieszeniami? Za sprawą czapki? Okularów pilotek? Czy bicepsów?

*Zdecydowanie chodziło o bicepsy.*

– Dzień dobry – przywitał się. – Przywiozłem kamień i jestem gotów zabrać się do budowy patia. Hayes już tu idzie, będzie mi pomagał.

Napięcie wisiało w powietrzu niczym ciężka deszczowa chmura, która lada chwila się rozerwie.

– Spotykam się w mieście ze znajomą, wybieramy się na zakupy – oznajmiła w końcu Eliza, odrywając od Jacka sugestywne spojrzenie.

– No tak – rzekł Jack. – A ja muszę działać w kuchni.

Babcia szybko wyminęła Jacka, który odczekał wymowną chwilą, nim ruszył w jej ślady.

Emily popatrzyła na Hollisa.

– Co tu jest grane? – zapytał ze zmarszczonym czołem.

Utkwiła wzrok w miejscu, gdzie przed chwilą stali tamci dwoje.

– Nie mam pojęcia.

## Rozdział 34

Gdy Emily stanęła w biurze ośrodka kultury pół godziny przed rozpoczęciem próby, przez jej głowę przegalopowała litania negatywnych refleksji.

*Zrobisz z siebie idiotkę.*

Nie wiesz, na co się porywasz.

Nigdy nie złapiesz kontaktu z tymi dzieciakami.

Przez całą drogę próbowała uciszyć ten głos w głowie, ale jak dotąd jej nie posłuchał.

Musi być nieustannie czymś zajęta. Musi się skupić. Zapanować nad myślami.

Wyszła z biura. W sali teatralnej zastała Marisol oraz kilka innych szefowych zespołów. Opracowały już plan dnia, zdecydowały, który pokój przeznaczyć na przymiarki kostiumów, który na muzykę, który na taniec i który na ustawianie scen. Były gotowe.

Ona też była gotowa.

Szykowały się do powitania aktorskiego narybku w ich pierwszym w życiu spektaklu na deskach Ośrodka Kultury imienia Ackermanów. Ta myśl zarazem przyprawiała Emily o mdłości i budziła w niej entuzjazm.

Marisol, zwawa niczym cheerleaderka i obdarzona tym rodzajem osobowości, że nawet gdyby wystawiła się na pośmiewisko, nie stanowiłoby to dla niej większego problemu, witała dzieci uśmiechami i przybijaniem piątki. Emily kiedyś była taka sama – istna dusza towarzystwa – ale dawno temu, zanim wszystko schrzaniła.

Nagle poczuła się niezdolna do czegokolwiek.

Nan ściągnęła na siebie wzrok Emily z drugiego końca sali. Podniosła kciuki z pytającym wyrazem twarzy, jakby chciała się upewnić, czy wszystko gra.

Emily przytaknęła, pomimo kamienia w żołądku.

Nan utorowała sobie drogę przez rozgadany tłum dzieci i stanęła obok Emily.

– Wzruszona?

– Przerażona.

Nan objęła ją ramieniem.

– Dasz radę, dziecko. Uwierz mi, dasz radę.

– Mówisz to z taką pewnością – rzekła Emily.

Nan się uśmiechnęła, z jej twarzy emanowało macierzyńskie ciepło.

– Widziałam cię na przesłuchaniach. Nie ma powodu do zmartwienia.

Emily ze stanowczością skinęła głową, a następnie ustawiła się na przedzie sceny.

Dzieci zajęły miejsca na widowni, chichocząc, paplając, zachowując się po prostu jak dzieci. Emily popatrzyła w prawo, gdzie na końcu rzędu obok córki Shae Daniels, Alyssy, siedziała Jolie. Wyglądały jak stare przyjaciółki.

Jolie pomachała do Emily, która z uśmiechem puściła do niej oko.

– No jak tam, szefowo? Gotowa? – zapytała Marisol, stając obok niej na scenie.

– Gotowa albo niegotowa – odparła Emily.

Uniosła dłonie, klasnęła w nie czterokrotnie, po czym zachęciła dzieci do powtórzenia tego gestu. Podchwyciły natychmiast. Odpowiedziała kolejną serią, tym razem klaszcząc rytmicznie w szybszym tempie. Dzieci znów powtórzyły wybijany rytm. Zrobiła to jeszcze raz, kończąc długim: „ciiiii”.

Dzieciaki poszły za jej przykładem i – o dziwo – uciszyły się.

Skupiła na sobie niepodzielną uwagę widowni – i co teraz?

Uśmiechnęła się.

– Gratuluję wszystkim zebranym! Dostaliście się do obsady *Alicji w Krainie Czarów*!

Rozbrzmiał głośny aplauz.

Emily rozpoczęła od wyłożenia podstawowych zasad, wyjaśnienia swoich oczekiwań i naświetlenia wizji spektaklu. Następnie przedstawiła każdego członka obsady według przydzielonych ról, z radością przyjmując głośne wyrazy aprobaty dla osób w rolach głównych. Wiedziała, że prawdopodobnie przyjdzie jej borykać się z jakimiś kwaśnymi winogronami (pojawiają się w każdym

spektaklu), ale ogólnie dzieciaki sprawiały wrażenie, że są tu po to, by dobrze się bawić.

Poranek upłynął na próbach czytania scenariusza. Słuchali wspólnie piosenek, wyjaśnień, co i kiedy robi która grupa. W połowie Emily ogłosiła przerwę na zabawę mającą na celu przełamanie lodów, a potem podzieliła dzieci na pary – starsze z młodszymi.

– Każdy z was ma przydzielonego „dużego” albo „małego” kumpla czy kumpelkę – powiedziała. – I trzymacie się razem przez cały czas pracy nad przedstawieniem. Możecie wysyłać sobie liściki, dodając sobie nawzajem otuchy, możecie zadawać pytania, jeśli nie jesteście czegoś pewni i generalnie dbać o siebie nawzajem. Od „dużych” oczekujemy dawania dobrego przykładu „małym”, nie tylko tym ze swojej pary, ale wszystkim młodszymi. To jest ważne – musicie pamiętać, że ktoś zawsze stawia was sobie za wzór.

Dostrzegła skupiony wzrok Jolie.

*Ktoś zawsze stawia was sobie za wzór.*

Byłoby dobrze, gdyby sama to sobie zapamiętała. Podczas spotkań organizacyjnych sypała tymi złotymi myślami jak z rękawa, lecz nie bardzo wiedziała, skąd je czerpie. Nie miała wzorców, jednak za każdym razem, kiedy myślała o tym, że przemawia do grupy dzieci, że im przewodzi, tym większe znaczenie miało stanięcie na wysokości zadania.

Spodziewała się, że przed lunchem będzie wykończona, a tymczasem czuła zaskakujący przyływ energii.

– To była przednia zabawa – stwierdziła Marisol, otwierając pudełko z lunchem. Wyjęła kanapkę i zaczęła jeść.

– Masło orzechowe z dżemem?

Marisol uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Zazdrościsz?

Emily się roześmiała.

– Pewnego dnia ten biały chleb odbije ci się czkawką.

Wyjęła z torby pojemnik z sałatką. Rozejrzała się po sali. Jej wzrok padł na małego chłopca, na oko dziewięcioletniego, który siedział z boku sam jak palec, w milczeniu pałaszując lunch. Patrzył wkoło szeroko otwartymi ze strachu oczami.

– Tamten chłopiec to kto? – zapytała Emily. – Colin?

Spojrzenie Marisol powędrowało w stronę bladego, ciemnowłosego dzieciaka.

– Tooo... Tak, to Colin.

Emily się zorientowała, że jako jedyny siedzi sam. Wzięła sałatkę i do niego podeszła.

– Cześć, Colin. Mogę usiąść koło ciebie?

Podniósł na nią oczy, wciąż pełne lęku. Kiwnął głową.

– Fajnie się bawiłeś? – spytała, wkładając do ust kęs sałatki.

Bez entuzjazmu wrzucił ramionami.

– Zauważyłam, że siedzisz tu całkiem sam.

– Tak. – Wepchnął sobie do ust chrupka.

– Lubisz być sam? Bo jeśli tak, to super, ale gdybyś wolał być z przyjaciółmi, założę się, że znajdziesz tu co najmniej kilkoro. – Zlustrowała otwarte, przestronne pomieszczenie. Dzieciaki siedziały przy stołach, w kręgach na podłodze, niektórzy jedli na stojąco. Przeważnie głośno rozmawiali i dużo się śmiali.

Ale nie Colin. Spałaszował kolejnego chrupka.

– Nikt mnie nie zaprosił.

Na ułamek sekundy zamarło jej serce. Chciała, by choć jedno z dzieci zauważyło, że Colin jest sam.

– Prosiłeś kogoś, by z tobą usiadł?

Spuścił oczy i z żalną miną pokręcił głową.

– Hmm... wiesz, myślę, że czasem trzeba się odważyć.

– Na co? – Wykrzywił buzię, jak gdyby nigdy nie słyszał niczego równie dziwnego.

Wskazała otwartą przestrzeń.

– Na wyjście do innych.

– A jak mnie nie polubią?

Wzruszyła ramionami, przełknęła kęs i popatrzyła chłopcu w oczy.

– Nie wszyscy będą cię lubić. Ale nigdy się tego nie dowiesz, jeśli nie zaryzykujesz i nikogo nie poznasz.

Colin wydawał się sceptyczny.

– Odwagi, młody człowieku. Dasz radę.

Ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nie wie, skąd wzięły się jej te słowa. Wedle reguł, których w życiu przestrzegała, Colin był bezpieczniejszy, siedząc samotnie w kącie i zjadając kanapkę z indykiem.

*Strzeż swojego serca.*

Mimo to, patrząc na niego, Emily poczuła jedynie smutek, że dokonał takiego wyboru – samotności – skoro mógłby stać się częścią tej niesamowitej grupy przyjaciół.

Powoli spakował do pudełka plastikowe woreczki.

Emily wskazała grupkę chłopców i dziewczynek mniej więcej w jego wieku.

– Może do nich podejdiesz i usiądziesz w ich kręgu?

Modliła się, by się okazało, że skierowała go we właściwą stronę. Modliła się, by powitały go uśmiechy i życzliwość. Modliła się, by poczuł się tam jak wśród swoich.

Czy modliła się o to samo dla siebie?

Wstał. Emily podała mu pudełko śniadaniowe.

– No nie wiem... – bąknął.

– Jeśli cię wkurzą, wrócisz tutaj do mnie – powiedziała z uśmiechem.

Westchnął.

– Dobra.

Podszedł do grupki. Gdy przy nich stanął, dwoje dzieci zwróciło na niego uwagę.

– Cześć – powiedział.

Jedna z dziewczynek, Brooklyn, spojrzała na niego i obdarzyła go szczerbatym uśmiechem.

Posunęła się i przestawiła swoje pudełko, żeby zrobić Colinowi miejsce.

Obejrzał się przez ramię na Emily, której z niewiadomego powodu ścisnęło się gardło. Podniosła kciuk i obserwowała, jak Colin dosiada się do grupy.

Chwilę później śmiał się razem z innymi.

Emily zabrała swoją sałatkę i dołączyła do Marisol.

– Dobra robota, szefowo.

Przyjęła ten komplement, ponieważ po raz pierwszy od... może w ogóle po raz pierwszy odniosła wrażenie, że naprawdę coś się jej udało.

I uznała, że to ten rodzaj uczucia, do którego mogłaby się przyzwyczać.



## Rozdział 35

Połowa sierpnia 1989

Czyszcząc pokład jachtu zwróconego przez klientów po weekendowym wynajmie, JD zauważył pod klubem Alana i Elizę Ackermanów.

Serce podskoczyło mu do gardła. Nie kontaktował się z Isabelle od dwóch dni, postanowili wspólnie porozmawiać z jej rodzicami, ale ich obecność w tym miejscu nie wydawała się zwykłym zbiegiem okoliczności.

Jeden z pracujących wraz z nim na jachcie chłopaków cisnął w niego zwiniętym ręcznikiem. JD roześmiał się z przymusem, jak gdyby udawana nonszalancja mogła zastąpić autentyczny luz. Odrzucił ręcznik koledze, widząc, jak rodzice Isabelle docierają na skraj pomostu.

Nie odezwali się słowem. Tylko mierzyli go wzrokiem, tak jakby wiedział, po co się zjawili. I oczywiście wiedział.

– Możemy jakoś państwu pomóc? – zapytał inny z pracowników, imieniem Shane.

Ackermanowie nadal nie spuszczaali wzroku z JD.

– Myślę, że chodzi o mnie – powiedział.

– Aha. – Shane kiwnął głową.

– Zaraz wracam.

JD zszedł z pokładu na pomost, oddalając się od pozostałych chłopaków, którzy nie przerwali prac porządkowych. Czuł na sobie wzrok Alana i Elizy. Zanim stanął z nimi twarzą w twarz, ciężko westchnął.

– Zdajesz sobie sprawę, co narobiłeś? – fuknęła Eliza.

– Rozmawiałem z Isabelle parę dni temu – odparł.

– A więc wiesz.

– Przepraszam. Nie chcieliśmy, by tak się stało.

Alanowi zmienił się wyraz twarzy.

– Założę się, że nie, co nie zmienia faktu, że wykorzystasteś naszą córkę.

– Nie wykorzystasteś jej, proszę pana. Ja ją kocham.

Eliza wybuchnęła drwiącym śmiechem.

– Cóż, teraz wiem, skąd przyszedł jej do głowy ten absurdalny pomysł. Czy naprawdę uważasz, że jesteś w stanie zapewnić godne życie naszej córce... a teraz także i dziecku?

– Dla Isabelle zrobiłbym wszystko.

Ackermanowie wymienili nerwowe spojrzenia.

– Jeśli chcesz jak najlepiej dla Isabelle, zostaw ją w spokoju – rzekł Alan.

– Słucham?

– Synu, nasza córka przywykła do pewnego standardu życia. Będzie miała pewne oczekiwania. Oczekiwania, którym nie będziesz w stanie sprostać. A jeśli dodamy do tego dziecko, mamy gotowy przepis na katastrofę.

– Chcą państwo się mnie pozbyć?

Eliza się wyprostowała.

– Chcemy tego samego, co ty: najlepszego rozwiązania dla naszej córki i naszego wnuka lub wnuczki. Z pewnością ci na tym zależy.

– Oczywiście, że tak.

– My zapewnimy im dobre życie – oznajmiła. – Dopilnujemy, by niczego im nie brakowało.

JD odwrócił wzrok.

– Synu, musimy myśleć logicznie. – Zwracanie się do niego per synu zaczynało działać JD na nerwy. – Najlepsze dla nich obojga, dla was wszystkich, będzie twoje zniknięcie.

– Tym samym będziesz mógł skończyć szkołę bez dodatkowego obciążenia w postaci rodziny.

Chyba nie chcesz rzucić studiów, skoro jesteś już w ich połowie?

– Może znajdę sposób na pogodzenie zajęć z pełnoetatową pracą.

– Jaką pracą? Obsługiwaniem stolików? Sprzątaniem jachtów? – Wyższość Elizy także go wkurzała.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba.

– To nie jest życie – zawyrokowała Eliza. – W każdym razie nie dla mojej córki.

JD spojrział w bok, udając, że zaabsorbowała go obserwacja mewy w oddali.

– Nie dbamy o takie rzeczy

– Tak ci się wydaje – rzekła Eliza. – Jej wydaje się tak samo. Ale gdy przy pierwszych trudnościach nie będzie miała natychmiastowego dostępu do tego, czego pragnie, zacznie wam ciążyć szara rzeczywistość.

JD przestąpił z nogi na nogę.

– A jeśli nie odejdę?

Alan wypiął pierś, podciągnął spodnie i westchnął.

– No cóż, wtedy postawisz nas pod murem.

– Pod murem?

Eliza wycelowała w niego wzrok.

– Jeżeli postanowisz zrealizować swój niedorzeczny plan poślubienia Isabelle czy choćby będziesz próbował ciągnąć ten wasz związek, zmusisz nas do jej wydziedziczenia.

Ścisnęło go w dołku.

– Zrobilibyście państwo coś takiego?

Wzruszyła ramionami.

– Nie mielibyśmy wyjścia. Nie możemy zaakceptować takiego skandalu, a nie zgodzimy się, by nasza córka zamieszkała z chłopakiem, którego prawie nie zna, w jakimś ciasnym, zarobczonym mieszkanku, i bawić się z nim w dom. To nie wchodzi w rachubę.

– Nigdy nie dopuściłbym do życia w zarobczonym mieszkaniu.

– Tak jakbyś miał wybór. – Zaciśnęła cienkie usta, nadal zachowując postawę, która streszczała się w słowach: „nie jesteś godzien przebywać w mojej obecności”. Nie posiadał się ze zdumienia, jakim cudem Isabelle wyrosła na tak twardo stąpającą po ziemi dziewczynę, ale kochał ją przez to jeszcze bardziej.

I do tego wszystko się sprowadzało... Kochał ją. Kochał tak bardzo, że słowa jej rodziców zaczynały nabierać sensu.

– Wiem, że chcesz być z Isabelle i że wydaje się wam obojgu, że jesteście w sobie zakochani, ale uwierz mi: gdy pojawi się dziecko, gdy dojdą dorosłe obowiązki, katastrofa gotowa. – Eliza wiedziała, że wygrała. Widział to po jej minie.

– Jeśli naprawdę ją kochasz, synu, zrób, co należy, odrzuć egoizm. – Alan poklepał go po ramieniu. – Może moglibyśmy ci pomóc w opłaceniu studiów. Dostaniu się do specjalnych programów, tych, które gwarantują pracę po dyplomie.

JD zrzędnął miną. Zbyt mocno kochał Isabelle, by skazywać ją na rezygnację z życia, które znała, na rzecz wielkiej niewiadomej u jego boku. Pewnie, byłoby to romantyczne i ekscytujące, ale rodzice mieli rację – choć przyznawał to z wielką niechęcią.

Nie był dość dobry dla Isabelle. Od samego początku.

– Nie chcę pańskich pieniędzy, proszę pana – przemówił wreszcie. – Ani pańskiego miłosierdzia.

– Nie patrz na to w ten sposób. Proponuję pomoc ojcu naszego wnuka. Albo wnuczki.

– Proponuje pan łapówkę, żeby się mnie pozbyć.

– Synu, zasługujesz na wszelkie możliwe szanse odniesienia w życiu sukcesu. Mogę ci to zapewnić kilkoma telefonami.

– Pod warunkiem, że zostawię Isabelle.

– I to na zawsze – wtrąciła Eliza. – Nie powiesz jej o tej rozmowie i pójdziesz swoją drogą. Tylko w ten sposób możemy załatwić sprawę.

JD nie podobało się to ani odrobinę. Oznaczało bowiem odejście bez słowa pożegnania. Oznaczało utwierdzenie Isabelle w przekonaniu, że zwyczajnie dał nogę i że nigdy jej nie kochał. Oznaczało nieuczestniczenie w życiu własnego dziecka.

Jednak czy trwanie przy niej jest lepszym rozwiązaniem? Wtedy Isabelle straci wszystko – wszystkie pieniądze, do których ma prawo, nie wspominając o nieruchomościach i inwestycjach, czy co tam jeszcze zamożni ludzie przekazują swoim dzieciom. Nie mógł jej z tego ograbiać. Nie mógł pozbawiać tego własnego dziecka. Oboje na to zasługują.

– Dobrze. Wyjadę. Przez wzgląd na nią, a nie dlatego, że tak mi każecie. Jeśli dowie się, co zrobiliście, będzie miała złamane serce.

– Zatem módlmy się wszyscy, by nigdy się nie dowiedziała – skwitowała Eliza.



Już od bitych pięciu dni Isabelle nie miała żadnych wiadomości od JD. Jej rodzice dowiedzieli się prawdy za sprawą telefonu od lekarza i od tamtej pory trzymali ją w areszcie domowym.

I zaczęła od tego dostawać kręcka.

W końcu rodzice wybrali się gdzieś z przyjaciółmi, ostrzegając, że jeśli Isabelle wyjdzie z domu, poniesie tego konsekwencje. Konsekwencje wydawały się pestką w porównaniu z cierpieniem spowodowanym brakiem kontaktu z JD, więc po około dwudziestu minutach od ich wyjścia wsiadła na rower, pojechała do domu jego ciotki i załomotała do drzwi.

Wspomnienie tego, co się tam wydarzyło zaledwie kilka tygodni temu, powróciło z całą mocą. Pożałowała pochopnej decyzji pójścia z JD do łóżka bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Za to wcale nie żałowała, że go kocha. Przy nim czuła, że ma głos i że ten głos się liczy.

Za siatkowymi drzwiami pojawił się Jeb.

– Isabelle! Hej.

– Hej. Jest JD?

Jeb zmarszczył czoło.

– Nie powiedział ci?

– O czym?

– Nie ma go tu.

– Okej, a gdzie go zastanę? W pracy? W mieście?

– Nigdzie. Wyjechał z wyspy. Wrócił na studia. – Jeb otworzył siatkowe drzwi. – Przykro mi, Isabelle. Byłem pewien, że ci o tym powie.

Przygryzła dolną wargę, żeby się nie rozpłakać.

– Zostawił jakiś numer albo coś?

Jeb pokręcił głową.

– Nie, kiedy wyjeżdżał, jeszcze go nie miał, ale słuchaj, jak wrócę na uczelnię, dopilnuję, żeby się z tobą skontaktował. Może podasz mi swój domowy numer?

Czy poda? I co jej z tego przyjdzie? JD wyjechał bez słowa. Bez pożegnania. Bez niczego. Plan pobrania się i wspólnego wychowywania dziecka wydał się jej nagle szczeniacki, absurdalny. Ona sama poczuła się absurdalnie i szczeniacko.

– Nie trzeba, Jeb, dzięki – wykrztusiła. – Na razie.

Pognała z powrotem, słysząc za plecami wołanie Jeba, dwukrotne, jednak nie obejrzała się za siebie. Popedałowała do domu, przeklinając dzień, w którym poznała JD, i zastanawiając się, jak sobie bez niego poradzi.

## Rozdział 36

Emily siedziała na plaży pod ciemniejącym niebem. Ominęła dom (oraz babcię), zatrzymała się przy szopie po koc i poszła prosto na brzeg oceanu. Zdjęła buty i zanurzała w piasku palce, aż poczuła chłód na nagrzaną skórę.

Charakterystyczne pobrzękiwanie identyfikatora Tilly obwieściło obecność psa.

Emily spodziewała się ujrzeć Jolie sadzącą po plaży wielkimi susami, tryskającą energią po dzisiejszej pierwszej próbie.

Dziewczynka wywarła na niej spore wrażenie w tej samej sekundzie, kiedy na przesłuchaniu otworzyła usta i zaczęła śpiewać. Emily zachowała kamienną twarz i nie traktowała jej w żaden uprzywilejowany sposób, ale prawda była taka, że córka Hollisa miała prawdziwy talent. Odetchnęła z ulgą. Bo co, gdyby okazała się do niczego? Niemal parsknęła śmiechem na samą myśl o okropnie niezręcznej rozmowie, która by ją wtedy czekała, ale na całe szczęście nie było potrzeby jej przeprowadzać.

Tilly podbiegła prosto do niej, rzuciła się na piasek i przeturlała na grzbiet, domagając się pieszczot.

– Ty głupiutki psie.

– Dałaś radę.

Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że tym razem to Hollis wyprowadził labradora na spacer, a nie jego córka. Zamarło jej serce, omijając dwa uderzenia: *Ho-llis*.

Wstrzymała oddech.

Usiadł obok niej na kocu i postawił między nimi torbę z Bartlett's Farm.

– Głodna?

– Przyniosłeś kolację?

– Obiecałem. Nic wymyślnego. – Wyjął z torby dwie kanapki. – Z sałatką z kurczaka czy z indykiem?

– Z sałatką. Dziękuję.

– Nie mogę pozwolić, żebyś się zagłodziła.

– Skoro już wiesz, jaka jestem biedna? – Roześmiała się. Dobrze było obrócić to w śmiech – dramat tej sytuacji stawał się wtedy... mniej dramatyczny.

– Tak, nie ma to jak klepać biedę w wielkim domu z widokiem na ocean.

Uśmiechnęła się, wdzięczna za to jego zdystansowanie. *Mogłoby być znacznie gorzej*.

Przez kilka sekund jedli w milczeniu. Potem Hollis przesunął się na kocu, by widzieć jej twarz.

– Więc jak było?

Zastanawiała się, kiedy spyta o próbę. Po podrzuceniu Jolie do ośrodka kręcił się na miejscu dłużej, niż potrzeba. Jeśli miałyby być szczerą, to jego przejęcie występem córki było urocze. Zanim wyszedł, ściągnął na siebie jej spojrzenie i zapytał bezgłośnie: „Wszystko w porządku?”. Kiwnęła głową, marząc o okładzie z lodu na nabrzmiałe od uczuć serce.

Nie przywykła do tego, by ktoś troszczył się o jej samopoczucie. A robił to nie tylko Hollis. W dniu przesłuchań Nan spędziła w ośrodku kultury cały boży dzień, od rana do wieczora, witała kandydatów, koła ich skołatane nerwy, uspokajała zdenerwowanych rodziców. Przyniosła też dla Emily i reszty zespołu domowe ciasto czekoladowe i dwukrotnie donosiła wodę.

A w dniu pierwszej próby zjawiała się, żeby pomóc przy kostiumach, podniosła Emily na duchu i ją zmobilizowała, a potem jeszcze trzykrotnie do niej zajrzała.

– Chcę się tylko upewnić, czy niczego ci nie potrzeba.

I choć Emily próbowała z tym walczyć, poczuła, że jest wśród swoich. Albo przynajmniej może być wśród swoich, jeśli sobie na to pozwoli.

Przełknęła kęs wyśmienitej kanapki z kurczakiem i spojrzała Hollisowi w oczy.

– Szczerze? Było niesamowicie. – Nie potrafiłaby pohamować uśmiechu, nawet gdyby bardzo się starała.

– Mówisz? – Odłożył kanapkę. – Naprawdę ci się podobało?

– Ależ tak. Wszystkie dzieciaki są bardzo dzielne. Na koniec bawiliśmy się w improwizację. Obserwowanie, jak stają na środku i robią rzeczy, na które większość dorosłych by się nie odważyła, było naprawdę inspirujące. One są nieustraszone, wiesz?

– Tak jak ty?

Roześmiała się.

– Już taka nie jestem.

Może kiedyś rzeczywiście była nieustraszona, ale zaznała dość smutku i cierpienia, by ściągnąć cugle i zwolnić.

– No co ty – rzekł. – Wiesz szalone życie, w kółko poznajesz nowych ludzi – już samo to czyni cię nieustraszoną. Wielu ludziom trudno jest pojechać w miejsce, gdzie nigdy dotąd nie byli i zanurzyć się prosto w nieznaną kulturę. A dla ciebie to... Jak długo mieszkałaś w jakimś miejscu?

– Maksymalnie rok. Może trochę krócej.

Zrobił wielkie oczy.

– Widzisz? Nieustraszona.

Emily przeżuwała bez pośpiechu kolejny kęs, zastanawiając się nad jego komentarzem.

– Nigdy nie uważałam, że coś takiego wymaga odwagi.

– A co wymaga? Spadochroniarstwo? Surfowanie podczas tropikalnej burzy? Czy tego też się nie boisz?

Wzruszyła ramionami.

– Tak naprawdę nigdy nie miałam wyboru, dlatego te rzeczy mnie nie przerażały.

Przyglądał się jej – zbyt uważnie.

– Co to znaczy?

Jak wiele ma mu jeszcze powiedzieć? Wiedział już o jej zawodowej porażce – czy musi zdradzić mu wszystkie sekrety? Napotkała jego wzrok i usłyszała, jak zaczyna mówić, tak jakby i w tej kwestii nie miała wyboru. Poniekąd chciała, by Hollis znał jej przeszłość, nawet te przeżycia, w których czuła się obnażona i bezbronna.

Może zwłaszcza te.

– Po wypadku dziadkowie przywieźli mnie do mieszkania, w którym żyłam z mamą, żeby spakować rzeczy. To wtedy znalazłam zeszyt z listami. – Opowiedziała o listach zebranych w książeczkę.

– Widziałem go.

– Tak, zwykle noszę go w torbie. – Emily patrzyła na ocean. – Dzięki temu czuję się bliżej niej.

Uznała milczenie Hollisa bardziej za zachętę do kontynuowania opowieści niż za przejaw braku zainteresowania, dlatego wygrzebała zeszyt z wielkiej torby, zaczęła go kartkować, póki nie znalazła listu zatytułowanego: „O marzeniach”.

– Wiele z tych listów utkwiło mi w głowie, ale ten szczególnie.

Wręczyła mu zeszyt, by sam przeczytał słowa, których wiele lat temu nauczyła się niemal na pamięć.

*Kochana Emily,*

*gdy w grę wchodzi marzenia, jest tylko jedna droga: iść na całość. Marzę o zamorskich podróżach, i to nie z rodzicami. Ich wersja Europy bardzo różni się od mojej. Ja chcę oglądać ludzi, kosztować ich kuchni i doświadczać ich kultury bez tych wszystkich luksusów, przy których upiera się Eliza Ackerman.*

*Ta planeta ma w sobie jakąś szaloną cudowność, którą chciałabym zobaczyć w pełnej krasie: wyruszać na wyprawy pełne przygód, poznawać inne kultury i zyskać całkiem nową perspektywę co do rzeczywistego ogromu tego świata.*

*Warto mieć takie marzenie, nie uważasz?*

*Powinno się żyć pełną piersią, przeżywać wszystko dogłębnie, posuwać się do krawędzi, a za każdym marzeniem gonić z niezachwianym entuzjazmem.*

*O to się dla Ciebie modłę. O dzikie przygody. Szalone przeżycia. Wielkie marzenia. Gdy chwycą Cię za serce... podążaj za nimi.*  
*Zasługujesz na wspaniałe, spełnione życie.*  
*Ściskam*

*Mama*

– A więc to szalone życie jest dla mamy? – zapytał Hollis, patrząc jej w oczy.

– Tak. A właściwie nie. To znaczy kocham je. Kocham podróże i zwiedzanie świata. Mam bogate, wspaniałe życie – żyję na walizkach, mieszkam w hotelach całego świata. Kto by tak nie chciał?

– Ja bym nie chciał.

– Nie?

– Mam to za sobą. I już tego nie chcę, nie.

Przyglądała mu się w zadumie.

– Więc czego chcesz?

Wzruszył ramionami.

– Prosty rzeczy. Małego miasteczka. Przytulnego domu. Płotu z białych sztachet. Dwójki dzieci, może jeszcze jednego psa. Letnich wakacji w Nantucket. Rodziny kolacji i przyjęć w ogrodzie. Chcę trenować ligę dziecięcą, widzieć biegające wkoło dzieciaki... Wiele więcej mi nie potrzeba. – Przerwał. – Pewnie to dla ciebie nuda. – Wepchnął sobie do ust krakersa z serem.

– Prawdę mówiąc, brzmi doskonale.

Lustrował jej twarz, wyczytując z niej to, czego nie mówiła. Nikt inny nie zadawał sobie takiego trudu.

– Tak?

Westchnęła.

– Tak szczerze, zmęczyła mnie trochę ta ciągła włóczęga. Ale zostało jeszcze do zobaczenia tak wiele krajów.

– Czujesz, że musisz tak dalej?

– No... tak. Czytałeś list.

– Ja czytałem. A ty?

Zmarszczyła czoło.

– Hollis, ja znam go na pamięć. To wszystko, co mi po niej zostało.

– Zgoda, ale nie powiedziała, że musisz podążać za jej marzeniami. Tylko za własnymi.

Emily spojrzała na list, słowa błyskawicznie przesuwały się przed oczami.

*O to się dla Ciebie modłę. O dzikie przygody. Szalone przeżycia. Wielkie marzenia. Gdy chwycą Cię za serce... podążaj za nimi.*

– Chciała tego dla mnie. Wspaniałego życia wypełnionego przygodami.

– Ale nie sprecyzowała, co rozumie przez to wspaniałe i pełne przygód życie. Musisz zdecydować o tym sama.

Pokręciła głową.

– Nie, chciała, żebym podróżowała, zwiedzała świat.

– To ona chciała podróżować i zwiedzać świat. Nie możesz być związana marzeniem, które od początku nie było twoje.

– Było. To jest moje marzenie. – Narastała w niej nieznana dotąd panika. Dlaczego ta jego uwaga wzbudzała w niej takie emocje? Dlaczego miała aż takie znaczenie?

Zmroziło ją.

Ponieważ jeśli to, co mówi Hollis, jest prawdą, błędnie interpretowała słowa matki. A jeśli jej interpretacja była błędna, to wszystko zmienia – każdą rzecz w jej życiu.

Funkcjonowała wedle nakreślonych w listach reguł. Za wszelką cenę starała się zamienić

w kobietę, którą chciałyby widzieć w niej matka.

Czyżby wszystko rozumiała na opak?

– Emily. – Wzięła ją za rękę. – Nie ma nic złego w prostym życiu.

– Nie. Nie tego chcę.

– Widziałem cię, Em. Nie tylko dziś, ale i na przesłuchaniach, z tamtą dziewczynką...

Cofnęła rękę i przyciągnęła kolana pod brodę. Tamta mała dziewczynka, Marta, była jedną z pięciorga dzieci, które udało się jej odwieść od rezygnacji z udziału w przesłuchaniach. Za każdym razem, kiedy łąpała kontakt z dzieckiem, kiedy widziała, jak ono stawia czoło swoim lękom, rozpierała ją duma, tak jakby miała swój udział w tym małym zwycięstwie.

Nie zwierzała się nikomu, jakie wywoływało to w niej uczucia. Skąd Hollis wiedział?

– Jak natychmiast pospieszyłaś jej z pomocą, jak szybko ją uspokoiłaś... jak od razu dogadałaś się z Jolie... – Hollis przyglądał się jej przez chwilę. – Emily, ty masz dar...

Machnęła ręką, odpychając od siebie zarazem myśl o Colinie, zadowolona, że Hollis nie może dołączyć go do swojego arsenału dowodów.

– Dar to masz ty, pod postacią swojej prawej ręki. A to jest tylko... – Czym? Czym to jest? Bo z pewnością nie żadnym darem.

– Możesz sobie to bagatelizować, ile dusza zapagnie, Em, ale nie każdy potrafi zrobić to, co ty. Ja na pewno bym nie umiał. – Zwinął w kulkę opakowanie po kanapce i włożył je z powrotem do torby. – Masz prawo do własnych marzeń. Nie sądzisz, że właśnie tego chciałyby dla ciebie twoja mama?

Czy rzeczywiście? Nie wiedziała. Po raz pierwszy zwątpiła, czy naprawdę zna życzenia matki, życzenia, które z początku były dla niej jasne jak słońce. I to się jej nie spodobało.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że dzisiejsza próba sprawiła jej ogromną przyjemność. Robiło się jej ciepło na sercu na myśl o pomaganiu dzieciakom w wydobywaniu ich kreatywności, zapewnieniu im bezpiecznej przestrzeni do porażek w chwale, bez oceniania, takiej, jaką zapewniono jej samej wiele lat temu. Już sobie wyobraziła wywoływanie młodziutkich aktorów przed kurtynę, działanie pospektaklowej adrenaliny, która da im moc i przyniesie wielką radość w najczystszej postaci. Chciała, by doświadczyło jej każde z dzieci.

Przez chwilę rozważała nawet pomysł przyszlórocznego przedstawienia, przedsięwzięcia, w które z całą pewnością nie będzie zaangażowana, ale mimo wszystko...

I ta myśl w jakiś tajemniczy sposób zepchnęła na daleki plan wszystkie niepowodzenia z przeszłości, jakby tak bardzo już się nie liczyły.

– O czym myślisz? – zapytał.

Emily odwróciła wzrok. Przecież mu tego nie powie. Nie może przyznać, że Hollis być może ma rację.

Nieważne, że jego słowa przemówiły do najgłębszych zakamarków jej duszy. Że marzenie o prostocie coś w niej poruszyło. Opisał życie, którego zawsze pragnęła i nigdy nie miała. I nigdy mieć nie będzie.

Rozważanie choćby przez chwilę, że może, może jednak, jej życie na tej planecie ma jakiś cel – cel, który sprowadza się do czegoś więcej niż fruwanie z miejsca na miejsce i korzystanie z niewyczerpanych zasobów funduszu powierniczego... Nie umiała wyrazić, co na myśl o tym działało się w jej wnętrzościach.

A jeśli została stworzona do czegoś więcej? Emily, ta niechciana przez ojca dziewczyna? Która nawaliła więcej razy, niż potrafiła zliczyć? Która nie dopuszczała do siebie nikogo, ponieważ musiała strzec swojego serca?

Czy ta dziewczyna mogła mieć coś do zaoferowania?

Rozpaczliwie chciała w to wierzyć, ale jeżeli uwierzy, wystawi się na większe cierpienie niż te, których dotąd zaznała.

Nie była małomiasteczkową dziewczyną, która zadowoli się płotem z białych sztachet. Trawiło ją pragnienie podróży – było tak od zawsze, a te kilka słów z ust przystojnego bejsbolisty niczego nie zmieni.

Bez względu na to, jak bardzo by chciała, żeby było inaczej.

– Muszę już iść. – Owszem, wyskoczyła z tym dość zniecka, ale potrzebowała gładko się ewakuować.

Przyglądał się, jak zbiera śmieci i wciska je z powrotem do papierowej torby.

– Zdenerwowałem cię?

Czy aż tak rzucało się to w oczy? Sądziła, że jest lepszą aktorką.

– Nie, oczywiście, że nie. Po prostu przypominałam sobie o babci. Wypadałoby z nią porozmawiać i to raczej prędzej niż później.

*Kłamczucha. Okropna kłamczucha.*

– No dobrze. Czyli o scenografii pogadamy jutro?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie wiem, czy jesteś gotów na moje pomysły.

Jęknął, ale widziała, że żartuje. Ruszyli w stronę ścieżki prowadzącej do domów nad oceanem.

– Wyobraź sobie gigantyczne drzewo z wychodzącą spomiędzy gałęzi zjeżdżalnią i huśtawką.

We wszelkich możliwych kolorach.

Przystanął.

– Czy to taki fortel, by odsunąć mnie od remontu domu?

Wzruszyła ramionami.

– A skuteczny?

– Możliwe. Nigdy dotąd nie budowałem drzewa.

– Będzie z tym mnóstwo frajdy.

– Skoro ty jesteś w to zaangażowana, to nie mam żadnych wątpliwości.

Komplement utorował sobie drogę do jej serca, przebiwszy się przez zewnętrzną skorupę, zostawiając ją (zresztą nie po raz pierwszy od przyjazdu na wyspę) na pastwę zmartwienia, że tam, gdzie Hollis McGuire, tam jej stanowczość i determinacja wydają się pieśnią przeszłości.



## Rozdział 37

Dni płynęły. W pewnym momencie Hollis zdał sobie sprawę, że wcale nie tęskni za baseballlem aż tak bardzo jak kiedyś. W trakcie prób pracował w warsztacie przy budowie dekoracji, zerkając ukradkiem na Emily, ona zaś weszła w rolę, do której wydawała się stworzona.

Wolne dni spędzali teraz na plaży z Jolie albo na pracy nad scenografią, w której towarzyszył im skromny zespół ochotników. Raz czy dwa nawet Jack zaoferował się do pomocy.

A Emily najwyraźniej coraz lepiej czuła się w towarzystwie rodziny Hollisa, spędzając więcej wieczorów z nimi przy stole niż w swoim dużym pustym domu.

Hollisowi nad wyraz to odpowiadało.

Do czwartego lipca remont domu bardzo posunął się do przodu pod czujnym okiem Hollisa. Wciąż nie ufał w pełni Jackowi, choć nie potrafił sprecyzować dlaczego.

W Dzień Niepodległości cała rodzina, łącznie z Emily, miała czas wypełniony po brzegi. Skakali z jednego wydarzenia na drugie. Parada, wyścigi w workach na plaży Children's, gotowanie homara w ogrodzie McGuire'ów, a później pokaz sztucznych ogni – tak piękny, że Hollis żałował, że brak mu odwagi, by powiedzieć Emily, co czuje.

Od kilku tygodni niemal co wieczór zastawał ją na plaży tuż po zachodzie słońca. Czasami rozmawiali. Innym razem siedzieli w milczeniu. Było mu właściwie wszystko jedno, co robią, byleby być obok niej. Te wieczorne spotkania stały się czymś w rodzaju rytuału – który uwielbiał coraz bardziej.

Doszło do tego, że praktycznie się od niego uzależnił, ponieważ ten wspólny czas pomagał mu zrelaksować się przed snem – a może po prostu lubił zasypiać ze świeżym wspomnieniem jej śmiechu.

Pytała go, jak się żyje w zawodowej lidze baseballu, i nawet ośmieliła się poruszyć temat propozycji objęcia przez niego funkcji komentatora rozgrywek, wcześniej bardzo dla niego bolesny.

Od kiedy wspomniała o tym po raz pierwszy, odbył już kilka rozmów z nadawcami i choć nie powiedział o tym Emily, za kilka tygodni miał umówioną rozmowę w tej sprawie.

Może mógłby robić coś więcej niż być tylko zawodowym bejsbolistą, który zakończył karierę sportową. Tak samo jak Emily mogłaby być kimś więcej niż dziecięcą gwiazdą telewizyjną, której dorosła kariera nie potoczyła się zgodnie z jej planami.

Dopiero teraz uświadomił sobie to podobieństwo życiorysów.

Ich rozmowy zawsze okrężną drogą docierały do tematu przedstawienia – czyli tego, o czym ona uwielbiała opowiadać, a on uwielbiał słuchać. Ożywiała się, mówiąc o dzieciach, sypała pomysłami. I o ile jej bujna wyobraźnia przysparzała ekipie scenograficznej mnóstwa pracy, zupełnie się tym nie przejmował. Mógł spędzać czas z Jolie, z Emily, mieć swój wkład w zrozumieniu przez nią, że jej życiowym powołaniem jest robienie dokładnie tego, co robiła, że jest do tego stworzona.

Czasem zastanawiał się, czy już to pojęła – a jeżeli nie, ile trzeba czasu, by dotarło to do jej upartej głowy?

Zaledwie tydzień przed premierą *Alicji* obudził się z nową listą zadań. Miał spotkać się rano z Emily i omówić z nią garść pomysłów scenograficznych z ostatniej chwili. Szybko się pozbierał i ruszył przez trawnik do jej domu.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc pozwolił sobie wejść. Nim zdążył zawołać Emily, usłyszał toczącą się gdzieś w głębi domu rozmowę.

Przez kilka sekund nasłuchiwał z progu, rozpoznając napięte głosy Jacka i Elizy dobiegające z salonu.

Powinien wyjść. Albo jakoś oznajmić swoją obecność. Ile rozmów będzie mu jeszcze dane podsłuchać?

Ciekawość wzięła górę. Będzie musiał za to później odpokutować.

– Przykro mi, że tego nie pochwalasz, ale to Emily wynajęła mnie do tej pracy i zamierzam doprowadzić remont do końca – mówił Jack.

– Emily może się wydawać, że ona tu rządzi, Jack, ale oboje wiemy, czyje nazwisko widnieje na akcie własności domu – odparowała Eliza.

– Powiedziała, że zgodnie z wolą Alana to na niej spoczywa decyzja, co zrobić z domem. – Jack

mówił o Alanie Ackermanie w taki sposób, jakby go znał. Wypowiedział jego imię z pewną poufałością.

– Co ty tu w ogóle robisz? – pytała Eliza.

– Alan chciał, żebym przyjechał, Elizo – padła odpowiedź.

– To kłamstwo.

Hollis baczniej nadstawił ucha. Był podejrzliwy wobec Jacka od samego początku, ale dotyczyło to wyłącznie jego zamiarów w stosunku do Emily. Co łączyło Jacka Walkera z jej dziadkiem?

Wsadził głowę do przedpokoju i spostrzegł Jacka ścierającego się z Elizą w sposób, na który poważiliby się tylko najodważniejsi. Musiał to docenić.

– Nie ma powodu, żebyśmy byli wrogami – powiedział Jack.

– Cóż, przyjaciółmi z pewnością nie jesteśmy.

– A może moglibyśmy być. Nie uważasz, że tak by wolala? – Jack sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął coś, co wyglądało jak złożona na pół fotografia.

Eliza zeszywniała.

– Co to jest?

– Popatrz.

Posłała mu wściekłe spojrzenie. Cokolwiek łączyło tych dwoje, nie była to przyjazna relacja. Babcia Emily powoli rozprostowała zdjęcie. Jeden rzut oka wystarczył, by pobladła.

– Skąd to masz?

Odebrał fotografię z jej rąk i schował ją z powrotem do kieszeni.

– Znalazłem na górze.

Czy właśnie na to patrzył tamtego dnia, gdy Hollis przyłapał go na myszkowaniu?

– Nie miałeś prawa.

– Może i nie, ale Emily je ma. – Jack nie ustępował.

– Nie możesz jej tego pokazać. Pomyśl o jej reakcji.

– Wybacz, Elizo, mam sporo pracy.

Hollisowi opadły ramiona. Nie bardzo wiedział, co się święci, dręczyło go jednak przecucie, że Emily znów przeżyje bolesne rozczarowanie.

I to akurat wtedy, gdy zaczynał dopuszczać do siebie fakt, że może mimo wszystko Jack nie jest takim złym człowiekiem, jak początkowo się obawiał.

Jack wypadł z salonu jak burza – na szczęście nie w jego kierunku – zostawiając oniemiałą Elizę ze strapionym wyrazem twarzy.

W drzwiach frontowych pojawiła się Emily z pudełkiem pączków z Wicked Island Bakery i czterema kubkami kawy na wynos.

– Hollis?

Obejrzał się. Błyskawicznie poczuł na sobie wzrok Elizy. *Przyłapała mnie.*

– Hej, Emily – powiedział.

– Co robisz?

– Czekam na ciebie – odparł z wymuszonym uśmiechem.

Eliza weszła do przedpokoju z niezbyt zadowoloną miną.

– Dzień dobry, babciu.

– Dzień dobry. – Po czym ze ściągniętą twarzą zwróciła się do Hollisa. – Panie McGuire, widzę, że zaginał zwyczaj pukania przed wejściem do cudzego domu.

Hollis wbił wzrok w podłogę.

– Babciu, przyniosłam ci kawę. – Emily zaprezentowała tackę z napojami. – Tamten kubek jest twój. – Wskazała ruchem głowy na kubek z imieniem Elizy.

– Piłam już kawę – oznajmiła babcia. – Ale dziękuję. Panie McGuire, mogłabym zamienić z panem słowo w kuchni? Czy raczej w miejscu, gdzie kiedyś była kuchnia?

Emily przyglądała się babci przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego chcesz rozmawiać z Hollisem?

– Nie bądź wścibska, moja droga... – Eliza oddaliła się w stronę kuchni, zostawiając Hollisa pod czujnym spojrzeniem wnuczki.

– O co chodzi? – szepnęła Emily.

– Nie mam pojęcia. Ale lepiej do niej pójść.

Emily zrobiła zdziwioną minę.

– Zaniosę kawę Jackowi i wrócę ci na ratunek.

Uśmiechnął się. Jest gotów odbyć nawet i milion rozmów z Elizą Ackerman, jeśli nagrodą będzie ratunek z rąk Emily.

Eliza stała w rozsuwanych drzwiach, spoglądając na zewnątrz. Miała proste plecy, skrzyżowane na piersi ramiona i nie odwróciła się na odgłos jego kroków.

– Niegrzecznie podsłuchiwać cudze rozmowy – wypomniła.

– Dopiero wszedłem, pani Ackerman.

Czy to kłamstwo? Rozmowa toczyła się szybko, a stał tam najwyżej minutę.

– Co pan usłyszał?

– Niewiele...

– Jak Jack mi groził?

– Nie ufam mu, proszę pani.

– Czyli jest nas już dwoje. – Dopiero teraz się do niego odwróciła, jakby znalazła w nim sojusznika. Ogarnęło go zdenerwowanie. – Że też Emily musiała wynająć akurat jego – mruknęła.

– Skąd pani go zna?

Omiotła go spojrzeniem i machnęła ręką, jakby postanowiła trzymać swego sojusznika na bezpieczny dystans.

– Kiedyś się tu kręcił. Pewnego lata między nim a Alanem doszło do sprzeczki w klubie golfowym. Alan doprowadził do zwolnienia go z pracy – zresztą całkowicie słusznie. Nie pyskuje się do członków klubu, gdy jest się po prostu chłopakiem do noszenia kijów.

– Dawne dzieje – skwitował Hollis, zdając sobie sprawę po podsłuchanej rozmowie, że absolutnie tak nie jest. Chciał zapytać o fotografię. O to, dlaczego miałyby wytrącić Emily z równowagi i dlaczego Eliza nie chce, by wnuczka ją zobaczyła. Wtedy jednak zdradziłby się z tym, jak wiele usłyszał.

– Zechciałby pan wyświadczyć mi przysługę i nie wspominać o tym Emily? Chciałabym porozmawiać z nią o tym osobiście.

– Myślę, że Emily powinna wiedzieć o pani obawach wobec tego człowieka. Zwłaszcza jeśli należy go zmienić.

– To zmartwienie raczy pan pozostawić mnie. To sprawa rodzinna. – Jej uśmiech zdawał się wymuszony, niemniej wyraziła się jasno: nie należał do rodziny. – A skoro pan tu pracuje, może miałby pan oko na pana Walkera? – Eliza uniosła podkreślone ołówkiem brwi. – Gdyby zauważył pan coś niecodziennego, coś podejrzanego, mógłby pan mnie poinformować?

Dlaczego czuł się tak, jakby spiskował z Elizą przeciwko Emily? Dlaczego coś mu tu nie grało?

– Hollis? Gotowy do rozmowy o dekoracjach? – Emily weszła do kuchni, on zaś się zastanawiał, czy i ona podsłuchiwała. Eliza mówiła bardzo cicho, wątpił, by Emily mogła cokolwiek usłyszeć, ale z pewnością by go wypytywała.

I co by odpowiedział? Nie okłamałby jej. Nie zrobiłby tego.

Miał jednak przecucie, że zanim zaalarmuje Emily, powinien dowiedzieć się na własną rękę, kim naprawdę jest Jack i co tutaj robi. Bez względu na to, ile razy Eliza każe mu się nie wtrącać, nawet ona nie powstrzyma go przed zadawaniem pytań, skoro stawką jest zapewnienie Emily bezpieczeństwa.

Jedyny problem tkwił w tym, że coś mu podpowiadało, że jeśli zacznie kopać, dokopie się do czegoś, co nie spodoba mu się ani trochę.

## Rozdział 38

Emily obserwowała, jak babcia wymienia z Hollisem pełne napięcia spojrzenia przed kolejną wyprawą na poranne zakupy w towarzystwie wieloletniej przyjaciółki.

– O co jej chodziło? – zapytała, spodziewając się, że Hollis jej powie, jaka to babcia była arogancka.

On natomiast zaśmiał się półgębkiem, po czym lekceważąco machnął ręką.

– Pytała o ekipę, co robią i tak dalej.

Emily jęknęła.

– Uważa, że sobie z tym nie poradzę. Kontroluje mnie. Pewnie po to tu przyjechała.

Hollis błysnął uśmiechem.

– A czego oczekujesz? Przywykła do wydawania rozkazów.

Jack wystawił głowę z korytarza.

– Kolory farby do sypialni klepnięte, zgadza się?

Emily błyskawicznie się odwróciła.

– A, jesteś! Mam dla ciebie kawę.

Wcześniej poszła go poszukać, ale skończyło się na zostawieniu paczków szefowi ekipy, młodszemu mężczyźnie, imieniem Marcus.

Jack się zbliżył, wziął od niej kubek, wciągnął w nozdrza aromat kawy i wypił łyk.

– Skąd wiedziałaś, że tego mi dzisiaj potrzeba?

– Bo jestem taka domyślna – odrzekła z szelmowskim uśmiechem.

Odwróciwszy się do Hollisa, zauważyła mars na jego czole. Taką solidnie nachmurzoną minę. Czy z dnia na dzień wszyscy powariowali?

– No nie! Skąd ta mina?

Hollis poruszył się nerwowo, zmieniając wyraz twarzy.

– A dla mnie nie ma kawy?

Przechyliła na bok głowę i napawała wzrok. Tego dnia wyglądał fantastycznie w dżinsach, traperach i niebieskiej podkoszulce z flagą Kolorado.

– Czujesz się pominięty? – droczyła się. – Oczywiście, że mam dla ciebie kawę. – Podała mu kubek. Biorąc go do ręki, musnął jej palce, przygotowując ją tym o dreszcz.

*Błagam – pomyślała. Weź się w garść. Zachowujesz się jak jedna z tych idiotek, które żyją dla spojrzenia, słowa albo dotyku jakiegoś przystojniaka. Emily Ackerman, ty taka nie jesteś.*

Chociaż... czego by nie dała za spojrzenie, słowo albo kolejny dotyk Hollisa McGuire'a...

Niedobrze. Gdyby nie wygłosił tej mowy o pragnieniu prostego życia – z dziećmi, płotem ze sztachet i ligą dziecięcą – nie miałyby teraz problemu.

Ale ją wygłosił. I wiele innych w tym stylu. I przez to zamiast spać, fantazjowała o porzuceniu rozwagi.

Ponieważ – choć bardzo nie chciała się do tego przyznać – jego słowa przemówiły do najgłębszych zakamarków jej duszy. Skłoniły do myślenia – skądinąd kompletnie niepraktycznego – że może i ona pragnie takich rzeczy. A przecież nigdy ich nie chciała, nie za bardzo. A już na pewno nie tak boleśnie jak teraz.

– A paczek? – zapytał, wypiwszy łyk kawy.

Pacnęła go w ramię.

– Jesteś nieznośny.

Ich zażyłość się rozwinęła. Pod pewnymi względami było tak jak dawniej. Ale od czasu do czasu przyłapywała go na spojrzeniu – podczas prób, gdy pracował nad dekoracjami albo na plaży w trakcie ich wieczornych pogawędek – i już nic nie było takie jak kiedyś.

Tylko nowe, świeże, ekscytujące.

A także przerażające.

Spędziła z Hollisem, Jolie i resztą jego rodziny większą część wakacji i coraz bardziej czuła, że należy do ich świata.

Czasem zdumiewała ją ta głębia odczuć. Uwielbiała ich. Nie tylko Hollisa, ich wszystkich. Jak teraz wyjechać z Nantucket? Teraz, gdy poznała to uczucie, ból rozstania złamie jej serce. Uśmiechnął się.

– Wydajesz się zagubiona.

Odepchnęła od siebie te myśli i spojrzała mu w oczy, zawsze głębokie, zawsze przyjazne i całkowicie skupione na niej.

– Nie – zaprzeczyła. – Ani trochę.



Minęło czterdzieści osiem godzin od nieprzyjemnej rozmowy Hollisa z Elizą. Przez większość tego czasu unikał tematu, ciesząc się, że Emily najwyraźniej całkiem zapomniała o tamtej niezręcznej wymianie zdań. Miała inne rzeczy na głowie, a mianowicie: przedstawienie.

Starał się spędzać w teatrze jak najwięcej czasu i był pewien w dziewięćdziesięciu pięciu procentach, że zakochał się w Emily po uszy.

Czyli zrobił coś dokładnie odwrotnego do tego, co obiecał JoJo.

Do tej pory udawało mu się dobrze ukrywać uczucie, lecz z każdym dniem stawało się to trudniejsze.

Dwukrotnie podczas próby o mało się nie skaleczył przy pracy nad scenografią (raz piłą tarczową, a drugi raz gwoździarką), ponieważ rozproszył go jakiś gest Emily.

A może rozproszyła go po prostu sama Emily. Jej włosy. Jej oczy. Jej uśmiech. Jej łatwość zjednywania sobie ludzi. Zawsze rozkwitała, znajdując się w centrum uwagi, a gdy widziała, jak Igną do niej dzieciaki... no cóż, trudno nie dać się całkowicie zauroczyć.

Czy wreszcie przejrzała na oczy? Miała wrodzony dar. Sposób, w jaki witała dzieci, pilnowała, by nikt nie jadł lunchu w samotności, nawet to, jak towarzyszyła im podczas posiłków, wysłuchując ich szalonych opowieści i odpowiadając na wszystkie pytania na temat Broadwayu, aktorstwa i podróży po świecie.

Czy o tym wiedziała, czy nie, nie tylko on zakochał się w niej na zabój.

A gdyby miał zgadywać, ona też dałaby się za te dzieciaki pokroić.

Wszedł z Jolie do sali prób. Córka od razu dołączyła do grupy dziewczynek mniej więcej w jej wieku. Mocno zaprzyjaźniła się z Alyssą, która grała Gąsienicę, i od pierwszych prób stały się niemal nierozłączne. Właśnie o to się modlił: żeby jego córka odnalazła tu swoje miejsce, żeby zakochała się w Nantucket. Gdyby tak się stało, może nawet uświadomiłaby sobie, że jego też troszkę kocha.

– Hollis!

Odwrócił się w stronę głosu i zobaczył, jak Emily spieszy ku niemu w panice.

– Co się stało?

– Zapomniałam zabrać z domu scenariusza, a teraz nie mogę stąd wyjść. Musimy zaczynać, a tam mam wszystkie notatki.

– Przywiozę. Tylko powiedz, gdzie go znajdę.

– Niebieski segregator w moim pokoju. – Zacięła się przy ostatnich słowach. – W pokoju gościnnym. Tym na samym końcu.

Sypiała w pokoju gościnnym?

– Pewnie leży w kącie na biurku albo na łóżku.

– Dobra. Poradzisz sobie bez niego na początku?

– Tak. Mamy do zrobienia kilka rzeczy, zanim przystąpimy do właściwej próby, poza tym mogę trochę poimprowizować.

– Pospieszę się – zapewnił, idąc do drzwi.

– Hollis? – zawołała za nim.

Odwrócił się.

– Dziękuję.

Tę minę mówiącą: „jesteś moim zbawcą” wsadzi sobie do kieszeni i zachowa na deszczowy dzień. To poczucie, że spieszy jej z pomocą, robi dla niej najdrobniejszą nawet rzecz, byle tylko poprawić jej samopoczucie... tak, przepadł z kretesem.

Pognał na parking, wskoczył do jeepa i ruszył do domu Emily. Po przybyciu na miejsce zastał ekipę rozproszoną po całym ogrodzie.

Wszedł na ganek i otworzył frontowe drzwi, nie zwracając sobie głowy pukaniem, ponieważ samochód Elizy zniknął, a nikt inny nie będzie na niego zważał. Udał się prosto na górę, i dalej korytarzem, po czym pchnął drzwi pokoju gościnnego.

Natychmiast uderzył go charakterystyczny zapach – wanilii zmieszanej z czymś jeszcze. Może z kokosem? Wdychał go tak wiele razy, że rozpoznał go od razu. Nie potrafił sprecyzować, kiedy to się stało – kiedy przekroczył bezpieczną granicę przyjaźni i pozwolił sobie na inne myślenie o Emily. Jakby w ogóle nie był świadom, że to się dzieje. Albo po prostu nie dopuszczał do siebie tej świadomości. Ponieważ był prawie pewien, że wszystko zaczęło się wtedy, kiedy wydawało mu się, że widzi ją wysiadającą z promu. Tamtego pierwszego dnia.

Stał teraz w jej sypialni i zamiast skupić się na tym, po co go tu posłała, próbował sobie wyobrazić, jak spędza tu noc. Czy śpi przykryta, czy wystawia spod kołdry jedną nogę? Czy zaciąga zasłony, czy wpuszcza do pokoju księżycowy blask? Czy czuje się samotna albo smutna, a może ma trudności z zaśnięciem?

Chciał wiedzieć – o wszystkim.

– Hollis?

Odwrócił się i ujrzał stojącego w progu Jacka.

– Potrzebujesz czegoś?

Sposób, w jaki Jack zadał to pytanie, jak gdyby to on był tu osobą, która może udzielić pomocy, zaniepokoił Hollisa.

– Yyy, nie. Emily czegoś potrzebuje.

Hollis spuścił wzrok i dostrzegł niebieski segregator rzucony na niepościelone łóżko. Segregator, który mógł po prostu zabrać i wyjść, a nie zwlekać i kontemplować wygląd i zapach pokoju.

Podniósł go z łóżka.

– Pytam na wszelki wypadek – wyjaśnił Jack. – Masz chwilę? Pomyślałem, że pokażę ci, jak postępują prace w ogrodzie. Coś mi mówi, że nie zechce sprzedać domu po skończeniu remontu.

Hollis nie miał aż takich nadziei. Był przekonany, że nic nie zmieni jej postanowienia.

– Pewnie – powiedział, choć w gruncie rzeczy nie miał ani minuty. Emily go potrzebowała.

Z drugiej strony mogła to być okazja, na którą czekał. Zszedł za Jackiem po schodach i znaleźli się w ogrodzie za domem. Tak jak się spodziewał, ekipa spisała się na medal. Wyłożone kamieniem ogrodowym patio było tylko jedną z niezliczonych zmian w ogrodzie. Dosadzili kępy kolorowych kwiatów i krzewów, ustawili ogromne donice z roślinami, które prawdopodobnie zakwitną w późniejszych tygodniach lata. Przycięli drzewa, wypielili chwasty, wyściółkowali ziemię – zasadniczo przywrócili ogrodowi atrakcyjny wygląd.

Nawet Gladys Middlebury pochwaliłaby efekt końcowy.

– Myślisz, że się jej spodoba? – zapytał Jack. Hollis poświęcił chwilę na przyjrzenie się mu z profilu. Kształt nosa, wydatne kości policzkowe, nawet odcień cery były niesłychanie podobne – dlaczego dotychczas tego nie zauważył? Podobieństwo nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Jack patrzył na niego wyczekująco. Dopiero wtedy Hollis sobie uzmysłowił, że nie odpowiedział na pytanie.

– Tak. Myślę, że będzie zachwycona. Zrobiliście fantastyczną robotę.

– Dzięki za pomoc.

– Co robiłeś wtedy w pokoju Isabelle? – zapytał Hollis.

Jack ponownie omiatał wzrokiem ogród.

– Słyszałem, jak w zeszłym tygodniu rozmawiałeś z Elizą. Nie lubi cię. Dlaczego?

– To długa historia – odpowiedział Jack, zwracając twarz do Hollisa.

– Zamierzasz opowiedzieć ją Emily? Nie uważasz, że zasługuje na prawdę?

– Na jaką prawdę?

– O tym, kim jesteś – odparł Hollis.

Jack odwrócił oczy.

– Od początku próbowałem rozgryźć twoją grę.

– Moją grę?

– Tak. Coś mi się ciągle nie zgadzało. Aż trudno uwierzyć, że nie zauważyłem tego wcześniej. Że Eliza nie może znieść twojej obecności, że wydajesz się znać rodzinę lepiej niż chłopak, który nosił kiedyś Alanowi kije golfowe, że Emily jest do ciebie podobna... tam, gdzie nie jest podobna do swojej mamy. Przez cały czas miałem to wszystko jak na dłoni.

Jack przetarł ręką twarz, szczecina na nieogolonej brodzie drapała w skórę.

– Zamierzam jej powiedzieć. Tylko... nie wiem, jak zareaguje.

Hollis czuł, jak żołądek zamienia mu się w twardego kamień.

– Och, nie wiesz, jak zareaguje na spotkanie z ojcem, który jej nie chciał? A wiesz, że mama zostawiła jej list, w którym w zasadzie ostrzega ją, by nigdy się nie zakochała, a wszystko dlatego, że to ty złamałeś jej serce?

Jack westchnął.

– Nie rozumiesz całej sytuacji.

– Mam córkę – rzekł Hollis. – Rozumiem.

Żał mocno ścisnął go w dołku. Miał córkę, którą w gruncie rzeczy opuścił – czy ma w ogóle prawo wygłaszać kazania człowiekowi, który popełnił taki sam błąd?

– Wobec tego wiesz, jakie to ważne, by wybrać najwłaściwszy sposób – powiedział Jack. – Przyjechałem tu, ponieważ Alan mnie o to prosił. I ponieważ wreszcie poczułem, że mogę to zrobić.

– O czym ty mówisz?

– Tato Isabelle wysłał mi list. A w zasadzie jego prawnik, już po śmierci Alana. Napisał, że zostawia jej w spadku dom i żebym miał się na baczności, ponieważ on wie, że ona tu wróci.

– Dlaczego to zrobił?

– To nieistotne – odparł Jack. – Grunt, że zrobił. A ja czekałem i byłem czujny, aż wreszcie doszły mnie słuchy, że wróciła. To moja jedyna szansa na poznanie własnej córki. Wiesz, jak długo na to czekałem?

Hollis pokręcił głową.

– To nie fair wobec Emily.

– Hollis, proszę cię. – Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął złożoną na pół fotografię. – Szalałem za Isabelle. Oboje za sobą szaleliśmy. – Podał mu zdjęcie. Hollis je rozprostował. Z fotografii patrzyli na niego rodzice Emily, młodszy, o oczach skrzących się śmiechem. – Widziałem ją tamtej nocy... kiedy doszło do wypadku. Po raz pierwszy od lat. To jeden z tych wariackich zbiegów okoliczności – wcześniej nie wracałem na wyspę. Byłem kilka miesięcy po rozwodzie i sam nie wiem... może w głębi duszy liczyłem na to, że ją tam spotkam. Zobaczyłem ją, jak na ironię, w Chicken Box. Wszedłem do środka, a ona tam stała. Wyglądała tak samo jak dawniej. Jakby zatrzymał się czas.

Hollis znał to uczucie. Przeżył to samo na nabrzeżu promowym tamtego dnia, gdy wróciła Emily.

– Spoliczkowała mnie. – Jack się roześmiał. – Uderzyła mnie z całej siły.

Hollis nic nie powiedział, ale serce biło mu jak szalone, pewnie tak samo jak serce rozgorączkowanej Emily. Musiał wracać do ośrodka kultury, ale jak mógłby wyjść akurat teraz? Kiedy Jack wreszcie dawał odpowiedzi?

– Kiedy się uspokoiła, wszystko jej wyjaśniłem. Powiedziałem, że w końcu stanąłem na nogi. – Westchnął. – I że nigdy nie przestałem jej kochać. Po wielu tłumaczeniach jakimś cudem zgodziła się spróbować od nowa. – Jack przeczesał dłonią włosy.

Hollisowi zaschło w gardle.

– Zginęła w drodze do mnie.

– Jack, ogromnie mi przykro. Bardzo ci współczuję, ale tak naprawdę martwię się tylko o Emily. I trudno mi uwierzyć, że jej mama w jakiś cudowny sposób wybaczyła ci, że zostawiłeś ją na lodzie.

– Nie znasz całej historii. Zamierzam opowiedzieć ją Emily, ale potrzebuję jeszcze trochę czasu.  
– Złamiesz jej serce.  
– Myślisz, że tego nie wiem? Jak sądzisz, dlaczego tak długo z tym zwlekam? – Wziął od Hollisa zdjęcie, starannie je złożył i wsunął do kieszeni.  
– Zawałem sprawę – powiedział Jack.  
– Zmarnowałeś szansę. Ona jest najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam, a ty dałeś nogę. Dlaczego? Co może cię usprawiedliwić?  
Jack utkwiał wzrok w Hollisie.  
– Ty ją kochasz.  
Hollis umknął spojrzeniem.  
– To znaczy... jak można jej nie kochać? Ma w sobie tyle życia, tak samo jak Isabelle. Jej energia jest zaraźliwa. Rozumiesz, dlaczego trzymam język za zębami – gdyby się na mnie wściekła, mogłaby zniknąć z mojego życia na zawsze.  
– Dlaczego właśnie teraz? Po wszystkim, co przeszła... Dlaczego nie zjawilesz się lata temu, kiedy naprawdę cię potrzebowała?  
Jack wcisnął ręce do kieszeni.  
– Nie potrzebowała mnie. Nie wtedy. Zrobiłem to, co uważałem za najlepsze dla mojej córki.  
– A okłamywanie jej? Teraz też uważasz, że to jest dla niej najlepsze?  
– Nie kłamię, Hollis – powiedział Jack. I dodał z namysłem: – Po prostu próbuję znaleźć słowa.  
– Miałeś na to wiele tygodni.  
– Musisz pozwolić mi jej o tym powiedzieć. – Jack stanął przed nim w obronnej pozycji. – Proszę. Pokręcił głową. Czuł się wystarczająco źle z wrażeniem, że spiskuje z Elizą, ale jej prośba bladła w porównaniu z tym, o co prosił Jack. Nie mógłby okłamać Emily... nie zrobi tego.  
– Może nie najlepiej rozegrałem sytuację, ale musisz mi wierzyć, że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dlatego, że wierzyłem, że leży to w najlepszym interesie Emily.  
Hollis umknął spojrzeniem w bok.  
– Trudno mi ujrzyć to z takiej perspektywy.  
– Potrzebuję czasu. Proszę.  
Hollis westchnął.  
– To, o co mnie prosisz... oznacza, że za każdym razem, kiedy przy niej będę i zachowam milczenie, będę ją okłamywał. – Hollis rozmasował napięte mięśnie karku. – Jak możesz prosić mnie o coś takiego, znając moje uczucia wobec niej?  
– Nie wierzysz w to, wiem, ale nie jestem kanalią, za którą mnie masz. I chcę wszystko jej powiedzieć, muszę tylko obmyślić właściwy sposób. Proszę cię, Hollis, po to tu przyjechałem.  
– Nie będę w nieskończoność dochowywał tajemnicy – oznajmił Hollis. – Więc lepiej pospiesz się z tym obmyśleniem.  
– Jasne – odparł Jack.  
Na odchodne Hollis tynął na niego spode łba, następnie odwrócił się i wyszedł, gorzko żałując, że Emily zapomniała zabrać z domu scenariusza.



## Rozdział 39

Ponieważ do premiery zostało tylko kilka prób, Emily musiała dopiąć szczegóły. Generalnie ostateczny kształt spektaklu był całkiem niezły: muzyka, organizacja przestrzeni scenicznej i niemal cała choreografia były dopracowane. Pozostało jednak kilka rzeczy, które wymagały ostatnich szlifów, i ten dzień zamierzała im poświęcić.

Do jej reżyserskich zadań należało nie tylko przedstawienie wizji całego spektaklu (kostiumów, dekoracji, rekwizytów itd.), lecz również praca z dziećmi nad interpretacją scen.

Przed przesłuchaniami była przekonana, że temu nie podoła. Nawet teraz, siedząc na krześle i patrząc, jak dzieci wchodzi gęsiego do sali, nadal tak czuła, a przecież pracowała nad musicaliem od tygodni.

*Weź się w garść, Emily.* Przedstawienie było prawie gotowe – skąd znowu te nerwy?

Może stąd, że jedna ze scen sprawiała im trudność, zaś Emily wiedziała, że rozwiązanie problemu spoczywa na niej. Marisol musiała wyczuć jej wahanie podczas porannej zabawy dla rozluźnienia atmosfery, ponieważ podeszła do Emily:

– Co się dzieje?

– Nic – odparła z wymuszonym uśmiechem.

– Zieleniałaś.

– Chyba zacznę się denerwować. Premiera za dwa dni.

– Nie ma czym się denerwować – zapewniła wesoło Marisol. – Jesteśmy gotowi.

– Dzisiaj muszę skorygować jedną scenę: tę z Gąsienicą.

Asystentka jęknęła.

– Ona nie jest dobra.

– Wiem – odparła ze strapieniem Emily.

– Poprawisz ją. Jesteś mistrzynią cudów.

Emily nie była tego taka pewna.

– Poza tym jednym elementem przedstawienie jest zapięte na ostatni guzik.

Tak było. A mimo to zdarzały się chwile, kiedy Emily łąpała się na tym, że tylko czeka, aż wszystko się rozsypie niczym gigantyczna wieża z klocków. Czy nie zapomniała o czymś istotnym? Co przesądzi o losie tego przedsięwzięcia? A jeśli wszystkich rozczaruje?

– Wciąż nie czuję się jak reżyserka z prawdziwego zdarzenia – powiedziała. – Zawsze byłam aktorką.

Marisol położyła jej dłoń na ramieniu.

– Em, to są dzieci. Bez względu na wszystko, wiesz o wiele więcej niż one. Po prostu porozmawiaj z nimi tak, jakbyś chciała, żeby reżyserzy rozmawiali z tobą.

Emily pokiwała głową. Marisol ma rację. Jak dotąd nikt nie wie, że Emily jest pozerką.

– Od czego zaczynamy, pani Emily? – zapytała Alyssa Daniels. Miała potężny głos, ale zmagала się z aktorską stroną swojej roli. Emily dostrzegła ten problem również u kilkorga innych dzieci. Dobry głos mógł wystarczać do pewnego etapu, jeśli jednak przedstawienie miało być znakomite, trzeba nauczyć młodziutkich aktorów wcielania się w postać.

I czuła się na tym polu całkowicie niekompetentna. Ostatnim razem, kiedy próbowała pomóc aktorom „wejść w rolę”, została publicznie zmiażdżona.

Napominała samą siebie, że teraz jest inaczej. I, jak powiedziała Marisol, bez względu na wszystko, zna się lepiej na teatrze niż te dzieciaki. Nawet lepiej niż Bethany Thompkins, której matka na przesłuchaniu jasno dała do zrozumienia, że jej córka ma wybitny talent muzyczny i powinna być adekwatnie traktowana.

– Z pewnością będzie pani chciała obsadzić ją w roli Alicji – powiedziała pani Thompkins. – Córkę przyjęto do prestiżowego bostońskiego programu Małe Głosy, już od pięciu lat uczy się śpiewu pod okiem prywatnego nauczyciela. – Kobieta skinęła na koniec głową w taki sposób, jakby wydała właśnie dyrektywę.

Bethany miała jedenaście lat i rzeczywiście piękny głos. Gdyby wystawiali operę. Emily spędziła

z nią sporo czasu przy pianinie, próbując znaleźć sposób, by jej śpiew brzmiał bardziej współcześnie, jednak pięć lat prywatnej nauki wpoilo dziewczynie specyficzną manierę.

Pani Thompkins miała wiele uwag na temat roli Bethany w zespole i bynajmniej nie zachowywała ich dla siebie.

– Mama Bethany pewnie rozpowiada na lewo i prawo, że brak ci kwalifikacji i nie wiesz, co robisz. – Marisol parsknęła śmiechem, jakby to była najbardziej absurdalna rzecz pod słońcem, ale ta drwina zapiekła Emily do żywego, jątrząc ranę, która powstała dawno temu i nigdy się nie zblizniła.

Stała teraz przed dwiema dziewczynkami grającymi wiodące role, a jej pewność siebie spadała na łeb na szyję.

*Dam radę.*

Nigdy nie myślała, że to dawanie rady będzie obejmowało reżyserowanie grupy dzieci. Jak w ogóle do tego doszło?

*No dobrze. Dość tego.* Emily odchrząknęła.

– Okej, jedziemy z tą sceną.

Alyssa i jasnowłosa dziewczynka, Madison, która grała Alicję, stały przed nią ze scenopisami w dłoniach.

– Macie ołówki?

Pokazały świeżo naostrzone miękkie ołówki. Jedna z zasad Emily brzmiała: zjawiaj się na próbach w pełnej gotowości, z ołówkiem w ręku, i notuj wszystko, co musisz wiedzieć.

Może dla niektórych ta scena nie byłaby aż tak istotna, lecz jej zdaniem stanowiła wprowadzenie do piosenki *Zip-a-Dee-Doo-Dah*, która następowała tuż po niej. Emily nie widziała sensu w umieszczaniu źle zagranej albo nudnej, rozwleczonej sceny tuż przed takim wystrzałowym numerem. A zważywszy na to, co zademonstrowały do tej pory Alyssa i Madison, było jasne, że bez jej interwencji tak właśnie się to skończy.

– Alyso, wiesz kto to jest bitnik?

Dziewczyna zmarszczyła się i pokręciła głową.

Emily stanęła przed nią, przybrała odpowiednią pozę, po czym wyrecytowała kwestię niczym poetka z lat pięćdziesiątych, akompaniująca sobie na bongosach.

Alyssa się roześmiała.

– Gąsienica to najbardziej odlotowa postać w spektaklu.

Dziewczyna się rozpromieniła.

– Naprawdę?

– Ależ tak. Ma w sobie luz, jak ktoś, kto wie, że po prostu wymiata. Na wszystko reaguje: „Ogarniasz?” albo „Kumasz, o co mi biega?”. – Emily wypowiedziała to drugie pytanie, modulując głos.

Alyssa się uśmiechnęła.

– Mam mówić w taki sposób?

– Niezupełnie. Chcę, żebyś zagrała to po swojemu. Pomyśl o najbardziej odjazdowej osobie, jaką znasz.

Dziewczyna zaczęła coś mówić, lecz Emily przerwała jej uniesieniem ręki.

– Nie mów mi, kto to jest. Po prostu pomyśl o tej osobie. W jaki sposób mówi? Jak się porusza? Co sprawia, że jest taka super?

Dziewczyna zamknęła oczy, a później kiwnęła głową.

– A teraz spróbuj powtórzyć tę scenę i cały czas myśl o tej osobie. I zapamiętaj to jedno słowo: odjechana.

Alyssa spoważniała, ale znów skinęła głową, jakby chciała dać Emily do zrozumienia, że jest gotowa na to wyzwanie.

Już po kilkunastu sekundach Emily zauważyła różnicę. Zmianę, w którą by nie uwierzyła, gdyby nie zobaczyła jej na własne oczy. Nijaki, monotonny głos Alyssy zastąpiła wyrazistość, która idealnie pasowała do postaci Gąsienicy.

Gdy skończyły odgrywać scenę, Madison wyszczerzyła zęby do Alyssy.

– Poszło ci super!

Alyssa przeniosła wzrok na Emily.

– Było w porządku?

Emily miała w oczach niewytłumaczalne łzy.

Dziewczyna posmutniała.

– O nie, wyszło źle?

Emily pokręciła głową. Wyrwał się jej nerwowy śmiech.

– Ależ nie. Bardzo dobrze. Byłaś świetna, Alyso. – Rozpostarła ramiona, a dziewczyna padła jej w objęcia. – Tylko pamiętaj o tym następnym razem, dobrze?

– Wiadomka, pani E. – odparła dziewczynka głosem bitnika. – Kumam, o co biega.

Emily się roześmiała.

– Dobra robota. Powtórzmy jeszcze raz, żeby utrwaliło się wam w głowie.

Obserwowała, jak ta sama scena ożywa, jakby zasilono ją solidną dawką świeżej energii. Jakby jej ingerencja przyniosła wielką zmianę. Złapały, w czym rzecz. Alyssa złapała, w czym rzecz. Dzięki niej.

Emily przyglądała się im z niezaprzeczalną dumą na twarzy, a kiedy dziewczynki skończyły, nagrodziła je aplauzem.

– Ależ jestem z was dumna! Doskonała robota. A teraz poszukajcie pani Marisol, żeby popracować nad piosenką.

Dziewczynki wybiegły, ale po kilku sekundach Alyssa wpadła z powrotem do sali.

– Pani Emily?

– Tak?

– Dziękuję.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę.

– Nie, chciałam powiedzieć, że dziękuję za wyreżyserowanie przedstawienia.

– Nie ma za co – odparła Emily z uśmiechem.

– To moje najcudowniejsze lato na wyspie, a w dodatku dzięki temu musicalowi mam nową najlepszą przyjaciółkę. – Objęła Emily w pasie i ją uścisnęła.

– Może się okazać, że to także i moje najcudowniejsze lato na wyspie.

Dziewczyna podniosła wzrok, nie wypuszczając jej z objęć.

– Mam taką nadzieję.

## Rozdział 40

Po próbie Emily siedziała na środku sceny, malując element dekoracji w ciszy opustoszałej przestrzeni i pozwalając myślom błądzić. Zazwyczaj podczas tych roboczych sesji przewijało się tu sporo osób – rodzice, członkowie obsady, Marisol – tym jednak razem byli tam tylko we dwoje: ona i Hollis.

Zależało jej na perfekcyjnym wykończeniu wszystkiego, z najdrobniejszymi detalami scenografii włącznie, nawet gdyby wymagało to od niej własnoręcznego wykonania prac.

Ponieważ Jack wraz z ekipą zajmował się remontem domu, miała mnóstwo czasu na obmyślenie, jak przekuć przedstawienie w sukces – i na szczęście otaczali ją ludzie, którzy pomagali urzeczywistnić jej pomysły.

I może w tym tkwiła cała tajemnica. Może to był klucz do udanego spektaklu. Pierwszą próbę podjęła całkiem sama. Nie miała nikogo, z kim mogłaby skonfrontować swoje wizje. Nikogo, kto wskazałby inny kierunek albo podsunął alternatywne rozwiązania. Nikogo, kto pomógłby jej przekuć idee w rzeczywistość.

Może cały wic to polegać na innych.

A to zbyt dobrze jej nie wychodziło.

Była beznadziejnym przypadkiem Zosi Samosi. I co jej z tego przyszło? Starła się to zmienić.

Czy to dlatego poprosiła Marisol o pójście do biblioteki i sprawdzenie informacji na temat wypadku matki? Czy zrobiła to ze strachu, ponieważ obawiała się, czego się dowie?

Odkładała to od tygodni, lecz cały czas nie dawało jej spokoju. Za każdym razem, kiedy widziała babcię, miała chęć zasypania jej milionem pytań, które przepływały jej w myślach – coś jednak zawsze ją powstrzymywało.

Może lepiej pozostawić pewne sprawy w przeszłości. Nie odgrzebywać tajemnic.

A jednak... Nekrolog. Luki w relacji babci. Potwierdzenie z ust Shae Daniels, że do wypadku doszło na Cliff Road. Wszystko to rodziło więcej pytań, niż Emily potrafiła przerobić we własnej głowie.

I pomimo usilnych starań nie mogła się od nich uwolnić.

A jeśli Marisol wróci z informacją, której lepiej byłoby nie poznać? A jeśli mama wplątała się w jakieś zdżożne historie, zaś babcia starała się chronić jej dobre imię?

Nie. To nie w stylu Isabelle. Bardzo szybko dorosła. Z konieczności. Z powodu Emily. Nie była typem osoby, która narażałaby siebie albo córkę na niebezpieczeństwo.

Emily nie lubiła o tym myśleć, więc aż do tej pory nie myślała. Doskonale udawało się jej o tym zapomnieć. Dlaczego przeszłość zaczęła dręczyć ją właśnie teraz?

– Nad czym tak dumasz? – Hollis musiał wejść przez pracownię budowy dekoracji. Była tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała jego kroków. Usiadł obok niej. Ostatnio niemal zapuścił w teatrze korzenie. Miło było mieć go pod ręką. W jego obecności czuła się niezwykczona, jak gdyby wszystkie cechy, które jej przypisywał i w które wierzył, były prawdziwe.

I jakby mimo wszystko nie była kompletnie do niczego.

Trzymała w ręku pędzel umoczony w brązowej farbie, nakładając ją na płótno rozpięte na gęstej siatce, z której utworzyli gigantyczne drzewo. Użyli czegoś, co się nazywało „Dobry towar”, by uzyskać odpowiednią teksturę, a Emily pokrywała powierzchnię różnymi odcieniami brązu, co miało wzmocnić iluzję trójwymiarowości.

– Wydajesz się zamyślona – powiedział Hollis. – Zaczynam się przez to denerwować.

Uśmiechnęła się. Nie wspominała mu o tajemnicach otaczających śmierć matki. Nie mówiła o tym nikomu, ponieważ powiedzenie tego na głos sprawiłoby, że wszystko stałoby się prawdą, i choć nurtowała ją ciekawość, nie była pewna, czy jej serce zniosłoby kolejny cios.

Bo jeśli by odkryła coś, co zadałoby jej nowe rany?

– Uważasz, że lepiej poznać prawdę, nawet gdyby okazała się bolesna?

Hollis się zasepił.

– Co masz na myśli?

Początkowo się wahała, ale postanowiła opowiedzieć mu całą historię, nawet nie uciekając się

do głupawej zabawy z dzieciństwa. Zaczęła od komentarza Gladys o burzliwej relacji jej mamy z rodzicami. Mówiła o Cliff Road, Shae Daniels i kłamstwie babci.

– Jak myślisz, jaka jest prawda? – zapytał Hollis, gdy skończyła wyrzucać z siebie wszystko to, co dotychczas w sobie tłumiała.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Po prostu nie przestaję się zastanawiać, dlaczego babcia skłamała. Dlaczego powiedziała, że do wypadku doszło na ‘Sconset, skoro w rzeczywistości miał miejsce na Cliff Road? Kto mieszkał przy Cliff Road? Dokąd jechała tamtej nocy i dlaczego zabrała mnie ze sobą? Zamiast wrócić po mnie rano?

– Emily, jesteś pewna, że chcesz to rozgrzebywać?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie jestem. Dlatego spytałam, czy lepiej znać prawdę, nawet gdyby miała zboleć.

Hollis wziął ją za rękę.

– Nie wiem, jaką dać ci odpowiedź. Wiem za to, że zrobiłbym wszystko, żeby ochronić cię przed cierpieniem.

Zadrżało jej serce. Niczym motyl trzepoczący skrzydłami, tylko ogromny, zmodyfikowany genetycznie. Przez tyle lat była odporna na te dziewczynskie skłonności – czy takie uczucia towarzyszą zakochaniu?

Ta myśl ją zaskoczyła. Miłość? I to nie taka, którą darzy się przyjaciół i rodzinę, tylko romantyczna, w którą wpada się po uszy?

Dostrzegła na jego twarzy niepokój.

Tygodnie spędzone z Hollisem były najlepszym czasem w jej życiu, ale mieć kogoś, o kim się myśli, z kim trzeba się liczyć... czy była na to gotowa?

– Wydaje mi się, że wolałabym poznać prawdę – powiedziała. – Chcę wiedzieć, co wydarzyło się tamtej nocy, kiedy zginęła moja matka.

To jak pociągnięcie za wystającą nitkę bez wiedzy, kiedy spruje się cała reszta. Ale była gotowa. Musi wiedzieć.

Hollis długo na nią patrzył, nim zapytał:

– Jak mogę ci pomóc?

Spoglądała w te szczerze, dobre oczy i się uśmiechnęła.

– Na razie nie wiem, ale dam ci znać, kiedy coś wymyślę.

Kiwnął głową.

– Czy już ci mówiłem, jak bardzo się cieszę, że tu wróciłaś?

Uniosła brew.

– Mówiłeś.

Wypuścił jej dłoń, a ona poczuła ciężar, który zawisł między nimi w powietrzu. Ciężył jej zbyt mocno – jeśli nie będzie uważać, to się pod nim ugnie.

Bez namysłu chwyciła za pędzel i dźgnęła go czubkiem w pierś, pozostawiając brązową plamę na wyblakłej czerwonej koszulce.

Parsknęła śmiechem, a potem się poderwała, jak gdyby mogło ją to uchronić przed nadciągającą zemstą.

Hollis najpierw się zachnął, a potem roześmiał zaskoczony. Zerwał się na równe nogi, chwycił za wałek malarski zanurzony w wiaderku z fioletową farbą, wyciągnął ramię i namalował na jej boku fioletowy szlaczek.

Emily ponownie wsadziła pędzel do wiadra i pacnęła Hollisa farbą. Uciekł na drugą stronę sceny, ona za nim, wymachując pędzlem jak mieczem. Gdy przypuściła kolejny atak, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, skoncentrowany na wytrąceniu jej broni z ręki. Wystarczyła jedna chwila bliskości, by w powietrzu znów zawisł znajomy ciężar. Wyrwał się jej krótki śmiech. Znalazła się w ramionach Hollisa, przyciśnięta do piersi, z unieruchomioną ręką i wzrokiem przyklejonym do jego twarzy.

Nie odrywał od niej oczu, leniwy uśmiech na jego ustach powoli topniał.

*Bądź ostrożna! Strzeż swojego serca!*

Te słowa dźwięczały w jej głowie jak dzwonek alarmowy, ale je od siebie odepchnęła. Nie miała ochoty na pragmatyzm. Chciała zatracić się w jego zapachu, choćby na chwilę. Chciała sobie odpuścić.

– Emily – wyszeptał ochryple jej imię.

Wolna ręka Emily powędrowała na jego plecy o twardych, napiętych mięśniach, o których istnieniu nawet nie wiedziała. Nie cofnęła jej i nie przestała patrzeć mu w oczy, czując, jak rozluźnia się uścisk jego palców na ramieniu.

Serce waliło jej jak młotem, gdy Hollis szukał w jej oczach przyzwolenia, które z pewnością tam znalazł.

*Pocałuj mnie. Pocałuj. Pocałuj.*

Jak gdyby słysząc to nieme błaganie, objął ją w pasie ramieniem i przyciągał do siebie, póki nie dotknęły się ich usta. W przeciwieństwie do ich pierwszego pocałunku tym razem Hollis nie był nieśmiały ani niepewny i nie smakował wiśniowymi lodami.

Emily zapadła się w jego ramiona i wypuściła pędzel z dłoni, by opleść oburącz jego umięśniony tors. Z wrażenia podkurczyła palce stóp; zniknęły wszelkie zmartwienia. Nawet zapomniała na chwilę, jak się nazywa.

Jego wargi poruszały się pewnie, ona zaś syciła się każdą sekundą, zachłannie pragnąc więcej.

Wreszcie oderwała się od niego, spodziewając się, że ogarnie ją lęk – lecz nic podobnego nie nastąpiło. Nie żałowała pocałunku. Nie żałowała dzielenia się z nim najgłębszą częścią siebie, pomimo ostrzegawczych dzwonek, które w sobie zagłuszyła.

– Było dobrze? – Przyglądał się jej badawczo.

Bez słów skinęła głową.

– Cieszę się, ponieważ chciałem to zrobić od tygodni.

– Dlaczego tak długo zwlekałeś? – Uśmiechnęła się, nie wypuszczając go z objęć.

– Obiecałem Jolie, że będziemy tylko przyjaciółmi... ale ja czuję co innego... zupełnie co innego.

– Ja też.

– Czy to cię przeraża?

– Być może, ale jeszcze bardziej przeraża mnie wyobrażanie sobie życia bez ciebie.

Ujął jej twarz w dłonie i gładził kciukami policzki.

– Więc sobie tego nie wyobrażaj. Bo to się nie zdarzy.

Gdy znów ją pocałował, wciągnęła w nozdrza jego zapach. *Kocham cię. Kocham. Kocham.* Słowa przemykały w myślach, kiedy poddała się kolejnemu pocałunkowi, przyciągając do siebie Hollisa. Nie ośmieliła się wypowiedzieć ich na głos.

– Muszę porozmawiać z Jolie – powiedział, odsunawszy się od Emily. – Muszę jej o tym wszystkim powiedzieć.

– Jesteś pewien?

– Tak. A do tego czasu musimy być przyjaciółmi.

– To znaczy przyjaciółmi, którzy się nie całują? – zapytała z uśmiechem.

Zrobił krok w tył, a potem parsknął śmiechem.

– Już ty się postarasz, żeby bardzo mi to utrudnić, co?

– Zależy, jak długo będziesz zwlekał z tą rozmową. – Zagryzła usta, wciąż czując na nich jego smak. – Myślę, że nie powinieneś kazać mi zbyt długo czekać.

Głęboko westchnął i uniósł ręce w udawanym geście kapitulacji.

– Zlituj się, Ackerman. Przy tobie tracę całą siłę woli.

Pogładziła jego ramię. Przy tym dotyku zamknął oczy, a potem podszedł bliżej i jednym zwinnym ruchem przyciągnął ją do siebie w kolejnym odurzającym pocałunku.

Poddała mu się natychmiast, rozluźniając się w jego ramionach.

Na dźwięk głosów w korytarzu oderwała się od Hollisa i podniosła pędzel z podłogi. Odwróciła się, czując, jak w żyłach krąży adrenalina.

– Emily!

Była to Marisol, tryskająca młodzieńczą energią, jak zawsze wtedy, gdy natknęła się na coś

zabawnego albo frapującego.

– Hej, ciacho – rzuciła do Hollisa, przechodząc obok.

Emily nie była pewna, ale wydawało się jej, że się zarumienił. Posłała mu szybkie spojrzenie i w przeciwieństwie do niego ukryła uśmiech.

*Eh, ten mężczyzna.* Teraz nie mogłaby już przestać go kochać, nawet gdyby bardzo się starała.

Każdy ostrzegawczy dzwonek, który rozbrzmiewał w tyle jej głowy, zagłuszała nadzieja, że może, może mimo wszystko było jej pisane życie, o którym nie śmiała nawet marzyć, a które nakreślił jej tamtego wieczoru na plaży. Czy w tym prostym życiu, którego pragnął, było miejsce dla niej?

– Co się tu działo? Malujecie z małymi brzdącami? – Marisol patrzyła na fioletowy szlaczek na ubraniu Emily.

– Coś w tym rodzaju.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i skierowała uwagę na trzymane w ręku papiery.

– Zrobiłam kopie stron z gazet, o które prosiłaś. Daj znać, jeżeli jeszcze czegoś będziesz potrzebowała. Wracam do pracowni krawieckiej – mają jakieś wątpliwości co do kostiumu Szalonego Kapelusznika.

– Dziękuję, Marisol.

– Co to jest? – zapytał Hollis.

– Gazety z tygodnia, w którym mama miała wypadek – wyjaśniła. – I choć wcale nie do końca chcę o wszystkim wiedzieć, czuję, że nadszedł właściwy moment. Odwlekałam go wystarczająco długo. Skoro zamierzam stawić czoło babci, muszę podeprzeć się jakimiś dowodami.

– Dowodami na co?

– Na jej kłamstwa. – Zerknęła na plik papierów w ręku. *Raz kozie śmierć.*

Kolorowe kopie były zaskakująco wyraźne. Emily pominęła nekrolog, pobieżnie przejrzała nudne lokalne wiadomości, aż znalazła artykuł na stronie tytułowej z czwartego sierpnia. Pogrzeb matki odbył się w Bostonie, gdzie znajduje się rodzinny grobowiec, ale najwyraźniej pofatygował się tam jakiś dziennikarz z Nantucket. Zamieszczono zdjęcia żałobników na cmentarzu wraz z krótką relacją, jak gdyby chodziło o jakąś uroczystość z życia wyższych sfer.

Emily poczuła bolesny skurcz żołądka, zauważywszy na jednym ze zbliżeń samą siebie w wieku jedenastu lat.

– Ktoś robił zdjęcia na pogrzebie mojej matki?

Hollis zajrzał jej przez ramię.

– Trochę to w złym guście, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie.

– W bardzo złym guście – zgodziła się Emily. Przyglądała się fotografii, znajomym twarzom dziadków, dawnych przyjaciół, ludzi z życia, które wydawało się jej teraz tak bardzo odległe.

– Przykro mi, że nas tam zabrakło – powiedział. – Powinniśmy byli przyjechać. Tato rozpoczął wtedy nową pracę i nie mógł poprosić o wolny dzień.

– W ogóle się tym nie przejmuj.

– Chciałem tam być, Emily. Upewnić się, że jakoś to znosisz.

– Dość trudne zadanie, zwłaszcza dla dziecka – powiedziała, zwalniając go od odpowiedzialności. Nie ma sensu obwiniać się za coś, na co nie dość, że nie miało się wpływu, to jeszcze dotyczy czasów sprzed prawie dwudziestu lat.

Powróciła do fotografii. Jeszcze raz obejrzała żałobników, gdy nagle jakaś znajoma sylwetka zwróciła jej uwagę. Z tyłu nieopodal drzew, za rodziną i przyjaciółmi ustawionymi rzędami przy grobie, stał samotny mężczyzna.

– Hollis? – rzekła, wskazując postać palcem – To jest Jack.

Hollis pochylił się nad zdjęciem.

– Po czym rozpoznajesz?

– On do dzisiaj stoi w taki sposób. Kiedy nadzoruje ekipę. Leciutko się garbi. Ale spójrz także na twarz. To zdecydowanie Jack, tyle że młodszy.

Hollis spojrzał uważnie, ale milczał.

– Co Jack Walker robił na pogrzebie mojej mamy? I dlaczego stał z tyłu całkiem sam? Dziwne,

co?

Przez kilka sekund Hollis patrzył na nią ze skonsternowaną miną.

– Chyba możesz go o to zapytać?

– Tak – przyznała. – I zapytam.



## Rozdział 41

Po tej rozmowie Hollis udał się do holu ośrodka kultury, krążąc tam i z powrotem w oczekiwaniu na Emily, która zbierała swoje rzeczy. Wybierali się razem do jej domu, by stanąć twarzą w twarz z Jackiem Walkerem.

Hollis wiedział, co powie Jack. Miał także przeczucie, że wie, jak zareaguje Emily. I nie był pewien, czy jest w tym wszystkim miejsce dla niego.

Nie łudził się raczej, że będą mogli spędzać razem czas, tylko we dwoje, a przeszłość nie wejdzie im w paradę. Nie wspominając o tym, że ma córkę, z którą musi porozmawiać. Złamał daną Jolie obietnicę, mimo że zarzekał się, że tego nie zrobi. I choć byłoby to dla niego okropnie bolesne, wiedział, że gdyby Jolie nie zmieniła zdania co do niego i Emily, które wyraziła na początku lata, pozwoliłby Emily odejść. Byłaby to najtrudniejsza rzecz na świecie, ale zrobiłby to.

*Boże, proszę Cię, nie pozwól, by tak się stało.*

Emily wyszła z sali teatralnej i zmierzała w jego stronę, prezentując się uroczo w pochłapanym farbą ubraniu, ale widział zdradzającą napięcie zmarszczkę, która przecinała jej czoło. Nie spocznie, póki nie złoży wszystkich elementów tej układanki. I o ile on także nie znał wszystkich odpowiedzi, znał jedną – tę kluczową.

Czy nie powinien jej powiedzieć, co wie?

Przypomniał sobie swoją rozmowę z Jackiem. Obiecał mu, jak ojciec ojcu, że pozwoli mu wyjaśnić jej wszystko osobiście. To nie rola Hollisa. Bez względu na to, jak bardzo pragnął, by było inaczej. Ale minęły już dwa dni, a Jack nadal milczał.

– Hej, może pójdziesz poszukać Jolie? – zaproponowała Emily. – A ja poszukam Jacka.

Zawahał się.

– Nie chcesz, żebym ci towarzyszył?

Zarzuciła plecak na ramię.

– Myślę, że powinnam załatwić to sama, ale zadzwonię do ciebie, jak tylko czegoś się dowiem.

Kiwnął głową.

– Przekonaj córkę, że ty i ja możemy naprawdę do siebie pasować.

Uśmiechnął się.

– Tak uważasz?

Wzruszyła ramionami, jakby zawstydzona, co zdawało się zupełnie nie w jej stylu.

– A ty? Też tak uważasz?

– Nie, Em, ja to wiem. W mojej głowie nie ma cienia wątpliwości.

Wykrzywiła usta, próbując – bezskutecznie – pohamować uśmiech.

– Słuchaj – powiedział. – Wiem, że się boisz, ale ja cię nie skrzywdzę.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Obiecujesz?

Dotknął jej twarzy.

– Obiecuję.

– Ponieważ nie sędzę, bym była w stanie to znieść. Zwłaszcza że zaczęłam już sobie wyobrażać małomiasteczkowe życie w domku ogrodzonym płotem z białych sztachet.

– No coś ty? – droczył się z uśmiechem. – Nie sądziłem, że jesteś wielbicielek białych sztachet.

– Niespodzianka. – Odwzajemniła uśmiech. – Zadzwon do mnie, jak porozmawiasz z JoJo.

– Zadzwon po rozmowie z Jackiem.

Skinęła głową.

Rozejrzał się wokół, chcąc się upewnić, że są sami, pochylił się i złożył na jej ustach delikatny pocałunek. Kiedy się odsunął, wciąż miała zamknięte oczy.

– Do zobaczenia.

Otworzyła oczy, zamknęła usta i ponownie skinęła głową.

Odprawiając Emily wzrokiem, Hollis modlił się w duchu, by Bóg ochronił jej serce, niezależnie od tego, jakie odsłonią się przed nią tajemnice. A potem pomodlił się o to, by jego córka

okazała się bardziej tolerancyjna niż na początku.

Kiedy dotarł do domu, zastał mamę siedzącą na tarasie za domem, z Tilly przy nodze.

– Gdzie jest JoJo?

– Z Harper nad wodą – wyjaśniła. Spojrzała na Hollisa znad czasopisma. – Co się z tobą dzieje?

Czy to aż tak bardzo rzuca się w oczy? Jak to możliwe, by jednocześnie czuć wielką radość i równie wielki strach?

– Po prostu muszę z nią porozmawiać.

Nan się wyprostowała.

– Nic się nie stało? Wszystko w porządku z Janą i Rickiem?

– Tak, w porządku. Przyjeżdżają na przedstawienie. Dzisiaj rano dostałem od Jany wiadomość.

Mama odłożyła pismo.

– Ale to nie z tego powodu masz te zmarszczki strapienia na twarzy.

Usiadł naprzeciwko niej na dwuosobowej sofie.

– Nie.

– Więc o co chodzi?

– O Emily – powiedział zwyczajnie.

– A co się dzieje z Emily?

– Nic się nie dzieje – odparł Hollis, patrząc w stronę oceanu. – Zakochałem się.

– Och, i to wszystko? – Nan powróciła do przeglądania czasopisma.

– Czy to wszystko?! – Posłał mamie zdumione spojrzenie.

– Hollis, wszyscy inni wiedzą o tym od tygodni – wyjaśniła, nie podnosząc głowy. – Cieszę się, że w końcu sam to zrozumiałeś. Mieliśmy już interweniować.

Westchnął.

– I co mam robić?

Zaskoczona mama zmarszczyła czoło.

– To ty jeszcze tego nie wiesz?

– Mam na myśli Jolie.

– Jolie uwielbia Emily.

– Ale wymusiła na mnie obietnicę, że się w niej nie zakocham. Powiedziała, że jeśli zacnę umawiać się z Emily, zmarnuję jej życie.

Nan zaśmiała się półgębkiem.

– Skarbie, ona ma dwanaście lat.

– No i?

– Dwunastolatka nie decyduje o takich sprawach za własnego ojca. A jeśli to Bóg was ze sobą połączył?

– Myślę, że to możliwe. – Hollis zauważył Jolie wracającą z plaży przez porastające wydmy trawy. – Wobec nikogo tak się nie czułem.

Mama skwitowała to wyznanie uśmiechem.

– O to się modliliśmy, Hollis.

– Ale, mammo, jestem coś winien Jolie. Jeśli ona nadal się temu sprzeciwia, to ma to jakieś znaczenie.

– Daj jej szansę poukładania sobie wszystkiego w głowie. Może teraz przykłada do tego mniejszą wagę.

Jolie pędziła w ich stronę, a Harper deptała jej po piętach.

– Twoja córka wymiata na desce – obwieściła Harper, wchodząc po schodach za JoJo.

– Miała fantastycznego nauczyciela. – Hollis silił się na żartobliwy ton pomimo zdenerwowania.

– Jak wypadła poranna próba? – zapytał, podając Jolie ręcznik.

– Jakbyś nie wiedział – rzekła z uśmiechem. – Widziałam, jak podglądałeś zza kulis.

– Bo jestem z ciebie dumny, dzieciaku.

– Dzieciaku. – Jolie przewróciła oczami. – To dopiero dziecinada nazywać mnie w ten sposób, tato.

Łypnął na mamę, która przyglądała mu się z odrobinę zbyt dużym zainteresowaniem.

– Harper, pomóż mi z kolacją.

Siostra Hollisa żartobliwie zaskłamała.

– Tak jest. JoJo, twoja babcia wyzyskuje ludzi. Nie daj sobie wmówić, że jest inaczej.

Jolie klapnęła na zwolnione przez Nan miejsce i natychmiast wzięła do ręki telefon.

– Jolie – rzekł Hollis. – Możemy chwilę porozmawiać?

Nie ruszyła się z miejsca, ale błyskawicznie podniosła na niego wzrok.

– Dlaczego? Coś się stało?

– Nic się nie stało. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Odłożyła telefon na stół, po czym ciasniej owinęła się ręcznikiem.

– Chodzi o Ricka? Pozwolisz, żeby mnie adoptował?

Hollisowi odpłynęła krew z czubków palców.

– Że co? Nie. Dlaczego? Ty tego chcesz?

JoJo odwróciła wzrok.

O nie. Czy właśnie tego chciała?

– Jolie?

Pokręciła głową.

– Nie?

Znów spojrzała mu w oczy.

– Nie.

– To dobrze.

Uśmiechnęła się do niego krzywo.

Nie posiadał się z radości. Nie. Jolie nie chce być adoptowana przez Ricka. Woli Hollisa. Czy nie zmieni zdania po tym, co zamierza jej powiedzieć?

Nagle moment na tę rozmowę wydał się wyjątkowo niefortunny, ale ukrywanie tego przed córką oznaczało potajemne spotkania z Emily albo niewidywanie się z nią wcale – nie podobała mu się żadna z tych opcji.

– Więc o czym chcesz rozmawiać? – zapytała, znów biorąc do ręki telefon.

– Pamiętasz, jak na początku lata poznałaś Emily?

– No pewnie – odparła. – To był cudowny dzień.

– Dla mnie też – przyznał Hollis, starając się zapanować nad uśmiechem. Nie czas na głupkowate miny.

– Tato, chodzi o ciebie i Emily? – Pochyliła się, wspierając łokcie na kolanach.

Chciał umknąć spojrzeniem, ale tego nie zrobił.

– Tak.

– Kochasz ją, no nie?

– Co?! – wyrzucił z siebie Hollis.

– Słyszałam, jak wujek Hayes i ciocia Harper o tym rozmawiali. Wujek powiedział: „On nigdy nic z tym nie zrobi”, a ciocia na to: „Jeśli kocha ją tak, jak mi się wydaje, to zrobi”. Wtedy ja zapytałam: „Dlaczego?”, a ciocia Harper odpowiedziała: „Ponieważ kiedy kocha się kogoś tak bardzo, jak twój tato kocha Emily, nie da się trzymać tego w sobie. Bo człowiek eksploduje. Albo imploduje. Chyba powiedziała: „imploduje”. Jest takie słowo?

A więc wszyscy rozmawiali o jego uczuciach wobec Emily. Nie wiedział, czy się złościć, czy być im za to wdzięczny, ponieważ jego rodzeństwo niechęć przełamało lody pomiędzy nim a Jolie.

Westchnął.

– Tato, jeśli ją kochasz, to w porządku.

Spojrzał jej w oczy.

– Tak?

– Tak. Myślę, że i ona ciebie kocha.

– Tak powiedziała ci Harper?

Jolie pokręciła głową.

– Nie, sama tak sobie powiedziałam.  
– Och, doprawdy?  
– Czasem widzę, jak ona na ciebie patrzy. I jak wieczorami przesiadujecie razem na plaży.  
– To ty o tym wiesz?  
– Tato, jestem prawie nastolatką – odparła z niedowierzaniem. – I nie jestem głupia.  
Zaśmiała się pod nosem.  
– Och, o tym to wiem.  
– To dobrze, bo jeśli będę przyjeżdżać do ciebie na lato, ważne, żebyśmy to sobie wyjaśnili. Nie chcę, żebyś miał mnie za jakiegoś bobasa. Dość tego „dzieciakowania”.  
Dłuższą chwilę obserwował, jak stuka w telefon. W końcu się do niego uśmiechnęła.  
– Zamierzasz przyjeżdżać do mnie na lato?  
Jej wzrok błyskawicznie powrócił do telefonu.  
– Jeśli mi pozwolisz...?  
Usłyszał w jej głosie pytanie i szukał najlepszej odpowiedzi, by ją zapewnić, że od początku niczego innego nie pragnął.  
– Jolie, byłbym najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem.  
– To dobrze. Gdybyś się nie zgodził, byłoby mi łyso.  
Roześmiała się.  
– Więc naprawdę nie masz nic przeciwko mnie i Emily?  
– No nie. Wiesz, ciocia Harper mówi, że nie powinnam być taka samolubna i że od dawna nie byłeś szczęśliwy, no i czy nie zależy mi na twoim szczęściu? Powiedziałam, że oczywiście, że mi zależy, a ona na to: „Emily daje mu szczęście, JoJo”. I tak jest, prawda?  
– Prawda.  
– W porządku. Tylko tego nie zepsuj.  
– Zrobię, co w mojej mocy.  
Kiwnęła głową.  
– I dobrze. Jestem głodna.  
– Ja też. – Wstał. – Chodźmy zobaczyć, co przygotowała nam dzisiaj babcia Nan.  
– Chyba bułki z homarem.  
– Chciałabyś... – Delikatnie pociągnął ją za warkocz. – I... Jolie?  
Podniosła na niego wzrok.  
– Kocham cię.



Serce Emily biło jak szalone, gdy szła podjazdem w stronę domu. Wcześniej planowała zapytać babcię wprost o to, co zobaczyła w gazecie – i co było dowodem na to, że do wypadku doszło na Cliff Road – w tej jednak chwili straciło to na znaczeniu. Istotna była fotografia Jacka Walkera na pogrzebie matki.

W Bostonie.

Czyżby łączyło ich coś więcej? Pojechałby aż do Bostonu na pogrzeb dalekiej znajomej? Nie miało to sensu.

Przed gankiem Emily minęła Marcusa.

– Hej. Wiesz, gdzie jest Jack?

– To nie słyszałaś? – zdziwił się Marcus.

– O czym?

– Twoja babcia go zwolniła. Nie ma go tu.

– Co? Nie może tego zrobić – odparła Emily, doskonale wiedząc, że jak najbardziej może. Eliza Ackerman mogła przejąć kontrolę nad remontem, kiedy żywnie się jej podobało. Fakt, że nie zrobiła tego

dotychczas, był naprawdę zaskakujący.

– Podobno wynajęła nowego człowieka. Będzie tu jutro.

Emily serce zaczęło bić szybciej.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Niestety, poważnie.

– Więc nie ma go? Tak po prostu?

– Pojechał do domu jakąś godzinę temu. Nie wiedzieliśmy, czy mamy kontynuować pracę.

– Tak, pracujcie dalej. Pojadę po Jacka.

– A co z babcią?

Emily jęknęła.

– Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. I bez względu na wszystko dopilnuję, by cała ekipa dostała dzisiejszą dniówkę.

– Mamy jutro przyjść?

– Tak – odparła stanowczo. – Jak najbardziej.

Marcus kiwnął głową.

– Porządny z ciebie człowiek, Emily.

– Staram się. – Uśmiechnęła się pomimo swojej frustracji. – Znasz adres Jacka?

– Nie, ale znajdziesz go, zdaje się, gdzieś przy Cliff Road, w pobliżu ścieżki rowerowej.

– Cliff Road? – Serce podskoczyło jej do gardła.

– Mówił, że to miejsce ma dla niego wartość sentymentalną. – Marcus wzruszył ramionami. –

Nie wiem. On bez przerwy gada o dawnych czasach. Mogę dowiedzieć się, jaki tam jest adres, i wysłać ci SMS. Niedawno go odwiedzałem.

– Cliff Road.

– Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko gra. – Miała nadzieję, że to prawda. – Prześlij mi adres. Przyda się.

– Robi się, szefowo.

Jazda rowerem na Cliff Road zajęłaby zbyt dużo czasu, ale Emily nie miała własnego samochodu. Jej spojrzenie padło na lexusa babci na podjeździe. Wparowała do domu, znalazła kluczyk w miseczce na konsoli w przedpokoju i wzięła go bez słowa.

– Przynajmniej tyle jesteś mi winna, babciu – mruknęła do siebie pod nosem.

W drodze na Cliff Road targał nią niepokój. Przekonywała samą siebie, że w tej okolicy jest mnóstwo domów. Że odkryte przez nią zbiegi okoliczności mogą mieć wyjaśnień bez liku. Że Jack Walker to nikt więcej niż budowlaniec, który znał kiedyś jej matkę.

Nie wierzyła ani jednemu powtarzanemu sobie w myślach słowu.

Rzuciła okiem na SMS od Marcusa i odszukała adres, pod którym zatrzymał się Jack. Jak długo nie było go na wyspie?

Przemknął jej przed oczami obraz posępnego Jacka na pogrzebie matki.

Gdyby nie prowadziła teraz auta, zamknęłaby oczy, przeżywając w pełni wagę sytuacji. Lato, pytania... Ale najgorsze było wrażenie, że nikt nie jest z nią szczerzy. Nikt nie jest wobec niej uczciwy.

Nikt nie uśmiecha się oczami.

Mama nauczyła ją cenić uczciwość nade wszystko, a zdawało się, że nikt inny nie podziela tego zdania. Ani babcia, ani Jack... Przystopowała. Przecież to nieprawda. Ponieważ Hollis był inny.

Był szczerzy, prawdziwy, dobry. I kiedy sobie o nim pomyślała, mimo wszystko się uśmiechnęła.

GPS poinformował, że miejsce docelowe znajduje się po lewej stronie. Nie zwolniła wystarczająco szybko i je minęła. Może to znak, że powinna jechać dalej?

Nie. Chciała się dowiedzieć – bez względu na to, jaka przedstawiała się prawda – wszystkiego, czego nie wiedziała o tamtej nocy, kiedy jej mama zginęła w wypadku.

A jedynym sposobem poznania prawdy było zadawanie trudnych pytań.

Odważenie się. Stawienie czoła trudnym sprawom.

Przez tyle lat uciekała, przekonana, że tego chciała matka – żeby Emily wiodła życie wypełnione podróżami, żeby skakała z miejsca na miejsce i nie nawiązywała z nikim bliskich relacji.

Była tym zmęczona. Nie chciała dłużej uciekać. Chciała osiąść. Zapaść korzenie.

Czy zadawanie trudnych pytań mogło jej to zagwarantować?

Zawróciła i skręciła na podjazd pod niewielkim domkiem. Był obity szarymi deskami, miał białe obramowania okien i wyglądał jak większość domów na wyspie. Otoczenie prezentowało się nienagannie, ale nie było na pokaz. Nic w tym domku nie było na pokaz.

Drzwi pomalowane na pawi kolor, na skrzynce pocztowej nazwisko Walker.

Podróż zaprowadziła ją do tego miejsca, z garścią pytań i determinacją, by poznać odpowiedzi.

Wyjęła z torebki kserokopię artykułu i jeszcze raz rzuciła nań okiem.

– No dobrze, Jacku Walker – powiedziała na głos. – Czas na wyjaśnienia.

Jednak wciąż siedziała za kierownicą eleganckiego samochodu babci, wpatrując się w domek. Jakby położono jej na piersi mocno obciążoną sztangę, która bardzo utrudniała oddychanie, nie mówiąc już o wykonaniu jakiegokolwiek ruchu.

Myślała o czasie spędzonym na wyspie, o Hollisie, o tym, jak pomimo błędów przeszłości uparcie próbował wszystko naprawić. Nie zrezygnował z Jolie, gdy życie rozsypało mu się na kawałki, ale nawalił – naprawdę nawalił.

Emily także wiele w swoim życiu zepsuła. Było ono pasmem drobnych katastrof i niewłaściwych wyborów, poczynawszy od odwrócenia się od Boga.

Sięgnęła do leżącej na siedzeniu obok torby, wyjęła zeszyt i go otworzyła.

*Kochana Emily,*

*wiara jest dla mnie takim trochę trudnym tematem. Niełatwo wyjaśnić moje uczucia względem Boga. Przeważnie mam wrażenie, że jest On tym prawdziwym, bezwarunkowym przyjacielem, który nigdy nie odwrócił się do mnie plecami, nawet kiedy popełniałam gigantyczne błędy.*

*Nie chcę narzucać Ci wiary. Wierzę, że każdy musi znaleźć własną drogę do Boga, ale jednocześnie chcę, abyś wiedziała, że to ważne. Kiedy rozpada się Twój świat, wiara, że da się poskładać wszystko od nowa, jest rzeczą kluczową.*

*Wiara daje Ci tę pewność.*

*A żeby mieć wiarę, trzeba zaufać Bożemu Słowu. Zawsze uważałam, że to szaleństwo, że Bóg tak wiele nam obiecuje. (Wszystko jest opisane w Biblii. Pewnego dnia Biblia przestanie tak niemiłosiernie Cię nudzić, przysięgam). Obiecuje, że nigdy nas nie opuści, a muszę przyznać, że kiedy czujesz, jak wali się Twój świat, taka obietnica staje się podporą.*

*W miarę dorastania i upływu lat, i pewnie za każdym razem, gdy dzieje się coś złego, być może winisz za to Boga, wściekasz się na Niego. I nie ma w tym nic strasznego. Po prostu powiedz Mu, co czujesz. Daję słowo, że On to udźwignie.*

*Przekonałam się w trudnych czasach, że jeśli na Nim polegasz, zamiast odpychać Go od siebie, zyskujesz siłę i stajesz się nieustraszona, bardziej niż w ogóle uważałaś za możliwe.*

*Mam nadzieję, że się modlisz. Dużo. Mam nadzieję, że chodzisz na długie spacerunki i dyskutujesz z Jezusem o tym, co czujesz. Mam nadzieję, że trzymasz się tego, co w głębi duszy uważasz za prawdziwe – że On Cię kocha, że ma dla Ciebie plan, że jesteś niesamowicie cudowną istotą.*

*I że jest zawsze przy Tobie, żeby nie wiem co.*

*Kocham Cię*

*Mama*

Słowa te patrzyły na nią z zeszytu – skreślone ręką matki, co natychmiast dodawało jej otuchy. Zupełnie zapomniała o tym liście. Była zaskoczona, że dotychczas go nie wyrwała i nie wyrzuciła.

Była zła na Boga, przez wiele lat. Winiła Go za śmierć matki, bo kogo innego miałaby winić?

Siedząc teraz w samochodzie ze skopiowanymi stronami gazet w ręku, spoglądając na ten domek,

mierzyła się z nieznaną przyszłością – i nie była pewna, czy jej chce.

Ale jeżeli słowa matki są prawdziwe, Bóg nie jest niewiadomą. Jest sprawdzony. Obiecuję i dotrzymuje obietnic.

*Dlaczego zatem nie ochroniłeś mojej matki?*

Te słowa ugodziły ją prosto w serce.

Przecież jest Bogiem. Nie mógł sprawić, by samochód nie zapalił i by nie wyjechały z domu w środku ulewy? Nie mógł sprawić, by auto nie uderzyło w drzewo? Nie mógł sprawić, by serce matki nie przestało bić?

Skoro może wszystko, dlaczego tego nie zrobił? Dlaczego nie ocalił tej jednej jedynej osoby, która znaczyła dla Emily najwięcej na świecie? Dlaczego pozostawił ją samej sobie?

– Jestem na Ciebie wściekła – powiedziała na głos do pustego samochodu. – Jestem wściekła, że mi ją odebrałeś. Miałam tylko ją, a Ty mi ją zabrałeś. Dlaczego?

Do oczu napłynęły jej łzy, ale przycisnęła pięści do powiek, nie chciała się rozplakać. Wpatrywała się w słowa listu, żałując, że nie ma obok mamy. Że nie może poprosić ją o wyjaśnienia treści nie tylko tego listu, ale i tak wielu innych.

Wspaniale móc sięgnąć do jej słów, ale jeśli Emily błędnie je zinterpretowała? Jeżeli nie zrozumiała?

Znów spojrzała na dom.

– Okej, Boże. Jeśli naprawdę tu jesteś, czy mógłbyś sprawić, by to, co ma nastąpić, nie zламаło mi serca?

Odczekała kilka sekund, jakby rzeczywiście czekała na odpowiedź, która oczywiście nie nadeszła. Wsiadła z auta, a pod stopami zachrząściły połamane muszelki. Podeszła pod drzwi i zawahała się na krótką chwilę, zbierając się na odwagę.

Nabrała w płuca powietrza. Żałowała, gdyby nie podjęła choćby próby poskładania wszystkiego w spójną całość. Całe życie upłynęło jej na zastanawianiu się; znała to uczucie aż za dobrze.

Nie. Najwyższy czas. Koniec z wieczną ucieczką.

Zapukała do drzwi, by nie zdążyła stchórzyć. Kilka sekund później ujrzała Jacka po drugiej stronie otwartych drzwi.

– Hej. Mogę wejść?

Otworzył je szerzej i zrobił krok w tył, by mogła swobodnie wejść.

– Ładnie tu – powiedziała. Szczerze. Wnętrze było przytulne i urocze, bardzo różniło się od domu jej dziadków. Sprawiało wrażenie swojskości, od razu otulało swoim ciepłem.

– Tak naprawdę dom należy do mojej ciotki – wyjaśnił. – Czasami pozwala nam z niego korzystać. Myślę, że zamierza go sprzedać, więc być może to moje ostatnie lato w tym miejscu.

Emily przygryzała wargę.

– Jack, Marcus powiedział mi o babci.

– Dlatego tu przyjechałaś?

– Po części. Zamierzam z nią porozmawiać. Prace już na finiszu, więc jaki sens w zwalnianiu cię teraz, zwłaszcza że nie miała żadnego powodu.

Lekko wzruszył ramionami.

– Z pewnością ma swoje powody. – Zaprowadził ją do kuchni. – Napijesz się czegoś?

– Wody, jeśli mogę prosić. – Gardło zamieniło się w papier ścierny, w ustach wyschło na pieprz. Niefortunne połączenie jak dla kogoś, kto musi być w stanie mówić.

Jack wyjął szklankę z szafki, napełnił ją filtrowaną wodą z pojemnika w drzwiach lodówki i podsunął Emily. Napiła się, po czym powędrowała za nim do salonu.

– Odzyskasz pracę, już moja w tym głowa – zapowiedziała.

– Mam nadzieję. Naprawdę chciałbym doprowadzić remont do końca. Nie lubię zostawiać rozgrzebanych spraw.

Krótką cisza zastopowała rozmowę.

– Od ilu lat tutaj przyjeżdżasz? – zapytała wreszcie.

– Bywam tu od dziecka – odparł Jack. – Ilekroć przyjeżdżałem latem na wyspę, spędzałem je

w tym domu.

– Więc może byłeś tu osiemnaście lat temu? – Zaczęła szukać czegoś w torebce.

– Emily...

Podawała mu złożoną kartkę papieru.

– Co to jest? – zapytał.

– Artykuł o pogrzebie mojej mamy.

Poblądł.

– Dałeś mi do zrozumienia, że się nie znaliście.

Jack nie odpowiedział.

– Skoro jej nie znałeś, dlaczego pojechałeś do Bostonu na pogrzeb? Nigdy nie mieszkałeś w Bostonie, mam rację?

– Tak. Nigdy tam nie mieszkałem. – Długo wpatrywał się w skserowaną fotografię, zanim oddał jej kartkę.

– Trochę to dziwne. Masz zwyczaj uczestniczenia w pogrzebach ludzi, których podziwiałeś z daleka?

– Poprosiłem Hollisa, by pozwolił mi porozmawiać o tym z tobą osobiście.

Emily ścisnęło się serce.

– Hollisa? Co ma z tym wspólnego Hollis? – *Proszę, nic nie mów. Proszę, powiedz, że się przejęzyczyłeś.*

– Nic.

Widziała jednak, że to wcale nie jest nic. Każdy by się połapał.

– Porozmawiać ze mną o czym?

– Zamierzałem ci powiedzieć, Emily. Tylko nie wiedziałem jak.

– Co powiedzieć? Że znałeś moją matkę?

Po części wiedziała, co powie za chwilę Jack, ale uciszała ją jej druga połowa, ta, która uważała, że Emily tego nie udźwignie. Potrzebowała całej siły woli, żeby nie wybiec z tego domu, nie wsiąść do samochodu i nie pojechać prosto na prom, który zabierze ją z wyspy – raz na zawsze.

To by było na tyle w kwestii niełamania serca.

To by było na tyle w kwestii wiary, że tym razem Bóg przy niej będzie.



## Rozdział 42

Stała w salonie Jacka, a w powietrzu wisiały wypowiedziane przez niego przed chwilą słowa, docierając do jej świadomości.

– Co powiedziałaś? – Bacznie się mu przyglądała. Nie drgnął. Zamiast tego wpatrywał się w nią tak, jakby była kamizelką ratunkową, a on walczył o życie pośród wzburzonych fal.

– To ja, Emily. Ja jestem twoim ojcem.

Przyspieszył jej puls. Jack Walker – jedyny fachowiec, który odpowiedział na jej ogłoszenie, człowiek, który nauczył ją posługiwać się młotem, człowiek, który od jej przyjazdu do Nantucket spędzał w jej domu praktycznie każdy dzień – nie był zwykłym znajomym matki. Był kimś o wiele więcej.

Mężczyzną, który złamał serce Isabelle. Mężczyzną, który dowiedziawszy się o Emily, zwyczajnie uciekł. Który ją porzucił, nie dając jej nigdy szansy na udowodnienie, że zasługuje na jego miłość.

Odwróciła się.

– Posłuchaj, wiem, że trudno to pojąć.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytała cicho. – Od razu, pierwszego dnia, kiedy się tu zjawiłeś? Dlaczego trzymałeś to w tajemnicy?

Jack westchnął i osunął się na sofę.

– Przyjechałem tu tylko z jednego powodu: żeby cię poznać, Emily. Zobaczyc, na kogo wyrosłaś. I bałem się, że jeśli będziesz wiedziała, kim jestem...

Zerknęła na niego i choć wcale nie chciała współczuć człowiekowi, który ją zranił, ponieważ zrezygnował z uczestniczenia w jej życiu, to jednak współczuła. Ponieważ jego twarz niezaprzeczalnie wyrażała cierpienie.

– Bałem się, że w ogóle nie zechcesz ze mną rozmawiać.

Emily zaszurała butem o podłogę. Deski wymagały odnowienia. To zadanie nie nastreczyłoby Jackowi najmniejszych trudności, a mimo to pozostało niewykonane, pewnie dlatego, że spędzał tyle czasu na remoncie jej domu.

– Nie powinieneś był dać mi szansy? – zapytała, nie zdradzając, że jego obawy były słuszne. Gdyby powiedział jej o tym przy pierwszym spotkaniu, zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem. Wyrzuciłaby go, wsiadła z powrotem na prom i uciekła gdzie pieprz rośnie. Obrął mądrą taktykę, kręcąc się w pobliżu, roztaczając swój urok, przekonując ją do siebie.

Mimo to czuła się zdradzona. Jak mogła być taka głupia?

– Być może – odrzekł. – Może powinienem być z tobą szczerzy od samego początku, ale wiedziałem, Emily, co prawdopodobnie sobie o mnie pomyślisz...

– Skąd? – Błyskawicznie odwróciła się do niego twarzą w twarz. – Skąd mogłeś cokolwiek o mnie wiedzieć?

Oczy zaszyły jej łzami. *Zdrajcy!* Ścisnęła grzbiet nosa, żeby się nie rozplakać.

Czy to możliwe, że zatajenie prawdy w sumie wyszło jej na dobre? *Nie*. Kłamstwo to kłamstwo. Takiego dokonał wyboru: skłamał.

– Powiedz mi jedno.

– Co tylko zechcesz, Emily.

– Czy ty w ogóle ją kochałeś?

Jack wydał trudny do opisanego odgłos. Coś w stylu prychnięcia, ale nie całkiem, i który chyba wyrwał mu się niespodziewanie, tak jakby nie do końca panował nad emocjami. Owo prawie prychnięcie zdawało się mówić: „Jak w ogóle możesz mnie o to pytać?”.

A jak mogłaby nie zapytać?

Jack pochylił się do przodu, oparł przedramiona na kolanach, złożył przed sobą dłonie i wzrok wbił w dywanik pod obutymi w trampki stopami.

– Nigdy nikogo nie kochałem tak, jak kochałem Isabelle.

– Więc jak mogłeś odejść? – Emily słyszała, jak podnosi głos, i przestrzegła samą siebie, że należy trzymać emocje w ryzach.

*Strzeż swojego serca.*

– Nie chciałem.

Nieznacznie się odsunęła.

– To kłamstwo.

– Nie. – Podniósł wzrok. – Sprawa jest... skomplikowana.

– Ja nie widzę w tym nic skomplikowanego. Albo nas chciałeś, albo nie. Zniknąłeś, a więc najwyraźniej nas nie chciałeś.

– Emily, to nie jest takie proste – powiedział, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Wobec tego wyjaśnij, Jack! – wyrzuciła z siebie ze złością. – Masz teraz szansę. Powiedz mi, co się stało.

Nie przestawał patrzeć jej prosto w oczy; stary zegar nad kominkiem odliczał kolejne sekundy. W jego oczach jakby ożyły dawne wspomnienia. Znał odpowiedzi na pytania, które od zawsze sobie zadawała. Wiedział, co rzeczywiście wydarzyło się tamtej nocy. Wiedział, dlaczego matka tak nagle wybiegła z domu. Może nawet wiedział, o co Isabelle pokłóciła się z rodzicami.

A kiedy odwrócił wzrok, Emily poczuła strach, że Jack, podobnie jak jej babcia, nie zamierza podzielić się z nią swoją wiedzą.

– Pewne rzeczy lepiej pozostawić w przeszłości. Wiedz tylko, że nie chciałem odejść. Nie chciałem zostawiać Isabelle... ani ciebie. Chciałem cię poznać, wychowywać, ale...

– Ale co?

– Zależało mi, żebyś miała dobre życie.

– I nie mogłeś mi tego dać? Życia z obojgiem rodziców. Czy to by nie wystarczyło?

Wzruszył ramionami, miał zaczerwienione oczy.

– A by wystarczyło?

– Oczywiście – wyszeptwała. – Nigdy nie pragnęłam niczego innego. – I tak było. Uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy wyrzuciła z siebie te słowa. W całym swoim życiu nie powiedziała na głos niczego prawdziwszego.

Jack przecesał palcami włosy.

– Chciałem, żebyś miała takie życie, o jakim ja mogłem tylko pomarzyć. Twój dziadkowie je tobie zapewnili. Dopilnowali, byś miała wszystko, czego ci potrzeba.

Emily zmrużyła oczy.

– Nie dopilnowali. Ponieważ ja potrzebowałam obojga rodziców.

– Nie. Potrzebowałaś opieki. Potrzebowałaś domu, stabilizacji i najlepszego wykształcenia. Zaslugałaś na te rzeczy.

– Kto ci tak powiedział? Kto ci powiedział, że to było ważniejsze od ojca?

Spuścił wzrok.

Nadal nie mówił jej wszystkiego. Jak można by go skłonić do pełnej otwartości?

– Czy tamtej nocy moja mama jechała do ciebie?

Ze wzrokiem wbitym w podłogę powoli pokiwał głową.

– Tamtej nocy miałem cię poznać.

Emily otarła spływającą po policzku łzę.

– Więc po wypadku...

– Czułem się tak, jakby to przeze mnie umarła. Że mnie znienawidzisz. Nie zasługiwałem na żadną część Isabelle, a szczególnie na kogoś tak pięknego, kochanego i dobrego jak ty.

Emily zwinęła dłonie w pięści.

– Powinieneś był bardziej się wysilić, Jack. – Ruszyła do drzwi, ale Jack wstał, nim do nich dotarła.

– Zaczekaj – powiedział.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła.

– Znalazłem to... W pokoju twojej mamy. To jedyne, jakie istnieje, i pomyślałem, że może zechcesz je mieć.

Pomału zwróciła ku niemu twarz i zobaczyła, że wyciąga w jej stronę niewielkie zdjęcie. Wzięła

je. Z fotografii patrzyła na nią matka i o wiele młodszy Jack.

– Kochałem ją nad życie. Żałuję, że pozwoliłem jej odejść.

Emily siłą woli pohamowała się przed zgnieceniem fotografii i ciśnięciem jej Jackowi w twarz. Zamiast tego rzuciła ją na podłogę, odwróciła się na pięcie i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

## Rozdział 43

Emily zjechała na okrągły podjazd pod domem dziadków, kręciło się jej w głowie.

– Mam uwierzyć, że przy mnie byłeś? – zapytała na głos. – Co z Twoimi obietnicami, że nigdy mnie nie opuścisz? Co z byciem przy mnie, kiedy Cię potrzebuję? Gdzie jesteś teraz?

O ile gniewała się na Boga już wcześniej, po odkryciu prawdy jej złość tylko przybrała na sile. Kiedy dowie się reszty? Kiedy zbierze wszystkie elementy tej łamigłówki, by w pełni zrozumieć, co się wydarzyło?

Jack powiedział, że nie chciał odchodzić, więc dlaczego odszedł? Gdzie tu sens?

– Dlaczego wszyscy mnie okłamują?

Wymknęła się jej łza, którą ze złością otarła. Zaparkowała samochód i głęboko westchnęła.

Hollis stał na ganku, oparty o słup. Wyglądał nieznośnie przystojnie. Mało tego – emanowało z niego dobro. Z wyjaśnień Jacka jasno wynikało, że Hollis się dowiedział, kim on naprawdę jest. Musiała wierzyć, że miał powód, by tej prawdy nie ujawnić.

Gdy zgasiła silnik, jeden rzut oka na Hollisa wystarczył, by zorientowała się, że coś go trapi.

Chciała wpaść mu w ramiona, czerpać z nich siłę, w końcu się wypłakać. Oczywiście tego nie zrobi. Jest silna.

Wyszedł do niej na podjazd i bez słowa opiekuńczo objął ją ramieniem.

– Wszystko dobrze?

Nie chciała się zastanawiać, jak się czuje po tych rewelacjach. Za sprawą tego domu w Nantucket wszystko – absolutnie wszystko – zostało wywleczone na wierzch. Jak od tego uciec?

Lekko wzruszyła ramionami, zdając sobie sprawę, że jej łzy moczą mu podkoszulek. Może wcale nie była taka silna, jak sądziła.

– Od jak dawna wiedziałeś?

– Od niedawna, ale musisz wierzyć, że chciałem ci powiedzieć. Mówiłem Jackowi, że nie dochowam tajemnicy na długo, to mnie wykańczało. Ale jemu bardzo zależało na powiedzeniu ci o tym osobiście, po swojemu.

Emily szukała w jego oczach jakichkolwiek śladów nieszczerości. Nie znalazła żadnych. Przecież celowo by jej nie zranił? Mimo to bolało, że ukrywał przed nią prawdę.

Ruszyła na tyły domu. Chciała sycić się oceanem, przypomnieć sobie, jak wielki jest ten świat. Przy jego ogromie jej osobiste problemy nieco malały, traciły na znaczeniu.

Hollis zrównał z nią krok.

– Jak się dowiedziałeś?

Westchnął.

– Wiesz, że od początku mu nie ufałem.

Skinęła głową.

– I chyba wreszcie połączyłem luźne wątki. Słyszałem, jak rozmawiał z twoją babcią.

Zerwał się wiatr i zdmuchnął jej włosy na twarz. Odgarnęła je za uszy.

– Co mówili?

Hollis złapał ją za rękę. Wsunęła dłoń, czerpiąc z tego gestu przyjemność, a zarazem martwiąc się, że tak bardzo podoba jej się to doznanie.

– Nie słyszałem wszystkiego. Ale na tyle dużo, by zrozumieć, że twoja babcia go nie lubi. Widziałem Jacka w pokoju twojej matki na samym początku remontu. Siedział przy biurku i na coś patrzył. Wydawał się smutny. A później, zupełnie znienacka, dostrzegłem w nim jakieś podobieństwo do ciebie – i chyba wtedy zaskoczyłem.

– Znalazł swoje zdjęcie z moją mamą. Powiedział, że to ich jedyna wspólna fotografia. Mama musiała schować ją gdzieś u siebie w pokoju, a on podczas remontu skądś ją wygrzebał. Próbował mi ją dać.

– Nie wzięłaś?

Pokręciła głową.

– Jak bym mogła?

– Słuchaj, Emily, wiem, że masz wobec niego mieszane uczucia, ale ja naprawdę wierzę, że zrobił to, co uważał dla ciebie za najlepsze.

Emily cofnęła dłoń.

– Niby jak? Czy porzucenie własnej córki, skazanie jej na dorastanie bez ojca jest „najlepsze”?

Hollis milczał, myśląc zapewne o Jolie, o własnych błędach.

– Mówię tylko, że może powinnaś dać mu drugą szansę?

Emily stanęła w miejscu. Dotarli na skraj plaży, przed nimi rozciągała się wstęga piasku.

– Dlaczego miałabym to robić, Hollis? Przez lata miał mnóstwo okazji, żeby się ze mną skontaktować. Mógł przyjść do szpitala po śmierci mamy. Podejść do mnie na pogrzebie, przecież tam był. Mógł w każdej chwili przyjechać do moich dziadków i powiedzieć: „Hej, chcę uczestniczyć w jej życiu”. Ale tego nie zrobił. Trzymał się na odległość.

– Wiesz to na pewno?

Podniosła na niego wzrok.

– Co chcesz powiedzieć?

– A jeśli był u twoich dziadków?

– Myślisz, że wiedzieli?

Hollis wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale coś się za tym kryje, Em. Twoja babcia musi mieć powód, żeby go nie lubić.

Pokręciła głową.

– Nie, byłoby to zbyt okrutne, nawet jak na nią.

Po krótkiej pauzie Hollis podjął wątek:

– Może miał więc inny powód, dla którego pozostawał daleko.

Emily cofnęła się o krok.

– Nie wierzę. Trzymasz jego stronę.

Hollis podszedł bliżej, ale się od niego odwróciła.

– Nie trzymam niczyjej strony. Mówię tylko, że z nim rozmawiałem, Em. Wydaje się szczerzy. Sprawiał na mnie wrażenie ojca, który mocno w życiu nawalił i po prostu szuka szansy na naprawienie tego, co sknocił.

– A ty dobrze to rozumiesz, prawda? – powiedziała ze złością. – Pozwoliłeś Janie samotnie wychowywać Jolie, wysyłając jej pieniądze, tak jakby akurat tego najbardziej potrzebowały.

– Emily, przestań.

– No i proszę. Chciałeś dostać drugą szansę, a ponieważ jesteś Hollisem McGuire’em, to ją dostałeś. Owinąłeś sobie tę dziewczynkę wokół palca – a co będzie, jeśli znowu ją zawiedziesz? Co wtedy?

– Już nigdy jej nie zawiodę.

– Tego nie wiesz. Ludzie tak robią. Ranią siebie nawzajem.

Hollis sposepniał.

– Wiem, Emily, że jesteś wytrącona z równowagi.

– Nie w tym rzecz. Uważasz, że skoro Jack Walker zjawił się tu, by wyremontować mi dom, to znaczy, że dojrzał do bycia moim ojcem. I coś ci powiem. Nie potrzebuję już tatusia. Nie potrzebuję nikogo.

– Więc co? Zamierzasz uciec? – Wycelował w nią wzrok. – Ponieważ tak właśnie postępujesz, prawda? Uciekasz.

– Tak jak ty zwałeś od Jolie? – Jej głos był pełen goryczy. Wcale się jej to nie podobało, lecz nie potrafiła nad sobą zapanować. Emocje wzięły górę, grzebiąc wszelką logikę i życzliwość.

Wydawał się dotknięty, ale tylko przez chwilę. Westchnął łagodnie.

– Nigdy nie zagrzałaś nigdzie miejsca dłużej niż rok. Nigdy nie nawiązałaś z nikim głębokiej relacji. Kiedy sprawy się komplikują, ty uciekasz, Emily. Ale najpierw trzeba przetrwać burzę, żeby zaświeciło słońce. Nie rozumiesz?

– Znalazł się ekspert od relacji – zauważyła z ironią. – Spędziłeś z córką raptem kilka tygodni i uważasz, że już wszystko gra.

– Nie, wcale tak nie uważam. Czeka mnie mnóstwo pracy. Myślisz, że tego nie wiem?

– A wiesz?

– Oczywiście, że tak. Jack też wie. Zbłądził, ale może wydarzyło się coś jeszcze. Może istnieje wyjaśnienie. Nie powinnaś przynajmniej go wysłuchać?

– Próbowałam! Praktycznie nic mi nie powiedział.

Hollis odgarnął dłonią włosy i się odwrócił.

Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała myśleć o brnięciu w burzy – jedyne, czego chciała, to żeby wszystko zniknęło. Żeby on też zniknął.

– Wiem, że jest ci trudno – ciągnął. – Ale trudno nie zawsze znaczy źle. Trudności mogą odmienić życie, jeśli na to pozwolisz.

– Pewnie masz zamiar prawić mi o Bogu i o tym, jak bardzo mnie kocha? Jak to jest zawsze przy mnie w ciężkich chwilach?

Patrzył na nią w skupieniu.

– Nie miałem takiego zamiaru, ale ja w to wierzę.

– No cóż, a ja nie. Próbowałam prosić Go o pomoc i oto, co z tego wynikło.

– Może zatem nadszedł czas, by poznać prawdę. Może jest ci to potrzebne do ruszenia z miejsca.

– Właśnie dlatego trzymam wszystkich na bezpieczny dystans. Właśnie dlatego.

– Bo co? Bo to nieprzyjemne i zawile? Bo budzi w tobie emocje? – Hollis zmusił ją do spojrzenia mu w oczy. – Co jest złego w uczuciach? Skoro czujesz, znaczy, że żyjesz.

Odwróciła głowę.

– Wiem, że ten zeszyt z listami jest dla ciebie wszystkim, Emily, ale czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że twoja mama nie znała wszystkich odpowiedzi?

Emily otuliła się ramionami. Nie. Nie będzie teraz mówił jej o listach. Starła się nie słuchać, lecz on nie milknął i nie zamierzał dać jej spokoju, choćby bardzo tego pragnęła.

– Była młoda. Nie miała czasu na zmianę zdania w żadnej z kwestii, o których pisała. Naprawdę chcesz opierać całe swoje życie na radach dwudziestopięcioletki?

– Była jedyną osobą, która naprawdę mnie kochała.

– To nieprawda – zaoponował Hollis. – A co do tego, co mówiła o miłości... nie jest tak, Emily.

Szloch ścisnął jej gardło. Przełknęła łzy i odwróciła się do niego plecami. Nie chciała o tym rozmawiać.

– Przekonywała, żebyś kierowała się rozważą. Żebyś była ostrożna. Żebyś nie ryzykowała i strzegła swego serca. – Zaszedł ją od przodu, położył jej dłonie na ramionach i zajrzał w oczy. – Nie można tak żyć. Nie można tak kochać. Nie chcę być ostrożny. Chcę skoczyć na główkę. Dać ci siebie w całości, bez zbędnych pytań. A kiedy nadejdą trudne chwile, chcę przebrnąć przez nie razem z tobą. Być przy tobie, gdy będziesz rozprawiać się z trudnościami. Nigdzie się stąd nie wybieram.

Pokręciła głową. Nie potrzebowała Hollisa ani nikogo innego. Nie potrzebowała litości ani pomocy. Potrzebowała natomiast uciec od tego wszystkiego jak najdalej.

– Ty po prostu nie rozumiesz. Nie rozumiesz, ponieważ jesteś taki jak on.

Hollis się odsunął.

– Słucham?

– Jedyne różnica polega na tym, że ty miałeś wszystko – byłeś bogaty i sławny, i wszyscy cię lubili – poza czasem dla własnej córki.

– Tłumaczyłem ci to, Emily.

– Pamiętam, co mówiłeś. Skomplikowała ci się rzeczywistość. Miałeś problemy. Jak gdyby mogło to usprawiedliwić nieobecność ojca w życiu swojego jedyne dziecko. Jak gdyby mogło być wymówką, dlaczego nie widywałeś się z córką i pozwalałeś, żeby jej życie płynęło gdzieś obok.

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Nic dziwnego, że trzymasz stronę Jacka. Nic dziwnego, że chcesz, bym dała mu drugą szansę. Ponieważ jeśli tego nie zrobię, poczujesz, że i ty na nią nie zasługujesz z Jolie. I wiesz co? Może to prawda.

Hollis zwiesił ramiona. Tym razem dotknęła go do żywego. Nic nie przywróci tego, co było. Już

to przerabiała. Zbliżyła się za bardzo i tylko w ten sposób mogła uzyskać niezbędny dystans pomiędzy sobą a mężczyzną, którego, jak się jej wydawało, kocha. Tylko w ten sposób mogła chronić własne serce.

– Emily, czego ty naprawdę chcesz? – zapytał, szukając jej spojrzenia. – Nie pytam, czego chce twoja mama albo twoja babcia, tylko czego chcesz ty.

Patrzyła w jego pełne bólu oczy o wiele dłużej, niż powinna; obrazy życia, które przed nią nakreślił, przesuwały się w myślach niczym zapętlona taśma filmowa.

*Chcę mieć swoje miejsce.*

Ale nie miała. I nie będzie miała. Ani u boku Hollisa, ani kogokolwiek. Nie potrafiła zmierzyć się z faktem, że wszystko to nie ma sensu i że nic nie jest takie, jakie się wydaje.

– Żegnaj, Hollis – powiedziała, odwróciła się i odeszła.



Hollis patrzył za oddalającą się Emily. Pójście za nią byłoby błędem, a poza tym nie potrafił znaleźć słów. Czy ona naprawdę wierzy w to, co o nim powiedziała? Westchnął głęboko, modląc się, by Bóg sprawił, że Emily zmieni zdanie. Czowała się skrzywdzona – to rozumiał – jednak nie chciał jej utracić. Czy popełnione przez niego błędy są dla niej zbyt bolesne, by zdołała mu wybaczyć? Za bardzo przypominają, jak potraktował ją jej własny ojciec?

Odwrócił się, zrobił krok w stronę domu i wtedy zauważył stojącą z boku Jolie. Patrzyła na niego bykiem.

– Cześć, JoJo.

Wykrzywiła twarz.

– Widzisz? Wiedziałam, że wszystko zepsujesz!

Odbiegła w kierunku domu, Tilly tuż za nią, zostawiając Hollisa na pustej plaży z poczuciem bezradności.

## Rozdział 44

Sierpień 2001

Isabelle rzadko gdzieś wychodziła. Zaakceptowała życie samotnej matki, prawie wcale nie umawiała się na randki i generalnie porzuciła marzenia o podróżach po świecie. Oczywiście, wyjeżdżała za granicę z rodzicami i Emily, ale nie o takich podróżach marzyła przed laty.

Kiedy była młoda, głupia i przez chwilę pochopna.

I choć nie zamieniłaby córki na nic w świecie, zdarzało się jej zastanawiać, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby tak wcześniej nie zaszła w ciążę, gdyby nie straciła tak nagle JD, gdyby nie powróciła do życia, którego od niej oczekiwano, nie rozpoczęła studiów i tuż po ich zakończeniu nie podjęła pracy w jednej z firm ojca.

Może ciężar tych myśli skłonił ją do zgody na wieczorne wyjście z trzema przyjaciółkami, które znała od wielu lat. Wszystkie były teraz młodymi mamami i wszystkie narzekały, jak to nigdy nie mają czasu dla siebie. Plan zakładał całonocną zabawę i niewspominanie o dzieciach.

Szybko się okazało, że nie wypalił. Siedząc przy stoliku w Chicken Box, Isabelle słuchała, jak przyjaciółki gędzą o pieluchach, ząbkowaniu i nieprzespanych nocach. Prędko ją to znudziło, więc zaczęła obserwować ludzi w zatłoczonym barze, który nie przypominał miejsc, gdzie zwykle bywała.

Lokal był bezpretensjonalny i skromny, jak kumple JD sprzed lat. Trudno było mieszkać na wyspie i o nim nie myśleć. Trudno patrzeć na Emily i nie dostrzegać podobieństwa.

Lustrowała tłum, jej wzrok błądził po grupce osób grających w rzutki, garstce ludzi przy stole bilardowym i parkiecie, gdzie dwie pijane kobiety robiły z siebie kompletne idiotki.

– Powinam już wracać do domu – oznajmiła z roztargnieniem.

– Zwariowałaś, Isabelle? – zaskrzeczała Janet. – Dopiero jedenasta.

Jednak Isabelle była zmęczona. Wstała.

– Czeka mnie jutro wczesna pobudka.

Rebecca wykrzywiła twarz.

– Dlaczego?

– Moja córka ma próbę do *Pajęczyny Charlotty*. Lepiej wszystkie kupcie bilety, bo jak nie, uznam to za osobistą zniewagę. – Z uśmiechem wzięła do ręki torebkę.

Nim zdążyła się odwrócić, zmroził ją głos za plecami.

– Bella?

Rebecca, Janet oraz trzecia przyjaciółka, Dawn, patrzyły wszystkie za plecy Isabelle, tam, skąd dobiegł głos. Głos, którego nie słyszała od dwunastu lat, lecz którego nigdy nie zapomni.

Błyskawicznie się odwróciła i ujrzała przed sobą krzepkiego, nieco starszego z wyglądu JD.

– Wydawało mi się, że to ty – powiedział do niej z uśmiechem.

Uderzyła go w twarz. Mocno.

Chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał.

Z wbitym w niego wzrokiem czekała, aż uspokoi się jej oddech.

– Miałem nadzieję, że to ty. – Podniósł jej dłoń do ust i złożył na niej długi pocałunek. W miarę upływu kolejnych sekund stanowczość Isabelle słabła coraz bardziej.

Nawet po tak wielu latach – nawet po tym, co zrobił – wciąż wystarczyło jedno jego spojrzenie, by ją zauroczyć.

Wyrwała dłoń, przewiesiła torebkę przez ramię i zaczęła torować sobie drogę przez tłum. Uszła nie więcej niż parę metrów, gdy poczuła jego rękę chwytającą ją za ramię. Próbowała się uwolnić, ale uścisk był zbyt mocny – mocny, a zarazem delikatny, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że nigdy by jej nie skrzywdził.

A przecież skrzywdził... Sprawił jej ból gorszy od najsilniejszego nawet bólu fizycznego.

– Co robisz? – Odwróciła się do niego nerwowo.

– Muszę z tobą porozmawiać. Możemy wyjść na zewnątrz, gdzie jest spokojnie?

Zawahała się.



– Tylko na minutkę. Proszę cię, Bella.

W jednej sekundzie znów miała siedemnaście lat, stała przed JD i się zastanawiała, jak by to było, gdyby był „na zawsze” jej.

Jego dotyk. Pocałunek. Oczy. Jakże znajome, a jednak nie miała do tego wszystkiego prawa.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, JD.

Przepychała się dalej przez tłum, marząc o zniknięciu. Wyszedł za nią na zewnątrz, a gdy znaleźli się z dala od hałasu, muzyki, ludzi, wreszcie odetchnęła.

Dopiero wtedy sobie przypomniała, że nie przyjechała do baru samochodem. To był pomysł Janet, żeby się tu wyrwać, a Dawn wymyśliła, że wezmą taksówkę.

Odwróciła się do niego twarzą.

– Co robisz?

– Próbuje z tobą porozmawiać – odparł.

– Nie chcę z tobą rozmawiać. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

– Wiem, że jesteś wściekła.

– Co ty nie powiesz?

– Pozwól mi wyjaśnić.

– Zwariowałeś? – krzyknęła nerwowo, a jego spokój tylko podsycił jej zdenerwowanie.

– Nie chciałem cię wtedy zostawiać. To ostatnia rzecz na świecie, której bym chciał, ale wiele czasu zajęło mi dojście do czegoś w życiu, dośrobnienie.

– O czym ty mówisz?

– Pomyśl tylko, Bella. Gdybyśmy zostali wtedy razem, jakie miałabyś życie? Walczylibyśmy o każdy dzień, a ty zasługujesz na znacznie więcej. Nasza córka zasługuje na więcej.

– Och, więc jednak wiesz, że mamy córkę – fuknęła.

– Tak – odparł smutno. – Wiem o Emily.

Isabelle pokręciła głową.

– Dlaczego wyjechałeś bez słowa? Jednego dnia snujesz plany ślubu, a następnego znikasz.

Zrobił krok w jej stronę.

– Chyba zdałem sobie sprawę, że nie jestem tym, kogo potrzebujesz. Więc odszedłem. Wyjechałem i próbowałem wszystkiego, byle tylko o tobie zapomnieć. Nawet się ożeniłem.

– Jesteś żonaty?

– Już nie. To była chybiona decyzja, starałem się, ale... – Wzruszył ramionami.

– Ale co?

– Ona nie była tobą. – Przesunął dłonią po twarzy. – Nawaliłem, a później długie lata pracowałem nad sobą, by stać się godnym ciebie człowiekiem. Jakbym przez cały czas miał w tyle głowy ten jeden jedyny cel.

– Co masz na myśli? Człowieka z pieniędzmi?

Skinął głową.

– Udało mi się, Isabelle. Teraz mogę zaopiekować się tobą i Emily. To znaczy, jeśli mnie przyjmiesz.

– Nie żartuj. – Odwróciła się do niego plecami i odeszła kilka kroków. Dlaczego akurat dziś nie wzięła samochodu?

– Wiem, że to ryzyko, Bella, ale pozwól mi się sprawdzić.

– Nie. Nie chce mi się wierzyć, że myślałeś, że pieniądze w ogóle mają dla mnie znaczenie. Tak naprawdę w ogóle mnie nie znałeś.

Zacisnął usta i głęboko westchnął.

– Znałem cię, Isabelle. Lepiej niż ktokolwiek. Kochałem cię. Wciąż cię kocham. Ale nie mów, że dalibyśmy radę bez grosza przy duszy. Byliśmy jeszcze dziećmi.

– Ale za to bylibyśmy razem. I mnie by to wystarczyło.

– Tak mówisz, a przecież wcale tego nie wiesz!

– Wiem! – wybuchnęła.

– Skąd? Skąd wiesz, że by wystarczyło?

– Ponieważ cię kochałam, JD. – Stali teraz twarzą w twarz w odległości nie więcej niż metra. To na nim skupiała się cała jej uwaga. – Poradzilibyśmy sobie – wyszeptwała. – Miałam majątek powierniczy. Miałam pieniądze.

Zasępił się i cofnął rękę.

– Tylko dlatego, że odszedłem.

Szukała w jego oczach odpowiedzi. O czym on mówił?

Widząc jej konsternację, znów ciężko westchnął, drżał mu oddech.

– Nie chciałem ci tego mówić... nigdy.

– Czego?

– Dlaczego naprawdę wyjechałem.

Po wysłuchaniu opowieści o tym, jak zaszantażowali go jej rodzice, jak kazali uwierzyć, że nie jest wystarczająco dobry dla niej i dla Emily, wszystko zaczęło nabierać sensu. Dlaczego wyjechał tak zniechęca. Dlaczego nigdy ich nie odwiedził. Dlaczego tamtego lata, gdy zaszła w ciążę, jej rodzice przeprowadzili się do Karoliny Północnej zaledwie kilka miesięcy po powrocie z Nantucket, uniemożliwiając tym samym JD jej odnalezienie.

– Nigdy nie chciałem cię opuścić, Bella. Po prostu uważałem, że nie mogę zapewnić ci takiego życia, na jakie zasługujesz, i nie chciałem przyłożyć ręki do twojego wydziedziczenia. Ty i Emily zasługiwałyście na wszystko – tylko w taki sposób mogłem wam to zapewnić.

Patrzyła mu w oczy, nie potrafiąc – albo nie chcąc – oderwać od niego wzroku.

Złość, smutek, żal i poczucie krzywdy – te wszystkie uczucia wymieszały się ze sobą i ścisnęły ją w dołku.

– Naprawdę mnie kochałeś? – Słowa zabrzmiały żałośnie, cicho, ale musiała znać prawdę. Po dwunastu latach kłamstw potrzebowała prawdy.

Ujął jej twarz w dłonie, tak jak robił to już tylekroć całe wieki temu, i podszedł bliżej. Kciukami łapał łzy i ocierał je do sucha, a potem delikatnie pocałował ją w czoło i oba policzki.

– Nigdy nie przestałem.

Patrzyła mu w oczy, szukając w nich jakiejś przesłanki do ucieczki.

Nie znalazła żadnej, widziała jedynie tę samą autentyczną miłość, którą znajdowała w nich za każdym razem.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci udowodnić, że można mi zaufać. I jeśli nie jest za późno, zastanawiam się, czy nie moglibyśmy zacząć od nowa?

Położyła ręce na jego dłoniach nadal obejmujących jej twarz i zamknęła oczy.

– Obiecuję, Isabelle, że nie popełnię drugi raz takiego samego błędu. Jeśli mi pozwolisz, będę kochał cię do końca życia.

Otworzyła oczy i wpatrzona w niego skinęła głową.

– Tak? – Jego usta powoli rozciągały się w szerokim uśmiechu.

Skinęła ponownie. Dotknął wargami jej ust i pocałował ją z tłumioną namiętnością, która nie znalazła ujścia przez dwanaście lat.

– Chcę, żebyś ją poznał – zdecydowała. – Chcę, żeby ona poznała ciebie.

– Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Kolejny pocałunek – i kolejny – i poczuła ramiona otulające ją tak, jak o tym czasem marzyła późnymi wieczorami.

Czy to dzieje się naprawdę?

– Pojadę po nią i ją przywiozę, ale najpierw chcę porozmawiać z rodzicami.

Wsparł czoło na jej czole.

– Mogę pojechać z tobą.

– Nie – odparła. – Muszę zrobić to sama. A potem będziemy razem i już nikt nam w tym nie przeszkodzi.

Uśmiechnął się, gdy uwolniła się z jego objęć.

– Gdzie cię znajdę?

– W domku ciotki. Przy Cliff Road.

Oddech uwiązał jej w gardle.

– W naszym domku?

– W naszym domku – potwierdził.

Stanęła na palcach i znów go pocałowała, tym razem powoli, niespiesznie, bez dawnej gorączkowości.

– Kocham cię, JD Walker – wyszeptała.

– Ja też cię kocham.

Gdy wsiadła do taksówki, która miała zawieźć ją do domu rodziców, do Emily, serce podskoczyło jej na myśl, że może wreszcie – wreszcie – zaznają wspólnego szczęścia.

## Rozdział 45

Emily powlokła się noga za nogą do domu, tak zła na Hollisa, że nawet zastanawiała się przez krótką chwilę nad zadaniem mu ciosu pięścią, zaintrygowana, jakie by to było uczucie. Pomysł dość absurdalny, wziąwszy pod uwagę fakt, że jego twarde jak skała mięśnie brzucha prawdopodobnie wyrządziłyby większą krzywdę jej pięści niż jemu samemu, ale i tak go rozważała. Spodziewała się, że będzie trzymał jej stronę, ale wtedy poczułby dyskomfort z powodu własnych błędów, czyż nie tak?

Oczywiście, że stanął po stronie Jacka. Był taki sam jak on.

Na tę myśl skręcił się jej żołądek. Powrót do Nantucket był jej największą życiową pomyłką, a przecież miała ich na swoim koncie niemało.

Pocłapała przez ogród i weszła do domu przez rozsuwane drzwi. Zamknęła je za sobą. W kuchni natknęła się na babcię, wyprostowaną jak modelka na wybiegu.

Nigdy nie rozumiała tej kobiety. Pochodziły z dwóch różnych światów – Emily poświęciła kawał życia na próby pogodzenia osoby, na jaką w jej wyobrażeniu chciałyby wychować ją matka, z osobą, w którą próbowała zmienić ją babcia.

Emily zastygła, a babcia obrzuciła ją długim, wymownym spojrzeniem. Zgadza się, pożyczyła samochód bez pytania, ale babcia też nie pytała jej o zdanie, zwalniając Jacka. Odmawiała wypełnienia wszelkich luk w historii. Znała odpowiedzi, natomiast Emily miała wyłącznie pytania.

Nie spuszczała wzroku z twarzy starszej kobiety, wykrzesła z siebie całą odwagę, jaką udało się jej w sobie znaleźć, i wysunęła brodę.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wyprostowane ramiona babki się usztywniły.

– O czym?

– O Jacku.

Eliza zacisnęła wąskie usta tak mocno, że zniknęły.

– Przepraszam Emily, wiem, że chciałaś przeprowadzić ten remont po swojemu, ale musiałam interweniować, gdy zobaczyłam niektóre z twoich błędów.

– Nie o tym mówię.

Babka delikatnie uniosła brew.

– Nie uważasz, że jesteś mi winna wyjaśnienia? Czy nie zasługuję nawet na nie?

– Nie mam bladego pojęcia, o co ci chodzi.

Emily podeszła do dużej wyspy, którą Jack zamontował na środku kuchni. Położył piękny granitowy blat na białej konstrukcji z szufladami i szafkami, które miały pomieścić kuchenne ściereczki, miski i półmiski. Efekt był piękny – nawet babcia musiała to przyznać.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jest moim ojcem?

Eliza rzuciła jej błyskawiczne spojrzenie.

– Co powiedziałaś?

– Nie musisz dłużej udawać. Znam prawdę. Rozmawiałam z Jackiem.

– I on ci tak powiedział?

– Znalazłam coś takiego. – Emily wyjęła z kieszeni kopię artykułu i podała ją babci nad blatem.

Ta ostrożnie wzięła kartkę do ręki i rzuciła tylko okiem, jakby doskonale wiedziała, co tam zobaczy.

– I co to ma z czymkolwiek wspólnego?

– Był tam. Na pogrzebie mamy.

Babcia zmrużyła oczy.

Emily wskazała palcem nieostrą sylwetkę młodego Jacka Walkera.

Eliza ściągnęła brwi.

– Och, skąd taka pewność?

– To on, babciu. Nie zaprzeczył.

Kobieta wykonała taki gest, jakby opędzała się od wyimaginowanego owada.

– Ten człowiek to same kłopoty. Było tak od zawsze i już się nie zmieni.

– Wiedziałaś od początku – rzekła Emily, a ta świadomość spłynęła na nią z taką siłą, że o mało się pod nią nie ugięła. – Dlaczego trzymałaś to przede mną w tajemnicy?

– Co powiedział ci Jack?

– Nic. Nie chciał mi nic powiedzieć.

Babcia próbowała ukryć zaskoczenie, lecz Emily widziała je jak na dłoni. Ciekawe, o czym myślała?

– Więc teraz ty musisz mi powiedzieć. Minęło osiemnaście lat. Więcej, jeśli doliczysz wszystkie lata przed śmiercią mamy. Coś się wydarzyło i chcę wiedzieć co.

Eliza podeszła do zlewu i wyjrzała przez okno na ocean. Odwrócona do Emily plecami wydawała się drobna i koścista, jej ciało było kanciaste, całkowicie pozbawione miękkich linii.

– Jack Walker zjawił się w Nantucket na rok przed maturą twojej matki. Od początku stwarzał same problemy – wszyscy to widzieli. – Eliza wciąż stała tyłem do Emily.

*Ponieważ nie był bogaty, jak wy wszyscy? Ponieważ był jak Hollis?*

Emily oparła się pokusie wypowiedzenia na głos słów, które cisnęły się jej na usta. Zamiast tego opadła na kuchenny taboret. Czy w końcu odbędą tę rozmowę? Czy po tylu latach doczeka się wreszcie odpowiedzi?

– Twoja matka nigdy wcześniej się nam nie przeciwstawiała, ale po poznaniu Jacka stała się kwintesencją buntowniczką. Dowiedzieliśmy się o tej jej fascynacji i próbowaliśmy położyć jej kres – twój dziadek nawet poszedł do jego szefa w klubie... – Raptem umilkła, jakby się rozmyśliła i nie chciała kontynuować tego wątku.

– Czy to dziadek stał za zwolnieniem Jacka z pracy?

Eliza skrzyżowała na piersi ramiona i stanęła twarzą do Emily z tą swoją wszystkowiedzącą, świętszą od papieża miną.

– Po prostu wytknął kilka problemów, które miał z nim na polu golfowym.

– Zwolnili go przez dziadka – skonstatowała Emily.

– Jack nie był święty, Emily – rzekła babcia. – Nie rób z dziadka drania.

Emily z westchnieniem zasznurowała usta – przynajmniej na razie.

– Zresztą i tak nie miało to znaczenia – dodała babcia. – Niemal natychmiast znalazł inną pracę w klubie jachtowym.

*Na szczęście* – pomyślała Emily.

– Twoja matka nie chciała przestać się z nim spotykać. Mówiła, że go kocha, co najmniej jakby miała jakiegokolwiek pojęcie, czym jest miłość. – Eliza machnęła ręką. – Robiliśmy wszystko, żeby ich rozdzielić, a kiedy okazało się, że Isabelle jest w ciąży, stało się jasne, że mieliśmy rację. Chłopak nabuzowany hormonami napierał na Isabelle, żeby się z nim przespała, i całe jej życie – wszystko, co dla niej zaplanowaliśmy – legło w gruzach.

Emily skuliła ramiona. *W gruzach.*

– Och, nie rób takiej miny. Wiesz, że nie mam na myśli nic negatywnego. Ty byłaś oczywiście darem, którego nie oddalibyśmy za żadne skarby, ale okoliczności twoich narodzin były dość niefortunne. Takie są fakty.

Emily odwróciła wzrok i ze wszystkich sił starała się powstrzymać łzy.

*W gruzach.* Czy zniszczyła matce życie? Czy tak ciężko pracowała, ponieważ chciała jej to wynagrodzić? Podróże, przygody, realizowanie jej marzeń – czy próbowała odkupić grzech swoich narodzin?

– Tak czy owak, Jack dowiedział się o ciąży i kilka dni później się ulotnił – powiedziała z drwiną, deprecjonując jego osobę nawet po tylu latach.

Emily przypatrywała się babci. Zawsze była dumną kobietą. Uwielbiała debaty, szczyliła się umiejętnością ich wygrywania. Zawsze roztaczała wokół siebie taką aurę, że inni, włączając Emily, czuli, iż swoim poziomem nie dorastają jej do pięt. Eliza wykrzywiła twarz.

– W tej historii kryje się coś więcej, prawda, babciu? – Emily nie zamierzała ustąpić, póki nie dostanie odpowiedzi, ani zadowolić się powtarzaną w kółko bajką.

– Co mam ci powiedzieć, Emily?

– Prawdę. Chcę znać całą prawdę.

Babcia zrobiła krótki wdech, a następnie wypuściła powietrze z ciężkim westchnieniem.

– Co chcesz wiedzieć? Czy zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić ci najlepsze możliwe życie? Oczywiście, że tak, i zrobiłabym to ponownie bez mrugnięcia okiem.

Emily świdrowała ją wzrokiem.

– Co zrobiłabyś ponownie?

Nigdy nie widziała wyrażonej z równowagi babci. Aż do teraz. Wyglądała – po raz pierwszy za pamięci Emily – jak osoba, która nie wie, co powiedzieć. Jak ktoś, komu zabrakło słów, by przeinaczyć albo zbagatelizować prawdę. Krótko mówiąc: jak człowiek przyparty do muru.

– Emily, twoja matka była bardzo młoda – powiedziała po kilku dłużących się sekundach. – Młoda i niemądra. I wydawało się jej, że kocha tamtego chłopaka.

Emily zdławiła w sobie chęć przerwania Elizie.

– Po tym, jak dowiedziała się o ciąży, uroiła sobie, że wyjdzie za tego chłopaka za męża... za chłopaka od noszenia kijów golfowych.

Ostatnie słowa zabrzmiały w jej ustach jak przekleństwo.

– Wiedzieliśmy, że nic z tego nie będzie – ciągnęła Eliza. – Wiedzieliśmy, że Jack Walker nie zdoła utrzymać naszej córki. Isabelle wybierała się na studia. W szkole była prymuską. Jak na Ackermanów przystało.

– A Jack Walker był dzieciakiem z biednej dzielnicy.

– Och, wiem, jak to brzmi – rzekła babcia. – Jak komunał. Jak ograna do znudzenia filmowa historia, jednak taka była prawda. Tamten chłopak nie nadawał się dla Isabelle i z pewnością nie nadawał się dla ciebie. – Zaciśnęła usta w wąską kreskę.

– Więc co zrobiłaś?

Z miną niewiniątka wzruszyła ramionami.

– To, co zrobiłaby każda matka przy zdrowych zmysłach. Przedstawiłam Jackowi opcje.

– Opcje?

– Odwiedziliśmy Jacka Walkera w klubie jachtowym. Był na pokładzie, dowcipkował z kolegami jakby nie miał w życiu żadnych zmartwień. Jak gdyby jego czyny nie wyrządziły nieodwracalnych szkód.

– Wiedział, że mama jest w ciąży?

– Oczywiście, że tak. Jak myślisz, kto wbił jej do głowy ten absurdalny pomysł ślubu i zamieszkania w Bostonie w mikroskopijnym mieszkanku?

Emily pokręciła głową.

– Nie wiedziałam, że to absurdalny pomysł.

– Cóż, twoja matka nie chciała słuchać głosu rozsądku. Z całkowitą determinacją zamierzała bawić się w dom z tym poznanym w Nantucket biedakiem. Wszyscy wiedzieliśmy, jak by się to skończyło.

– Poszliście z nim porozmawiać i...

– I jasno postawiliśmy sprawę. Po prostu pokazaliśmy mu nagą prawdę.

– Czyli co?

– Że my możemy zapewnić matce i dziecku życie, które dla niego jest i będzie nieosiągalne.

– Czyli oznajmiście mu, że nie jest dla niej wystarczająco dobry.

– Nie tylko dla niej. Dla ciebie również.

Emily zatkało. Nie znajdowała żadnych słów. Babcia nie okazywała najmniejszej skruchy, jakby jej czyny były w pełni usprawiedliwione.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że uległ bez walki – oznajmiła Emily. – Skoro tak za sobą szaleli.

– No cóż, kiedy Alan mu powiedział, że odetniemy ją od pieniędzy, jeśli zrealizują swój idiotyczny plan, Jack zrozumiał swój błąd.

Emily poczuła silny skurcz żołądka.

– Co takiego mu powiedział?

– Nie dziw się tak, Emily. Zwyczajnie wyjaśniliśmy, że jeśli pozostanie w życiu naszej córki,

przestaniemy ją utrzymywać. Bądź co bądź na tym polega dorosłość. Czy rzeczywiście chce być przyczyną utraty przez Isabelle jej majątku powierniczego oraz całej reszty, którą miała odziedziczyć? To wystarczyło, żeby się usunął.

– Ponieważ wmówiliście mu, że nie jest w stanie o nas zadbać. Przekonaliście, że tylko wasz model życia może dać nam szczęście.

– Nie myliłam się – odparła babka.

– Czy moja matka o tym wiedziała?

Eliza otuliła się ramionami, jakby nagle bezbronna. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy wydawała się odrobinę zasmucona.

– Jestem zmęczona, Emily. Dokończmy tę rozmowę jutro.

– Nie. – Emily wstała. – Nie wiedziała, że mój ojciec ją kochał. Myślała, że zostawił ją z mojego powodu. Od zawsze żyłam z przekonaniem, że to przeze mnie nie doczekała się nigdy szczęśliwego zakończenia tej historii.

– Emily, to nie miało żadnego związku z tobą.

– Jak możesz tak mówić? – Podniosła głos. – Wszystko stało się przeze mnie.

– Nieprawda.

– Dowiedziała się, co zrobiłaś?

Babcia westchnęła.

– Na początku nie. Ale tamtego lata, kiedy miała wypadek, Jack wrócił na wyspę. Domyślam się, że wpadli na siebie przypadkowo i o wszystkim jej powiedział. Oczywiście robiąc z nas czarne charaktery.

– O to się wtedy kłóciliście.

Eliza przytaknęła.

– Była na nas wściekła i jak zwykle nie chciała słuchać rozsądku. Nie wiem, ile pamiętasz z tamtej nocy, w każdym razie mama wpadła w histerię. Było to doprawdy żenujące.

Żenujące? Dla kogo?

– Babciu, tamtej nocy zawalił się jej cały świat – powiedziała Emily, łącząc wszystkie fakty.

– Przecież wszystko, co zrobiliśmy, zrobiliśmy dla ciebie, dla was obu. Z pewnością to rozumiesz. Wiodłaś cudowne życie dzięki nam.

– Za to ona nie miała nawet możliwości dokonania własnego wyboru. Wy zdecydowaliście za nią.

– Och, Emily, proszę. Pewnego dnia, kiedy sama będziesz miała dziecko, zrozumiesz. Dzieciaki nie wiedzą, czego chcą. Nie wiedzą, co jest dla nich najlepsze.

Emily przestąpiła z nogi na nogę.

– Babciu, utrata Jacka złamała mamie serce. Ty złamałaś jej serce. Nie wydaje mi się, by kiedyś się z tego otrząsnęła.

– Otrząsnęłaby się z tego, gdyby żyła wystarczająco długo. Czas płynie i rozjaśnia nam w głowie. Widziałyby, na jaką wyrosłaś kobietę, i zrozumiałyby, że stało się tak dlatego, że ja i twój dziadek byliśmy obecni w waszym życiu. Nigdy niczego ci nie brakowało.

Ale to nie znaczy, że była szczęśliwa. Miała różne rzeczy. Pokażne konto w banku, wakacje, kulturę. Dorastała w domu, którego nie powstydziałaby się księżniczka. A mimo to czegoś jej brakowało. Kogoś. Miłości. Własnego miejsca. Tego, o czym mówił Hollis – prostego życia, dzieci, psa i małego domku, który można opisać tylko jednym słowem: „przytulny”.

Chciała mieć pełną rodzinę.

W serce Emily wlał się smutek, nie tylko z powodu utraconej przez matkę miłości, lecz także lat, które spędziła w przeświadczeniu, że jej własny ojciec ją odrzucił. A także – co zaskakujące – zrobiło się jej żal babci, kobiety, która nie miała pojęcia, że miłość jest często znacznie ważniejsza od rzeczy. Według Elizy w życiu liczyły się status, pieniądze, władza oraz to, co myślą o nas inni.

Tak jakby nigdy się nie zastanawiała, że życie ma do zaoferowania coś więcej.

Eliza chodziła w kółko i wykręcała ręce.

– Będę bronić naszych decyzji. To było najlepsze rozwiązanie dla ciebie i twojej matki.

Wyobrażasz sobie być wychowywaną przez Jacka Walkera?

*Może wtedy mama by żyła.*

Ta myśl pojawiła się w jej głowie bez pozwolenia. Emily robiła, co mogła, by ją od siebie odepchnąć, lecz reperkusje pozostały. Nie chciała nikogo obwiniać za śmierć mamy, ale nie da się wykluczyć, że działania dziadków bezpośrednio doprowadziły do wydarzeń tamtej nocy.

Jak zdoła im wybaczyć?

– Mogłam po prostu odwieść od tego twojego dziadka.

– Dziadka? Dlaczego?

Starsza kobieta jęknęła.

– Bo to przez niego zjawił się tu Jack Walker. Twój dziadek w całej swej mądrości zlecił wysłanie do niego listu po swojej śmierci. Przepraszał za to, jak go wtedy potraktowaliśmy, tak jakby błąd leżał po naszej stronie. Twój dziadek na starość najwyraźniej złagodniał.

– Nie rozumiem.

– Poinformował Jacka, że pozostawia ci w spadku dom, więc jak Jack otrzyma list po śmierci Alana, powinien zainteresować się Nantucket, ponieważ tam cię znajdzie.

– Chciał, żebym go poznała... – rzekła Emily głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

– Tak – potwierdziła babcia. – Na to wygląda. Nie licząc się z tym, że to ja będę musiała zebrać burzę, który zasiał.

Emily obserwowała, jak babcia podchodzi do nowiutkiej szafki kuchennej, wyjmując z niej szklankę, napełnia wodą i pije. Robiła to w sposób niemal metodyczny, jak gdyby czekała, aż Emily jak za pstryknięciem palców zrozumie jej punkt widzenia. Płonne nadzieje. Ta kobieta okłamywała ją przez całe życie, a spoglądając teraz wstecz na noc wypadku, trudno było jej nie winić.

Powietrze nagle się rozrzedziło, Emily z trudem łapała oddech. Spadło na nią zbyt wiele rzeczy naraz.

Wszystko, w co dotychczas wierzyła, było kłamstwem. I nigdy w życiu nie czuła się tak samotna jak w tej chwili.



## Rozdział 46

Emily z biletem w ręku stała w kolejce do wejścia na prom, nie oglądając się na wyspę. Skupiła uwagę na dużym statku, z którego wysypywali się pasażerowie.

Powtarzała sobie, że to nie ucieczka. Że to instynkt samozachowawczy. Powtarzała sobie, że Hollis całkowicie się co do niej mylił, że czas rozpocząć wszystko od nowa i na dobre pozostawić Nantucket za sobą.

Chociaż powtarzała sobie te rzeczy, nic nie pomagało. Wszystko w środku tęskniło za życiem, które prawie sobie tutaj, na wyspie, ułożyła. Tęskniła za Marisol, za Nan, za pozostałymi wolontariuszkami. Za dziećmi, które uczyła i pokochała. Pragnęła pozostać w ich życiu. Tęskniła za Hollisem i jego obietnicą prostego życia.

Tęskniła za własnym miejscem w świecie.

I była zła na siebie, że łudziła się, iż je znalazła.

Oczywiście, że to nie było jej miejsce. Po co się oszukiwać? Straciła z oczu swój pierwotny plan: przyjechać, wyremontować dom, wyjechać.

Gdyby tylko się go trzymała, gdyby nie dała się wciągnąć w świat Hollisa, gdyby nie pozwoliła na to, by życzliwość Nan i wdzięk Jolie przekonały ją, że jest częścią ich rodziny, wszystko byłoby dobrze.

Choć bardzo chciała zrzucić winę na Hollisa, błąd leżał po jej stronie. Jakby wciąż poszukiwała tego samego w niewłaściwych miejscach i wiecznie kończyła ze złamanym sercem.

Ból był o wiele głębszy niż tamten z powodu fiaska sztuki albo jej niespokojnego ducha, czy odkrycia prawdy o ojcu, matce i dziadkach.

Szczerze mówiąc – najbardziej zdruzgotała ją ponowna utrata Hollisa.

W milczeniu otarła spływającą po policzku łzę. W tej samej chwili poczuła, jak ktoś ciągnie ją za ramię.

– Emily?

Odwróciła głowę i ujrzała stojącą za jej plecami Jolie, nagle mocno zażenowana, że tak wyjeżdża bez słowa pożegnania. Ależ to egoizm z jej strony. Jolie nie zrobiła niczego złego, lecz myśl o utracie także i jej okazała się dla Emily zbyt trudna do zniesienia.

Dlatego wyjechała.

Uciekła.

Ta świadomość niemal ją zmiażdżyła. Może jednak Hollis miał rację.

Emily zmusiła się do uśmiechu.

– Hej, JoJo.

– Wyjeżdżasz?

– Wyjeżdżam.

– A co z przedstawieniem? To już niedługo.

*Jestem beznadziejna. Nie daję rady. Wcale na to wszystko nie zasługuję. Muszę stąd wyjechać.*

– Rozmawiałam z Marisol. Poprowadzi ostatnie próby. Jesteście zresztą przygotowani, więcej niż przygotowani. Wypadniecie wspaniale.

– Nie będzie cię na premierze?

Emily odwróciła wzrok. Kolejka do wejścia na prom zaczęła posuwać się naprzód.

– Raczej nie, JoJo. Przepraszam.

– Chodzi o mojego tatę?

Jolie bała się, że stanie się właśnie to. Emily nie mogła obarczać winą Hollisa, skoro tak wiele innych spraw przesądziło o jej decyzji.

– Nie. W każdym razie nie tak na serio. – Próbowała znaleźć słowa. – To znaczy... dużo się w tej chwili dzieje.

Dziewczynka posmutniała.

– Nikt nigdy nie mówi mi prawdy. Wszyscy uważają, że jestem za mała.

Emily знаła to uczucie.

– Po prostu niektóre rzeczy trudno jest wytłumaczyć.  
– Wiedziałam, że on wszystko popsuje. Przez niego wyjeżdżasz, a bez ciebie przedstawienie nie będzie takie dobre.

– Nieprawda.

– I już cię więcej nie zobaczę – powiedziała Jolie z oczami pełnymi łez.

Emily wyszła z kolejki i przytuliła dziewczynkę.

– To też nieprawda. W dodatku masz mój numer, więc możesz pisać do mnie, kiedy chcesz.

Jolie ciasno objęła Emily w pasie.

– To nie to samo.

– Będziemy w kontakcie, obiecuję.

Lecz już w trakcie wypowiedzania tych słów zastanawiała się, jak to możliwe. Jak zatrzymać w swoim życiu kogoś, kto będzie jej nieustannie przypominał o tym, co straciła?

Jolie odsunęła się o krok i spojrzała na Emily.

– Kochasz mojego tatę?

Emily zaskoczyła ta bezpośredniość, choć właściwie nie wiedziała dlaczego. Jolie nigdy nie owijała w bawełnę.

– Być może.

– Więc jak możesz wyjechać?

– To skomplikowane, JoJo.

– On mówił to samo. Ale myślę, że cię kocha i nie chce, żebyś wyjeżdżała.

– Nie. Jestem całkiem pewna, że po tym, co mu powiedziałam, nie może się doczekać, kiedy się mnie wreszcie pozbędzie.

Jolie sięgnęła do plecaczka i wyjęła ze środka białą kopertę.

– On nie wie, że to zabrałam. Chyba nie zamierzał tego wysłać ani nic, ale pomyślałam, że powinnaś to mieć.

– Co to jest?

– Zobaczysz.

Jolie się cofnęła, a Emily się zorientowała, że wszyscy z kolejki wsiedli już na prom.

– Na mnie już czas – powiedziała.

Jolie znów objęła Emily ramionami i przywarła do niej całym ciałem – mocno.

– Będę za tobą tęsknić.

– Ja za tobą też, JoJo. – Ledwie zdołała cokolwiek wykrztusić przez ściśnięte gardło.

Emily uwolniła się z objęć dziewczynki i zaczęła wchodzić po trapie. Znalazłszy się na górze, pomachała Jolie, która odwzajemniła ten gest. A później otarła łzy z policzków.

Wyjazd jest słuszną decyzją, więc dlaczego tak bardzo boli?

Schowała kopertę do torebki, po czym zajęła miejsce pośrodku promu, usiłując nie przypominać sobie Andrew i jego czerwono-żółtego plecaczka. Choć od jej przyjazdu na wyspę minęły dopiero dwa miesiące, tak wiele w międzyczasie się zmieniło – zmieniła się ona sama.

I tak, jakaś jej część chciała wierzyć, że to wszystko jest prawdziwe, ale tak nie było. Była to jedynie droga do poznania prawdy, że nie można ludziom ufać.

W głowie kręciło się jej od sprzecznych uczuć. Złościła się na Jacka, że nie ujawnił się wcześniej, złościła się tak bardzo, że nie miała zamiaru dać mu drugiej szansy. Przygnębiała ją utrata Hollisa, mimo że wiedziała, że tak jest bezpieczniej. Była wściekła na dziadków za ukrywanie przed nią prawdy, za ingerowanie w związek jej rodziców. Kłębiło się jej w głowie zbyt wiele pytań „co by było gdyby...” niż była w stanie udźwignąć.

A gdyby rodzice się pobrali?

A gdyby dziadkowie się nie wtrącili?

A gdyby od początku powiedzieli matce prawdę?

A gdyby Isabelle doczekała szczęśliwego zakończenia?

Sięgnęła do torby i odszukała zeszyt z listami, jej jedyny łącznik z mamą. Wyjęła list, w którym matka wyraźnie ostrzegała, by Emily była ostrożna w miłości. Przeczytała ponownie słowa, które

praktycznie znała na pamięć.

*Kochana Emily,*

*w sprawach serca nauczyłam się jednej bardzo ważnej rzeczy: ostrożności. Nie wolno szafować własnym sercem, a jeśli już pozwolisz sobie zadurzyć się na zabój w jakimś chłopaku, pamiętaj, że zawsze istnieje spore prawdopodobieństwo, że on Cię skrzywdzi. Statystycznie większość związków się kończy, więc mądrze będzie zachowywać naprawdę dużą ostrożność.*

*Żadnej lekkomyślności. Z niej wynikają tylko kłopoty.*

Hollis w to wszystko nie wierzył. Oświadczył wprost, że jej matka się myliła. A Emily przyznawała, że prawie dała się przekonać – w jego ustach miłość brzmiała zupełnie inaczej, jawiła się jako coś, dla czego warto ryzykować sercem.

Ale Emily wiedziała lepiej.

Patrzyła na oddalające się nabrzeże. Podeszła do okna i starała się nie odtwarzać w myślach wszystkich wspomnień tego lata, lecz poniosła druzgocącą klęskę.

Tak jakby wszystkie szczęśliwe chwile zapętlily się w jej głowie i nieustannie przewijały od nowa.

Wśliznęła się na siedzenie przy oknie, wciąż patrząc na malejącą coraz bardziej wyspę.

*Tak właśnie postępujesz, prawda? Uciekasz.*

Słowa Hollisa przedzierały się do jej świadomości, niechciane wspomnienie.

Nie uciekała.

Podjęła świadomą decyzję. Doszła do wniosku, że nie chce ryzykować cierpieniem. A to nie to samo.

Oparła głowę o szybę i zamknęła oczy, marząc o zapadnięciu w sen, lecz zamiast tego wciąż rozmyślała o tym, czego dowiedziała się o swoich rodzicach i dziadkach.

Jack i Isabelle się w sobie zakochali – była to młodzieńcza miłość napędzana hormonami, niemniej miłość. Matka podeszła do niej z absolutną lekkomyślnością, czyli uczyniła dokładnie to, przed czym sama przestrzegała Emily. Nic nie mogło jej powstrzymać. I choć popełniała błędy, Emily musiała wierzyć, że matka kochała Jacka tak, jak nikogo przedtem.

A później wmieszali się rodzice, rozdzielili parę, złamali serce własnej córce.

Isabelle pisała tamten list w bólu, ku przestrodze – jakkolwiek sama wcale nie wzięła sobie tego ostrzeżenia aż tak bardzo do serca.

Hollis powiedział, że matka się myliła.

Emily długo nad tym dumiała. Czy mama wyrzuciłaby ten list, gdyby pożyła kilka lat dłużej? Powróciła myślami do nocy wypadku. Wcześniej w mieście natknęła się na Jacka, który musiał powiedzieć jej prawdę. Wyjaśnić, że nie chciał odejść, ale był przekonany, że to najlepsze rozwiązanie dla Isabelle i Emily. Przekonany przez jej rodziców.

Isabelle wpadła w furję. Była wściekła. Jechała na Cliff Road.

Jack mieszkał przy Cliff Road.

Isabelle jechała do Jacka. Po wszystkim, co się stało, zamierzała dać mu drugą szansę. Przedstawić go córce.

Kochała go pomimo tego wszystkiego, przez co przeszli.

Emily otworzyła oczy, lecz nic nie widziała. Jej myśli krążyły wokół spraw, które właśnie sobie uświadomiła.

Matka zapomniała o rozwadze. Skoczyła na główkę. Postąpiła wbrew własnej radzie w nadziei, że jej związek z Jackiem ożyje na nowo.

Wybrała miłość.

Emily mrugała powiekami, chcąc powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Gdyby dano jej szansę... Gdyby Jackowi dano szansę. Zapomniała przez moment o własnym cierpieniu i poczuła dogłębnie ból,

który musieli przeżywać jej rodzice, gdy zdali sobie sprawę, jak wiele zmarnowali czasu. Czuła ból Jacka, kiedy dowiedział się o śmierci Isabelle, kiedy dotarło do niego, że już nigdy nie będzie mógł niczego między nimi naprawić.

Hollis pytał Emily, czego pragnie – nie czego pragnęła jej mama albo babcia, tylko czego chce ona sama. Nie potrafiła odpowiedzieć, ponieważ prawda była taka, że to, czego pragnęła, kłóciło się z tym, czego, jak sądziła, pragnąć powinna.

Chciała poczuć to samo, co wiele lat temu, zanim umarła matka – że do kogoś należy. Ale ofiarowanie komuś siebie to ogromne ryzyko i Emily nie była pewna, czy jest gotowa je podjąć.

Ból ścisnął wewnątrz. Czy jednak już nie podjęła ryzyka? Z Hollisem, z Jolie, z każdym dzieckiem biorącym udział w reżyserowanym przez nią przedstawieniu?

Emily kochała ich wszystkich – dawali jej poczucie celu. Zamiast żyć tylko dla siebie i tak zwanych marzeń, odkrywała, że może odgrywać aktywną rolę w życiu innych ludzi, a nigdy dotąd tak tego nie postrzegała.

Nigdy nie czuła się tak spełniona.

Pamiętała, jak przytulała na przesłuchaniach Martę i zapewniała ją, że sobie poradzi. Albo jak przyglądała się chichoczącym Jolie i Alyssie, przyjaciółkom teraz już chyba do grobowej deski. Pamiętała, jak dzieci słuchały jej rad i dzięki nim nabierały większej pewności siebie na scenie. Pamiętała to uczucie, że pomogła stworzyć dla nich bezpieczne miejsce do rozwijania twórczych skrzydeł, zawierania przyjaźni, robienia rzeczy, o których umiejętność może nawet same siebie nie podejrzewały.

Ale to iluzja. Bajka. Nagle znów miała jedenaście lat i wyruszała stąd z niczym.

Straciła wszystko.

Sięgnęła do torebki i wyjęła kopertę, którą wręczyła jej Jolie.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi otworzyła ją i rozprostowała złożoną kartkę papieru.

*Emily,*

*zostawiłaś mnie samego na plaży dosłownie przed chwilą, ale ja już wiem, że wyjeżdżasz. Powiedziałem wiele słów, których żałuję i za które przepraszam. Nie zasłużyłaś sobie na poczucie, że nie trzymam Twojej strony. Prawda jest taka, że ja i Jack rzeczywiście aż tak bardzo się między sobą nie różnimy – miałaś rację. I z bólem myślę, że widzisz we mnie te same cechy, które widzisz w nim i które przez lata przysparzały Ci tyle cierpienia.*

*Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że Cię kocham i nigdy nie chciałem Cię skrzywdzić. Tak się składa, że jedyne, czego pragnąłem, to uchronić Cię przed zranieniem, dlatego tak mi trudno – trudno patrzeć na ból w Twoich oczach.*

*Chcę, byś postąpiła tak, jak tego potrzebujesz, ale chcę także, żebyś wiedziała, że ja tu jestem. Teraz nie mógłbym już się stąd ruszyć, nawet gdybym próbował.*

*Dam Ci wszystko, czego tylko potrzebujesz. Dam Ci święty spokój. Albo włączę się w Twoje sprawy. Będę słuchał i ocierał Twoje łzy, gdy zapłaczesz. Chcę pomóc Ci wszystko zrozumieć, jeśli mi na to pozwolisz.*

*Nikt nigdy nie zmobilizował mnie tak jak Ty ani nie sprawił, że czułem się tak, jak poczułem się dzięki Tobie. Kiedy straciłem baseball, myślałem, że straciłem wszystko. Tego lata zdałem sobie sprawę, że w życiu liczy się znacznie więcej – Ty i Jolie, i budowanie domu.*

*Ponieważ – tak, zamieniłem się w cikliwą offermę i to wszystko Twoja wina.*

*Jestem tutaj, Emily. Zawsze.*

*Kocham Cię*

*Hollis*

Przez kilka sekund wpatrywała się w podpis, a potem od początku przeczytała cały list. Jego

słowa oferowały rzadki wgląd w to, co naprawdę myślał i do czego najprawdopodobniej nigdy nie przyznałby się na głos.

Wewnętrznie rozdarta, powiodła palcem po odręcznie napisanym wyznaniu miłości.

Być może ją kochał, ale to nie znaczy, że by jej nie skrzywdził.

Złożyła list i schowała do torebki, odtwarzając w pamięci słowa, które wypowiedziała podczas ich ostatniej rozmowy.

Słowa podłe, pełne gniewu. Napisał ten ciepły list tuż po tym, gdy tak źle go potraktowała?

Nie zasługiwała na tę dobroć. Nie zasługiwała na jego miłość. A on jej to ofiarował. Hojnie. Bez zobowiązań. Jak na dżentelmena przystało, powiedział, że da jej wszystko, czego jej potrzeba, czy to będzie ramię, na którym można się wypłakać, czy wolna przestrzeń. Bez oglądania się na własne potrzeby.

Zrobiło się jej wstyd. Był to czysty przykład miłości bezwarunkowej, czegoś, czego dotąd zaznała tylko od matki. I na co już nigdy nie liczyła.

Ale czy nie jest to zarazem przykład Bożej miłości? Ileż to razy się na Niego złościła? Ileż to razy mówiła Mu okropne rzeczy? A mimo to On, jak widać, wciąż przy niej był, wciąż ją kochał.

Choć na to nie zasłużyła, bardzo tego potrzebowała.

Wyjrzała przez okno, tęskniąc do widoku wyspy i zachodząc w głowę, dlaczego w ogóle wsiadła na ten prom.

Czas skończyć z tą wieczną ucieczką. Czas zrobić krok naprzód i stawić czoła trudnym sprawom. Nie miała tylko pojęcia, skąd wziąć na początek odwagę.



*Kochana Mamo,*

*dziwne, że przez tyle czasu ani razu Ci nie odpisałam. Pewnie wydaje się to szaleństwem, ponieważ, no wiesz, już Cię nie ma.*

*Ale siedząc dziś w hotelu na Cape Cod i rozmyślając nad bałaganem, którego narobiłam, zdałam sobie sprawę, że nadszedł czas. Czas, bym pozwoliła Ci odejść. Trzymałam się Ciebie tak kurczowo, że nie uświadamiałam sobie, iż obok jest życie, w którym nie biorę udziału. Moje życie.*

*Nigdy nie przestałam zadawać sobie pytania, czego naprawdę chcę ani z kim chciałabym spędzać czas. Zamiast tego robiłam to, co, jak mi się wydawało, robić powinnam. Niektóre z tych rzeczy okazały się wielkimi pomyłkami.*

*Wszystko to wreszcie do mnie dotarło i w końcu zrozumiałam, że mam tylko jedno życie i że błędem byłoby nie rozstrzygnąć, co powinnam z nim zrobić. I po raz pierwszy chcę, by tylko Bóg pomógł mi podjąć decyzję.*

*Zaskakujące, prawda? Myślałam, że mnie opuścił, ale zdaje się, że może mimo wszystko cały czas tu był – może nadeszła pora na zmierzenie się z bólem, żeby móc ruszyć z miejsca.*

*W listach pisałaś czasem o Bogu, o wierze, o tym, że zawsze jest obok, kiedy tylko jestem gotowa. Uważałam, że wszystko zaprzepaściłam przez swoje błędy. Że nie jestem godna takiej miłości, ponieważ zawiodłam na tak wielu frontach.*

*A wtedy... Hollis. On mi pokazał, czym jest taka miłość.*

*Pamiętasz Hollisa, prawda? Zawsze mówiłaś, że będzie pożeraczem niewieścich serc, i wcale się nie myliłaś.*

*Mojego serca nie złamał. Prawdę mówiąc, mam przeczucie, że gdybym mu je oddała, strzegłby go jak bezcennego skarbu. Myślę, że by o nie zadbał. Oczywiście wiem, że nie będzie idealnie i że to ryzykowne – kochać drugiego człowieka. Ale uważam, że równie ryzykowne jest niepodjęcie takiej próby. Ponieważ nie chcę u kresu życia żałować, że nigdy nie pozwoliłam sobie na miłość.*

*Ostatnio Hollis zrobił coś tak bezinteresownego, że zrozumiałam, co to znaczy być kochaną, nawet jeśli nie zasługuje się na miłość. Przypuszczam, że po części zawsze czułam, że nie jestem warta*

*czyjejs miłości. Czulam się odpowiedzialna za wszystko, co się wydarzyło. Ponieważ wszystko zepsułam, zamierzałam, rzecz jasna, żyć tak, by sprostać Twoim oczekiwaniom. Byłam Ci to winna.*

*Dopiero teraz pojmuję, że Ty po prostu chcesz dla mnie takiego życia, jakie jest mi przeznaczone.*

*I teraz będę tak żyć. I się potykać. Być może od czasu do czasu natknę się na kłopoty albo cierpienie – ale tak już jest – wreszcie będę czuła, że żyję. Ponieważ życie to nie tylko same dobre rzeczy.*

*To emocjonalny rollercoaster. To skakanie na główkę nawet wtedy, gdy przejmuje cię strach.*

*To odnalezienie swojego miejsca na ziemi i trzymanie się go później obiema rękami.*

*A przede wszystkim pokonywanie trudności, by dotrzeć do tego, co piękne.*

*A zatem: za piękne życie, Mamo. Na Twoją cześć, ale po mojemu.*

*Zawsze będę hołubić słowa, które mi pozostawiłaś, i chciałabym, żebyś była ze mnie dumna. Ale najwyższy czas przestać uciekać, wybaczyć i ruszyć z miejsca.*

*Z miłością*

*Emily*

## Rozdział 47

Hollis stał za kulisami, słuchając niezrozumiałego gwaru wypełniającego salę teatralną. U jego boku zjawiała się Jolie, ubrana w czerwono-złoty kostium Królowej Kier. Włosy miała upięte w ciasny kok, twarz pomalowaną na biało i serduszko narysowane pośrodku ust. Leciuteńko uchyliła kurtynę i rozejrzała się po widowni.

– Jest tutaj?

Hollis pochylił się niżej, by zrównać wzrok.

– Twoja mama? Tak, jest, siedzi z Rickiem.

Para nowożeńców przyjechała wcześniej. Zameldowali się w hotelu i oczarowani Nantucket, od razu postanowili zamienić weekend na tygodniowy pobyt.

Najwyraźniej miesiąc miodowy jeszcze się nie skończył. Hollis wzdrygnął się lekko na tę myśl.

– Nie mama – odparła Jolie. – Emily.

Hollis cofnął się o krok.

– JoJo, przecież wiesz, że wyjechała. Sama widziałas.

– Tak – przyznała Jolie, wypuszczając z ręki kurtynę. – Ale przecież by nie pozwoliła, żebyśmy grali bez niej?

Hollis chciał, żeby to była prawda. Czego by nie dał za szansę naprawienia relacji z Emily. Nie dokończyli tak wielu spraw.

– Poza tym dałam jej twój list.

– Że co?! – Hollis patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami.

– List, który zostawiłeś na komodzie.

– Przeczytałaś go?

– Za kogo ty mnie masz? Oczywiście, że nie.

– Jolie, to prywatne sprawy. Gdybym chciał, żeby go przeczytała, sam bym go jej dał.

– Ale tato, ty chciałeś, żeby przeczytała. Inaczej byś go nie napisał. – Jolie zerknęła na stół obok.

– I ty też myślisz, że ona przyjedzie. Bo po co byś kupował dwa bukiety kwiatów.

Hollis powędrował za jej wzrokiem. No przecież, na stole leżały dwa bukiety owinięte szarym papierem. To dziecko jest tak bystre, że kiedyś odbije mu się to czkawką.

– Miałaś zobaczyć je dopiero po przedstawieniu.

– Wiem, wiem. Nie najlepiej ci idzie utrzymywanie czegoś w tajemnicy.

Pragnął, by tak było naprawdę. Może gdyby otwarcie powiedział Emily, kim jest Jack, gdy tylko sam się tego dowiedział, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Ale nie z tego powodu się pokłócili. Nie była wściekła, że nie powiedział jej prawdy. Wściekła się o to, że bronił jej ojca. Dlaczego to zrobił? Ponieważ obawiał się, że jest taki sam jak Jack?

Zachował się samolubnie. Nie tego potrzebowała. I on o tym wiedział.

A przynajmniej wie o tym teraz.

– Szykuj się – powiedział. – Marisol pewnie będzie chciała zebrać całą obsadę i dodać wam otuchy przed występem.

– Mam to w nosie. Chyba że zrobiłaby to Emily.

– Jolie, nie bądź taka. Trochę szacunku. Dołącz do reszty aktorów.

Wydeła usta.

– No dobra. Idziesz na swoje miejsce?

– Tak. Będę siedział na samym przedzie. Nie da się mnie nie zauważyć. Ani twojej zwariowanej rodziny.

Jej usta powoli rozciągały się w uśmiechu.

Stracił być może Emily, za to JoJo mu wybaczyła. Och, wprawdzie nie odzywała się do niego przez bite dwadzieścia cztery godziny, ale w końcu mu wybaczyła.

– Wiem, że to nie tylko twoja wina, że Emily wyjechała. I wiem, że ją kochasz, dlatego jesteś smutny.

Hollis nie był w stanie odpowiedzieć. Tak bardzo ścisnęło mu się gardło, że nie mógł przełknąć

śliny.

Tak, był smutny.

Po upływie kolejnych sekund, gdy zbliżał się moment podniesienia kurtyny, opuściła go cała nadzieja.

Emily wyjechała. Tak jak wtedy, gdy byli dziećmi.

Tym jednak razem nie był pewien, czy kiedykolwiek to przeboleje.



Emily przypatrywała się budynkowi, w którym ostatnio spędziła tak wiele godzin na przygotowywaniu przedstawienia *Alicji w Krainie Czarów*.

List, który napisała do matki, włożyła na koniec zeszytu zawierającego wszystkie pozostałe, a całość wcisnęła na dno walizki. Nie miała go teraz przy sobie. Teraz była samodzielna.

I nie całkiem pewna, czy zdoła doprowadzić do końca swój plan, czyli przestąpić próg ośrodka kultury.

Porzuciła Jolie wraz z resztą obsady w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowali. Jak mogła to zrobić?

I czy w ogóle jej wybaczą?

Zanim opuściła ją odwaga, weszła do budynku tylnymi drzwiami i znalazła się w pracowni scenograficznej, trafiając w sam środek wielkiego ożywienia. Na odgłos otwieranych drzwi wszelki ruch zamarł i wszystkie pary oczu zwróciły się w jej stronę.

Marisol stała na rachitycznej drewnianej skrzyni, a cała obsada otaczała ją półkolem.

– Emily, chwała Bogu – rzekła Marisol, zeskakując na podłogę, po czym mocno ją przytuliła. – Wiedziałam, że wrócisz – wyszeptwała. – Twoi aktorzy są gotowi na rozgrzewkę przed premierą.

Emily oswoodziła się z objęć Marisol i powiodła wzrokiem po dzieciach ubranych w kostiumy i ucharakteryzowanych zgodnie z pozostawionymi przez nią instrukcjami. Na ich widok zbierało się jej na płacz.

Wprawdzie ominęła ją próba generalna, ale praca nad spektaklem została praktycznie zakończona jeszcze przed jej wyjazdem. Marisol pewnie musiała ugasić kilka pożarów, ale to, co najtrudniejsze, było gotowe.

Aczkolwiek wcale nie usprawiedliwiało jej odejścia. Była to kiepska decyzja, której żałowała. Ucieczka przestała być rozwiązaniem.

Czas dorosnąć. Czas stawić czoło trudnym sprawom.

Stanęła na miejscu zwolnionym przez Marisol i zaczęła lustrować gromadę, dopóki nie wyłuskała z tłumu Jolie. Spodziewała się, że dziewczynka będzie na nią zła, a tymczasem z uśmiechem odwzajemniła spojrzenie Emily.

Dzieci są bardzo wyrozumiałe. Czy mogła mieć nadzieję, że pozostali członkowie obsady czują tak samo, czy to zbyt duże oczekiwania? Czy mogła mieć nadzieję, że czuje tak Hollis?

– Na początek chcę wam wszystkim powiedzieć, jak bardzo mi przykro, że nie byłam tu z wami na próbie generalnej. Wypłynęło kilka spraw, dlatego musiałam wyjechać. – Rzuciła okiem na Jolie, która delikatnie skinęła głową. – Wiedziałam jednak, że nie może mnie tu dzisiaj zabraknąć. Na premierze. – Umilkła, wodząc wzrokiem od dziecka do dziecka. Widziała na ich twarzach mieszaninę rozmaitych emocji: zdenerwowanie i podniecenie, a także nutę podziwu, na który zdecydowanie sobie nie zasłużyła. – Chcę zapewnić was wszystkich, że jestem z was bardzo dumna. Wyjście na scenę jest trudne. Wymaga ogromnej odwagi. Czasem tak okropnie się czymś denerwujemy albo przejmujemy, ponieważ jest niełatwe i zdarza się, że umyka nam wtedy to, co wspaniałe. Trzeba pokonać trudy, żeby dostąpić tych wspaniałości. – Uśmiechnęła się. – W tej chwili być może się stresujecie i to jest ta trudna część... za to wieczorem po spektaklu doświadczycie mnóstwa wspaniałości. Dlatego, że przezwyciężyliście strach. Dlatego, że pokonaliście trudy. Dlatego, że nad czymś pracowaliście i okazało



się to warte waszych wysiłków. Więc wyjdźcie na scenę i dajcie z siebie wszystko, ale co najważniejsze – zawiesiła głos, by przykuć uwagę wszystkich – dobrze się bawcie!

Dzieci przyjęły te słowa okrzykami radości, ekscytacją, którą przerwało jej wejście, wybuchła na nowo.

– Na miejsca! – zawołała Marisol. – Zająć miejsca!

Dzieci się rozbiegły, niektóre zatrzymały się po drodze, by szybko uściskać Emily, wszyscy podskakiwali jak kulki w automacie.

Emily zeszła ze skrzyni i tuż przed sobą ujrzała Jolie.

– JoJo, przepraszam, że wyjechałam. To był błąd.

Dziewczynka się uśmiechnęła.

– Wybaczam ci. I super się cieszę, że wróciłaś. Zagram tak, że spadną ci trampki.

Emily przyciągnęła do siebie Jolie.

– Wiem. A teraz idź na swoje miejsce.

JoJo oddaliła się biegiem, zostawiając Emily samą w pracowni scenograficznej. Samą, ale ani trochę nie samotną.

## Rozdział 48

Emily stała za kulisami, oglądając dzieci odgrywające sceny, nad doskonaleniem których tak ciężko pracowały. Jak to na deskach teatru, nie wszystko poszło zgodnie z planem. Szalony Kapelusznik zgubił mikrofon w połowie spektaklu, a dziewczynka grająca małą Alicję zapomniała niektórych kwestii. Ale to wszystko bez znaczenia. To są jej dzieci i robią to, czego ich nauczyła.

Duma, którą poczuła, kiedy opadła kurtyna, była czymś, czego nigdy dotąd nie doświadczyła. Brawa nie były przeznaczone dla niej i to jej odpowiadało. Publiczność oklaskiwała dzieci, które Emily pokochała. Objęła stery tego statku, a w trakcie rejsu odkryła coś, co liczyło się bardziej niż ona.

Obserwowała, jak dzieci wychodzą do publiczności i się kłaniają. Biła im brawo. W tej chwili tylko jedna rzecz mogłaby być lepsza: gdyby stała w pierwszym rzędzie przed całą obsadą, żeby młodziutcy aktorzy widzieli, jaka jest dumna z tego, czego dokonali.

Gdy skończyła się piosenka i tłum zaczął się uspokajać, na scenę weszła Marisol z mikrofonem w rękę. Stała przed rzędami dzieci pośrodku sceny i czekała, aż publiczność całkiem ucichnie. Wszyscy ponownie usiedli i skupili całą uwagę na młodej asystentce Emily.

– Jak większość z was wie, to przedstawienie nie byłoby możliwe bez ciężkiej pracy pewnej bardzo szczególnej osoby – zaczęła Marisol.

Emily żołądek podjechał do gardła. *Nie, nie, nie.* Nie chciała zostać wyciągnięta na scenę. Cofnęła się o krok, kiedy Marisol zwróciła się w jej stronę.

– Nie lubi szumu wokół swojej osoby, ale ja i tak będę go robić, ponieważ w pełni na to zasługuje. Emily Ackerman, prosimy cię do nas, byśmy mogli ci podziękować.

Emily kręciła głową.

– Emily, wyjdź do nas! – Marisol wyczekująco uniosła brwi, zapraszając ją gestem do dołączenia do niej na scenie. Młodziutcy aktorzy zaczęli bić brawo i wznosić okrzyki, wywołując ją zza kulis.

Powoli i z wahaniem wkroczyła na deski sceny. Padło na nią światło reflektora, niemal uniemożliwiając zobaczenie czegokolwiek, co nie znajdowało się tuż przed nią. Kiedy jednak stanęła na środku obok Marisol i spojrzała w dół, dostrzegła oczy Hollisa. Siedział w pierwszym rzędzie obok rodziców i rodzeństwa, w tym samym miejscu, które zajmowali jej dziadkowie i matka, kiedy Emily była dzieckiem.

Czy wiedział, jak głupio się czuła? Czy wiedział, jak było jej przykro? Czy w ogóle go to obchodziło?

Przyglądał się jej przez kilka sekund, aż wreszcie jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. A potem wstał, klaszcząc z taką samą dumą w oczach, jaką widywała na twarzach swojej rodziny wiele lat temu.

I w tej samej chwili zrozumiała. To, czego szukała, to, czego najbardziej pragnęła, to dom.

I Hollis był domem.

Hollis był dla niej domem.

Jego rodzice, Hayes oraz Harper dołączyli do zainicjowanej przez niego owacji na stojąco. Pozostała część publiczności podążyła ich śladem. I choć Emily była im wdzięczna za te wyrazy uznania, tak naprawdę to oni coś jej dali.

Marisol wręczyła jej mikrofon.

– Proszę, szefowo. Powiedz coś.

Publiczność usiadła i umilkła, wszyscy czekali, aż Emily wygłosi jakieś ważne słowa.

– Dziękuję wszystkim za obecność dzisiaj wieczoru. Ogromnie doceniamy wasze wsparcie. Wiecie co? Przez długie lata szukałam w życiu miejsca, w którym mogłabym zapuścić korzenie. I go nie znalazłam, dopóki nie przyjechałam tutaj tego lata. To, jak wszyscy przyklasnęliście temu szalonemu pomysłowi wskrzeszenia dziecięcych przedstawień, jak zakasaliście rękawy, poświęciliście swój czas i umiejętności, by spektakl okazał się sukcesem, jak mnie zaakceptowaliście i sprawiliście, że poczułam się jak część waszej rodziny... – Spojrzała na Hollisa, potem na Nan i pozostałych i nie była w stanie dalej mówić, póki nie przełknęła guli, która ścisnęła jej gardło. – Nawet nie wiecie, jak wiele to dla mnie znaczy. Przez te dwa miesiące tak wiele się nauczyłam. A co najważniejsze, nauczyłam się tego, że czasami porażki są prostą drogą do celu. Dziękuję wam, że pozwoliliście swoim dzieciom spędzić ze

mną te wakacyjne miesiące. To było najlepsze lato w moim życiu.

Hollis delikatnie skinął głową, kiedy oddała mikrofon Marisol i zeszła ze sceny.

Kilka sekund później był już przy niej w kularach, podczas gdy dzieci składały ostatni ukłon.

Miał prawo być na nią wściekły. Obraziła go i skrzywdziła. Tymczasem nie znalazła w jego oczach nic prócz życzliwości.

– Dobrze cię widzieć.

Odwróciła wzrok.

– Nie zasługuję na to wszystko. – Wskazała scenę, na której opadła już kurtyna, a dzieci cieszyły się i świętowały.

Nagle przybiegła do niej mała dziewczynka i objęła ją w pasie ramionami.

– Kocham panią, pani Emily – wyznała.

Emily odwzajemniła uścisk, ale nim zdążyła coś odpowiedzieć, dziecko odbiegło. Zauważyła, że Hollis się jej przygląda. Podszedł do stolika z boku, wziął bukiet i go jej ofiarował.

– Polne kwiaty. – Tak jak tamte, które wręczył jej w dzieciństwie.

– Pewnie powinienem był pomyśleć o czymś bardziej dorosłym, co?

– Żartujesz? Są wspaniałe. – Powąchała bukiet. – Ale przecież nie wiedziałeś, czy tu będę.

– Nie, za to miałem taką nadzieję – odparł z uśmiechem. – Wiem, jak kochasz te dzieciaki.

Uśmiechnęła się, rozglądając się po biegających dokoła dzieciach, fetujących dobrze wykonane zadanie.

– To prawda – rzekła. – I nie tylko dzieciaki.

Zajrzał jej w oczy.

– Przepraszam, Hollis.

– Było, minęło.

– Nie, jestem ci winna porządne przeprosiny.

– Nie jesteś mi nic winna, Emily, i nie będziesz. – Wziął ją za rękę i podszedł bliżej. Zamgliły się jej oczy, gdy słowa Hollisa utorowały sobie drogę do jej serca.

– Przeczytałam twój list.

Jęknął.

– Nie miało tak być. Jolie nie powinna była ci go dawać. Głupio, że w ogóle go napisałem.

– Wcale nie. Był piękny.

Przez ułamek sekundy wydawał się zażenowany, lecz ona zauważała w nim wyłącznie dobro. Ten list bardzo ją poruszył. Czy rozumiał, jak wiele znaczyły dla niej te słowa?

Czy nauczy się kochać bezwarunkowo? Czy nauczy się wybaczać – nawet ludziom, którzy zranili ją tak mocno, że rany nadal były bolesne i świeże?

Nie wiedziała, ale chciała spróbować. Zostać. Skończyć z uciekaniem.

Chciała odłupać twardą skorupę, by dostać się do pięknego wnętrza.

Pomyślała nawet, że może by tak dać Bogu jeszcze jedną szansę. Dostrzegała dobro we wszystkim, co wydarzyło się tego lata. Czy to możliwe, że jednak wiedział, co robi?

– Tutaj jesteście!

Słowa te wypowiedziała uradowana Nan.

– Och, Emily, fantastyczna robota. Kupiliśmy już bilety na pozostałe przedstawienia weekendowe. Masz prawdziwy talent. Nie znam wielu ludzi, którzy wyciągnęliby z tych dzieciaków tyle, co ty.

Emily się uśmiechnęła, wspomnienie jej reżyserskiego debiutu (czy raczej klęski) coraz bardziej się rozmywało.

– To prawda – potwierdził Jeffrey, dołączając do nich. – Masz dar.

– Dziękuję wam obojgu. Wspaniałe mi się z nimi pracowało.

– Wystawisz spektakl także i w przyszłe wakacje?

Emily odwróciła głowę i ujrzała stojącą za nią Jolie, wokół której zebrała się grupka innych członków obsady.

– Powinniśmy zagrać *Annie* – powiedział ktoś.

- Albo *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* – zaproponował ktoś inny.
  - Wróci pani do nas, prawda, Emily?
- Rozpostarła ramiona i cała piątka przytuliła się do siebie w grupowym uścisku.
- Nie mogłabym przepuścić takiej okazji za żadne skarby świata.



Hollis stał w holu, obserwując, jak Jolie przechodzi od osoby do osoby, obściskując się, śmiejąc i gratulując, jakby miała ich już nigdy więcej nie zobaczyć. Jakby nazajutrz nie czekały ich dwa kolejne przedstawienia.

Dwadzieścia cztery godziny nieobecności Emily zdawały się wiecznością, co stanowiło jasną wskazówkę, że nie wyobrażał już sobie życia bez niej. Nie odpowiadała na jego SMS-y ani nagrane wiadomości. Tak, był tym facetem, z którego kumple w szatni kpiliby bezlitośnie. I miał to w nosie. Kochał ją.

Może w głębi serca kochał ją od zawsze.

– Muszę przyznać, Hollis, że naprawdę mnie zaskoczyłeś. – Jana znalazła go w jego kryjówce na uboczu.

– To znaczy?

Przechyliła na bok głowę i zmrużyła oczy.

– Coś się w tobie zmieniło i to widać.

Odwrócił wzrok. Nie chciał pochwał za to, że wreszcie zrobił coś, jak należy. To Bóg go zmienił i to Jemu należą się wyrazy uznania.

– Wiem, że wielu rzeczy żałujesz, ale radzisz sobie doskonale. I Jolie spisała się na medal. Tego lata zrobiłeś kawał dobrej roboty.

Spojrzał jej w oczy.

– Mówisz?

Skinęła głową.

– Szczerze? Myślałam, że ją do nas odeślesz, gotów podpisać dokumenty adopcyjne.

Pokręcił głową.

– Nie ma mowy.

Jana się uśmiechnęła.

– Prawdę mówiąc, cieszę się, że to słyszę.

Rick pojawił się u jej boku i objął ją w pasie.

– Świetne przedstawienie, prawda? Nasza córka wypadła znakomicie.

*Nasza córka?*

Hollis łypnął na Janę, która otworzyła szeroko oczy, jakby chciała powiedzieć: „Nie rób afery”. I postanowił nie robić afery, bez względu na to, jak bardzo irytował go Rick. Może oni wszyscy mogą rościć sobie prawo do Jolie. Może teraz mu to tak nie przeszkadzało, ponieważ nosił swoją część Jolie głęboko w sercu.

Po przeciwnej stronie holu pojawiła się Emily. Widać było, że za kimś się rozgląda. Nie śmiał mieć nadziei, że za nim.

Okej, może jednak miał taką nadzieję. Może chciał wierzyć, że ta wyczekująca mina będzie już zawsze przeznaczona dla niego. I chciał wierzyć, że nigdy jej nie zawiedzie.

Jana musiała pójść za jego wzrokiem, ponieważ szturchnęła go w ramię, a potem poruszyła brwiami.

– Wpadłeś po uszy, Mack.

Hollis patrzył na dziewczynę z sąsiedztwa, która skradła mu serce.

– Tak, wpadłem.

Uśmiechnął się, napotykając jej wzrok. Pomachała do niego i zaczęła przebijać się przez tłum.

Przy niej nagle poczuł się kompletny, zdolny przenosić góry. Przy niej czuł się silny. I chciał być lepszym człowiekiem.

Za to ją kochał.

Ale przede wszystkim kochał ją dla niej samej. Kochał te momenty, kiedy znajdował szczelinę w jej fasadzie pewności. Kochał jej nieświadomość własnej urody. Kochał to, jak darzyła miłością jego córkę. I kochał podróż, w którą wyruszyła – to odkrywanie przeszłości, by znaleźć w sobie przebaczenie i pójść dalej. Sam odbył już taką podróż, może zatem będzie umiał pomóc.

– To ty z pewnością jesteś Janą – powiedziała Emily. – Jolie pokazywała mi zdjęcia z waszego ślubu. Bardzo piękny. – Biła od niej szczerość. To kolejna rzecz, którą w niej kochał.

– Dziękuję – odparła z uśmiechem Jana. – To był cudowny dzień.

– Superprzedstawienie i świetna zabawa – pochwalił Rick.

– Tak, te dzieciaki są wprost niesamowite. – Oczy Emily jaśniały. Wydawała się szczęśliwa.

– Tak samo jak ich reżyserka – dodał cicho Hollis.

Skwitowała te słowa przelotnym uśmiechem.

– Dziękuję za czas poświęcony Jolie – powiedziała Jana. – O niczym innym nie mówi. Już nie może się doczekać przyszłorocznych wakacji.

– Świetna z niej dziewczyna – przyznała Emily. – Jestem jej winna podziękowania, bo dzięki niej przypomniałam sobie, za co pokochałam kiedyś scenę.

– Póki tu jestem, powinnyśmy wybrać się razem na zakupy czy gdzieś – zasugerowała Jana, przyjmując Emily do grona swoich koleżanek.

Emily zerknęła na Hollisa, a potem znów przeniosła wzrok na Janę.

– Z przyjemnością.

– Świetnie – powiedziała Jana. – Będziemy się już zbierać. Hollis, przekaz Jolie, że zobaczymy się rano.

– Nie ma sprawy.

Zniknęli, zostawiając Hollisa z marzeniem, żeby to samo zrobili wszyscy pozostali, bo wtedy będzie miał Emily tylko dla siebie.

Nie cieszył się długo tą myślą, ponieważ dosłownie kilka sekund później z sali teatralnej wyszła Eliza Ackerman i ruszyła prosto do nich.

Emily pobladła.

– Nie miałam pojęcia, że ona tu jest.

– Powinienem się ulotnić.

Chwyliła go za rękę.

– Proszę, nie.

Ten prosty gest sprawił, że poczuł się potrzebny. Dała mu pozwolenie nie tyle na to, by ją chronił, lecz by był przy jej boku, pomimo tego, że lada chwila mogło dojść do potencjalnie trudnego starcia.

Dopuszczała go do siebie. Ta świadomość osiadła w jego czułym miejscu.



Emily nie była przygotowana na spotkanie z babcią. Nie wróciła na wyspę dla Elizy Ackerman – wciąż miała wobec niej mieszane uczucia. A właściwie wcale nie mieszane: po prostu niezbyt przyjazne. Podczas swojej krótkiej nieobecności na wyspie modliła się o jakąś odmianę w swoim stosunku do babci. Pozostała jednak niewzruszona. Będzie modlić się nadal, ale czy w tym momencie na coś się to przyda?

– Może przyszła przeprosić? – szepnęła Hollis na widok zbliżającej się kobiety.

Emily wiedziała, że to niemożliwe. Eliza Ackerman nikogo nie przeprasza. Nigdy. Poza tym ona wcale nie żałowała tego, co zrobiła. I nic tego nie zmieni.

Stała przed Emily z zadartą brodą, jak gdyby czuła potrzebę spoglądania na wszystkich z góry.

– Myślałam, że może wrócisz.

Emily powoli nabrała w płuca powietrza.

– Wróciłam dla tych dzieciaków. – *I dla Hollisa.*

Tego ostatniego by nie powiedziała. Nie wtajemniczy babci w tę część swojego życia, która dawała jej radość. Eliza utraciła prawo do poznania jej najbardziej skrytych myśli.

– Spisały się wspaniale – pochwaliła babcia.

– Tak, to prawda – zgodziła się Emily.

– Cieszę się, że tu jesteś. – Eliza grzebała w torebce, póki nie znalazła kółka z dwoma srebrnymi kluczami. – Uznałam, że powinnaś je mieć.

Emily wstrzymała oddech, gdy babcia wcisnęła jej do ręki klucze.

– Co to?

– Moje klucze do domu. Teraz należy do ciebie, więc już ich nie potrzebuję.

Emily obserwowała, jak Eliza odwraca wzrok i przykleja uśmiech na twarz na widok Gladys Middlebury oraz innej starszej kobiety, którym pomachała na powitanie.

– Nie musisz tego robić.

Wzrok babci znów spoczął na Emily.

– Tak chciał twój dziadek. – Ujęła dłonie wnuczki. – I tak chcę ja. Zaslugujesz na to i jak dotąd doskonale ci poszło z remontem.

– Naprawdę?

Emily nie do końca pojmowała, dlaczego aprobatą babci wciąż podbudowywała jej pewność siebie.

– Naprawdę. I mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz, że wszystko, co zrobiłam, zrobiłam dlatego, że uważałam to za najlepsze rozwiązanie dla ciebie i dla twojej matki.

Nie były to przeprosiny – Emily wiedziała, że nie może mieć aż tak wygórowanych nadziei – niemniej słowa te wskazywały, że babci zależy na ułożeniu wzajemnych relacji. Po prostu nie chciała przyznać się do jakichkolwiek wyrządzonych krzywd czy błędów ze swojej strony.

Emily nie mogła ofiarować jej przebaczenia – było na to jeszcze za wcześnie.

Może pewnego dnia to zrobi. Miała taką nadzieję. Będzie musiała nad tym popracować i się modlić, ponieważ pojednanie nie pojawi się samo w cudowny sposób.

Jak gdyby czytając w jej myślach, babcia zrobiła krok w tył, wypuściła dłonie Emily i się wyprostowała.

– Dziś wieczorem wyjeżdżam. Dom w całości jest twój.

– Dziękuję.

Eliza spojrzała na Hollisa.

– Dobrze się nią opiekuj.

Hollis ścisnął dłoń Emily.

– Tak zamierzam.

Jego dotyk był znajomy, a mimo to nadal wywoływał motyle w brzuchu. Wiedziała, że związki nie są łatwe, lecz skomplikowane, pełne wyzwania, nerwów i napięcia, ale po raz pierwszy w życiu chciała stawić czoło trudnościom, by zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

Czy się bała? Tak. Ale Hollis był tego wart. Oboje byli tego warci.

Babcia wymownie skinęła głową, po czym się oddaliła. Emily zastanawiała się, kiedy znów ją zobaczy. Możliwe, że dopiero za wiele miesięcy. Możliwe, że nigdy.

Długo stała w miejscu jak wryta, a później spojrzała na Hollisa, który w odpowiedzi uniósł brew, jakby chciał zadać pytanie.

– Zaraz wracam – powiedziała.

Tłum przerzedził się tylko odrobinę, więc torowanie sobie drogi przez hol było prawdziwą walką, jednak dzielnie brnęła naprzód, mamrocząc w kółko „przepraszam”, póki nie znalazła się przy drzwiach wyjściowych. Pchnęła je i wyszła na ulicę, dostrzegając babcie zmierną szybkim krokiem na parking.

Podbiegła do niej.

– Babciu?

Eliza odwróciła się w chwili, gdy Emily znalazła się tuż za jej plecami. Nie była przygotowana na widok mokrej od łez twarzy babci, jakże rzadki, jakże do niej niepasujący.

Starsza kobieta pociągnęła nosem, po czym odwróciła wzrok, osuszając policzki najdyskretniej, jak umiała. Dyskrecja okazała się mało skuteczna. Babcia została przyłapaną.

A jednak miała duszę.

Emily wpatrywała się w nią przez kilka sekund, aż wreszcie sobie przypomniała, że przecież to ona za nią pobiegła. I co miała jej powiedzieć?

– Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumie twoje czyny – wykrztusiła wreszcie. – W wielu rzeczach się z tobą nie zgadzam.

Eliza milczała.

– Jednak szczerze wierzę, że kierowały tobą dobre intencje. Chociaż błędne. Mama mówiła, że zawsze chciałaś dla mnie jak najlepiej. Wierzę jej. – Emily wzięła babcię za rękę. Nie poczuła, jak w cudowny sposób spływa na nią spokój, który wypiera gniew. Nie poczuła w sobie żadnej zmiany – prawdę mówiąc, nadal była zła. Ale nie chciała, by rozstały się w przekonaniu, że ze sobą nie rozmawiają.

Z czasem wybaczy, i to nawet bez jej przeprosin, ale na razie tylko się pożegna.

– Jestem z ciebie dumna, Emily – wyznała babcia.

Te słowa trafiły ją prosto w serce. Od śmierci matki nie słyszała ich od nikogo.

– Dziadek też był z ciebie dumny. – Ścisnęła dłonie Emily, a potem się do niej uśmiechnęła. –

Na mnie już czas.

Emily pokiwała głową. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wykrztusić słowa.

Zamiast tego patrzyła za oddalającą się babcią, widziała, jak wsiada do lexusa i odjeżdża.

*Panie, pomóż mi jej wybaczyć.*

W razie konieczności będzie modliła się o to każdego dnia, ponieważ na razie nie czuła w sobie przebaczenia.

Emily odwróciła się i omiotła wzrokiem budynek teatru. Przez drzwi wejściowe widziała tłum ludzi w holu. Dzieci w kostiumach przemykały w morzu dorosłych, wszyscy mieli radosne miny.

Pomogła stworzyć to szczęście.

Ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy.

I mimo że spędziła większą część życia samotnie, mając rzesze rozsianych po całym świecie znajomych i właściwie żadnych prawdziwych przyjaciół, w tej chwili czuła się dokładnie odwrotnie

Była w domu.

## Rozdział 49

Emily nie zamierzała wychodzić z teatru jako ostatnia, ale oto stała w półmroku na scenie. Reszta budynku opustoszała. Hollis pojawił się w kulisach oświetlonych jedynie lampką, którą wciągnęła na scenę i włączyła do kontaktu. Nikłe światło pojedynczej żarówki przymocowanej na czubku statywu ledwo rozpraszało mrok wokół niej, a już zupełnie nie rozjaśniało rzędów foteli na widowni.

– Dlaczego nazywa się je światłem dla ducha? – zapytał Hollis, stając na wprost niej, oddzielony jedynie wąskim pasmem jasności.

– Pewnie dlatego, że ma odganiać duchy – odpowiedziała z uśmiechem. – Nie wiesz, że teatry są nawiedzone?

Na twarz Hollisa padała słaba poświata, wystarczająca tylko do wyłuskania z mroku jego rysów, ale wydawało się jej, że uniósł brwi, pytając:

– Co ty powiesz?

– Muszę je tu zostawić, żeby nikt po ciemku nie spadł czasem ze sceny.

Hollis złapał ją za bluzkę i pociągnął ku sobie.

– To trochę bardziej sensowne wyjaśnienie.

Wsparała dłonie na jego piersi, wdychając męski zapach. Nie spryskał się wodą kolońską, ale utrzymująca się na jego skórze woń mydła była bardzo „Hollisowa”. Woń, którą z czasem pokochała.

Odgarnął włosy z jej twarzy i się jej przypatrywał. Co zaskakujące, nie skuliła się pod ciężarem skupionej na niej uwagi. Patrzyła mu w oczy, potem jej spojrzenie przesunęło się na usta, silnie zarysowany podbródek i ponownie powędrowało w górę na szczerze, orzechowe oczy.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział.

Dwie osoby w jeden wieczór? Po latach posuchy, kiedy nikogo nie wprawiała w dumę, tego dnia szła na rekord.

– Masz do tego wrodzony talent, wiesz? – ciągnął. – To była świetna zabawa.

– Sama jestem zaskoczona, że aż tak mi się podobało.

Pochylił się i musnął jej usta miękko, delikatnie. Był to nie tyle pocałunek, co odkrywanie, jakby chciał poznać każdy jej fragment sekunda po sekundzie.

– Wszystkie dzieciaki z obsady spotykają się na plaży przy ognisku – powiedziała.

– Wiem. Moi rodzice zabrali tam Jolie.

– Chcesz pójść?

Wzruszył ramionami.

– Można też zostać tutaj.

– Albo urządzić sobie własny piknik na plaży?

– Albo tak.

Wspięła się na palce, by dosięgnąć jego ust. Starła się zapamiętać dotyk jego warg, silne mięśnie pod jej dłońmi, pragnienie, by ta chwila trwała wiecznie.

Objął ją w pasie, przyciągnął bliżej i pocałował z większym żarem.

Odsunęła się nagle, wpatrując się w jego oczy.

– Wciąż trochę się boję. A jeśli to się skończy?

Po kolejnym pocałunku uklęknął przed nią i z uśmiechem wziął ją za rękę.

– W moim życiu nie brakowało błędów, ale pokochanie ciebie to najlepsza rzecz, jaką zrobiłem. Wiedziałem od zawsze, że gdy nadejdzie pora na ustatkowanie się, to będzie ono trwałe. Nie martw się, że to tylko stan przejściowy albo że cię skrzywdzę. Nie. Moim jedynym zamiarem jest kochać cię na wieki, jeżeli tylko mi na to pozwolisz.

Zaniemówiła.

– Hollis, co ty wygadujesz? – spytała po chwili.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej błękitne pudełeczko.

– Chcę, żebyś za mnie wyszła. Nie obiecuję, że będzie idealnie. Dopadną nas trudne chwile. Na razie nie mam nawet pracy...

Roześmiała się, jej oczy zamglily się od łez szczęścia.



– Ale wspólnie znajdziemy rozwiązanie... Przebrniemy przez trudy i wykujemy z nich naszą historią.

– Hollis, nie wiem, co powiedzieć.

– Em, twoje miejsce jest przy mnie. Mam nadzieję, że powiesz „tak”.

Badała jego twarz, oczy, szukając powodu do ucieczki, lecz nie znalazła nic. Widziała tylko miłość.

Jej miejsce jest u jego boku. Z Jolie. Z Nan i Jeffreyem. W Nantucket albo w Bostonie, albo tam, gdzie rzuci ich los. Znalazła swoje miejsce. I było to cudowne uczucie.

Opadła na kolana i ujęła w dłonie jego twarz, czując na skórze szorstki zarost.

– Oczywiście, że tak. Niczego na tym świecie nie pragnę bardziej.

– Chwała Bogu. Bo już zaczynałem się martwić.

Roześmiała się i padła mu w ramiona, z przyjemnością poddając się pocałunkowi. W migoczącym świetle „dla duchów” serce Emily uczepliło się obietnicy wspólnej przyszłości.



Hollis skręcił na okrągły podjazd przed domem Ackermanów. Emily obracała w rękę klucze. Babcia oficjalnie zrzekła się kontroli, co oznaczało, że dom należy teraz do niej. Tym razem naprawdę.

– Dodasz je do kolekcji? – zapytał.

Skinęła głową.

– Tak by wypadało, nie sądzisz? Żeby te klucze były ostatnie w kolekcji? Tamta część mojego życia została zamknięta.

– Nie jest ci smutno z tego powodu, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Ani trochę.

– To dobrze.

– Chciałabym się przebrać, a później spotkamy się na plaży, dobrze?

Pochylił się i pocałował ją w czoło, potem musnął jej nos, aż wreszcie zatrzymał się na ustach.

Już po kilku sekundach zatraciła się w pocałunku.

O rety, ten mężczyzna potrafi całować.

Wziął ją za rękę i złożył pocałunek na pierścionku, który wcześniej wsunął jej na palec.

Emily nigdy nie nosiła dużo biżuterii i Hollis musiał o tym wiedzieć. Zdawało się, że ten pierścionek został zrobiony specjalnie dla niej, idealnie pasował do jej osobowości. Prosta obrączka z białego złota z dużym okrągłym brylantem otoczonym wianuszkami mniejszych brylancików, piękna bez ostentacji. Emily była zachwycona tym, jak prezentuje się na jej dłoni.

– Do zobaczenia na plaży – powiedziała.

Skinął głową, a zanim Emily wysiadła z jeepa, pochyliła się po jeszcze jednego całusa.

Babcia musiała zostawić w domu zapalone lampy, ponieważ z okien przedpokoju i salonu sączyło się światło, rozpraszając mrok w ogrodzie wokół domu.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Następnie wciągnęła w nozdrza zapach świeżej farby i przystanąła, sycąc wzrok pracą wykonaną w ciągu dwóch ostatnich miesięcy.

Gdy tu przyjechała, dom był pustym pudełkiem dręczących wspomnień. Teraz stał się zupełnie innym miejscem – miejscem, w którym odkryła, kim jest. Odegrał instrumentalną rolę we wskazaniu jej celu, pokazaniu, że ma przed sobą kawał życia. I chciała przeżyć je jak najlepiej.

Była dumna z rezultatów, a z drugiej strony jak nigdy dotąd zależało jej na ukończeniu prac, co stanowiło dla niej nie lada zagwozdkę. Może zadzwoni do Jacka i poprosi, żeby przyjechał? Znał plany, miał ekipę.

Czy znaleźć kogoś innego – mniej skomplikowanego?

Przestraszyły ją jakieś hałasy w kuchni. Czyżby to Hollis wchodził tylnymi drzwiami? Jednak

nie słyszała otwierania drzwi, tylko odgłos buszowania w domu.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi przeszła przez przedpokój, zmierzając prosto do kuchennych drzwi. Zaskoczył ją widok znajomej sylwetki.

*Jack.* Przecierał szmatką świeżo zamontowane przeszklone drzwi przesuwne, nieświadom jej obecności.

Nie była przygotowana na rozmowę. Nie wiedziała, co czuje ani co myśli, ani co chciałaby powiedzieć, ale oto był tu, w jej domu, ojciec, którego zawsze sobie wyobrażała i którego zarazem nigdy nie mogła sobie wyobrazić.

Odchrząknęła. Ręka ze szmatką znieruchomiała, głowa błyskawicznie odwróciła się w jej kierunku.

– Emily?

– Cześć.

– Myślałem, że wyjechałaś. – Opuścił ramię i patrzył prosto na nią.

– Wróciłam. – Zauważyła, jak Jack przestępuje z nogi na nogę. – Co ty tutaj robisz?

Wsadził szmatkę do tylnej kieszeni spodni.

– Zadzwoiła do mnie twoja babcia, prosiła, żebym przyjechał i dokończył remont. Od jakichś pięciu minut uważam swoją pracę za oficjalnie ukończoną.

Emily nie mogła ukryć zdumienia.

– Babcia do ciebie zadzwoniła?

– Szok, prawda?

– I to jaki!

– Powiedziała, że nadal mnie nie lubi, ale wie, jak bardzo zależy ci na dokończeniu prac.

Emily się uśmiechnęła, ponieważ było to absolutnie w stylu babci, a także dlatego, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Rozmawiałaś z nią?

– Tylko przez chwilę po spektaklu.

– Chciałem przyjść na przedstawienie. Nie byłem pewien, czy byłbym mile widziany.

Uśmiechnęła się – tym razem z głębi serca.

– Przyjdź jutro.

– Tak mówisz?

Kiwnęła głową.

– Emily, ja...

Przerwała mu gestem uniesionej ręki.

– Słuchaj, Jack, mam w głowie mętlik. Niczego sobie jeszcze nie poukładałam, ale odkąd wyszłam wtedy z twojego domu, dużo o tym myślałam i chciałabym cię poznać, jeśli mi na to pozwolisz.

Twarz Jacka się rozjaśniła.

– Tak?

– Tak.

– Byłoby... byłoby wspaniale.

– Więc może wypijemy jutro razem kawę?

– Mnie pasuje. – Jack skrzyżował ramiona na piersi. – Przyjadę po ciebie o siódmej.

Emily jęknęła.

– Nie może być o wpół do ósmej?

Roześmiał się.

– W porządku. A więc do jutra.

Odprowadziła go do drzwi, a potem poszła na górę, by przebrać się z sukienki w dżinsowe szorty i koszulkę. Odszukała plażowe klapki, spakowała w kuchni torbę i spokojnym krokiem ruszyła na plażę, gdzie Hollis, siedząc na kocu, rozniecał ogień pod małym węglowym grillem.

– Przyniosłaś pianki i krakersy? – zawołał, gdy tylko wkroczyła na piasek.

Pokazała torbę.

– Kolacja mistrzów.

Wstał, wziął od niej torbę, poczekał, aż usiądzie, i okrył ją kraciatym pledem.

– Dziękuję – powiedziała.

W oddali zauważyła młodą rodzinę spacerującą brzegiem w ich kierunku. Rzadko widywało się ludzi na tym odcinku plaży, ale gdy podeszli bliżej, Emily rozjaśniło się w głowie. Uśmiechnęła się.

– Co jest grane? – zapytał Hollis, podążając za jej spojrzeniem i widząc chłopca biegnącego pędem wzdłuż brzegu.

– To mój stary przyjaciel.

Wstała i wpatrzona w malca, który najwyraźniej bawił się w ściganie fal, zaczęła iść w jego stronę. Chłopiec jeszcze jej nie zauważył, kiedy jednak oderwał wzrok od wody i ujrzał jej postać, po jego minie widać było, że ją rozpoznał.

– Hej! To ty! – powiedział.

– Cześć, Andrew. – Emily przywitała go szerokim uśmiechem.

– Ty zrobiłaś ten pokaz *Alicji w Krainie Czarów*.

Postanowiła go nie poprawiać. Miał jeszcze mnóstwo czasu na nauczenie się poprawnej terminologii.

– Tak. Widziałeś?

Entuzjastycznie pokiwał głową.

– Było super. Strasznie mi się podobało, jak wrzeszczała ta królowa. – Przynął się bliżej. – Kentonowi też się podobało – szepnął.

Puściła do niego oko.

– Bardzo się cieszę. – Wyjęła z kieszeni gładki biały kamyczek podarowany jej przez chłopca na promie – podczas podróży, która, jak się okazało, miała odmienić jej życie. Cały czas nosiła go przy sobie niczym probierz.

Może była bardziej sentymentalna, niż sądziła.

– Spójrz – rzekła, pokazując mu kamyczek.

Zaświeciły mu się oczy.

– Ciągle go masz!

– Tak. To dla mnie jedna z najcenniejszych rzeczy.

Do chłopca dołączyli jego rodzice. Po wymianie uprzejmości Emily zaprosiła Andrew do udziału w przedstawieniu, kiedy trochę podrośnie, czyli – jak się okazało – za parę lat.

– Życzę ci miłego końca wakacji, Andrew – powiedziała, zanim rodzina ruszyła w dalszą drogę. Zachichotał, pomachał jej na pożegnanie i powrócił do ścigania fal.

Emily odwróciła się do Hollisa, który otoczył ją ramieniem.

– Czy to znaczy, że będziesz tu za parę lat, kiedy malec podrośnie na tyle, by móc zagrać w spektaklu?

– Mam taką nadzieję.

Usiedli na plaży – ich plaży – piekąc na grillu pianki i zajadając je z przełożonymi czekoladą krakersami. Emily raz po raz zerkała ukradkiem na twarz Hollisa, delikatnie oświetloną płonącym ogniem.

Hollis był dobry i łagodny i miał w sobie wszystko, o czym tylko mogła zamarzyć. Dlaczego Bóg znów ich ze sobą połączył – tego nie rozumiała, niemniej była Mu za to ogromnie wdzięczna.

Dziwnie było myśleć w ten sposób o Bogu po latach ignorowania go, ale zawarła z Nim tutaj coś w rodzaju pokoju. Tak jakby ktoś otworzył jej oczy na fakt, że choć życie nie jest bez skazy, choć zdarzają się trudne momenty, Bóg jest dobry. Bez względu na wszystko.

Może sprowadził ją tu po to, by pomóc jej zrobić krok w przyszłość. Może trzymał dla niej w zanadrzu coś więcej niż wędrownie życie włóczęgi, które dotąd wiodła.

Popatrzyła na Hollisa i zdała sobie sprawę, że nie ma tu żadnego „może”. Ta myśl przepełniła ją wdzięcznością.

Fale obmywały brzeg, Emily zanurzyła palce stóp w chłodnym piasku.

– Co zrobisz teraz z domem? – zapytał po jej relacji z napatoczenia się na Jacka.

Obejrzała się, skupiając wzrok na świetle na piętrze.

– Cóż – odparła – dużo o tym myślałam.

– Chcesz go zatrzymać, prawda?

Pokręciła głową.

– W gruncie rzeczy chcę go sprzedać.

Uważnie się jej przyglądał.

– Serio? Wiesz, że nie musisz już martwić się o pieniądze, Em. Naprawdę dobrze się tobą zaopiekuję.

Zmarszczyła nos.

– Masz doskonale płatną pracę, co?

Roześmiał się.

– Zamierzam znaleźć fantastyczną robotę.

– Nie wątpię.

– Choć może nie tak intratną, jak do tej pory.

– Nie?

Wciągnął w nozdrza powietrze.

– Myślę, że chciałbym być trenerem.

Wybałuszyła oczy.

– Naprawdę?

– Co mam powiedzieć? Zainspirowałaś mnie.

– Będiesz rewelacyjny – rzekła z uśmiechem.

– W każdym razie porozmawiam z tobą, zanim gdziekolwiek złożę papiery. Nie chcę zmuszać cię do przeprowadzki na przykład na Alaskę.

– Co jest złego w Alasce?

Przewrócił oczami.

– Zapomniałem. Ty mieszkałaś już wszędzie.

– I wszędzie mogę być szczęśliwa. Z wyjątkiem Florydy. Za gorąco i za wilgotno.

Parsknął śmiechem.

– Ależ ja cię kocham.

Zaskoczyły ją te słowa oraz to, że jakby nie był w stanie się przed nimi pohamować. Nikt nigdy tak jej nie kochał. Uznała, że to bardzo miłe uczucie. I że właśnie za tym tęskniła.

Uśmiechnął się do niej.

– Jeśli sprzedasz dom, po powrocie do Nantucket zamieszkamy u mnie? Wiesz, że jesteś zobowiązana do wystawienia spektaklu w przyszłe wakacje.

– O tym także myślałam. I sądzę, że potrzebujemy własnego miejsca. Małego. Przytulnego. Z białym ogrodzeniem.

– Tak?

Skinęła głową.

– Jestem gotowa na proste życie, Hollis. I o ile będę wieść je razem z tobą, niczego więcej nie potrzeba mi do szczęścia.

Wstał, obszedł dzielące ich ognisko i przed nią klęknął.

– W takim razie, Emily Ackerman, przygotuj się na szczęście. Ponieważ nigdy nie pozwolę ci odejść.

Zamknęła oczy, ciepło płomieni nie mogło konkurować z żarem jej zarumienionych policzków, gdy poddała się pocałunkowi, od którego – gdyby stała – ugięłyby się pod nią kolana

## Od autorki

To dla mnie zdumiewające, kiedy pomyślę o podróży, w którą wyruszyłam, pisząc tę książkę. Gdy rozpoczęła się burza mózgów wokół pomysłu na *Gdyby mnie zabrakło*, nie miałam pojęcia, co stanie się dalej. Widzisz, pisanie książki obfitującej w listy matki do córki wydawało się uroczym planem. Kto by się spodziewał, że w trakcie pracy nad tą powieścią u mojej córki zostanie zdiagnozowany nowotwór tarczycy, co zmusiło mnie do podjęcia zgoła innego rodzaju podróży, w którą nie chciałyby wyruszyć żadna matka.

Przyznaję, że po diagnozie Sophie nie zjrzałam do tego tekstu przez miesiąc, może nawet dwa. Zbyt trudno było pisać te listy – listy przekazujące córce matczyne mądrości. Jakże pragnęłam przekazać mądrość mojej własnej córce, ale zwyczajnie czułam się tego niegodna. Nie potrafiłam pomóc jej w zmaganiach z diagnozą, której nikt nigdy nie chciałby usłyszeć, zwłaszcza w wieku siedemnastu lat.

Ale jak to zwykle bywa, pisanie pomogło mi przetrwać ten trudny okres. Zdaje się, że nie umiem myśleć i czuć bez przetwarzania tego na słowo pisane.

Niejeden raz ta książka wyciskała mi łzy z oczu, gdy zastanawiałam się, jakie przestrogi, wnioski, marzenia i poglądy najbardziej chciałabym przekazać córce. Nie raz musiałam usunąć listy po prostu dlatego, że nie pasowały do historii Emili... ponieważ były pisane jako część mojej własnej historii.

Można by chyba rzec, że ta powieść stała się dla mnie niesłychanie ważna, przeprowadziła mnie przez najtrudniejszy jak dotąd okres mojego życia. Towarzyszyła mi w tej podróży, pomogła przetrwać burzę, zapewniła jakże potrzebne oderwanie się od codzienności i przy okazji przypominała, jak cenne jest życie – nie z powodu tego, co robimy czy co posiadamy, tylko z powodu ludzi, którzy wzbogacają każdy nasz dzień.

Jestem niezmiernie wdzięczna Vanessie Reyes, która wiele lat temu stworzyła niewielką książeczkę zawierającą listy do swoich córek – listy, które miały służyć ciągłości ich więzi, „gdyby jej zabrakło”. Utkwiło mi to w pamięci i zainspirowało do napisania moich własnych listów, a w końcu i tej powieści.

Mam szczerą nadzieję, że podobała Ci się historia Emili i Hollisa, i z prawdziwą radością poznałabym Twoją opinię. Uwielbiam reakcje moich czytelników, zwłaszcza kiedy mogę poznać Was odrobinę lepiej! Zapraszam do pozostania w kontakcie poprzez zapisanie się na newsletter na mojej stronie [www.courtneywalshwrites.com](http://www.courtneywalshwrites.com) lub napisanie kilku słów drogą mailową: [courtney@courtneywalshwrites.com](mailto:courtney@courtneywalshwrites.com)

Z serdecznościami i wdzięcznością

Courtney

## Podziękowania

Adamowi. Zawsze i na wieki. Ty + Ja. Dostaliśmy niezły wycisk, prawda? A mimo to wciąż się trzymamy. Wiem, że gdyby nie Ty, byłoby inaczej. Dziękuję za wiarę we mnie i za zapewnianie, że wszystko będzie dobrze... choć zdarzały się chwile, kiedy żadne z nas nie było tego pewne. Jesteś moim ulubieńcem.

Sophii. Podziwiam Twoją siłę i wrażliwość. Jesteś doprawdy jedyna w swoim rodzaju. Dziękuję za zauważanie moich siwych włosów i trzymanie mnie w ciągłym napięciu.

Ethanowi. Twoja życzliwość inspiruje mnie w takim samym stopniu, w jakim motywuje mnie Twoja pracowitość. Tak bardzo się cieszę, że mogę być Twoją mamą.

Samowi. Jestem Ci wdzięczna za rozśmieszanie mnie na tysiąc sposobów. Może pewnego dnia Ty podziękujesz mnie w którejś ze swoich książek ;)

Natalie, Tonii, Chamarze i Tenille. Nigdy nie zapomnę, że wspierałyście nas w tak trudnym momencie naszego życia. Czuję ogromną wdzięczność.

Moim rodzicom, Bobowi i Cindy Fasslerom. Ogromne podziękowania za Waszą miłość i mądrość.

Stephanie Broene. Nie dalej jak dziś rano myślałam o tym, jak bardzo uwielbiam nasze pogawędki. Dziękuję za pomoc przy ulepszaniu mojej fabuły, przydawanie jej większego realizmu i siły oddziaływania. A przede wszystkim za wiarę w słowa, które Bóg umieścił w moim sercu.

Danice King. Dzięki Tobie każda opowieść jest lepsza. Mam wielkie szczęście, że mogę z Tobą pracować. Dziękuję za ten prawdziwy dar, którym jest dla mnie Twoja osoba.

Carrie Erikson. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę miała wierniejszą przyjaciółkę.

Wszystkim, którzy wspierali nas w trakcie diagnozy, operacji i leczenia Sophii. Tak wiele osób pomogło nam dźwigać ten ciężar i mamy dług wdzięczności wobec Was wszystkich. Nigdy nie czułam takiej fali miłości i choć okoliczności nie były sprzyjające, dostaliśmy po drodze wiele wspaniałych i nieoczekiwanych darów – ten był jednym z nich.

Katie Ganshert, Becky Wade oraz Melissie Tagg. Cudownym przyjaciółkom-pisarkom, które znoszą moje biadolenia w połowie każdej książki. Co ja bym bez Was poczęła? Jestem szalenie wdzięczna za godziny spędzone na rozmowach o pisaniu, publikowaniu i życiu. Bóg ofiarował mi cenne dary pod postacią każdej z Was.

Natashy Kern, mojej agentce. Dziękuję za mobilizowanie mnie do stawania się lepszą autorką i zawierania w moich książkach silniejszego przekazu. Jestem Ci wdzięczna za Twoją mądrość w tej podróży.

Deb Raney. Mojej odwiecznej mentorce i odwiecznej przyjaciółce. Dziękuję Ci za wszystko, co zrobiłaś, by pomóc mi zrozumieć opowieść.

Całemu zespołowi wydawnictwa Tyndale. Wiem, jakie mam szczęście, pracując z najlepszymi z najlepszych. Dziękuję za przyjęcie mnie do rodziny.

Dzieciom z mojego studia i ich rodzinom. Dziękuję, że dzięki Wam moja „dzienna praca” jest tak wspaniałą zabawą. Każde z Was jest dla mnie inspiracją – przykładem odwagi. Są dni, kiedy potrzebujemy jej bardziej niż kiedykolwiek.

A przede wszystkim Wam, moi czytelnicy. Mam nadzieję, że wiecie, jacy jesteście wyjątkowi. Mam nadzieję, że wiecie, jak bardzo sobie cenię Wasze miłe słowa (kierowane do mnie bezpośrednio albo poprzez recenzję w mediach społecznościowych). Mam nadzieję, że wiecie, iż te opowieści są moim sposobem na dzielenie się z Wami moim sercem i jestem ogromnie wdzięczna, że jest mi dana ta możliwość. Jesteście dla mnie wszystkim

## Pytania do dyskusji

1. Kiedy na początku tej opowieści Emily przybywa do Nantucket, próbuje dojść do siebie po poważnej zawodowej porażce. Hollis także mierzy się z przedwczesnym zakończeniem kariery sportowej. Czy kiedykolwiek musiałś radzić sobie z nieoczekiwanymi komplikacjami, tak jak Emily i Hollis? Jak na nie zareagowałeś?

2. Hollis pragnie znaleźć wspólny język ze swoją córką Jolie, ale na początku nie ma pojęcia, od czego zacząć. Dlaczego jest mu tak trudno nawiązać z nią bliższy kontakt? Co robi, by okazać Jolie swoją miłość, i jaki ma to wpływ na ich relacje?

3. Jedna z dewiz Emily brzmi: „Trzeba pokonać trudy, żeby dostąpić wspaniałości”. Jak ta zasada realizuje się w jej życiu? Czy przychodzą Ci do głowy jakieś „wspaniałości” w Twoim życiu, które były następstwem czasu trudów i zmagañ?

4. Przez większość życia Emily podążała ślepo za radami, które mama pozostawiła dla niej w listach. W jakim sensie na nich skorzystała, a w jaki sposób ją hamowały? Jak zmienia się stosunek Emily do treści listów na przestrzeni całej książki?

5. Rodzice Isabelle nalegają, by dostosowała się do ich miar sukcesu i stosownego zachowania, ona jednak ma inne pomysły na życie. Jak rodzice mogą kierować swoimi dziećmi i je uczyć, jednocześnie pozwalając im na bycie sobą? Jak powinny reagować starsze dzieci, kiedy czują się niesłusznie ograniczane przez rodziców?

6. Emily musi wybierać pomiędzy ryzykiem pokochania innych, niedopuszczaniem ich do siebie a ucieczką. Jak przedstawia się ten wybór w jej relacjach z Hollisem? Z Jolie? Z babcią? Dlaczego tak często kochanie ludzi i przyjmowanie ich miłości wydaje się ogromnym ryzykiem?

7. Hollis jest wdzięczny swojemu przyjacielowi Jimmy’emu za wspieranie go i mobilizowanie po wypadku, a także za jego świadectwo wiary w Boga. „Jimmy podchodził do wiary po swojemu. Bóg nie był jakimś odległym bytem w niebie, którego nie sposób pojąć ani uchwycić – dla Jimmy’ego był tak samo prawdziwy jak Hollis oraz inni chłopcy, których nazywał przyjaciółmi”. Czy przychodzi Ci do głowy ktoś spośród przyjaciół lub członków rodziny, kto odegrał w Twoim życiu podobną rolę? Jak by to wyglądało, gdybyś to Ty była taką osobą w życiu kogoś innego?

8. Jack wkracza w życie Emily, zgłaszając się jako fachowiec do remontu. Sądziś, że zabrał się do tego we właściwy sposób, czy radziłabyś mu większą bezpośredniość w nawiązywaniu z nią więzi? Jak opisałabyś relację Jacka i Emily na końcu historii? W jaki sposób udaje się im zbliżyć do pojednania mimo błędów popełnionych przez Jacka w przeszłości?

9. Emily odkrywa w sobie pasję do pracy z dziećmi: jej miłość do dziecięcego teatru rozwija się w trakcie letnich miesięcy. Co tak bardzo satysfakcjonuje ją w tym zajęciu? Gdybyś mogła przekształcić którąś ze swoich pasji w karierę zawodową, co by to było?

10. W liście do mamy Emily pisze: „Myślałam, że [Bóg] mnie opuścił, ale zdaje się, że może mimo wszystko cały czas tu był – może nadeszła pora na zmierzenie się z bólem, by móc ruszyć z miejsca”. Jak Emily dociera do tego etapu życia, w którym odzyskuje wiarę i determinację, by ruszyć dalej? Czy gdy sięgniesz pamięcią wstecz, potrafisz wskazać bolesną sytuację, w której Bóg miał swój udział, choć wówczas tak tego nie postrzegałaś?

11. Nantucket jest celem wakacyjnych wyjazdów dla kilku pokoleń Ackermanów. Czy Twoja rodzina ma swoje ulubione miejsce spędzania wakacji? Czy miała takie, kiedy byłaś dzieckiem? Jakie jest Twoje ulubione – albo najgorsze! – wspomnienie z tego miejsca?

12. Pod koniec opowieści Hollis i Emily omawiają warianty wspólnej przyszłości. Jak wyobrażasz sobie ich dalsze życie poza ostatnią stroną tej książki?

1 Nawiązanie do fikcyjnej postaci, znanej przede wszystkim z rysunków amerykańskiej pisarki i ilustratorki Denise Holly Hobbie oraz filmu o tym samym tytule (przyp. red.).



# COURTNEY WALSH

*Gdyby mnie zabrakło*

